

Spis treści

Od Wydawcy	4
CZEŚĆ PIERWSZA	
1 Spotykam Armię Radziecką	5
2 Terror	20
3 Richard znika	34
4 Moje aresztowanie	45
5 Jilava	63
6 Moje nawrócenie	78
7 Obietnice	85
CZEŚĆ DRUGA	
8 Kanał	92
9 Karcer	110
10 Obóz K4 — zima	117
11 Dunaj	132
12 Obóz K4 — lato	139
13 Równina Baragan	150
14 Pociąg	161
15 Targusor	170
16 Hodowla świń	175
CZEŚĆ TRZECIA	
17 Ponownie w domu	185
18 Kościół podziemny	200
19 Ruch duchowego oporu	217
20 Nowy terror	232
21 Ku wolności	249

Od Wydawcy

W cierpieniu i nadziei wprowadza czytelnika w środowisko chrześcijan, żyjących i działających pod nieprzyjawnymi rządami totalitarnej ideologii, zwalczającej i usiłującej zniszczyć wszelkie postawy, odbiegające od jedynie obowiązującej i siłą narzucanej wszystkim „prawdy”.

Książka ta miała przede wszystkim obudzić świadomość wolnego świata i zwrócić jego uwagę na ten nieznaną, posępny obraz rzeczywistości. Dziś ma dla nas znaczenie historyczne, gdyż przypomina ten okres, którego współczesne pokolenie z własnego doświadczenia już nie zna. Poprzez żywą, wartko toczącą się akcję Autorka umiejętnie wprowadza czytelnika zarówno w ogólną atmosferę tych czasów i panujących wówczas stosunków, jak i w niezliczone szczegóły codziennego życia.

Nie jest to jednak tylko historia. Treść książki powinna nam wszystkim uświadomić, że życie pełne nędzy oraz ciągłych udręk i zniewag jest stale jeszcze normalną codziennością niezliczonych tysięcy naszych braci i sióstr w wierze w wielu miejscach świata. Świadomość tego faktu może i powinna wpłynąć znacząco na jakość naszego własnego chrześcijaństwa.

Prócz tego bardzo ważne jest dla nas przesłanie tamtych czasów i tamtych ludzi. Mówi ono, że Ewangelia i żywa wiara to jedyny skuteczny środek na zwycięskie stawienie czoła ekstremalnym okolicznościom i wyzwaniom. Co więcej, uczy nas również, że to właśnie Ewangelia niesiona przez ludzi, całkowicie oddanych Chrystusowi, może przynieść prawdziwą wolność, sprawiedliwość, pokój i radość.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Spotykam Armię Radziecką

Latem 1944 roku, gdy Niemcy hitlerowskie zaczęły upadać, milion żołnierzy radzieckich wkroczyło do Rumunii. Kiedy pierwsze kolumny wojska zbliżały się do Bukaresztu, wsiedliśmy do tramwaju nr 7 i wyjechaliśmy im na spotkanie.

Był ostatni dzień sierpnia. Bezczmurny i gorący. Działa umilkły. Gdzieś wśród pól dzwoniły dzwony.

Mój mąż Richard, posługując w czasie wojny jako pastor, odwiedzał rumuńskie obozy jenieckie, gdzie poznał wielu Rosjan. Często powtarzał, że zawsze byli oni instynktownie religijni i nie zmieniło się to pomimo dwudziestu pięciu lat ateistycznego drylu.

— Musimy wyjść im na spotkanie — powiedział Richard. — Mówienie Rosjanom o Chrystusie to niebo na ziemi.

Kiedy wysiedliśmy z tramwaju na podmiejskim skrzyżowaniu, zauważyłam czerwone flagi, niesione przez miejscowych komunistów, którzy wyszli z ukrycia, żeby powitać „wielką Armię Czerwoną”. Spoglądali na nas, nie wiedząc, co o nas myśleć. Większość ludzi jak na razie schodziła z drogi wyzwolicielom, chociaż w Bukareszcie przygotowano duże oficjalne powitanie.

Richard był niezwykle przystojnym młodym mężczyzną. Był wysoki i barczysty, a dzięki swojej mocnej wierze nabrał zdrowej pewności siebie. Stałam obok niego, o połowę niższa. Uśmiechałam się, bo przecież wojna skończyła się i znowu wszyscy będziemy przyjaciółmi.

Na zacienionym skrawku czekało dwóch lub trzech rumuńskich urzędników. Nerwowo powtarzali sobie jakieś słowa po rosyjsku. Przybyli, żeby wręczyć przybyszom uświęcony tradycją dar — bochenek chleba i garść soli.

Wpatrywaliśmy się w pustą drogę, zastanawiając się, czego mamy oczekiwać. Rosjanie byli teraz naszymi sojusznikami. Ale też zwycięską armią, znaną z upodobania do gwałtów i kradzieży.

W oddali ukazał się chłopiec na rowerze, pedałujący ze wszystkich sił.

— Jada! — wrzeszczał przeraźliwie. — Rosjanie jada!

Komuniści ustawili się w szeregu. Obwisłe czerwone flagi załopotały w powietrzu. Urzędnicy, omawiający plany uroczystości w stolicy, stali w upalnym słońcu niczym kozły ofiarne. Nadjechały warczące motocykle. Potem pierwsze czołgi.

Z ich wieżyczek wystawały hełmy z czerwonymi gwiazdami. Komuniści drżącym głosem odśpiewali Międzynarodówkę. Bita droga trzęsa się pod ciężarem najeźdźców. Wielkie gąsienice zwolniły i stanęły w miejscu.

Czołg jadący na czele kolumny zatrzymał się blisko nas. Wyglądał potężnie: zakurzona, szara, porysowana stal; ogromna lufa stercząca do góry. Po wysłuchaniu mowy powitalnej, rosyjski oficer pochylił się do przodu i wziął chleb i sól, które mu podano. Gapił się na ten czarny bochenek, jakby miał on wybuchnąć. Rozesmiał się.

Nagle zauważył mnie stojący obok niego młody sierżant.

— No, kochanie — powiedział, szczerząc zęby — a ty, co masz do zaoferowania?

Niewiele kobiet wyszło tego dnia na ulice.

— Przyniosłam ci świętą Biblię — odpowiedziałam i podałam mu jedną.

— Chleb, sól i Biblie. A my tylko chcemy się napić! — zarechotał i odsunął hełm do tyłu.

Jasne włosy zabłyszczały w słońcu.

— Ale i tak, dziękuję! — dodał.

Metalowe gąsienice zachręściły o nawierzchnię drogi. Zarzęziły silniki, a z rur wydechowych buchnęły czarne spaliny. Kolumna z hukiem ruszyła do przodu. Krztusiliśmy się i wycieraliśmy zażawione oczy.

W drodze powrotnej do domu widzieliśmy z tramwaju Rosjan plądrujących sklepy: beczki z winem toczyły się po chodniku; kurczaki, szynki i kiełbasy znikwały w workach.

Podeksytowani żołnierze pokazywali sobie wystawy podmiejskich sklepów. Bukareszt był wówczas tylko smutnym cieniem

swojej dawnej świetności, ale dla tych wielkich rosyjskich dzieci był niewiarygodnie bogaty.

Kiedy wysiedliśmy z tramwaju, Richard próbował zagadnąć niektórych z nich, ale ich jedyna odpowiedź brzmiała: „Gdzie możemy znaleźć wódkę?” Wróciliśmy więc do domu, żeby ułożyć nowe plany. Te biedne dusze zostały okradzione z Boga, by otrzymać w zamian obietnicę ziemskiego raj, której nigdy nie uda się spełnić żadnemu człowiekowi.

Jedno było pewne: terror nazistowski w końcu się skończył. Ludzie mieli nadzieję, że Rosjanie uspokoją się i wkrótce pójdą swoją drogą w pokoju. Niewielu domyślało się, że nastąpiła nowa i bardziej długotrwała tyrania. Nie miałam wówczas pojęcia, że właśnie weszliśmy na drogę, która będzie prowadzić do więzienia i zostanie naznaczona grobami przyjaciół.

Nie uwierzyłam Richardowi, kiedy jeszcze przed ślubem ostrzegł mnie: „Nie będziesz mieć ze mną łatwego życia”.

W tamtym okresie Bóg niewiele nas interesował. Nie obchodzili nas też inni ludzie. Nie chcieliśmy mieć dzieci. Chcieliśmy przyjemności.

Potem zostaliśmy chrześcijanami. Richard pracował dla misji norweskich, szwedzkich i brytyjskich. Został pastorem. Działał też w Światowej Radzie Kościołów. Przemawiał w kościołach wielu różnych wyznań i głosił ewangelię w barach, domach publicznych i więzieniach.

Kiedy wkroczyli Rosjanie, miałam trzydzieści jeden lat. Richard był już wówczas dobrze znanym kaznodzieją i autorem książek.

Pod rządami rumuńskich faszystów, którym przewodził generał Antonescu, będący marionetką Hitlera, cierpieliśmy zarówno jako Żydzi, jak i chrześcijanie. Richard został trzykrotnie aresztowany. Obydwoje znaleźliśmy się w grupie siedmiu Żydów, którzy zostali postawieni przed sądem wojskowym pod zarzutem prowadzenia „nielegalnych spotkań religijnych”. Pewna Rumunka przyszła na posterunek policji i powiedziała oficerowi:

— Zatrzymaliście moich żydowskich braci. Cierpienie wespół z nimi byłoby dla mnie zaszczytem.

Wystarczyło. Została aresztowana i postawiona przed sądem razem z nami. Bóg postawił wielu takich przyjaciół na naszej drodze. Byli jak aniołowie w ludzkiej postaci, pracujący dzień i noc

dla naszego dobra, pojawiający się na każdym zakręcie naszego życia. Bóg ma całe tysiące takich aniołów i używa ich wszystkich, aby nas kształtować.

Jednym z nich był wpływowy pop prawosławny, któremu sprzyjał Antonescu. Stał on w naszej obronie podczas procesu, mówiąc, że jesteśmy jego braćmi w Chrystusie. Niemiecki baptysta, pastor Fleischer, a także wielu innych, świadczyło na naszą korzyść, twierdząc, że walnie przyczyniamy się do rozwoju chrześcijaństwa. Ryzykując własnym życiem, zawstydzili sędziów — którzy wiedzieli, że jesteśmy niewinni — i skłonili ich do uniewinnienia nas.

Za każdym razem, gdy Richard miał kłopoty, wstawiało się za nim bardzo wpływowe trio: Pastor Solheim i jego żona oraz szwedzki ambasador von Reuterswärd, z którym nas zapoznali. Bez ich wielokrotnych interwencji Richard spędziłby w więzieniu cały okres panowania nazizmu. Ambasador Szwecji miał dosyć duże wpływy, jako że generał Antonescu używał jego neutralnej ambasady do utrzymywania kontaktów z Moskwą. (Bo przecież sojusznik Antonescu Hitler mógł jednak przegrać wojnę.) Pewnego razu, kiedy Richard został schwytany w łapance na Żydów i wcielony do brygady pracy przymusowej, zdecydowane protesty Reuterswārda uratowały go. Pomagał nam niezliczoną ilość razy.

Bukareszt miał szczęście. Do straszliwych pogromów dochodziło na prowincji. W przeciągu jednego dnia w Jassy zamordowano jedenaście tysięcy Żydów. Możliwe, że w Bukareszcie było owych dziesięciu sprawiedliwych, o których Biblia mówi, że byli powodem, dla którego mogłyby ocaleć Sodom i Gomora. Pewnego razu usłyszeliśmy, że w Tassy uratowało się siedem dziewcząt dzięki pomocy norweskiej misjonarki, siostry Olgi, która przyprowadziła je do Chrystusa. Zastanawialiśmy się, jak zdołamy je przewieźć do Bukaresztu przed następnym pogromem. Żydom nie wolno było podróżować.

Pewien zaprzyjaźniony chrześcijanin pracujący w policji aresztował je i wysłał do stolicy. Spotkaliśmy się z nimi na dworcu kolejowym i zaprowadziliśmy je do naszego domu, gdzie były bezpieczne. Inny młody człowiek z tego regionu przedostał się do stolicy wraz ze swoją dziewczyną i zatrzymał się u nas. Jakąż pomocą i pociechą okazali się oni wszyscy w nadchodzących latach — szczególnie ten młody mężczyzna. Przejął po mnie obowiązki duszpasterskie, kiedy zostałam aresztowana.

Jeżeli czegoś naprawdę chcemy, to znajdziemy sposób, żeby to osiągnąć, a my naprawdę chcieliśmy uratować te dziewczęta przed groźącą im rzezią. Niestety, bardzo wielu ludzi nie chciało się w ogóle angażować i nie wypełniło swojej chrześcijańskiej powinności, pozwalając na to, aby zginęło tysiące osób, które można było uratować. Nie znalazł się nikt, kto ocaliłby dziesiątki tysięcy Żydów deportowanych z miasteczek na prowincji, w tym moją rodzinę, która mieszkała blisko przygranicznego miasta Czerniowce. Była zima. Wielu pojmanych padało z wycieńczenia w kopnym śniegu. Inni umarli z głodu. Pozostałych pozabijali żołnierze. Moi rodzice, mój brat i trzy siostry, wielu przyjaciół i krewnych nigdy nie wróciło. Nawet dzisiaj te wspomnienia są jak otwarta rana, która krwawi za każdym razem, gdy się jej dotknie.

Historia narodu żydowskiego jest pełna takich straszliwych wydarzeń. Pamięć o nich jest zapisana głęboko w sercu każdego Żyda. Dzięki temu potrafią oni utożsamić się z innymi narodami i wspólnie opłakiwać podobne tragedie, które je spotkały.

Nasz syn Mihai miał pięć lat, kiedy nazizm został obalony. Przeżył znacznie więcej niż dziecko wychowywane w normalnych warunkach. Strach i śmierć były wszędzie. Nic nie zostało mu oszczędzone. Nasze mieszkanie było miejscem spotkań i co wieczór przychodzili ludzie, żeby opowiedzieć o swoich kłopotach. Słuchał i bardzo wcześnie dowiadywał się o okrucieństwie i cierpieniu. Richard uczył go i opowiadał mu różne historie. Mihai uwielbiał swojego ojca, który chociaż był zawsze zajęty swoją misją, to jednak każdego dnia znajdował czas, żeby z nim porozmawiać i pobawić się. Pewnego razu tłumaczył mu, że Jan Chrzciciel powiedział, iż ten, kto ma dwa płaszcze, powinien dać jeden „temu, kto nie ma żadnego”.

— Masz dwa garnitury, tatusiu — powiedział Mihai.

— Tak, rzeczywiście — odparł Richard.

Właśnie kupił sobie pierwszy nowy garnitur od lat.

— Możesz dać ten nowy staremu panu Ionescu, który ciągle nosi tę śmierdzącą marynarkę.

Richard obiecał, że tak uczyni i Mihai poszedł zadowolony do łóżka. Zawsze bardzo poważnie przyjmował wszystko, co mu mówiono i wyciągał swoje własne wnioski. Z wielką uwagą obserwował, jak jego ojciec docierał do serc innych ludzi. Czasami nawrócenia, będące owocem pracy Richarda, przynosiły „skutki

uboczne” naprawdę korzystne dla Mihaia — stawał się ulubieńcem nowo nawróconych, którzy przynosili mu zabawki i słodycze.

W czasie wojny przeprowadziliśmy się do mniejszego mieszkania. Nasi nowi sąsiedzi byli bardzo wrogo nastawieni do Żydów. Nienawiść do Żydów owładnęła Rumunią i nawet chrześcijanie, szczególnie duchowni, podsycali ją. Niewielu nie uległo tej fobii.

Na podwórku kamienicy, w której mieszkaliśmy, porozklejano duże plakaty z podobizną Corneliu Codreanu, przywódcy Żelaznej Gwardii — symbolu wszystkiego, co antyżydowskie. Pieczętka z napisem ŻYD została przybita na naszych dowodach osobistych — tak jakby na naszych sercach. Nie było nam łatwo. Ale Richard chodził od sąsiada do sąsiada, przełamując lody. Miał głęboką ufność, że dusze ludzkie można pozyskać dla Chrystusa, i nie zniechęcał się łatwo w obliczu cynizmu i okrucieństwa. Umiał znaleźć odpowiednie słowo o Zbawicielu dla różnych ludzi lub ostrzegać ich o karze Bożej, nie obrażając przy tym nikogo. Potrafił być bardzo miły i uprzejmy, a przy tym bardzo bezpośredni. Jego błękitne oczy przenikały do głębi duszy.

Richard postanowił działać strategicznie i dlatego też zaczął od właściciela naszego mieszkania, a potem udał się do każdego z sąsiadów z osobna. Starał się najpierw ich rozbawić.

Pan Parvalescu z trzeciego piętra wybuchnął:

— Wy Żydzi nigdy nie zrobiliście niczego dobrego!

Richard, który stał wtedy w jego salonie, odparł po prostu:

— Ładna maszyna do szycia. Jaka jest jej marka? Singer! Chwilczkę — czy nie została ona skonstruowana przez Żyda? Panie Parvalescu, jeśli rzeczywiście uważa pan, że Żydzi są zupełnie bezużyteczni, to lepiej żeby pan się jej pozbył!

Naprzeciwko nas mieszkała uszczypliwa kobieta w średnim wieku, pani Georgescu, która wściekała się na „tych Żydów”. Ale wkrótce zaczęła się zwierzać Richardowi ze swoich nieszczęść. Jej mąż porzucił ją. Jej młody syn żył rozwiązle. Bała się, że złapie jakąś chorobę weneryczną. Richard obiecał, że z nim porozmawia.

— Ale nawet gdyby miał coś złapać — powiedział Richard — to te sprawy są teraz uleczalne. Tyle że lekarstwo zostało wynalezione przez Żyda.

Przełamywał ich uprzedzenia, po czym dzielił się z nimi przesłaniem ewangelii. W niedługim czasie zaczęli się zmieniać. Spotykaliśmy się najpierw z uprzejmością, a potem z ciepłem. Plakaty

z podobizną Codreanu zostały zastąpione wersetami z Biblii. I tak oto podczas gdy wszędzie wokół panowało istne piekło, my żyliśmy w tej małej kamienicy jakby w innym świecie przyjaźni i pokoju.

Jednym z naszych nowych przyjaciół był policjant, który miał motocykl. Pił i bił swoją żonę, dopóki Richard nie porozmawiał z nim i Chrystus nie dał mu nowego serca. Potem zabierał Mihaia na przejażdżki. Motocykl był rzadkością w tamtych czasach. Mihai był przeszczęśliwy.

Kiedy rozpoczęły się naloty, nie mogliśmy wyjechać z miasta. Żydom nie wolno było podróżować. Ale ten policjant zabrał Mihaia do swoich przyjaciół na wsi, żeby z nimi mieszkał, dopóki nie przeminie najgorsze. Jeżeli byliby wypytywani o to, kim są, Mihai miał podać piękne stare rumuńskie imię „Jon M. Vlad”. Był podekscytowany tą przygodą.

Mihai słyszał dużo o okrucieństwie i cierpieniu, ale w tym samym domu spotkał się także z wielką dobrocią. Był otoczony przez przyjaciół i z ich miłości nauczył się wielu lekcji, które później miały dla niego wielką wartość.

Anutza, jedna z moich najbliższych przyjaciółek, wpadła pewnego dnia do naszego mieszkania na kawę. Przyjechała z Norwegii. Była niewysoka, miała jasne włosy, ładną twarz i wesołe usposobienie. I bez przerwy mówiła niczym wartki strumień.

— Ach, ci Rosjanie! Czy słyszałeś o naszej nowej umowie handlowej z Moskwą? Otrzymają od nas całą naszą pszenicę, a w zamian damy im całą naszą ropy. Wczoraj widziałam żołnierza Armii Czerwonej z trzema zegarkami na każdej ręce. Zabierają je ludziom na ulicy zupełnie tak, jakby zbierali bilety autobusowe!

Roześmiała się, ale dla naszego kraju nie było to wcale zabawne. Armia Radziecka grabiła dobra warte miliardy dolarów. Ponadto na rozkaz z Kremla nasza flota wojenna i handlowa, połowa taboru kolejowego i wszystkie samochody zostały przetransportowane do Rosji. Sklepy były puste. Ludzie stali wszędzie w niekończących się kolejkach. Ale Stalin powiedział, że Armia Czerwona wycofa się, kiedy Niemcy zostaną ostatecznie pokonane. Być może wkrótce to wszystko się skończy.

— Och, Sabino, porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Słyszałam cię, jak mówiłaś na spotkaniu dla pań; jakiegoż prawnika świat utracił w tobie! Było to naprawdę piękne i kazanie twojego męża było też wspaniałe. Tak wiele nawiązań do historii, sztuki i

filozofii, ale czy dwie godziny to nie trochę długo? My w Norwegii nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich długich kazań, chociaż, jeśli o mnie chodzi, to chciałam, żeby w ogóle nie kończył.

Anutza uwielbiała trajkotać. Przyszła, żeby odebrać kolejną paczkę z czasopismem naszego kościoła *Przyjaciel*. Faszyci zakazali jego publikacji, a teraz wszyscy pracowaliśmy nad wydawaniem kolejnych numerów.

Przez krótki okres cieszyliśmy się powiewem wolności religijnej. Dyktator Antonescu został przewieziony do Moskwy, po czym sprowadzony z powrotem i rozstrzelany. Duchowni z Kościoła prawosławnego, którzy tyranizowali Żydów i protestantów, utracili swoją absolutną władzę.

W końcu mieliśmy demokratyczny rząd. Aby zadowolić Moskwę, komunistom pozwolono na objęcie niektórych stanowisk. Prawie nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co nas czekało.

— Bo przecież — mówili ludzie — w tym kraju mieszka dwadzieścia milionów ludzi. A prawdziwych komunistów nie ma nawet tyłu, żeby mogli zapęłnić stadion piłkarski.

Przez całą wojnę pomagaliśmy ofiarom nazistów: Żydom w obozach koncentracyjnych; dzieciom osieroconym w wyniku pogromów; rumuńskim protestantom, którzy byli bardzo prześladowani za rządów Antonescu. Organizowaliśmy pomoc humanitarną dla węgierskich Żydów, a także dla jeszcze innej uciskanej mniejszości — Cyganów.

Ale teraz pojawiła się nowa mniejszość. Ścigający stał się ściągany. Żołnierze niemieccy, którzy nie zdążyli się wycofać, byli zdani na własne siły i wielu z nich zmarło.

Byliśmy zdecydowanie przeciwni nazistom: zabili miliony ludzi i spustoszyli całe kraje, pozostawiając miasta w ruinach; nasi przyjaciele i krewni zostali wrzuceni do ich krematoriów. Ale teraz byli pokonani i nie przedstawiali żadnego zagrożenia. Większość z tych żołnierzy, którzy pozostali, była po prostu — tak jak my — ofiarami wojny. Głodowali i byli przerażeni. Nie mogliśmy odmówić im pomocy.

Ludzie mówili:

— Głupio postępujecie, narażając się dla morderców.

— Bóg jest zawsze po stronie prześladowanych — odpowiedział Richard.

Nie tylko Martin Bormann i spółka byli tropieni jak zwierzęta, lecz także głupi chłopcy, którzy paradowali w brązowych koszulach w niedzielne popołudnia i z rozkazu zostali żołnierzami. A nie każdy był na tyle odważny, żeby wybrać śmierć zamiast udziału w nazistowskich pogromach. Antysemityzm dominował wśród Niemców i Rumunów, ale istniały też małe grupy, które z narażeniem życia pomagały Żydom. Dlaczego mielibyśmy nienawidzić całego narodu z powodu Hitlera i jego zwolenników? Dlaczego nie mielibyśmy raczej kochać tego narodu z powodu jego świętych i tych nielicznych, którzy przeciwstawiali się tyranowi?

Biblia mówi nam, kim tak naprawdę jest Żyd. Biblijne słowo określające Hebrajczyka (*Iwri*) oznacza *stać po drugiej stronie*. Pierwszym Hebrajczykiem był Abraham. Był on tym, który w pełnym tego słowa znaczeniu stał po drugiej stronie. Wtedy, gdy wszyscy czcili bożki, on czcił żywego Boga. Dlatego też, podczas gdy wielu szuka zemsty i stara się wyrządzić więcej zła niż im wyrządzono, Bóg obdarza niektórych ludzi zdolnością odpłacania dobrem za zło.

Pewnego razu trzech niemieckich oficerów ukryło się w małej przybudówce na naszym podwórku. Był to mały ciemny garaż w połowie przysypany śniegiem. Nocą dawaliśmy im jeść i opróżnialiśmy wiadra z ich odchodami. Nienawidziliśmy ich dawnych okrucieństw. Sami padliśmy ich ofiarą. Ale teraz rozmawialiśmy z nimi, starając się sprawić, żeby nie czuli się tylko jak zwierzęta w klatce.

Pewnego wieczoru, kiedy zająrzałam do nich, ich kapitan powiedział:

— Muszę powiedzieć pani coś, co przyszło mi do głowy. Wie pani, że za udzielanie schronienia niemieckim żołnierzom grozi kara śmierci. A jednak robicie to — i jesteście Żydami! Muszę pani powiedzieć, że kiedy armia niemiecka odbije Bukareszt, co na pewno nastąpi, nigdy nie zrobię dla was tego, co wy dla nas.

Spojrzał na mnie dziwnie. Pomyślałam, że powinnam spróbować to jakoś wyjaśnić. Usiadłszy na przewróconym do góry dnem pudle, powiedziałam:

— Goszczę was u siebie. Moja rodzina została wymordowana przez nazistów, ale dopóki będziecie pod moim dachem, jestem zobowiązana zapewnić wam nie tylko ochronę, lecz także okazać szacunek należny gościom. Będziecie cierpieć. Biblia mówi: „Jeśli kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew

jego". Na ile zdołam, będę was ochraniać przed policją, ale nie jestem w stanie ochronić was przed gniewem Bożym.

— Bzdura — odpowiedział.

Poklepał mnie po ramieniu. Cofnęłam się. Jego ręka przelewała niewinną krew. Przeprosił:

— Nie miałem nic złego na myśli. Po prostu zastanawiałem się, dlaczego Żydówka miałaby narażać życie dla niemieckiego żołnierza. Nie lubię Żydów. I nie boję się Boga.

— Mniejsza o to — powiedziałam. — Pamiętamy słowo Boże ze Starego Testamentu: „Okazujcie miłość obcym przybyszom, ponieważ wy również byliście przychodniami w ziemi egipskiej”.

Wyglądał na zdezorientowanego.

— To było tysiące lat temu. Co was to obchodzi, że wasi pra-ojcowie cierpieli w Egipcie?

— Dla Boga tysiąc lat jest jak jeden dzień — powiedziałam. — Mądrzy ludzie mówią nam, że gromadzimy doświadczenia minionych pokoleń niczym pamiętniki. W naszej podświadomości są zapisane wydarzenia z przeszłości. Nie wiemy o tym, ale wpływają one na nasze odczucia i osądy. A po drugie, Bóg ma dobry powód ku temu, żeby nakazać nam miłować obcych. Bo czyż my wszyscy nie jesteśmy obcymi dla siebie nawzajem... a nawet dla samych siebie?

— Chwileczkę! — powiedział oficer. — Żydzi dopuścili się przestępstw przeciwko narodowi niemieckiemu i ludzkości. Uczciwość nakazuje mi powiedzieć pani to prosto w oczy. Ale pani z kolei musi patrzeć na nas jak na ludzi, którzy dopuścili się przestępstw przeciwko Żydom. I wszystkie je pani przebaczyła?

— Nawet największe przestępstwa zostają przebaczone dzięki wierze w Jezusa Chrystusa — odpowiedziałam bardzo żarliwie. — Nie mam władzy, żeby przebaczać. Jezus może to uczynić, jeśli się pan opamięta.

Z podwórka doszedł nas delikatny dźwięk śniegu skrzypiącego pod czyimiś krokami. Zerknęłam przez szparę. Ale był to tylko stary głuchy dozorca z mieszkania obok. Kapitan zapalił jeden z papierosów, które zdobył dla niego Richard (choć on sam nie znośił palenia). Zaciągnął się i dał papierosa swojemu koledze.

— *Gnädige Frau* — powiedział — nie powiem, że panią rozumiem. Ale być może, gdyby nikt nie miał tego daru odpłacania dobrem za zło, o którym pani mówi, to wówczas nigdy nie byłoby końca zabijaniu.

Gdy wstałam i zabierałam się do wyjścia, podnieśli się i pożegnali mnie oficjalnym skinieniem głowy. Włożyłam ich brudne ubrania do torby na zakupy i wyszłam.

Ci mężczyźni w końcu przedostali się bezpiecznie do Niemiec. Ale wiele tysięcy takich jak oni zostało schwytanych i zginęło w sowieckich obozach pracy, gdzie spędzili wiele lat razem z rosyjskimi chrześcijanami, a ci zapewne uczyli ich jeszcze więcej o wierze.

Każdy Niemiec chciał wówczas pozbyć się swojego munduru Wehrmachtu. Z jaką dumą nosili kiedyś te dobrze skrojone mundury ze stójkami, odznaki i medale. I jakże ciężko było im teraz przyjąć w zamian liche ubrania cywilne, które oferowaliśmy.

Właśnie wtedy Richard zaczął zapraszać do naszego domu rosyjskich żołnierzy. Był zdeterminowany, żeby mówić im o Chrystusie. Inni, również słusznie, uważali, że powinni wynieść się z naszego kraju.

— Naprawdę bądźcie ostrożni, Sabino! — mówiła Anutza. — Co zrobicie, kiedy te dwie armie spotkają się w waszym domu?

Staraliśmy się, aby do tego nie doszło.

Richard zaczął chodzić do koszar Armii Czerwonej, udając handlarza z czarnego rynku, kupującego tanie zegarki. Grupa żołnierzy gromadziła się wokół niego. Zaczynał się z nimi targować, po czym kierował rozmowę w stronę Biblii.

— Nie przyszedłeś tutaj po zegarek — powiedział pewien starszy żołnierz. — Chcesz nam powiedzieć o świętych.

Kiedy Richard mówił, jeden z nich dawał mu znak ostrzegawczy, kładąc rękę na jego kolanie:

— Mów o zegarkach. Zbliży się informator z naszej kompanii.

W Armii Czerwonej było ich pełno. Szpiegowali swoich kolegów i donosili o wszystkim, co oni mówili. Młodzi żołnierze nie wiedzieli niczego o Bogu. Nigdy nie widzieli Biblii ani nie byli w kościele. Zrozumiałam wtedy, dlaczego Richard mówił, że niesienie ewangelii Rosjanom to „niebo na ziemi”.

Niektórzy żołnierze byli wykształceni, znali niemiecki lub francuski. Mówiłam im o chrześcijańskim credo:

— Zaczyna się ono od słów *ja wierzę*. Nie jest ono takie jak partyjny rozkaz, w którym nakazuje ci się, jak masz myśleć. Jest tu powiedziane, że musisz stać się „ja”, niezależną osobą. Musisz myśleć samodzielnie.

— Armia porusza się z prędkością najwolniejszej ciężarówki — dodawałam. — A jeśli przemieszcza się cała masa ludzi, to bę-

dzie się to dokonywać w tempie najwolniejszego człowieka. Chrystus wywołuje cię z tłumu. Największym przywilejem człowieka jest możliwość powiedzenia „tak” lub „nie”, nawet Bogu.

Naprawdę wspaniale było obserwować, jak ludzie otwierają się na Prawdę.

Praca ta stanowiła dużą część naszej posługi w kościele. Dzięki różnym sztuczkom, którymi zmyliliśmy cenzora, udało się nam wydrukować tysiące egzemplarzy Ewangelii w języku rosyjskim. Czerwonoarmiści przemieszczali się w grupach. Trudno było do nich podejść. Mieliliśmy jednak swoje sposoby. Żołnierze byli przewożeni w drewnianych wagonach towarowych. Pociągi te często stały całymi godzinami na bocznicach. Kiedy ruszały, podbiegaliśmy i szybko rozdawaliśmy Ewangelie.

Czerwonoarmiści często spali w naszym pokoju gościnnym. Pewnego wieczoru było ich sześciu — same buty i pepesze. Z największym trudem udawało mi się nie dopuścić do zadomowienia się wszy w naszym mieszkaniu. Ale to żołnierze, a nie my, zachowywali się nerwowo. Minęło już dużo czasu, od kiedy mieszkali w domu. Jakże byli szczęśliwi, że chociaż na chwilę mogą oderwać się od zgiełku koszar. Nie przestawali jednak kraść. Dwóch młodych żołnierzy przyszło do naszych drzwi. Wyglądali na prostych chłopaków ze wsi.

— Czy chcecie kupić parasol? — zapytali, oferując trzy skradzione parasole.

— Ale my jesteśmy chrześcijanami — odparł Richard. — Nie kupujemy kradzionych rzeczy, ale mamy coś do sprzedania.

Zaprosił ich do środka. Przyniosłam im trochę mleka. Wtedy starszy z nich, który nie miał więcej niż dwadzieścia lat i miał jasne włosy, zaczął mi się przyglądać.

— Ależ, to ty dałaś mi Biblię! — wykrzyknął.

W tej samej chwili rozpoznałam go.

— To ty jesteś tym sierżantem z pierwszego czołgu, który wjechał do Bukaresztu! — powiedziałam.

Nadal miał Biblię w swojej szafce. Czytał ją i zrodziło się w nim pytanie, które nie dawało mu spokoju.

Iwan opowiedział nam podczas posiłku o tym, jak walczył w Europie Wschodniej. W jego kompanii był pewien Żyd, który jak wszyscy pozostali wychowywany był bez religii.

— Pewien starszy żołnierz w naszym oddziale wymyślał temu Żydowi: „To ty zabiłeś Chrystusa”. Żyd myślał, że ten człowiek

zwariował. Zabijał przecież ludzi od Stalingradu do Bukaresztu. Skąd miał wiedzieć, kogo zabił?

Imię Chrystusa było mu zupełnie nieznanie.

Iwan przyprowadził tego Żyda do naszego domu. Richard opowiedział im o wszystkim — od Adama do Apokalipsy. Stalin przestał być ich Bogiem.

Często przychodzili do nas. Kiedy ich pułk wyruszył dalej, Iwan pozostawił nam na pożegnanie prezent — nowy, błyszczący piec elektryczny.

Spojrzałam na Richarda. Wiedzieliśmy, że nikt za ten piec nie zapłacił.

— Jest piękny! — krzyknęła Anutza. — Dokładnie taki, jakiego potrzebują Liebmannowie!

Rodzina ta wróciła właśnie z Oświęcimia i była bez środków do życia. Przekazaliśmy im ten piec, który został skradziony z wdzięczności za to, że komuś została ukazana droga do Chrystusa. Miłość prostej duszy może przejawiać się na dziwne sposoby. Gdyby Bóg rzeczywiście miał osądzać człowieka za wszystkie jego uczynki, to mało kto byłby zbawiony. Jak to dobrze, że krew Jezusa Chrystusa zakryła nawet takie grzechy.

Richard i jego współpracownik z Kościoła luterańskiego pastor Magne Solheim otworzyli stołówkę w celu dożywiania ofiar wojny. Przez nasze mieszkanie, które bardziej przypominało pensjonat niż dom, nieustannie przewijało się mnóstwo przyjaciół i nieznajomych. Wielu z nich było dawnymi więźniami, których dla Chrystusa pozyskała Milly, jedna z naszych przyjaciółek gorliwie oddana pracy w więzieniach. Przy stole podczas niedzielnego obiadu w naszym domu nigdy nie zasiadało mniej niż dwanaście osób.

Pracowały z nami młode dziewczęta. Czasami pytały o poradę w kwestiach moralnych. Na jedno z tych pytań nie znalazłam wówczas poprawnej odpowiedzi, ponieważ był to kiedyś także mój problem.

Mając siedemnaście lat, zamieszkałam w Paryżu. Po raz pierwszy nie byłam pod opieką rodziców. Wychowywałam się w małym miasteczku w ściśle ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej i z każdej strony byłam obwarowana nakazami, zakazami i przepisami. A teraz studiowałam na uniwersytecie i po raz pierwszy w moim życiu jakiś chłopak zaprosił mnie na randkę. Chciał mnie pocało-

wać, ale nie pozwoliłam mu na to. Opowiedziałam mu trochę o tym, jak byłam wychowywana.

— Jeśli wierzysz w Boga — odpowiedział po prostu — to czy nie zgodziłabyś się z tym, że ten sam Bóg stworzył dłonie i wargi? A jeśli mogę dotknąć twojej dłoni moją dłonią, to co w tym złego, że dotknę twoich warg lub obejmę cię?

Ani nauczyciele, ani rodzice, ani nikt inny nie przygotował mnie na takie pytanie. Nie miałam na nie żadnej odpowiedzi. A ten chłopak był bardzo czarujący. Tak więc zmieniłam moje przekonania, żeby dostosować je do wesołego paryskiego życia. Ateistka może całować się i zachowywać się tak, jak jej się podoba.

Jego oczy i dłonie były pośrednikami grzechu. A moje oczy i serce jego sługami.

Jednakże głosu sumienia nie da się tłumić bez końca. Wciąż dręczyło mnie pytanie: „Dlaczego dziewczyna powinna zachowywać siebie w czystości?” Takie stanowisko leży u podstaw wielu kodeksów moralnych. Ale czemu ono służy?

Nie wiedziałam. Dopiero wiele lat później poznałam odpowiedź.

Żona pastora zwykle nie omawia tematów związanych z seksem. Wielu ludziom może się wydawać, że nie jest ona wcale podatna na takie pokusy. Ale zarówno pastorzy, jak i ich żony, są tylko ludźmi. A w przeszłości Richard i ja wiedliśmy przecieź bezmyślne życie nastawione na szukanie przyjemności. Potem nawróciliśmy się, ale nie byliśmy pewni wielu spraw, które dla dojrzałych chrześcijan są oczywiste. Seksualność jest bardzo ważnym składnikiem ludzkiej natury. Czasami doprowadzała ona do wielkich napięć w naszym małżeństwie. Richard był taki uprzejmy, przystojny i błyskotliwy, że obawiałam się, iż podziw, jakim go darzono, zawróci mu w głowie. Wiele dziewcząt zakochiwało się w nim, a jedna z nich wyjątkowo mu się podobała. Muszę przyznać, że była śliczna; przyjemnie było na nią patrzeć. Widziałam, że Richard jest rozdarty wewnętrznie. Po cichu starałam się mu pomóc. Grzech często pojawia się w wyniku nadarzającej się okazji. Obowiązkiem żony jest być blisko męża w chwilach takiego kryzysu.

Nic nie mówił, ale pewnego dnia, kiedy grał na pianinie chrześcijański hymn, doszedł do słów: „Potrzebuję Cię w każdej chwili”. Wszystkie struny pianina zaśpiewały jakby chórem. Rozpłakał się. Objęłam go i powiedziałam:

— Richardzie, nie jesteś aniołem, nie przejmuj się tym tak bardzo. Jesteś tylko człowiekiem. To minie.

Rzeczywiście minęło. Ale kiedy po aresztowaniu Richarda zostałam sama na czternaście lat, również w moim życiu pojawiły się pokusy. Niektórym prawie uległam w mojej samotności. Wówczas rozumiałam go lepiej.

2

Terror

W przeciągu jednej nocy moja rodzina powiększyła się z jednego syna do czterech — i trzech córek. Tysiące osieroconych żydowskich dzieci powracało z obozów koncentracyjnych. Często miały na sobie tylko łachmany i owijały się papierem, żeby się ogrzać. Kocham dzieci. Stąd też z radością przygarnęliśmy sześcioro. Bardzo cieszyliśmy się, że są w naszym domu.

Mihai był zachwycony.

— Mamusiu — zawołał — powiedziałaś, że nie będę mieć więcej rodzeństwa, a popatrz, ile mam teraz!

Były to urocze dzieci, ale bardzo wychudzone. I z takimi udreńczonymi oczami. Co widziały? Wszyscy ich przyjaciele i krewni zostali zabici.

Wkrótce ich zapadnięte policzki zaokrągliły się. Zaczęły się śmiać i bawić. Rosyjscy żołnierze bardzo je lubili. Mieli swoje własne rodziny, których od lat nie widzieli. Często rozmawiali na ulicy z Mihaiem i pozostałymi dziećmi.

— Weź sobie cukierka — proponowali i kładli dłoń na małej główce.

Dzieci uśmiechały się i dziękowały. W zamian dawały żołnierzom Ewangelię.

Było to niebezpieczne dla dorosłych, ale dzieciom nic nie groziło. Rosjanie uwielbiają dzieci i dzięki temu wielu żołnierzy, którzy nigdy nie usłyszeli o Bogu, dowiedziało się o Nim. W taki oto sposób Mihai został misjonarzem w wieku pięciu lat.

Członkowie naszego kościoła niemalże co noc wychodzili do miasta, żeby rozklejać plakaty na murach, drzwiach, autobusach i w poczekalniach dworcowych. Na każdym z nich były wersety z Biblii i przesłanie chrześcijańskie. Chociaż niektórzy nasi przyjaciele zostali aresztowani z powodu pracy prowadzonej wśród Rosjan, to jednak nikt nas nie wydał. Gdy tylko komuniści zdarli te plakaty, przylepialiśmy nowe. Jedną z naszych pracownic była

Gabriela. Miała piękne serce. Bez problemu podchodziła do rosyjskich żołnierzy; dała nawet Biblię kilku wysokim rangą oficerom. Ale pewnego dnia aresztowano ją i przekazano przez Sowieców rumuńskiej milicji. Kiedy siedziała w więzieniu, czekając na proces, pewien mężczyzna wszedł do jej celi. Spytał, dlaczego tam jest. Gdy wyjaśniła, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Postaram się ci pomóc — powiedział.

Wkrótce pojawił się drugi nieznajomy, otworzył drzwi jej celi i wyprowadził ją na ulicę bocznymi drzwiami.

— A teraz znikaj. Szybko!

Odeszła wolna, dziękując Bogu. Mężczyzną tym był dopiero co nawrócony komendant milicji.

Widzieliśmy wiele cudów. Nasza znajoma, pani Georgescu, była chora, ale nie chciała lekarza. Należała do surowej wspólnoty, która odrzucała pomoc medyczną. To Bóg ma leczyć chorych — twierdzili. Cały swój wolny czas poświęcała pracy misyjnej wśród Rosjan. Aresztowano ją i przyprowadzono do komendanta, który aż poczerwieniał ze złości. Podczas gdy wrzeszczał na nią, dostała nagle obfitego krwotoku. Oficer zobaczył krew i zbladł.

— Wyrzucicie ją! — wrzasnął.

Wypchnięto ją na ulicę. Za wolą Boga pani Georgescu została uratowana.

— Nogi mi odpadają! Dzisiaj rano stałam w kolejce na ulicy Zwycięstwa przez pięć godzin i oto, co dostałam.

Anutza miała w swojej torbie małe opakowanie kawy i trochę szarawej kiełbasy. Nie widzieliśmy tych rzeczy od tygodni.

Była to rocznica „wyzwolenia” Rumunii przez Rosjan. Przez dwa dni w sklepach była żywność. Potem półki znowu świeciły pustkami, a na wystawach było zakurzone mięso z tektury i puste butelki po winie. Rumunię czekał głód.

Grabieże i wyłudzenia (odszkodowania za „zniszczenia wojenne”) dokonywane przez Sowieców oraz susza i liche zbiory doprowadziły miliony osób do głodu. Ludzie gotowali zupy z liści i korzeni drzew.

Jeden z wydziałów Światowej Rady Kościołów wysyłał żywność, ubrania i pieniądze, a my organizowaliśmy pomoc dla głodujących. W budynku kościelnym, w stołówce prowadzonej przez pastora Solheima i Richarda, codziennie wydawano posiłki dla dwustu osób. Biurokracja bardzo utrudniała nam pracę, a rząd

komunistyczny starał się sabotować nasze wysiłki. Niemniej jednak pracowało dla nas wielu wolontariuszy.

Ustaliliśmy, że dzieci z rejonów najbardziej dotkniętych głodem zostaną sprowadzone do Bukaresztu i zamieszkają w domach ludzi wierzących. My przyjęliśmy małą sześciolletnią dziewczynkę. Chuda jak patyk, przyjechała do nas tylko z tym, co miała na sobie. Na początek przygotowałam dla niej porządną posiłek — owsiankę z cukrem i mlekiem. Nie chciała jeść. Była ze wsi i chciała jeść tylko swoje jedzenie: mamałygę, czyli swego rodzaju placek kukurydziany. Właściwie niczego innego nigdy nie jadła. Musieliśmy bardzo stanowczo nakłaniać ją, żeby spróbowała naszego jedzenia. Powoli zaczęła przybierać na wadze.

Bardzo ją polubiliśmy. Pewnego razu powiedziała:

— Was to będę kochać aż do jesieni.

Potem będą nowe zbiory i wróci do swoich rodziców.

Kiedy Rosjanie zajęli Budapeszt, potrzebny nam był ktoś, kto zawiózłby pieniądze dla mieszczącej się tam misji charytatywnej. Richard nie mógł opuścić Bukaresztu, a nikt inny nie był w stanie podjąć się tego zadania. Musiałam więc pojechać.

— Nie wolno ci jechać! — krzyknęła Anutza. — Ci rosyjscy żołnierze są spragnieni kobiet. Idziesz ulicą i znajdujesz dziewczęta z poderżniętym gardłem, i nikt nic z tym nie robi!

W normalnych czasach nie byłaby to długa podróż. Ale Armia Czerwona konfiskowała wszystkie pociągi i samochody dla własnych potrzeb. Na stacjach panował niewyobrażalny chaos i panika. Całe chmary głodnych ludzi, których losy rzuciły z dala od domu, usiłowały wepchnąć się do niewielu wagonów, które pozostały. Po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć jakiś kąt dla siebie. Przez wiele dni pociąg toczył się przez pola i lasy do Budapesztu. Byłam jedyną kobietą w pociągu pełnym rosyjskich żołnierzy.

Kiedy dojechałam na miejsce, oddziały niemieckie nadal toczyły walki o każdy dom. Wszystko leżało w gruzach. Nie było żadnych autobusów, taksówek ani jakichkolwiek innych środków transportu. Wszędzie chodziłam na piechotę, mijając dymiące ruiny. Nie mogłam znaleźć nikogo z tych, których szukałam. Niemcy wywieźli wiele osób, które już nigdy nie powróciły. Inni zostali zabici w trakcie ostatnich walk ulicznych. W końcu znalazłam pastora Johnsona, kierownika misji norweskiej, i pastora Ungara, chrześcijanina pochodzenia żydowskiego, prowadzącego wolny

kościół, do którego należeli zarówno Żydzi, jak i przedstawiciele innych narodowości. Nie mogli uwierzyć własnym oczom. Powiedzieli, że byłam jak anioł posłany przez Boga, pojawiający się zupełnie znikąd i przynoszący pomoc właśnie wtedy, kiedy głód był najbardziej dotkliwy. W miarę jak ludzie wychodzili z piwnic, jedzenia było coraz mniej. Nie było nic. Koń zabity podczas walk został pokrojony i zjedzony.

Wiele budynków kościelnych zrównano z ziemią, a setki braci nie miało dachu nad głową. Pomoc, którą dostarczyłam, została przyjęta z wielką radością.

Spotkałam też profesora Langleya, przedstawiciela Czerwonego Krzyża w Budapeszcie, który niestrudzenie niósł pomoc humanitarną. Zjedliśmy razem posiłek, zanim wyjechałam.

— Niechaj Chrystus wynagrodzi cię za to, co uczyniłeś — powiedziałam.

— Wsiadłem kiedyś do tramwaju — odparł Langley — i zorientowałem się, że nie mam pieniędzy na bilet. Ktoś zapłacił za mnie. A kiedy chciałem mu podziękować, powiedział: „Nie dziękuj mi. Po prostu spłacam to, co ktoś zrobił dla mnie wczoraj, kiedy byłem w takiej samej sytuacji”. Tak więc to nie Chrystus ma mnie wynagrodzić — ale ja mam spłacić Jemu mój dług.

Z Budapesztu udałam się do Wiednia. Zwykle taka podróż zajmowała cztery godziny. Tym razem trwała sześć dni!

Znalazłam pociąg, który miał wyjechać wcześniej rano. Ludzie trzymali się zewnętrznych uchwytów przy drzwiach i siedzieli na dachach wagonów. Wydawało się niemożliwością, żeby jeszcze komukolwiek udało się wsiąść.

Wówczas usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu. Na dachu wagonu towarowego usadowiła się grupa dziewcząt, wszystkie uwolnione z Oświęcimia, które kiedyś zatrzymały się u nas w Bukareszcie.

— Ciasno tu, ale zrobimy trochę miejsca — śmiały się.

Tak więc od wtorku do niedzieli siedziałyśmy na tym dachu i w końcu dotarłyśmy do Wiednia. W tym mieście również panował głód i było ono bardzo zniszczone. Po wielu przygodach udało mi się skontaktować z naszymi przyjaciółmi i tamtejszymi przywódcami chrześcijańskimi. Wyruszyłam w drogę powrotną dopiero wówczas, gdy wykonałam do końca powierzone mi zadanie.

Przez całe tygodnie nie miałam żadnego kontaktu z domem. Richard powiedział mi później:

— Okropnie baliśmy się o ciebie. Widziałem cię w wizjach, w snach na jawie.

Kiedy otwierał książkę, widział przed nią moją twarz. Kiedy jakaś gałązka uderzyła o szybę, budził się, myśląc, że wróciłam.

— Chodziłem po górach — powiedział — i głośno wołałem cię po imieniu. Wydawało mi się, jakbym słyszał twoją odpowiedź.

Rzeczywiście słyszałam i odpowiadałam. Chodziłam po tych zaśmieconych ulicach i wołałam: Richardzie! Richardzie! Byliśmy sobie tacy bliscy.

Nasz kraj był teraz zarządzany z Moskwy. Ale lokalni komuniści nadal udawali, że panuje demokracja. „Pragniemy przyjaźni ze wszystkimi” — mówili. „Wolność religijna? Oczywiście. Rząd złożony ze wszystkich partii z królem Michałem na czele? Dlaczego nie?” Wszystko to miało na celu oszukanie państw zachodnich.

Komuniści zdjęli maskę, gdy pewnego poranku radziecki minister Wyszynski wszedł do pałacu królewskiego i wydał rozkazy: armia i policja mają zostać rozbrojone. Król ma wyznaczyć zaufanych komunistów na kluczowe stanowiska, bo jak nie, to... Wiedzieliśmy o tym, że w Rosji Kościół stał się narzędziem państwa. Ile czasu minie, zanim wezmą się do tej pracy w Rumunii?

Przygotowywałam właśnie kościół na niedzielne nabożeństwo, kiedy wszedł pastor Solheim. Wyglądał na zaniepokojonego.

— To naprawdę dziwne — powiedział. — Rząd organizuje coś, co nazywa Kongresem Religii. Wszystkie Kościoły i wszystkie wyznania, także niechrześcijańskie, są proszone o wysłanie licznych delegacji. W dodatku ta konferencja ma się odbyć w gmachu parlamentu! Nigdy o czymś takim nie słyszano. Co oni mogą teraz planować?

Wszędzie krążyły domysły i plotki. Wielu duchownych uwierzyło w to, co rząd mówił o „pełnej wolności religijnej”.

Ale Richard zastanawiał się: Czy przypadkiem u nas nie dzieje się to, co wydarzyło się w Rosji? Lenin stawał zdecydowanie w obronie prześladowanych ugrupowań religijnych, dopóki nie doszedł do władzy. Po czym dziesiątki tysięcy ich wyznawców zmarło w obozach koncentracyjnych. Najpierw zostaje uśpiona czujność Kościoła, a potem zostaje wymierzony cios.

Naradzaliśmy się z Solheimem. Był zwierzchnikiem misji i musiał podjąć decyzję.

— Pójdziemy i będziemy mówić otwarcie — powiedział.

Wyznaczonego dnia o poranku weszliśmy na Wzgórze Parlamentu. Na wielkiej sali obrad i na balkonach siedzieli stłoczeni muzułmanie i żydzi, protestanci i prawosławni, w sumie jakieś cztery tysiące biskupów, pastorów i księży, rabinów i mułłów.

Czerwone flagi wisały wszędzie. Stalin został oficjalnie wybrany na honorowego przewodniczącego Kongresu. Na podium zasiedli wszyscy czołowi przywódcy komunistyczni: marionetkowy premier Petru Groza, bardzo wpływowy minister spraw wewnętrznych Theoharo Georgescu i wielu innych.

Wcześniej odbyło się nawet nabożeństwo w Patriarchacie. Przywódcy komunistyczni robili znak krzyża. Całowali ikony. Całowali dłoń patriarchy.

Rozpoczęły się przemówienia. Groza, który był po prostu kolaborantem działającym na zlecenie Moskwy, tłumaczył, że nowy rząd rumuński sprzyja wierze, każdej wierze, i będzie nadal wypłacał pensje duchownym. Planowane są nawet podwyżki uposażeń. Wiadomość ta została przyjęta gorącymi oklaskami.

Następnie zabrali głos księży i pastory. Mówili, jak bardzo cieszy ich to, że rząd docenia religię. Państwo będzie mogło liczyć na Kościół, jeśli Kościół będzie mógł liczyć na państwo. Pewien biskup zauważył, że na przestrzeni dziejów nurty o najróżniejszych odcieniach politycznych przyłączały się do Kościoła. Teraz dołączy czerwień, z czego jest bardzo zadowolony. Wszyscy byli zadowoleni. A cała ta ich radość była transmitowana przez radio bezpośrednio z sali obrad.

Było to absurdalne i straszne. Komunizm był oddany zniszczeniu religii. Pokazał swoje prawdziwe oblicze w Rosji. Duchowni wyrażali swoje poparcie w obawie o swoje rodziny, pracę i zarobki. Mogli przynajmniej zachować milczenie, zamiast prześcigać się w pochlebstwach i kłamstwach.

Było to tak, jakby pluli Chrystusowi w twarz. Czułam, że w Richardzie się gotuje. Powiedziałam mu więc to, co już było w jego sercu:

— Czy zmyjesz tę hańbę z oblicza Chrystusa?

Richard wiedział, co się wówczas wydarzy:

— Jeśli przemówię, stracisz męża.

— Nie potrzebuję tchórza za męża — odpowiedziałam od razu. Ten przyływ odwagi nie pochodził ze mnie. Był to dar od Boga na tamtą chwilę.

Richard posłał swoją wizytówkę do prezydium. Komuniści byli zachwyceni. Przedstawiciel Światowej Rady Kościołów i zagranicznych misji okaże im publicznie swoje poparcie. Richard wszedł na mównicę i od razu wielka cisza zapadła na sali. Było to tak, jakby przybliżał się Duch Pana.

Richard powiedział, że kiedy dzieci Boże gromadzą się, zbierają się również aniołowie, żeby posłuchać o mądrości Bożej. Dlatego też obowiązkiem wszystkich obecnych nie jest wychwalanie ziemskiej władzy, która przychodzi i odchodzi, lecz oddawanie chwały Bogu Stwórcy i Chrystusowi Zbawicielowi, który umarł za nas na krzyżu.

W trakcie gdy przemawiał, cała atmosfera na sali zaczęła się zmieniać. W moim sercu wezbrała radość, ponieważ wiedziałam, że te słowa są nadawane w całym kraju.

Nagle minister do spraw religijnych Burducea poderwał się na równe nogi.

— Prawo głosu zostało ci odebrane! — krzyknął. Wrzeszczał z podium, wydając rozkazy obłudze.

Richard zignorował go i kontynuował. Publiczność zaczęła bić brawo. Mówił to, co oni wszyscy chcieli powiedzieć.

— Odłączcie mikrofon! — ryczał Burducea.

Sala zakrzyczała go.

— Pastorul! Pastorul! — skandowali. — Pastor! Pastor!

Z pastora Richard stał się „Pastorem” przez duże „P”.

Wrzawa trwała wiele minut. Okrzyki i oklaski nie ustawały jeszcze długo po tym, jak kable mikrofonu zostały rozłączone i Richard zszedł z mównicy. Na tym zakończył się ten dzień obrad Kongresu. Wyszliśmy stamtąd wśród zgiełku i zamieszania.

W domu matka Richarda słyszała wszystko w radiu. Kiedy transmisja została przerwana, sądziła, że już go nigdy nie zobaczy.

— Myślałam, że aresztują was obydwójce. Co się teraz stanie? — zapytała blada z przerażenia.

— Mamo — odparł Richard — mam potężnego Zbawiciela. On uczyni to, co jest dla mnie najlepsze.

Żadne urzędowe kroki nie zostały poczynione. Ale w niedługim czasie komunistyczni krzykacze zaczęli być wysyłani, żeby zakłócać nasze spotkania. Właśnie otwarliśmy nowy i większy budynek kościelny. Co tydzień podejrzanie wyglądający młodzi ludzie przepychali się do środka budynku, stawali z tyłu i zaczęli gwizdać, wyśmiewać się i przeszkadzać.

— Powinniśmy być zadowoleni — powiedział Solheim. — Lepsza hałaśliwa publiczność, która jest zaangażowana, niż spokojna, która tylko udaje, że słucha!

Opracowaliśmy też różne taktyki głoszenia ewangelii na ulicy. Wiele osób było zbyt nieśmiałych, żeby przyjść do naszego kościoła. A w ten sposób mogliśmy do nich dotrzeć. Zbieraliśmy się w grupie na rogu ulicy i zaczynaliśmy śpiewać pieśni. Było to coś zupełnie nowego w Rumunii i zawsze gromadził się wokół nas tłum. Wówczas wygłaszałam przesłanie, które musiało być krótkie i precyzyjne.

Pewnego popołudnia przed wielką fabryką Malaxa odbywało się spotkanie protestacyjne przeciwko przejęciu władzy przez komunistów. Mówiłam zgromadzonym tam robotnikom o zbawieniu. Dla niektórych było to ostatnie ostrzeżenie. Następnego dnia milicja otworzyła ogień do tłumu zgromadzonego pod fabryką. Zastrzelono wielu robotników.

Pewnego razu przemawiałam ze schodów przed głównym wejściem do uniwersytetu. Tłum powiększał się, aż zappełnił cały plac. Nigdy nie miałam takiej publiczności. Ludzie nadbiegali z bocznych ulic. Ruch uliczny na jednym z głównych bulwarów Bukaresztu został zablokowany. Nie było żadnych krzykaczy. Tylko nieustanne owacje.

Kiedy opowiadałam Richardowi o moim sukcesie, Anutza wpadła do naszego mieszkania.

— W całym mieście mówi się, że Anna Pauker przemawiała przed uniwersytetem. Podobno przysłano ją z powrotem z Moskwy, żeby rządziła Rumunią dla Stalina.

Pani Pauker była komunistką i nauczycielką, która wyjechała do Rosji. Została oficerem w Armii Czerwonej. Była Żydówką i miała ciemne włosy. Kiedy więc zaczęłam przemawiać w takim publicznym miejscu, rozniosła się plotka, że osławiona Anna Pauker — która własną ręką zastrzeliła swojego męża Marcela za „odchylenie” — wróciła.

Ale nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego towarzyszka Pauker mówiła im, żeby opamiętali się ze swoich grzechów. Śmialiśmy się do łez.

W 1947 r. rozpoczęły się aresztowania. Sfałszowane wybory, podczas których zastosowano najróżniejsze oszustwa i formy zastraszania, dały komunistom pełnię władzy. Przywódcy opozy-

cji, uczciwi i nieuczciwi komendanci policji oraz urzędnicy państwowi zostali zlikwidowani w fali terroru. Potem przyszła kolej na wszystkich biskupów katolickich i niezliczoną liczbę księży, zakonników i zakonnice. Tej nocy, której zostali aresztowani, audycje religijne były nadawane na Zachód tak jak zwykle. Dziesiątki tysięcy zwykłych ludzi zniknęło w więzieniach i obozach pracy. Inni przyłączyli się do partyzantów w górach.

Żydzi, którzy mogli wyjeżdżać z Rumunii w początkowym okresie zamętu po wkroczeniu Rosjan, byli teraz w pułapce. Granice zostały zamknięte. Do tego czasu tysiącom z nich udało się uciec. Zostawili wszystko, co posiadali, wybierając nędzny los uchodźców zamiast „wolności” pod władzą Sowietów.

Anutza nie bez powodu uważała, że znajduje się na liście Żydów, którzy mają zostać aresztowani — jako podejrzani o Bóg jeden wie jakie „przestępstwo przeciwko państwu”. Wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego z obcokrajowcami, byli podejrzani — nawet fryzjerzy, którzy ich golili.

Było to smutne pożegnanie. Stałyśmy się sobie takie bliskie.

— Jak Dawid i Jonatan — płakała Anutza. — Tyle że to ja jestem Jonatanem, bardzo umiłowanym Jonatanem!

Objęłyśmy się całe zapłakane.

— Postaram się wydostać was z Rumunii. Spotkamy się znowu na wolności — powiedziała Anutza.

Richard był wtedy chory i leżał w łóżku. Anutza wiedziała, że istnieje wielkie zagrożenie, iż zostanie aresztowany. Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała go w policzek, dając mu na pożegnanie pewną obietnicę.

Dotrzymała jej i w końcu spotkaliśmy się. Tyle że zajęło to dwadzieścia lat.

Terror nasilał się. Służba bezpieczeństwa wpadała do mieszkań i dokonywała długotrwałych rewizji. Potem zabierano człowieka, żeby „złożył zeznania”.

— Niczego nie zabieraj ze sobą — mówili. — Zajmie to tylko kilka godzin.

Dziennikarze z innych krajów widzieli furgonetki z napisami „Mięso”, „Ryby”, „Pieczywo” itp., jeżdżące po ulicach, pisali więc u siebie o tym, że mieszkańcy mają wystarczająco dużo żywności. Nie wiedzieli jednak, że te furgonetki nie przewoziły żywności, lecz więźniów.

W tym okresie otrzymaliśmy pierwsze ostrzeżenie. Richard pracował właśnie w budynku naszej misji, gdy wszedł tam tajniak.

— Inspektor Riosanu — przedstawił się. — To ty jesteś Wurmbrand. A zatem jesteś człowiekiem, którego nienawidzę najbardziej ze wszystkich.

Richard spojrział na niego uważnie.

— Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się. Co ma pan na myśli?

— Pamiętasz, jak jakieś dziesięć lat temu chodziłeś z dziewczyną, która miała na imię Betty? Taka blondynka z kręconymi włosami, która dużo mówiła?

— No, i co w związku z tym?

— Powiedz mi, dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

— Nigdy o tym nie myślałem.

— Nie, ale ja to zrobiłem! Wurmbrand, gdybyś się z nią tylko ożenił... Uszczęśliwiłbyś mnie — dodał i naprawdę tak myślał.

— Ale żeby pokazać ci, że nie chowam urazy — ciągnął dalej wspaniałomyślny inspektor — przyszedłem, żeby dać ci wskazówkę. W kwaterze głównej służby bezpieczeństwa jest duża opaska teczka na twój temat. Widziałem ją. Ktoś ostatnio doniósł na ciebie. Dużo rozmawiało się z rosyjskimi przyjaciółmi, no nie?

Riosanu zatarł swoje szorstkie ręce.

— Ale pomyślałem sobie, że się dogadamy.

Za łapówkę był gotów zniszczyć ten donos.

Przyłączyłam się do rozmowy i uzgodniliśmy kwotę.

— Dobiliśmy targu — powiedział Riosanu, wciskając pieniądze do kieszeni. — Informator nazywa się...

— Nie! — przerwałam mu szybko. — Nie chcemy wiedzieć.

Nie chciałam czuć niechęci do tego człowieka. Może to i głupie. Ale wówczas nie wiedzieliśmy, jak wielu ludzi zniszczą donosiciele.

— Wedle życzenia — Riosanu wzruszył ramionami i wyszedł.

Niedługo później Richarda zabrano na przesłuchanie. Nikt nie wspominał o „korumpowaniu” Armii Czerwonej. Wciąż mieliśmy kilku wpływowych przyjaciół i dzięki nim po trzech tygodniach udało nam się uzyskać zwolnienie Richarda. Ale wiedzieliśmy, że jest to tylko chwilowe wytchnienie.

Aresztowano coraz więcej naszych przyjaciół i współpracowników.

Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam człowieka, który był torturowany przez służbę bezpieczeństwa. Miał sine i zapuchnięte wargi i z trudem mógł mówić. Wcześniej był miły, przyjacielski i dla każdego miał ciepłe słowo. Teraz w jego oczach widać było tylko nienawiść i rozpacz.

Przy pomocy łapówek i gróźb komunistom udało się skłonić do współpracy niektórych przywódców kościelnych. Na tych, którzy nie zgodzili się być zdrajcami, rzucali podejrzenia o zdradę. Najbardziej oporni poszli najwcześniej do więzienia.

Pozostawała jeszcze jedna przeszkoda polityczna. Nasz umiłowany młody król Michał nie miał zamiaru poddać się bez walki. Dopiero w grudniu 1947 roku, kiedy Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uznały władzę Grozy, marionetki Moskwy, został on zmuszony do opuszczenia kraju. Groza i Gheorghiu-Dej, nieuczciwy prawnik i dawny kolejarz, rządili teraz krajem. Nakazali królowi, żeby abdykował. Pałac otoczyło wojsko. Król nie miał żadnego wyboru. Tego dnia narodziła się Rumuńska Republika Ludowa.

Przypomniało mi się wówczas przysłowie: *Biada ci, kraju, którego królem jest prostak.*

Wyglądało to na niegroźny kaszel, a było tyle pracy do zrobienia. Ale po tygodniu leżałam w łóżku i miałam zapalenie oskrzeli. Głód, rozliczne trudności i wyprawa do Budapesztu w końcu powaliły mnie. Leżałam na plecach, wyczerpana i wychudzona, kiedy przyszedł do nas niezapowiedziany gość. Rosyjska lekarka. Jej twarz ujawniała przeżyta tragedię.

Pani Wera Jakowlewa знаła nas tylko trochę. Pochodziła z Ukrainy. Wraz z mnóstwem innych duchownych i wierzących została wywieziona ze swojego miasta do syberyjskich obozów pracy. Niewielu stamtąd wróciło.

Moja choroba jej nie interesowała. Miała nam do przekazania pewne przesłanie.

— Pracowaliśmy przy wyrębie lasu, mężczyźni i kobiety razem. Mieliśmy równe prawa: mogliśmy umrzeć z głodu lub zamrzeć na śmierć.

Pani Jakowlewa dotknęła mojej ręki swoją dłonią, na której były widoczne grube białe blizny. Drżała na wspomnienie tamtych dni.

— Codziennie umierali ludzie, padając z wycieńczenia do śniegu.

Kara, jaką otrzymała, gdy odkryto, że świadczy o Chrystusie, polegała na tym, że całymi godzinami miała stać boso na lodzie. Kiedy pewnego razu nie wykonała normy, strażnicy zbili ją pięściami. Upadła do śniegu. I nie dostała rozwodnionego bulionu, który więźniowie otrzymywali po powrocie do obozu.

Plącząc, wyszła na dziedziniec, żeby mogła być sama. Zupełnie przygnębiona weszła na zakazany teren blisko drutów kolczastych, gdzie więźniowie byli natychmiast zabijani.

— Ej, czy twoja matka jest wierząca? — krzyknął ktoś szorstko.

— Dlaczego pytasz? — wysapała przerażona pani Jakowlewa, jako że właśnie myślała o swojej matce.

— Ponieważ obserwuję cię od dziesięciu minut — powiedział strażnik — ale nie byłem w stanie cię zastrzelić. Nie mogę ruszyć ręką. To jest zdrowa ręka. Przez cały dzień nią ruszałem. A więc twoja matka musi się za ciebie modlić. Uciekaj z powrotem — powiedział ciepło. — Popatrzę w inną stronę.

Pani Jakowlewa zobaczyła tego żołnierza nieco później tego samego dnia. Śmiał się i podnosił rękę.

— Teraz znowu mogę nią ruszać — zawołał.

W obozie przeżyła dziesięć lat. Większość pozostałych więźniów zmarła. Ale ona powróciła, aby mówić o tym, jak w smutku i potrzebie Bóg okazywał swoją moc. Była teraz lekarką w Armii Radzieckiej.

Bolała mnie głowa. Nie byłam w stanie rozmyślać nad tym cudem. Mogłam myśleć tylko o jej cierpieniach. Co to oznacza? Dlaczego przyszła, żeby mi o tym powiedzieć?

Kiedy zabierała się do wyjścia, z wielkim trudem poprosiłam ją słabym głosem, żeby została na noc; żeby poczekała przynajmniej, aż Richard wróci. Ale była już przy drzwiach. Na krótko zatrzymała się i powiedziała:

— Mój mąż również został aresztowany przez GPU. Jest w więzieniu już dwanaście lat. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś spotkamy się na tej ziemi.

Po czym wyszła.

Dwanaście lat? Nie mogłam tego pojąć. Wiele lat później zrozumiałam, że ten posłaniec od Boga miał powiedzieć nam o cierpieniach, których wraz z mężem możemy się spodziewać. Dwa tysiące lat temu Ananiasz, zwierzchnik Kościoła chrześcijańskiego w

Damaszku, otrzymał podobne polecenie: „Pokaż nowo nawróconemu Pawłowi, przyszłemu apostołowi, wszystko, co będzie musiał wycierpieć dla Mojego imienia”.

Nie było jeszcze za późno na to, żeby wyjechać z kraju. Choć z każdym dniem stawało się to coraz trudniejsze, to jednak tysiące osób wciąż wykupywało sobie wyjazd. Wiedziałam, że Richard tak naprawdę nie chciał wyjeżdżać. Ale powiedział:

— Za rządów Antonescu nigdy nie zostaliśmy aresztowani na dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Z komunistami może to trwać lata. I mogą zabrać także ciebie. A Mihai — kto zajmie się nim i pozostałymi dziećmi?

Potem wydarzyła się jeszcze jedna dziwna rzecz. Odwiedził nas pewien pastor, którego nie widzieliśmy od roku. Bóg posłużył się Richardem, żeby doprowadzić do jego nawrócenia. Był alkohikiem i chodził od baru do baru. Pewnego wieczoru Richard spotkał go, spędził z nim trochę czasu na rozmowie, przekonując go do wiary i wzywając do nawrócenia. Kiedy następnego ranka wybudził się z upicia, był zmienionym człowiekiem.

I teraz przypomnieli nam o tym. Podczas rozmowy kilkakrotnie powtarzał:

— Z tego, co mi wówczas mówiłeś, najbardziej uderzył mnie werset: „Uchodź, abyś ocalił swe życie. Nie oglądaj się za siebie”. Były to słowa anioła skierowane do Lota.

Kiedy wyszedł, Richard zapytał mnie:

— Czy nie myślisz, że może to być przesłanie od Boga? Dlaczego miałby przyjść do nas po tak długim czasie i w kółko powtarzać: „Uchodź, abyś ocalił swe życie”? Czy nie było to ostrzeżenie, że powinienem ocalić swoje życie, uciekając?

— Uciekać po jakie życie? — odpowiedziałam pytaniem.

Potem poszłam do sypialni, otworzyłam Biblię i znalazłam słowa Jezusa: „Bo kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa”.

— Jeśli teraz wyjedziesz — zapytałam Richarda — to czy będziesz jeszcze kiedyś mógł nauczać na temat tego tekstu?

Tego wieczoru już nie rozmawialiśmy o wyjeździe.

Ale kilka dni później Richard powiedział:

— Jeśli wyjedziemy na Zachód, to czy nie będziemy w stanie zrobić więcej dla Kościoła w Rumunii? Jeśli zostaniemy, to

tak jak inni pójdę do więzienia. Będzie to koniec naszego wspólnego życia. Będę torturowany, być może zostanę zabity. A jeśli i ty zostaniesz aresztowana, będzie to koniec misji. Solheimowie są obcokrajowcami. Nie otrzymają pozwolenia na pobyt. Mihai będzie wychowywał się na ulicy — i wyrośnie na komunistę. Jakich pożytek będzie z tego dla kogokolwiek?

— Myślę, że będziemy musieli zostać — powiedziałam.

Wówczas otrzymaliśmy znak. Zaczęliśmy prowadzić spotkania w prywatnych domach wokół Bukaresztu. Było w nich bezpieczniejsze niż w kościołach. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tak bardzo błogosławionych nabożeństw, tak wielu nawróceń. Jakby Bóg, wiedząc, co nas czeka, chciał przynieść nam tę przeogromną pociechę przed zbliżającymi się straszliwymi trudnościami.

Pewnego wieczoru spotkaliśmy się w domu bogatego człowieka, który utracił wszystko z wyjątkiem swojego dużego domu — nieco później i on został mu odebrany. Na zmianę trzymaliśmy straż. Z powodu takiego potajemnego spotkania modlitewnego mogliśmy wszyscy wylądować w więzieniu.

Zebraliśmy się w gronie około pięćdziesięciu osób na całonocne czuwanie. Około północy pewna kobieta, klęcząca razem z pozostałymi, głośno krzyknęła: „A ty, który myślisz o wyjeździe! Pamiętaj, że dobry pasterz nie porzucił swojej trzody. Pozostał do końca”.

Nic nie wiedziała o problemie Richarda. Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeliśmy na nią, ale już nic więcej nie powiedziała.

O świcie ruszyliśmy w drogę powrotną do domu zimnymi ulicami. Był styczeń i spadały piękne płatki śniegu.

— Nie możemy teraz wyjechać — powiedziałam.

Richard zgodził się. Powiedzieliśmy wszystkim:

— Zostajemy.

Bardzo się ucieszyli.

Kobieta, która przekazała Richardowi to ostrzeżenie, była na dworcu kolejowym, kiedy powrócił czternaście lat później. Przyszła z kwiatami, by go powitać. Pamiętał ją i powiedział:

— Nie żałuję, że przyjąłem twoją poradę. Jestem za nią wdzięczny.

3

Richard znika

— Richardzie, jak myślisz, czym jest piekło?

Spędzaliśmy wieczór z przyjaciółmi i rozmowa nieuchronnie zesłała na komunistów. Pewien polityk, którego wszyscy znaleźmy jako dobrego i prawego człowieka, został aresztowany i po kilku tygodniach powiesił się w celi. Co musiał wycierpieć, że pchnęło go to do samobójstwa? Ktoś powiedział:

— Musiał przejść przez piekło.

— Piekło to siedzenie samotnie w ciemności i wspomnianie zła, które się wyrządziło — odparł Richard.

Za kilka dni sam znalazł się w takim piekle.

W niedzielny poranek — 29-go lutego 1948 roku — Richard szedł sam do kościoła. Ja wyszłam nieco później i zastałam pastora Solheima w małym biurze. Wyglądał na zaniepokojonego.

— Richard się nie pojawił — powiedział. — Ale on ma tyle na głowie. Na pewno przypomniał sobie o jakimś pilnym spotkaniu i zapomniał, że powinien być tutaj.

— Ale obiecał, że spotka się tu ze mną za pół godziny.

— Może spotkał przyjaciela, który potrzebował pomocy — powiedział Solheim. — Przyjdzie.

Pastor Solheim poprowadził nabożeństwo. Zadzwońłam do przyjaciół, ale Richarda nie było u żadnego z nich. Strach narastał w moim sercu.

Po południu Richard miał udzielić ślubu młodej parze, którą znaleźmy.

— Nie martw się — powiedział Solheim. — Z Richardem nigdy nie wiadomo. Pamiętasz, kiedy mieliśmy obóz letni, a on wyszedł rano, żeby kupić gazetę, po czym w porze obiadu zadzwonił, aby powiedzieć, że nie wróci na śniadanie?

Uśmiechnęłam się na tę myśl. Richard przypomniał sobie o pewnej ważnej sprawie i złapał okazję do Bukaresztu. Pewnie znowu zrobił coś takiego. Na niedzielnym obiedzie w naszym

mieszkań było zazwyczaj wiele osób i panowała radosna atmosfera. Nie był to zwyczajny posiłek. Rozmawialiśmy i śpiewaliśmy, a dla wielu było to wielkie cotygodniowe wydarzenie.

Teraz jednak siedzieliśmy w milczeniu, czekając na Richarda. Nie przyszedł. W poprzedni wieczór mieliśmy również wielu gości. Richard wesoło rozmawiał ze wszystkimi. Nagle zamilkł. Ktoś powiedział:

— Richardzie, wyglądasz na zasmuconego — dlaczego?

Jego odpowiedź była dziwna. Był to cytat z Księgi Koheleta:

— „O śmiechu powiedziałem: Szaleństwo!”

Nie miało to właściwie związku z tematem naszej rozmowy. Wypłynęło z głębi jego serca. A teraz naprawdę zrozumieliśmy, jakim szaleństwem jest śmiech. Nikt nic nie mówił.

Pastor Solheim musiał udzielić ślubu tego popołudnia. Zadzwoniliśmy do wszystkich szpitali. Chodziłam po oddziałach intensywnej terapii, myśląc, że może uległ wypadkowi samochodowemu. Żadnego znaku.

W końcu przyznałam się przed samą sobą, co muszę zrobić. Muszę udać się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Został aresztowany.

I wtedy zaczęły się godziny, tygodnie i lata poszukiwań. Chodzenia od biura do biura. Napierania na wszystkie drzwi, które mogłyby się otworzyć.

Dowiedziałam się, że ważnych więźniów przetrzymywano w celach znajdujących się w podziemiach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tak wiele kobiet szukało aresztowanych mężów, synów i ojców, że zostało otwarte „biuro informacji”, które miało zajmować się ich sprawami. Na schodach tłoczyły się matki i dzieci. Czekwały zrozpaczone, żeby zapytać o los swoich bliskich. Na nagej ścianie wisiało hasło:

BĘDZIEMY BEZWZGLĘDNI DLA WROGA KLASOWEGO

Każda kolejno przedstawiała swoje pytanie. Urzędnicy udawali, że przeglądają listy z nazwiskami. Zaglądali do szafek z kartotekami. Ale po tych wszystkich zaginionych mężczyznach nie było ani śladu.

Rozeszła się plotka, że Richarda przewieziono do Moskwy. (Stało się tak z Antonescu i innymi.) Nie mogłam uwierzyć, że odszedł z mojego życia. Co wieczór przygotowywałam posiłek i siadałam przy oknie. Myślałam, że może wróci tego wieczoru. Niczego nie zrobił. Wkrótce będzie wolny. Komuniści nie mogą być

przecież gorsi od faszystów, którzy zawsze wypuszczali go po tygodniu lub dwóch.

Znowu nie przyszedł. Oparłam czoło o szybę i rozplakałam się. Położyłam się spać późno, ale nie mogłam zasnąć. Rano pastor Solheim poszedł ze mną, żeby poprosić o pomoc szwedzkiego ambasadora, który w przeszłości był naszym sprzymierzeńcem. Pan Reuterswärd powiedział, że natychmiast porozmawia z minister spraw zagranicznych Anną Pauker.

Pani Pauker miała gotową odpowiedź:

— Wedle naszych informacji pastor Wurmbrand zbiegł z kraju z walizką pełną dolarów, które zostały mu powierzone na pomoc humanitarną. Podobno przebywa w Danii.

Ambasador przedstawił całą sprawę premierowi. Groza potwórzył wersję Pauker, dodając jowialną obietnicę:

— Tak więc Wurmbrand ma przebywać w naszych więzieniach? Jeśli zdoła pan to udowodnić, uwolnię go!

Komuniści byli bardzo pewni siebie. Ktoś, kto znalazł się w celach służby bezpieczeństwa, przestawał istnieć.

Nikt inny nie mógł już zainterweniować. Jediną nadzieją, jaka pozostała — a chwytano się jej tysiące — była łapówka.

— Słyszałaś o ministrze Theoharim Georgescu? — spytał Klari Meir, mój kolega z lat szkolnych. — Jego brat mieszka blisko nas i słyszałem, że za odpowiednią sumę może otworzyć drzwi więzienia. Porozmawiam z jego żoną w twojej sprawie.

Pan Georgescu był gotów pomóc. Pod warunkiem, że wszystko zostanie utrzymane w absolutnej tajemnicy. Ale cena za jego przysługę była wysoka.

Zgodnie z jego życzeniem spotkałam się z nim w zapuszczonej ruderze na obrzeżach miasta. Był niewysoki i krępy, miał na sobie elegancki garnitur.

— Nazywam się Georgescu — powiedział. — Załatwiam różne sprawy. Jedno słówko do mojego brata i wszystko załatwione. Gwarantowane? Ma pani moje słowo.

Udało nam się zebrać sumę, o którą prosił, choć z dużymi kłopotami. Została mu przekazana.

Nic się nie wydarzyło.

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni wyłudzano od nas w ten sposób pieniądze. Nie mogliśmy nic zrobić. Spotkałam wielu

złodziei i przestępców, ale ci zawodowi oszuści stanowili klasę dla siebie. Niektórzy z nich byli wysokimi urzędnikami. Prawie wszyscy byli komunistami tylko z nazwy.

— Kto wie, co się stanie — powiedział pewien wysoki rangą członek partii, który przyszedł w nocy do naszego mieszkania. — Może przyjdą Anglicy i Amerykanie.

Mając na względzie tego rodzaju przyszłość (i nagrodę w postaci gotówki na teraz) starał się pomóc. Zrobi, co będzie mógł, jeśli tylko nie będzie to zagrażało jego stanowisku.

Do trzeciego urzędnika komunistycznego dotarliśmy dzięki znajomej kobiecie, która знаła go z czasów studenckich. Udając zakochanych, odbywali potajemne spotkania, na których omawiali warunki umowy.

Nic z tego wszystkiego nie wyszło.

Po kilku miesiącach bezowocnych wysiłków jakiś nieznajomy przyszedł pewnego wieczoru pod nasze drzwi. Był nieogolony i jechało od niego śliwovicą. Nalegał, abyśmy porozmawiali bez świadków.

— Spotkałem pani męża — powiedział.

Serce mi zamarło.

— Jestem strażnikiem. Niech pani nie pyta, w jakim więzieniu. Ale przynoszę mu jedzenie i on powiedział mi, że dobrze mi pani zapłaci za trochę informacji.

— Zależy... ile? — powiedziałam. — Tyle razy nic z tego nie wyszło.

— Nadstawiam karku, wie pani.

Suma, którą podał, była ogromna. Nie chciał się targować.

Pastor Solheim był równie podejrzliwy jak ja.

— Przynieś mi kilka słów napisanych własnoręcznie przez Wurmbranda — powiedział strażnikowi.

Dał mu tabliczkę czekolady z zapasów przeznaczonych na pomoc charytatywną.

— Zabierz to do Wurmbranda i przynieś z powrotem list od niego z jego podpisem.

Dwa dni później ten człowiek wrócił. Ściągnął czapkę. Namacał coś pod podszewką i podał mi opakowanie z tabliczki czekolady. Przeczytałam:

„Moja najdroższa żono, dziękuję Ci za Twoją słodycz. Mam się dobrze. Richard”.

Był to jego charakter pisma. Zamaszysty, ale wyraźny, zdecydowany, a przy tym niespokojny. Nie sposób było nie rozpoznać tego burzliwego spokoju, zawartego w tych słowach.

— Wszystko z nim w porządku — powiedział strażnik. — Niektórzy nie radzą sobie w odosobnieniu. Nie lubią swojego towarzystwa.

Zionęto od niego wódką.

— Przekazuje pani pozdrowienia.

Zgodziliśmy się zapłacić pieniądze, jeśli będzie nadal przekazywał informacje. W końcu powiedział:

— W porządku. Ale ludzie dostają za to dwanaście lat. Wiecie, nie chodzi tylko o gotówkę.

Rzykował utratą wolności z powodu podzielonej miłości: kochał pieniądze i alkohol, który można było za nie kupić. Kochał też Richarda. Czasami przemyślał mu dodatkowy chleb. Nadal przekazywał nam ustne wiadomości.

— Co robisz z tymi pieniędzmi, które od nas otrzymujesz? — zapytałam.

— Upijam się! — roześmiał się.

Ale Pan dotknął się Jego serca, choć może na razie jeszcze nie w kwestii picia.

Solheim i jego droga żona Cilgia, przyjaciele w trudnych chwilach, zostawili wszystko i całą swoją energię poświęcali na podtrzymywanie mnie na duchu i dążenie do uwolnienia Richarda. Pastor Solheim poszedł ze mną do szwedzkiej ambasady, w której zostaliśmy natychmiast przyjęci przez ambasadora. Kiedy zobaczył skrawek papieru ze słowami napisanymi przez Richarda, szybko wystosował oficjalny list do premiera:

— Obiecał pan, że wypuści pastora Wurmbranda, jeśli zdolamy udowodnić, że przebywa on w rumuńskim więzieniu. Mam właśnie w swoim ręku taki dowód.

Groza przekazał ten list Annie Pauker z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jego żart obrócił się przeciwko niemu. Wezwała ona pana von Reuterswårda i zaczęła na niego grzmieć. Skoro powiedziała, że Wurmbrand uciekł do Danii, to znaczy że uciekł. Nie pozwoli się obrażać wysłannikowi drugorzędного państwa, który wtyka nos w czysto wewnętrzne sprawy Rumunii. Nie jest kłamcą.

Ambasador został uznany za *persona non grata*. Jego przełożeni poddali w wątpliwość zasadność jego interwencji. Richard był

przecież obywatelem rumuńskim, nawet jeśli pracował dla zagranicznej misji. Von Reuterswärd odparł, że jego sumienie nakazywało mu pomóc człowiekowi, o którym wiedział, że jest niewinny. Został okłamany przez minister spraw zagranicznych i jego obowiązkiem było zaprotestować. Ambasador był mężem Bożym, a rządy nie zawsze dobrze traktują takich ludzi. Został odwołany do Sztokholmu i wycofał się ze służby dyplomatycznej.

Niedługo potem Groza został „wyniesiony” na jeszcze mniej znaczące stanowisko przewodniczącego Wielkiego Zgromadzenia Narodowego. Pewnego razu spotkał się z Pastorem, słynnym rumuńskim satyrykiem, i zarzucił mu, że rozpowszechnia złośliwe dowcipy na jego temat:

— Należy mi się szacunek — jestem przewodniczącym.

— Ten dowcip to nie ja wymyśliłem — odparł Pasterel.

Rozgoryczone serce szuka zemsty w sarkastycznych dowcipach. Stąd właśnie bierze się czarny humor, z którego znani są Żydzi. Jednakże teraz można było pójść do więzienia za opowiedzenie takiego dowcipu: Pasterel dostał za to sześć lat.

Następnie Solheim — który uważał Richarda za swoje drugie „ja”, a Rumunię za drugą ojczyznę — został zmuszony do opuszczenia kraju. Utożsamiał się z nami i ze swoją placówką misyjną, tak jak wszyscy dobrzy misjonarze. Nie mógł nam już dłużej pomagać. Mieliśmy jednak nadal wiernych przyjaciół, mimo że każdy, kto utrzymywał z nami przyjacielskie stosunki, narażał się na niebezpieczeństwo.

Żona więźnia politycznego nie mogła otrzymać kartek żywnościowych. Były przeznaczone tylko dla „robotników”. Żona więźnia politycznego nie mogła pracować. Dlaczego? Ponieważ nie miała kartek żywnościowych i dlatego nie istniała.

Nawet nie próbowałam spierać się o to, że najwyższe władze państwowe zaprzeczały, iż Richard jest w więzieniu.

— Jak mam żyć? A mój syn?

— To twoja sprawa.

Mihai ponownie został moim jedynym dzieckiem. Jeszcze przed aresztowaniem Richarda utraciliśmy osierocone dzieci, które trafiły do nas z nazistowskich pogromów we wschodniej Rumunii. Usłyszawszy, że Rosjanie postanowili ponownie zaludnić uciekinierami dwie wschodnie prowincje (Besarabię i Bukowinę), które

anektowali, zrozumieliśmy, że wcześniej czy później dzieci zostaną nam odebrane. Taki los spotkał setki żydowskich sierot. O ileż lepiej byłoby, gdyby udało się nam wysłać je do Palestyny, gdzie miało się właśnie narodzić nowe państwo izraelskie! Z rozdartym sercem postanowiliśmy, że pozwolimy wyjechać naszym chłopcom i dziewczynkom. Wydawało się nam to o wiele lepsze niż czekanie na nieznany los, jaki zgotowaliby im Sowieci.

Dołączyły do niedużego zastępu uciekinierów na pokładzie tureckiego parowca *Bulbul*. Mijały tygodnie. Nie nadchodziły żadne wieści. Richard zamartwiał się tym i z każdym dniem wyglądał coraz bardziej mizernie. Rozpoczęły się międzynarodowe poszukiwania, obejmujące obszar od Morza Czarnego po wschodnią część Morza Śródziemnego. Nadzieja stopniowo gasła. Sądzono, że *Bulbul* uderzył w minę z czasów wojny i zatonął ze wszystkimi na pokładzie. Ale do dzisiaj nikt nie wie niczego na pewno. Statek wypłynął. Nie dopłynął. Nikt nie ocalał.

Ból był okropny. Kochaliśmy je jak swoje własne dzieci. Kiedy w końcu pogodziliśmy się z faktem, że zaginęły, nie chciałam z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Rzadko można spotkać człowieka, który umiałby pocieszyć w takiej sytuacji. Cała moja wiara w zmartwychwstanie i życie wieczne została poddana poważnej próbie. Musiałam zrozumieć, że nie mamy szukać naszych utraczonych dzieci pośród martwych, lecz pośród żywych. Wielokrotnie wydawało mi się, że nigdy nie poradzę sobie z tym bólem. Ale Pan dawał mi siłę na kolejne dni. Po czym pewnego dnia Boże słowo wślizgnęło się po cichu do mojego serca, mówiąc: „Pokój mój daję wam”. Na nowo zrozumiałam słowo „cierpliwość”, które tak często występuje w Nowym Testamencie. W grece to słowo — *hypomone* — znaczy „pozostawać pod”: przyjąć i znieść cierpienie jako dane przez Boga. Przyniesie to dużo owocu. Bóg daje i zabiera. Ponownie otoczył mnie wieloma młodymi ludźmi. Pozostało tylko zapomnieć i mieć współczujące serce po tym wszystkim, czego się nauczyłam.

W swoim smutku musiałam pocieszać Mihaia. Jakże gorzko płakał. Trzymałam go w ramionach i opowiadałam historię, którą często słyszałam z ust Richarda. Pochodzi ona z Talmudu, księgi, w której została zawarta wielka mądrość.

Powiadają, że kiedy pewnego znanego rabina nie było w domu, umarło dwóch jego synów. Obydwaj byli niezwykłej urody i oświeceni w Prawie. Jego żona zaniósła

ich do swojej sypialni i przykryła ich ciała białym płótnem. Wieczorem rabin wrócił do domu.

— Gdzie są moi synowie? — zapytał. — Szukałem ich wiele razy w szkole, ale ich tam nie widziałem.

Żona przyniosła mu kubek. Wystawił Pana z okazji zakończenia szabatu, napił się i ponownie zapytał:

— Gdzie są moi synowie?

— Nie będą daleko — odpowiedziała i położyła przed nim posiłek, żeby mógł zjeść.

Kiedy odmówił modlitwę dziękczynną po posiłku, zwróciła się do niego:

— Jeśli pozwolisz, chciałabym ci zadać pytanie.

— Zapytaj zatem — odparł.

— Kilka dni temu pewna osoba dała mi na przechowanie trochę klejnotów, a teraz żąda ich zwrotu. Czy powinnam je oddać?

— Co? — powiedział rabin. — Czy wahałabyś się oddać komuś to, co jest jego?

— Nie — odparła. — Ale uważałam, że lepiej będzie, jeśli nie zwrócę ich, zanim nie powiem tobie o tym.

Zaprowadziła go do sypialni i ściągnęła białe płótno z ciała.

— Moi synowie! Moi synowie! — głośno rozpaczął ojciec. — Moi synowie, światło mych oczu!

Matka odwróciła się i gorzko zapłakała.

Wreszcie wzięła swojego męża za rękę i powiedziała:

— Czyż nie uczyłeś mnie, że nie możemy się ociągać z oddaniem tego, co zostało powierzone naszej pieczy? Pan dał, Pan wziął; błogosławione niech będzie imię Pańskie.

W tamtym okresie, kiedy spotykało nas tak wiele tragedii, wielką radość sprawiło mi jedno z najdonioślejszych wydarzeń w historii. W roku 1948 powstało państwo izraelskie, co stanowiło wypełnienie wielu dawnych proroctw biblijnych o powrocie narodu żydowskiego do ojczyzny.

„Oto zgromadzę ich ze wszystkich krajów, do których ich wypędziłem w przystępie gniewu” — mówi Bóg do proroka Jeremiasza. Powrót ten stanowi część planu, który objawił Bóg, gdy błogosławił ojca Żydów, Abrahama, cały świat miał bowiem stać

się uczestnikiem tego błogosławieństwa. Widziałam teraz, jak plan Boży wypełnia się i byłam przekonana, że tak już pozostanie na wieki. Kiedy prorocy zapewniali, że Bóg zgromadzi swój lud ze wszystkich krańców ziemi, nie wiedzieli, do jak wielu krajów i na jak wiele kontynentów Żydzi zostaną rozproszeni. Ludzie ochocho interpretowali wielkie wydarzenia, których byli świadkami. Ci, którzy nie zaglądali do Biblii od lat, zaczęli badać Pisma, jakby właśnie zostały opublikowane. Zaczytywano się Ezechielem, Jeremiaszem, Amosem w poszukiwaniu wskazówek co do kolejnych wydarzeń.

Rozpoczął się nowy exodus z Rumunii. Naziści wymordowali pół miliona rumuńskich Żydów. Ci, którzy pozostali, mieli już całkowicie dość komunistów, którzy kiedyś wyglądali na wyzwolicieli. We wschodnich prowincjach zajętych przez Rosję Żydów zabierano prosto z ulicy do pracy w radzieckich kopalniach. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem Sowieci zabierali zarówno Rumunów, jak i Żydów. Wywożono ich ciężarówkami, a rodzinie nie mówiono ani słowa. Niewielu wróciło.

Pewien młody człowiek z moich rodzinnych stron w Bukowinie powiedział mi:

— Mój brat przesiedział cztery miesiące ukryty w dziurze za kredensem, żeby uniknąć wywiezienia. Ja wyostałem się tylko w tym, co mam na sobie. Powiedziałem radzieckiemu urzędnikowi, że w zamian za paszport może wziąć sobie moje mieszkanie ze wszystkim, co w nim jest, i wszystkie pieniądze, jakie mam. Dostałem paszport i wyjechałem. Tyle na temat komunizmu — to po prostu okradanie wszystkich ze wszystkiego przez wszystkich.

Tak było. Ludzie oddawali wszystko, co mieli, żeby się tylko wydostać.

Niedługo po narodzinach państwa Izrael Anna Pauker podpisała z nim układ, na mocy którego Żydzi mogli opuścić komunistyczny raj za twardą gotówkę. Rumuńska Republika Ludowa potrzebowała obcej waluty. Sprzedawała Żydów po określonej cenie za głowę, w zależności od tego, ile wiedzy było w tej głowie. Naukowcy, lekarze i profesory kosztowali najwięcej.

Co noc tłumy czekały przed biurem wizowym. Starzy i młodzi, a nawet dziadkowie z niemowlętami owiniętymi kocami spali na chodniku. Opowiadano historię o cudzoziemcu, który zobaczył kolejkę Żydów, ciągnącą się od posterunku milicji po Plac Parlamentu.

— Za czym ta kolejka? — zapytał.

— Za pomarańczami.

— Ale w tym sklepie naprzeciwko sprzedają pomarańcze bez kolejki.

— Tak, ale my chcemy jeść je prosto z drzewa.

Rząd chciał utrzymać „Operację Izrael” w tajemnicy. Specjalne pociągi wyjeżdżały z nieuczęszczanych stacji i nieznanymi bocznymi. Żaden nie wyjeżdżał z Dworca Centralnego w Bukareszcie. Tylko po ciemku z najbardziej odległych przedmieść. Ale każdy był przepelniony.

Co noc ze łzami w oczach wychodziliśmy pożegnać przyjaciół.

— Za rok w Jerozolimie! — ten okrzyk rozbrzmiewał przez wieki z getta i synagog. Wiedziałam, że tym razem była to prawda i moje serce przepelniała radość.

W Księdze Wyjścia jest powiedziane, że „wielkie mnóstwo cudzoziemców” opuściło Egipt razem z Żydami. Dokładnie to samo wydarzyło się ponownie. Wielu uciekało przed komunizmem z podrobionymi wizami wyjazdowymi, udając, że są Żydami. Licznym cudzoziemcom udało się uciec wraz z wyjeżdżającymi tłumami.

Pewien wysokiej rangi oficer milicji powiedział mi:

— Jeśli dasz mi pieniądze i pomożesz mi, abym dostał wizę jako Żyd, bym mógł wyjechać z kraju, to wydostanę twojego męża z więzienia.

Zaufany przyjaciel powiedział mi, że ten milicjant może zrobić to, co obiecał. Jego propozycja dała mi nową nadzieję. Powiedziałam o tym Mihaiovi.

Miał wtedy dziesięć lat. Był wysoki jak na swój wiek, miał wystające kości policzkowe i przenikliwe oczy. W szkole uczył się być synem „wyrzutka społecznego”. Była to trudna lekcja. Mihaio uwielbiał swojego ojca. Niełatwo mu było wytłumaczyć, dlaczego zabrano go od nas i zamknięto w więzieniu. Czasami drżałam o wiarę Mihaia. Kiedy powiedziałam mu o tej nowej nadziei, bardzo się ucieszył. Następnego dnia po jego euforii nie było ani śladu.

— Mamusiu, miałem sen — powiedział. — Widziałem naszego sąsiada, trzymającego w górze swój kapelusz i błagającego dwa ptaki, żeby w nim usiadły. Ale one zatrzepotały tylko skrzydłami i odleciały.

Powiedział, że nic nie wyjdzie z naszego planu. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że milicjant, który zaoferował nam swoją

pomoc, został nagle aresztowany. Mihai otrzymywał wiele ostrzeżeń w snach.

Codziennie znikąco coraz więcej osób. Pewnego razu uwolniono sporą grupę dobrze znanych więźniów. Przyjechali do swoich domów w karetkach pogotowia, pokazali sińce i blizny i opowiedzieli o torturach, którym byli poddawani. Kiedy zrobili już oczekiwane wrażenie, wszyscy zostali ponownie aresztowani.

Płakałam na myśl o tym, że Richard może być właśnie poddawany torturom. Obawiałam się, że może załamać się i wydać swoich przyjaciół. Obiecał, że raczej umrze niż to zrobi, ale kto wie, ile człowiek może znieść? Święty Piotr też obiecał, że nie wyprze się Chrystusa.

Wiedziałam, że jeśli Richard umrze, to spotkamy się w przyszłym życiu. Umówiliśmy się, że będziemy czekać na siebie przy jednej z dwunastu niebiańskich bram. Postanowiliśmy, że nasze spotkanie nastąpi przy Bramie Beniamina. Jezus umówił się na takie spotkanie ze swoimi uczniami. Powiedział, że po swojej śmierci spotka się z nimi w Galilei. I dotrzymał słowa.

4

Moje aresztowanie

Pewnego sierpniowego wieczoru wróciłam późno do domu. Mihai był u przyjaciół na wsi, miałam więc dużo czasu na pełnienie swoich obowiązków. My kobiety wykonywałyśmy pracę duszpasterską potajemnie jako pielęgniarki lub sprzątaczk. Godziny pracy były długie. Była już prawie jedenasta w nocy, kiedy skończyłam sprzątać dom i zajmować się szóstką dzieci pewnego człowieka, którego żona leżała w szpitalu. Miał kiedyś ziemię i pieniądze, ale wszystko to zostało skonfiskowane przez komunistów.

Wracałam do domu ulicami, które dekorowano czerwonymi flagami z okazji rocznicy wkroczenia Armii Czerwonej. Byłam zbyt zmęczona, żeby coś zjeść i postanowiłam, że pójdę prosto do łóżka. Ale kiedy weszłam do mieszkania, okazało się, że mój kuzyn, który zatrzymał się u nas, czekając na możliwość wyjazdu do Izraela, był bardzo zaniepokojony. Bowiem wcześniej tego dnia przyszedł do nas pewien podejrzany nieznajomy.

— Powiedział, że przyszedł z Biura Kwaterunkowego — powiedział mi mój krewny. — Mówił o umieszczeniu większej liczby osób w mieszkaniu. Ale jestem pewny, że tak naprawdę chciał się dowiedzieć, ile masz wyjść z mieszkania z wyjątkiem drzwi frontowych.

Wiedziałam więc, czego mam się spodziewać: nalotu służby bezpieczeństwa. Nie zaskoczyło mnie to. Byłam tak wyczerpana, że prawie mnie to nie obchodziło. Mihai był w Bożych dobrych rękach. I to było naprawdę ważne. Położyłam się spać, powierzając mojego męża, syna i bliskich opiece Bożej.

O piątej nad ranem załomotali do drzwi. Mój kuzyn otworzył im. Usłyszałam krzyki. Buty stukały po schodach.

— Nazwisko?

— Hitler — wyjąkał mój kuzyn, który rzeczywiście nosił to nieszczęsne nazwisko.

— Co?! Aresztować go!

Mój biedny kuzyn próbował im wytłumaczyć, że jego matka wyszła za ortodoksyjnego Żyda z brodą i pejsami, który nazywał się Haskel Hitler i nie chciał zmienić swojego nazwiska, pomimo okropnych kłopotów, jakie się z tym wiązały. Farsa zakończyła się.

Uświadomili sobie, że nie miał on żadnych związków ze swoim imiennikiem. Odepchnęli go na bok i wleźli do sypialni. Dzieliłam ją z pewną drogą siostrą w wierze, która przyjechała do mnie w odwiedziny. Usiadłyśmy na łóżku, chwytając ubrania leżące wokół nas.

— Sabina Wurmbrand? — krzyknął przysadzisty mężczyzna, który nadzorował akcję i nie przestawał krzyczeć, dopóki był w mieszkaniu. — Wiemy, że ukrywasz tu broń. Pokaż nam, gdzie ona jest — teraz!

Zanim zdążyłam otworzyć usta, zaczęli wysuwać kufry, otwierać szafki i wysypywać zawartość szuflad na podłogę. Książki z hukiem spadły z półki. Moja przyjaciółka poderwała się z łóżka, żeby je pozbierać.

— Mniejsza o to! Ubierać się!

Musiałśmy przebierać się przed szczęsioma mężczyznami. Deptali po naszych rzeczach. Od czasu do czasu pokrzykiwali, jakby chcieli zachęcać się nawzajem do kontynuowania tej bezsensownej rewizji.

— A więc nie powiesz nam, gdzie jest ukryta broń! Przewrócimy to miejsce do góry nogami!

— Jedyna broń, jaką mamy w tym domu, jest tutaj — odpowiedziałam i podniosłam Biblię spod ich stóp.

— Idziesz z nami — ryknął przysadzisty mężczyzna — żeby złożyć pełne zeznania na temat tej broni!

Położyłam Biblię na stole i powiedziałam:

— Proszę, pozwólcie nam na kilka chwil modlitwy. Potem pójdę z wami.

Stali, gapiąc się na nas, podczas gdy moja przyjaciółka i ja modliłyśmy się. Objęłam mojego kuzyna i jego matkę.

— Za rok w Jerozolimie!

Ich oczy napęłniły się łzami.

— *Leszana haba biruszalaim!* — odpowiedzieli.

Kiedy mnie wyprowadzali, udało mi się jeszcze chwycić małą paczuszkę z kredensu. Była w niej para pończoch i bielizna. Jakiś dzień lub dwa wcześniej pewna dziewczyna z kościoła dała mi ją

w prezencie. Odłożyłam ją na bok, nie rozpakowaną, nie mając w ogóle pojęcia, że będzie to najważniejsza rzecz, jaką zabiorę ze sobą do więzienia.

Wepchnęli mnie na tylne siedzenie samochodu. Na oczy założyli mi zaciemnione gogle, abym nie wiedziała, dokąd jedziemy. Jazda trwała krótko. Po kilku minutach podnieśli mnie i przenieśli przez chodnik. Moje stopy ledwie dotykały schodów, kiedy wleczono mnie do góry jak związaną owcę. Posiniaczyłam sobie łydki, gdy uderzyłam nimi w narożną ścianę. Zdjęto mi gogle. Uczułam popchnięcie w krzyżach. Drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Byłam w długim, ponurym pomieszczeniu, w którym siedziały stłoczone kobiety — niektóre na ławkach, inne na podłodze. Co chwila otwierały się drzwi i wprowadzano następne. Zobaczyłam tam żonę liberalnego polityka; kobietę z wyższych sfer, której zdjęcia widziałam w gazetach; aktorkę w zwiewnej krótkiej sukience; damę dworu z pałacu królewskiego.

Byłyśmy niebezpieczną zakałą Rumunii.

Do wieczora kilkaset kobiet wciśnięto do tego pomieszczenia. Nalot na ogólnokrajową skalę został przeprowadzony 23-go sierpnia w Dniu Wyzwolenia, jak nazwali go komuniści. Była to rocznica kapitulacji przed Rosją. Ścieśniłyśmy się wokół jedynej żarówki zwisającej z sufitu. Nie dostałyśmy nic do jedzenia ani do picia. Każdą z nas ogarniały jej własne lęki.

Jak długo będzie to trwać? Co stanie się z naszymi dziećmi? Mihai utracił swojego kochanego ojca. A teraz odebrano mu matkę. Nasz dom wraz ze wszystkim, co w nim się znajdowało, zostanie skonfiskowany. Będzie zdany na pomoc przyjaciół, którzy sami byli w niebezpieczeństwie. Kiedy modliłam się o niego, jakaś kobieta poderwała się i zaczęła walić pięściami w drzwi.

— Moje dzieci! Moje dzieci! — krzyczała.

Inne wołały za mężami, kochankami, synami. Kobieta siedząca obok mnie dostała ataku hysterii. Inna wymiotowała. Jedyna ubiczka była przepełniona. Drzwi otwierały się tylko wówczas, gdy wprowadzano następne kobiety, które z oburzeniem krzyczały na strażników:

— Ale ja niczego nie zrobiłam!

— Zostanę zwolniona. Zobaczycie! — powiedziała nam w tajemnicy aktorka.

Sądziły, że ich niewinność uratuje je! Jak gdyby nie był to rok 1950 i państwo komunistyczne.

Każdej z nich powiedziano:

— Jesteś wezwana przez służbę bezpieczeństwa, żeby złożyć zeznania.

Niektórym zajęło to dziesięć lat.

Następnego ranka usłyszałyśmy orkiestry dęte. Trwał pochód z okazji Dnia Wyzwolenia (uczestnictwo w nim było obowiązkowe). Okna były zamalowane. Ale jeśli pochód przechodzi poniżej, to musimy znajdować się w areszcie milicyjnym na głównej ulicy Bukaresztu, która nosiła nazwę: ulica Zwycięstwa.

Słychać było stukot tysięcy butów. Rytmicznie wykrzykiwano hasła: 23 SIERPNIA PRZYNIÓSŁ NAM WOLNOŚĆ.

Jedno z nich było rymowanką: ŚMIERĆ DLA ZDRAJCÓW I ZŁODZIEI, CO W WIĘZIENIACH SĄ OSADZENI!

— Hańba! — wymamrotały zgniłe społecznie elementy.

Nowy hymn narodowy został gromko odśpiewany w rytmie marsza: POŁAMANE ŁAŃCUCHY ZOSTAŁY ZA NAMI...

Nigdy w historii Rumunii nie było tylu ludzi w łańcuchach.

Czas włókł się przeraźliwie. Nie można było zająć się niczym poza czekaniem. Ten dzień i noc, które spędziłam w tym pomieszczeniu, ciągnęły się w nieskończoność, niczym przedsmak piekła, któremu nigdy nie ma końca.

Wreszcie strażnicy przynieśli czarny chleb i wodnistą zupę w dużych metalowych puszkach.

Następnego dnia sierżant zaczął wyczytywać nazwiska. Czyżby wypuszczali nas na wolność?

Moje nazwisko znalazło się na pierwszej liście. Znowu zaciemnione gogle. Wsadzono mnie do furgonetki i zawieziono, jak się później dowiedziałam, do kwatery głównej służby bezpieczeństwa na ulicy Rahova.

Zanim wepchnięto mnie do małej celi, strażniczka zapytała tych, które już tam były:

— Czy któraś z was zna tę kobietę?

Nikt mnie nie znał. Pozwolono mi więc przyłączyć się do nich. Istniała zasada, że nigdy nie umieszczano razem przyjaciół. Nikomu nie pozwalano na żadną pociechę. Każdy musiał być sam. W okresie przesłuchań nigdy nie pozostawiano więźnia w tej samej celi na tyle długo, żeby mógł zaprzyjaźnić się z kimś na tyle, by móc mu zaufać. Każda nowa osoba mogła być donosicielem, osadzonym w celu szpiegowania pozostałych więźniów.

Poza młodą studentką medycyny moimi towarzyszkami były wieśniaczki aresztowane na chybił trafił. Przymusowa kolektywizacja ziemi była wprowadzana za pomocą terroru. Staczano srogie bitwy z urzędnikami wysyłanymi w celu konfiskaty gospodarstw rolnych. Nieznana liczba wieśniaków została skazana na śmierć przez sądy polowe, a prawie sto tysięcy dostało wyroki więzienia.

Po jakimś czasie zostałam przeniesiona do izolatki. W mojej celi znajdowała się tylko metalowa prycza. Żadnego wiadra, którego więzień szuka w pierwszej kolejności. Jakże mi go brakowało! Znaczyło ono więcej niż jedzenie, ciepło czy światło. Dolegliwości żołądkowe wywołane jedzeniem, strachem przed przesłuchaniem, kiedy słyszało się wyczytane swoje nazwisko, nic nie znaczyły dla strażników. Wyprowadzano nas o piątej rano, trzeciej po południu i dziesiątej wieczorem.

Wysoko w murze było małe okienko, zabezpieczone od zewnątrz żelazną kratą. Cella była wilgotna i chłodna, nawet w sierpniu. Jakże cieszyłam się z mojego letniego płaszcza i tych wełnianych pończoch.

Kiedy mnie wezwą? O co będą mnie pytać? Przypomniały mi się dawne kłopoty z policją: oczekiwanie na Richarda w kawiarni naprzeciwko komisariatu; strach, że nigdy stamtąd nie wyjdzie. Pamiętam, jak kiedyś powiedział:

— Piekło to siedzenie w samotności i wspomnianie dawnych grzechów.

Popełniłam ich wiele i teraz wszystkie stanęły mi wyraźnie przed oczami.

Strażnik, który przynosił jedzenie — gotowane płatki owsiane — był starszym człowiekiem. Byli oni lepsi od młodych. Często powiedział jakieś ciepłe słowo.

— Gęstsza dzisiaj! — zamruczał, zerkając na papkę.

Najwyraźniej był jednym z tych, którzy wciąż myśleli, że Amerykanie mogą przyjść i odwrócić wszystko do góry nogami. Pewnego razu zaproponował, że przesznuje list. Ale podejrzewałam, że mogą go wykorzystać w celu zatrzymania moich przyjaciół, którzy go otrzymają.

Ochryplym i ściszym głosem opowiedział mi historię o tym, jak kiedyś zadał pytanie pewnemu oficerowi:

— Dlaczego w więzieniu jest tak wielu ludzi?

— Zajmuj się swoimi sprawami, albo przybędzie jeszcze jeden — odpowiedział oficer.

Strażnik wyszczerzył zęby z zachwytem.

— I co się stało? Następnego dnia aresztowali właśnie jego! Nikt nie wie dlaczego. Nigdy go już nie widziałem. Ach, ci, którzy dzisiaj są sędziami, jutro sami staną przed sądem!

W nocy leżałam, starając się zatkać uszy, żeby nie słyszeć trzasku żelaznych drzwi, stuku podkutych butów i sprośności wypowiedzianych przez strażników.

Gdzieś niedaleko otwarto jakieś drzwi. Za każdym razem myślałam: moje będą następne. Ale zanim przyszli, minęło kilka klaustrofobicznych dni.

Drzwi celi otworzyły się z trzaskiem.

— Odwróć się tyłem!

Wcisnęli mi gogle na oczy. Ogarnęła mnie straszliwa panika, kiedy chwycili mnie pod ramiona i ciągnęli po korytarzach. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Za jeden róg i za następny. Czy mają zamiar mnie rozstrzelać? Mam umrzeć w ciemności, bez żadnego ostrzeżenia!

Zatrzymaliśmy się. Ściągnęli mi gogle. Stałam w dużym pokoju, oślepiąca światłem słonecznym. Strażnik pokazał mi, co mam robić. Usiadłam na prawdziwym krześle i oparłam się dłonią o prawdziwe biurko — duże dębowe biurko poplamione atramentem. Za nim siedzieli dwóch mężczyzn w niebieskich mundurach służby bezpieczeństwa: gruby, wąsaty major w średnim wieku i młody jasnowłose porucznik, który brał udział w nalocie na moje mieszkanie. Porucznik przyglądał mi się z dziwnym zaciekawieniem. Miał jasnoniebieskie oczy. Jego urodziwa twarz przypominała mi kogoś. Z niewiadomego powodu uśmiechał się. Zadrżałam. Po czym uświadomiłam sobie: on wygląda tak jak chłopak, którego kochałam wiele lat temu w Paryżu. Podobieństwo było uderzające.

Spodziewałam się usłyszeć, że wytoczono przeciwko mnie jakieś oskarżenie. Ale major powiedział ze znużeniem:

— Pani Wurmbrand, dobrze pani wie, jakie przestępstwo przeciwko państwu pani popełniła. Teraz więc złoży pani dla nas pełne zeznania na piśmie na ten temat.

— Ale co mam napisać? Nie wiem, dlaczego mnie tutaj sprowadziliście.

— Wiesz bardzo dobrze — powiedział.

Na stoliku stojącym z boku leżało pióro i papier. Napiisałam kilka linijek o tym, że nie mam pojęcia, dlaczego zostałam aresztowana. Spojrzał na nie, pokiwał głową i wezwał następnego więźnia.

Przez całą drogę powrotną do celi miałam zasłonięte oczy. Strażnik wrzeszczał i popychał mnie na ściany. Kiedy drzwi zamknęły się za mną, zobaczyłam jego oko spoglądające na mnie przez wizjer.

— A teraz będziesz tu siedzieć i myśleć, dopóki nie napiszesz tego, co kazał ci oficer! A jak nie, to dostaniesz za swoje!

Tortury. Zastraszanie, szyderstwa, upokorzenie. Tortury umysłowe, mające zmiękczyć nas przed przesłuchaniem. Wrzeszczące głosy nagrane na taśmę. Salwy plutonu egzekucyjnego rozbrzmiewające przez głośniki na korytarzach. Męczarnie bycia matką oddzieloną od dziecka.

Tortury fizyczne. Widziałam skutki tego, co robili w tych celach. Problem polegający na tym, co powiedzieć przesłuchującym, nie był nowy. Zetknęliśmy się już z tym w czasach nazistowskich. Niektórzy uważali, że nie wolno kłamać — nawet żeby ocalić innych. I postępowali zgodnie ze swoimi przekonaniem. Ale miłość jest wyższa od prawdy. Nie powiem złodziejowi, gdzie w moim domu są ukryte pieniądze. Lekarz postępuje słusznie, zwodząc szaleńca trzymającego broń, aby można go było rozbroić. Nienawiść przejawiana przez komunistów jest bezrozumnym szaleństwem. Naszym obowiązkiem jest wprowadzać w błąd tych, których jedynym celem jest sianie zniszczenia.

Major i jego asystent czekali na mnie następnego dnia. W notatniku miał całą listę pytań, które po kolei odhaczał. Ich celem było wydobyć informacji, które mogłyby zostać użyte przeciwko Richardowi.

Pamiętam jedną rzecz, którą powiedział major:

— Każdy człowiek ma swój słaby punkt.

Jasnowłosy porucznik obrócił majestatycznie głowę i uśmiechnął się znacząco.

Będą się starać znaleźć słabości Richarda. Będą bezlitośni, przesłuchując go. Major długo przechodził do sedna sprawy. Wypowiedział krótką przemowę na temat błogosławieństw komunizmu. Zapewnił mnie, że są moimi przyjaciółmi. A także przyjaciółmi pastora Wurmbranda. Chcieliby go uwolnić, ale najpierw potrzebne

są im pewne informacje. Pytał, co Richard mówił kolegom przy tej lub innej okazji.

Odpowiedziałam, że rozmawialiśmy o religii, nigdy o polityce. Major uśmiechnął się bardzo szczerze i powiedział:

— Pani Wurmbrand, Biblia jest pełna polityki. Prorocy, którzy buntowali się i skarżyli na rządy Egiptu. Jezus otwarcie wypowiadał się przeciwko klasie rządzącej w jego czasach. Jeśli pani mąż jest chrześcijaninem, to musi mieć jasno określone poglądy na temat rządu.

— Mój mąż nie interesuje się polityką.

— A jednak był na audiencji u króla Michała, zanim król opuścił kraj. Dlaczego?

— To nie była żadna tajemnica. Król udzielał audiencji wielu ludziom.

— Jak długo trwała ta audiencja?

— Około dwóch godzin.

— I przez cały ten czas nie było żadnej wzmianki na temat polityki?

— Powiedziałam już, że mój mąż nie interesuje się polityką.

— O czym więc mówił?

— O ewangelii.

— A co powiedział król?

— Był do niej nastawiony przychylnie.

Porucznik parsknął śmiechem i szybko przyłożył sobie rękę do ust. Ze spojrzenia majora mogłam wyczytać, że czeka go za to później sroga nagana.

Uśmiech majora stał się jeszcze bardziej szczerzy niż wcześniej.

— Tak więc, pani Wurmbrand, jest pani bardzo inteligentną kobietą. Nie mogę zrozumieć pani postawy. Pani i pani mąż jesteście Żydami. My komuniści uratowaliśmy was przez nazistami. Powinniście być wdzięczni. Powinniście być po naszej stronie!

Przymrużył oczy. Mówił bardzo powoli.

— Pani mąż jest oskarżony o działalność antyrewolucyjną. Może zostać rozstrzelany. Jego koledzy zeznawali. Potwierdzają wysunięte przeciwko niemu oskarżenie.

Serce we mnie zamarło. Kłamał, oczywiście. I obserwował moją reakcję. Starłam się zachować obojętny wyraz twarzy. Kontynuował:

— Może po prostu próbują ocalić własną skórę. Niewykluczone, że to oni są prawdziwymi kontrrewolucjonistami. Nie potrafimy tego ocenić, chyba że powie nam pani wszystko, co mówili ludzie pracujący w misji. Wszystko. Niech pani mówi otwarcie i wyda prawdziwych kontrrewolucjonistów, a pani mąż będzie wolny jutro.

Major odwrócił się i uśmiechnął do swojego pomocnika, zachęcając go do wzięcia udziału w tej radosnej chwili. Jego uczeń powiedział krzepiąco:

— Będzie pani mogła wrócić do domu, do swojej rodziny.

Jakże słodka była to myśl! Odrzuciłam ją i powiedziałam:

— Nie wiem nic.

Na noc wróciłam do celi, posiniaczona przez strażnika. Oparłam stopy o koniec pryczy i pomyślałam: Biedny Richard, jego nogi będą mu zwisać z łóżka. Był taki wysoki.

Co oni z nim teraz robią? W jednej chwili byłam gotowa powiedzieć wszystko, aby znowu być bezpiecznie z nim; po czym drżałam na samą myśl o tym. Chciałam, żeby żył i chciałam, żeby się nie poddał, i te dwa pragnienia ścierały się we mnie.

Major wyglądał na zmęczonego, miał nieco zaczerwienione oczy, ale można było w nich dostrzec błysk triumfu. Nerwowo stukał palcami o blat biurka. Tym razem przesłuchanie skupiało się wokół nazistów. Jakich Niemców znałam? Co nas z nimi łączyło? Czy zdawałam sobie sprawę z tego, że ludzie byli rozstrzeliwani za udzielanie pomocy nazistom? Dlaczego ukrywałam oficerów w swoim domu?

Mogłam zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że nie ukrywałam nazistów. Dla mnie byli po prostu ludźmi. Byli w potrzebie i staraliśmy się im pomóc niezależnie od ich przekonań, podobnie jak wcześniej pomagaliśmy prześladowanym Żydom i Cyganom.

— Nie przyznajesz się więc do winy. No cóż, mamy dla ciebie niespodziankę.

Nacisnął dzwonek pod swoim biurkiem. Strażnicy wprowadzili mężczyznę, którego natychmiast rozpoznałam: Stefanescu był z nami w 1945 roku. Wiedział o wszystkim, co zrobiliśmy dla Niemców.

Podszedł do przodu, powłócząc nogami. Nerwowo zerkał to na majora, to na jego pomocnika, to na mnie. Przełknął ślinę i zamknął oczy, jakby chciał zapomnieć, gdzie się znajduje.

— No więc, Stefanescu — powiedział major, zapalając krótkie cygaro. — Powiedz nam, jak Wurmbrandowie ukrywali nazistów w swoim domu. Znasz tę kobietę, oczywiście?

— Nie.

— Co?!

— Nigdy jej nie widziałem.

— Kłamiesz!

— Nie, proszę pana.

Stefanescu znowu zamknął oczy.

Major wrzeszczał i kłął. Przysunął swoją twarz tuż do twarzy Stefanescu i ryczał na całe gardło.

Oszołomiony Stefanescu powtarzał w kółko, że mnie nie zna. A jednak znał mnie dobrze. I nie był mi życzliwy. Bóg zaślepił go w tamtej chwili.

Wreszcie zniecierpliwiony major kazał strażnikom wyprowadzić go. Przyjrzał mi się badawczo, gasząc cygaro. Bo w końcu, zdawał się myśleć: to absurd — Żydówka, która traci całą swoją rodzinę w nazistowskich pogromach, ukrywa nazistów w swojej piwnicy, narażając życie swojego męża i swoje własne. Zaczął więc pytać mnie o naszą pracę w Armii Czerwonej.

Udało mi się uchylić od odpowiedzi na niebezpieczne pytania. Kiedy później leżałam w celi, przypominałam sobie tych dużych rozchukanych chłopaków z Armii Czerwonej, których kiedyś pełno było w naszym mieszkaniu. Z jakąż cudowną prostotą słuchali słowa Bożego! Jeden z nich tańczył z radości po całym pokoju, kiedy Richard powiedział mu, że trzeciego dnia Chrystus powstał z martwych.

Wydarzenia z tamtego dnia dodały mi otuchy. W mojej izolatce bardzo mocno odczuwałam Bożą obecność. Bóg dał mi siłę i spryt, dzięki którym udało mi się zbyć pytania na temat drukowania Ewangelii w języku rosyjskim i otrzymywania funduszy na pomoc charytatywną. Być może najgorsze jest już za mną.

Kawałek tynku odpadł ze ściany. Podniosłam go i na ciemnym kocu narysowałam duży krzyż — z wdzięczności.

Tym razem przesłuchiwał mnie gruby i łysy mężczyzna, który strasznie się pocił. Długo stałam przed poplamionym atramentem biurkiem, podczas gdy on czytał dokumenty, które wydobywał z brązowej teczki. Jasnowłosy porucznik wypisywał coś z jakiegoś

grubego podręcznika. Od czasu do czasu spoglądał na mnie przebiegle. Jakby wiedział coś, czego ja nie wiem. Z jego przystojnej twarzy emanowało rozbawienie i podekscytowanie jak u dziecka w kinie, które wie, że coś nadzwyczaj okropnego ma się za chwilę wydarzyć. Dłonie łyszego funkcjonariusza były bardzo owłosione. W końcu zaczął. Wszystkie pytania dotyczyły spraw osobistych. Moja rodzina, przyjaciele, podróże zagraniczne. Czasy studenckie w Paryżu. Był ciepły i przyjacielski. Mówił gładko.

— A teraz — powiedział obojętnym, oficjalnym tonem, jak ktoś podający wskazówki odnośnie wypełnienia formularza — chcemy, żebyś opisała historię swojego życia seksualnego.

Nie za bardzo rozumiałam. Cierpliwie wyjaśniał:

— Historia twojego życia seksualnego. Jest takowa, jak przypuszczam? Twoje pierwsze doświadczenie. Pierwszy chłopak, z którym chodziłaś. Jak cię pieścił. Jak odwzajemniałaś jego pocałunki. Co wydarzyło się potem. Czy posiadał cię od razu, a jeśli tak to gdzie? A może zrobił to następny, który się pojawił? Powiedz nam o jego pieszczotach. Porównaj tych dwóch ze sobą. Albo trzech. Opowiadaj o swoich kolejnych kochankach. Chcemy wiedzieć wszystko, szczegółowo, że tak powiem.

Uprzejmy i łagodny ton jego głosu był jak policzek.

Porucznik patrzył na mnie. Przesuwał język po wargach, aż znalazł małą czerwoną krostkę w rogu ust.

— Opisz to wszystko. Chcemy każdego szczegółu. Jestem przekonany, że jest tego dużo.

Próbowałam zachować spokój.

— Nie macie prawa pytać o coś takiego. Możecie oskarżać mnie o bycie kontrrewolucjonistką lub o cokolwiek innego, ale to nie jest trybunał moralności.

Owłosione palce zastukały w blat biurka.

— Jest to tym, czym my chcemy, żeby było. Rozeszła się wieść, że jesteś jakąś tam świętą. My myślimy inaczej. Wiemy, że jest inaczej. A teraz chcemy pokazać twoje prawdziwe oblicze.

Wpatrywał się we mnie bez zmrużenia oka.

— Oblicze dziwki — powiedział porucznik.

— Nie zrobię tego, o co prosicie, oczywiście.

— Zobaczymy!

Łysy funkcjonariusz wybuchnął, zarzucając mnie sprośnymi pytaniami. Cały potok przekleństw wypłynął z jego ust. Pytania

oddzielał od siebie uderzeniami mięsistej dłoni o biurko. Byłam mokra od potu. W głowie mi wirowało. Myślałam, że zemdleję. Nadal nie zgadzałam się na pisanie.

Po godzinie przerwał. Porucznik w międzyczasie wrócił do swojej książki. Robili to już wcześniej i byli tym znudzeni.

— Czas jest po naszej stronie — powiedział łysy funkcjonariusz. Na koniec wyciągnął ostatniego asa z rękawa.

— Twój mąż już przyznał się, że jest zdrajcą i szpiegiem. Jesteś w drodze na wysypisko śmieci.

Wyszedł zza biurka, podszedł do mnie bardzo blisko i powiedział mi prosto w twarz:

— Ale nie wyjdiesz stąd, nie przedstawimy nam faktów ze swojego życia seksualnego.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę.

Cała dygotałam.

Z powrotem do celi po śmierdzących kwasem korytarzach. Gogle zdjęto mi z oczu na chwilę przed wepchnięciem mnie do celi i wtedy po raz pierwszy dostrzegłam numer nad drzwiami.

Siedem.

Byłam w celi 7. Święty numer. Liczba dni stworzenia.

Siedmioramienny świecznik.

Położyłam się na pryczy i szlochałam. Po jakimś czasie nieco się uspokoiłam. Moje ciało leżało tam w ciemności, ale mój duch wzniósł się i wydostał poza obręb więzienia.

Przypomniały mi się słowa: „Jesteśmy ukrzyżowani razem z Chrystusem”. Jeśliby nadeszła pora, kiedy miałabym powiedzieć: „Wykonało się”, to chciałabym tylko, tak jak Jezus, wypowiedzieć słowa pełne miłości do rodziców i przyjaciół, i łotra obok mnie. Bóg był ze mną w mojej niedoli.

— Wstawaj!

Dowódca strażników Mielu, czerwony na twarzy, stał w drzwiach. Wstałam i stanęłam przodem do ściany.

— To nie hotel. Gdyby każdy tu sobie leżał i nabierał ciała, to wszyscy dobijaliby się, żeby się tu dostać. Nauczysz się, po co jest więzienie.

Po rumuńsku Mielu znaczy „baranek”, ale on nie był barankiem. Krążył po korytarzach i oprócz regularnych porannych inspekcji dokonywał nagłych kontroli.

— Obróć się do mnie przodem. Coś do zaraportowania?

— Czy mogłabym dostać łyżkę, aby jeść nią zupę?

— Jeśli chcesz do mnie mówić, to nie otwieraj ust.

Zarechotał z własnego dowcipu. Był z tego dobrze znany w rumuńskich więzieniach. Podobno przed wojną sprzedawał w kawiarniach sznurowadła do butów. Swoje obecne stanowisko zawdzięczał sprawności w donosicielstwie. Każdemu i przy każdej okazji musiał udowadniać, że jest ważny.

W południe pojawiła się tłusta zupa. Trzeba było ją całą wypić. Taki był regulamin. Tych, którzy podjęli głodówkę, karmiono na siłę. Dwóch strażników trzymało więźnia, a trzeci wlewał mu zupę do gardła. Gdy do tego dochodziło, więzień dostawał zupę, która była nieco bogatsza niż zazwyczaj: dodawano żółtko i cukier, żeby wzmocnić „pacjenta”. Podobno zawierała wartości odżywcze równe trzem dniom normalnej zupy. Ludzie więc odmawiali przyjmowania pokarmów w nadziei, że będą karmieni na siłę!

Uśmiechnęłam się na wspomnienie tego, jak wybredny odnośnie jedzenia był Richard zaraz po naszym ślubie. Jakże byłby teraz szczęśliwy, gdyby mógł wrócić do domowej kuchni! Obydwoje znaleźliśmy na pamięć fragmenty z Drugiej Księgi Mojżeszowej — Księgi Wyjścia. Jest w niej mowa o tym, jak potomkowie Izraela wyszli z niewoli w Egipcie. Bóg ich wyzwolił. Co wieczór w celi 7 powtarzałam na głos te wersety. Wiedziałam, że Richard gdzieś tam robi to samo. Bóg nas wyzwoli.

— Gotowa teraz do odpowiedzi na pytania?

Owłosione palce zbliżyły się i czuć było od nich alkoholem i tytoniem.

— Czy zostaniemy zbudowani życiem seksualnym świętej?

Jasnowłosa porucznik spojrział na swojego starszego kolegę, wyglądając na nieco zszokowanego tym ordynarnym otwarciem. Znowu miał swój podręcznik i notatnik. Przypuszczam, że był jednym z nowych „liderów proletariackich”. Bystry młodzieniec prosto z hali fabrycznej, próbujący zdać egzaminy i uzyskać awans, podczas gdy wokół niego pracował młyn przesłuchań.

Łysy funkcjonariusz przez dwadzieścia minut zadawał swoje rutynowe sprośne pytania. Ja powtarzałam, że nie ma prawa pytać o takie rzeczy. Potem przerwał, żeby zapalić papierosa. Sądziłam, że porucznik poprowadzi dalej przesłuchanie. Ale gdy starszy mężczyzna wyszedł, młody oficer nadal się uczył.

Przyglądałam się mu, trzęsąc się nieco. Nie mogłam właściwie skupić wzroku, a kolana odmawiały mi posłuszeństwa. Nie spałam. Jakżeż przypominał mi on tego chłopaka z Paryża z dawnych lat. Gdzie on teraz jest? Obydwaj byli przystojni. Lecz ileż rzeczy może ukryć piękna twarz! Od czasu do czasu spoglądał z nad swojej książki i uśmiechał się znacząco. Jakby znał odpowiedzi na wszystkie ordynarne pytania swojego kolegi.

Stałam przez trzy godziny. Była to dosyć powszechna praktyka. Aby nie marnować swojego wolnego czasu, wzywali więźniarkę i kazali jej stać, podczas gdy sami uczyli się. Podpisywali meldunek, kiedy więźniarka przychodziła, i kolejny kiedy wychodziła. W ten sposób oficjalnie rozliczali się ze swojego czasu.

Starszy mężczyzna wrócił i maglował mnie przez kolejną godzinę. Z kim spałam, co z nim robiłam.

Byłam bardzo zmęczona. Z wyczerpania robiło mi się ciemno przed oczami. Ale znajdowałam siłę, żeby powiedzieć:

— Nie powiem wam tego, czego chcecie.

Byłam jednak w stanie przekazać im jedną informację: Nawet najgorsza „historia życia seksualnego” nie przeszkodzi komuś stać się wielką świętą, jeśli Bóg tego zechce. Maria Magdalena była kiedyś prostytutką. Ale będzie się ją wciąż podziwiać, kiedy o nas już dawno zapomną.

Przesłuchujący mnie odburknął jakąś sprośnością.

— Zabierzcie ją — powiedział.

Jasnowłosa porucznik ziewnął i przeciągnął się, kiedy mnie wyprowadzano.

Po jakimś czasie przeniesiono mnie do celi zbiorowej. Było w niej jak w lodówce. Zbliżała się zima. Mój letni płaszcz i wełniane rajtuzy były przedmiotem pożądania całej celi. Byłam bogata! Próbowałam dzielić się swoimi bogactwami. Płaszcz służył innym za koc, szlafrok i strój galowy na przesłuchania. Rajtuzy dałam dziewczynie, która miała na sobie tylko cienką bawełnianą sukienkę. Potoki łez popłynęły po jej bladej twarzy.

Ku mojemu zdumieniu cztery kobiety w tej celi miały na sobie suknie wieczorowe: wydekoltowane, bez rękawów, z białej satyny, która powłóczyła się po brudnej betonowej podłodze. Nie był to idealny strój do więzienia.

— Poszłyśmy obejrzeć film do ambasady amerykańskiej — powiedziała mi jedna z nich. — Film był o niedźwiedziach polarnych. Kiedy wracałyśmy do domów taksówką, zatrzymano nas i

wyciągnięto na ulicę. Zabrali nas do kwatery głównej służby bezpieczeństwa.

— Wiemy wszystko, jesteście amerykańskimi szpiegami!

Przesłuchiwane bez końca, głodzone i pozbawiane snu nie przyznawały się do winy. Teraz czekały na proces. Eleganckie suknie zamieniły się w łachmany. Odrywały z nich paski materiału na chusteczki, ręczniki i inne potrzebne rzeczy.

Każda kobieta po kolei brała do rąk mój płaszcz, wzdychając z zachwytem, jakby było to futro z norek.

— Czy chciałabyś go ubrać na swoje kolejne przesłuchanie?

— Ach, to bardzo uprzejme z twojej strony. Czuję się jak naga, gdy stoję mając odsłonięte ramiona przed tymi bestiami. W tym poczuje się pewniej.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszystkim nam serca podskoczyły do gardła.

— Ty — powiedział strażnik.

Nie potrafili wymówić mojego nazwiska. Jak wiele innych nazwisk żydowskich Wurmbrand jest pochodzenia niemieckiego i dźwięk „W” sprawiał im kłopot.

— Nakładaj gogle!

Zaczął się marsz na ślepo po śmierdzących korytarzach.

Weszłam do pomieszczenia pełnego męskich głosów. Zapadło milczenie. Czulałam, że gapią się na mnie. Było mi strasznie nieswojo. Nic nie słyszałam, miałam zasłonięte oczy i wiedziałam, że wpatrują się we mnie. Co teraz?

— Ściągnij gogle!

Jasne światła oślepiły mnie. Świeżo odnowione, długie pomieszczenie do przesłuchań nie miało okien. Zapewne znajdowało się pod ziemią. Za długim stołem siedziało dziesięciu umundurowanych oficerów, w tym trzech, których już spotkałam. Przypatrywali mi się.

— Czy wiesz, co się stało z twoim mężem?

— A wy nie wiecie? To wy powinniście mi powiedzieć!

— Usiądź — powiedział wąsaty major. — Jeśli będziesz współpracować i odpowiesz na wszystkie nasze pytania, to może pozwolimy ci zobaczyć się z nim.

Naprawdę wierzyłam, że mogą to zrobić. Nie popełniłszy żadnego przestępstwa. Może odbył się już jego proces i został uniewinniony. Jakże naiwna byłam w tamtych dniach.

Na biurku mieli rozłożone pliki fotografii — mężczyzn i kobiet. Sierżant podnosił je po kolei do góry.

— Kto to jest?

— Kto to jest?

— Znasz tę osobę?

— Znasz tę osobę?

Z nich wszystkich rozpoznałam jednego człowieka. Staralam się zachować obojętny wyraz twarzy i dalej konsekwentnie mówiłam „nie”.

Człowiek ten był naszym drogim przyjacielem. Był to rosyjski żołnierz, który został ochrzczony w naszym domu. Było to zdjęcie z kartoteki milicyjnej, *en face* i z profilu, nie za dobre. Ale jakże się zmienił! Gdzie jest teraz? Cały czas mówiłam: Nie. Nie. Nie. I kręciłam przecząco głową.

Krzyczeli i zastraszali mnie. Pytania. Pytania. Na niektóre nie potrafiłam odpowiedzieć, a na niektóre nie chciałam. Była to długa sesja, hałas i oślepiające światło sprawiały, że byłam zupełnie zdezorientowana. Wirowało mi w głowie.

— Mamy swoje sposoby, żeby zmusić cię do mówienia. Sposoby, które ci się nie spodobają. Nie próbuj nas przechytrzyć. My tracimy przez to czas. Ty tracisz życie.

Powtarzanie, naleganie doprowadzały mnie do obłędu. Moje nerwy były napięte do granic wytrzymałości.

Minęły godziny, zanim odesłali mnie do celi. Położyłam się na słomianym materacu i zaczęłam strasznie głośno szlochać.

— Nie wolno płakać.

Strażnik stanął w drzwiach.

Ale nie byłam w stanie nad sobą zapanować. Moje łzy poruszyły także inne kobiety.

One również zaczęły płakać.

Z tępym wyrazem twarzy strażnik odwrócił się i zamknął drzwi. Szlochałam przez dwie godziny. Potem pozbierałam się i starałam się myśleć. Przesłuchanie przechodziło z tematu na temat i od osoby do osoby. Każdy, którego nazwisko wymieniłabym, zostałby aresztowany i bez końca przesłuchiwany. Nie mogę wymienić żadnych nazwisk. Wydawało mi się, że nie zniosę wielu kolejnych sesji takich jak ta.

Ale kiedy następnym razem wzięto mnie w krzyżowy ogień pytań, zastosowano nową taktykę. Łysy funkcjonariusz, który mnie przesłuchiwał, był sam i uśmiechał się.

— Pani Wurmbrand, ma pani zaledwie trzydzieści sześć lat. Najlepsze lata w życiu kobiety są wciąż przed panią. Dlaczego jest pani taka uparta? Dlaczego nie zgadza się pani na współpracę z nami? Mogłaby pani już jutro wyjść na wolność, gdyby tylko podała nam pani nazwiska tych zdrajców...

Nie odpowiedziałam.

— No to do rzeczy. Każdy człowiek ma swoją cenę, tak samo każda kobieta. Czy zna pani historię o pewnym facecie w nocnym klubie, który zapytał kelnera:

— Ile kosztuje ta blondynka przy barze?

— Bierze sto franków.

— A ta brunetka?

— Ona jest wyjątkowa. Pięćset franków.

— A co z tą dziewczyną, która siedzi w rogu razem z tym mężczyzną?

— Och nie, proszę pana, jest jego żoną. Nie mógłby pan jej mieć za mniej niż tysiąc!

Ryknął śmiechem z własnego dowcipu i wytarł sobie twarz.

— Jest pani uczciwą kobietą. Może pani podnieść cenę. Judasz był głupcem, sprzedając swojego szefa za trzydzieści srebrników. Mógł zażądać trzystu. Powiedz, czego chcesz? Wolności dla siebie i męża? Dobrej parafii dla niego? Zadbilibyśmy o waszą rodzinę. Moglibyście być dla nas bardzo wartościowi. No więc?

Kiedy skończył mówić, w pokoju zapanowało milczenie. W końcu przerwałam je.

— Dziękuję, ale ja już siebie sprzedałam. Syn Boży był torturowany i oddał za mnie swoje życie. Poprzez Niego mogę dotrzeć do nieba. Czy może pan zaproponować wyższą cenę niż ta?

Łysy mężczyzna nagle zaczął sprawiać wrażenie bardzo zmęczonego. Jego głos był zachrypnięty i poirytowany. Zacisnął swoją owłosioną pięść i myślałam, że mnie uderzy. Opuścił rękę. Pogładził się po łysinie i tylko głęboko westchnął.

23-go października była rocznica naszego ślubu. Ale wspomnienia z tego radosnego dnia wprawiły mnie w jeszcze większe przygnębienie.

Nadeszła zima. Mihai zawsze tak łatwo się przeziębiał. Spał snem dzieci, ciągle się wiercił i często zrzucał kołdrę na podłogę. Kto go z powrotem przykryje?

Czasami Mihai był nieposłuszny. Pewnego razu byliśmy na pikniku i napił się wody ze stojącego zbiornika, chociaż mu zabroniłam. Przez wiele tygodni bolało go gardło. Kiedy indziej wszedł na drzewo i spadł. Prawie się wtedy zabił. Kto powstrzyma go teraz przed podejmowaniem ryzyka? Była jego ciocia Zuzanna, którą bardzo kochał. Ale ona miała swoje własne kłopoty. Setki wątpliwości i lęków dręczyły mnie każdego dnia.

W listopadzie dyrektor więzienia przyszedł osobiście do celi. Małej grupie kobiet powiedziano, że powinny być gotowe do wyjazdu za dziesięć minut. Nie pozwolono na żadne pytania. Zalęknione pozbierałyśmy nasze liche gałganki. Spodziewałyśmy się, że albo zostaniemy uwolnione, albo rozstrzelane.

W rzeczywistości zostałam skazana na pobyt w obozie pracy przymusowej. Zarząd więzienia po prostu postanowił, pod moją nieobecność, że dostanę dwadzieścia cztery miesiące. A kiedy minie ten okres, zostanie wydany kolejny wyrok. Byłam jednym z wielu tysięcy więźniów, którzy zostali sklasyfikowani jako „administracyjni”. Byliśmy wysyłani do obozów niewolniczych bez żadnego procesu. Wtedy nie wiedziałyśmy, że zostałyśmy skazane. Obozy stały się wówczas istotną częścią składową gospodarki państwowej. Były rozsiane po całym kraju. „Sabotażyści”, którzy nie wypełniali norm produkcyjnych, Cyganie, przestępcy, duchowni, prostytutki, bogaci burżuje — pełny wachlarz ludzi, którzy nie pasowali do komunistycznego świata, był tam wysyłany w celu reedukacji. Obozy były ogromne, przebywało w nich stale dwieście tysięcy osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Przedział wiekowy rozciągał się od dwunastu do siedemdziesięciu lat. Za pomocą takich właśnie metod była prowadzona „przebudowa socjalistyczna” we wszystkich krajach satelickich.

Państwo robiło, co chciało i publikowało, co chciało. W gazetach nie pojawiała się ani jedno słowo o procesach i wyrokach. Tylko pochwały dla rządu za stworzenie dla wszystkich miejsc pracy. Jakichże cudów on dokonywał! Nie tak, jak na Zachodzie, gdzie były miliony bezrobotnych.

Równocześnie wpływowi mieszkańcy Zachodu wskazywali na Rumunię jako na przykład kraju, któremu w sposób zadowalający udało się rozwiązać problem bezrobocia.

Zanim wzięłam udział w tym „zadowalającym rozwiązaniu”, zostałam przeniesiona do budzącego największą grozę w całym kraju więzienia przejściowego — Jilava.

5

Jilava

Kiedy ciężarówka nagle zaczęła zjeżdżać w dół i podskoczyła na czymś, wszystkie kobiety zapiszczały. Zgasło światło. Rozległ się głuchy szcęk metalu. Zatrzymałyśmy się i zaniepokojone czekałyśmy w milczeniu na rozkazy.

— Ściągać gogle!

Znajdowałyśmy się w dużym podziemnym pomieszczeniu bez okien. Ściany błyszczące od wilgoci. Śliskie kamienne podłogi. Strażniczki w mundurach kłębiące się wokół nas. Przysadzista, umięśniona postać z rudymi włosami kiwnęła palcem i ostrzegła:

— Nazywam się sierżant Aspra¹, surowa z imienia i surowa z natury. Nie zapomnijcie o tym.

Usiadła za stołem na kozłach razem z koleżanką, równie atrakcyjną jak ona. Urzędniczka wpisywała nazwiska do rejestru.

— Wszystkie zbędne ubrania — obwieściła wrzeszcząca Aspra — należy złożyć do depozytu przy przyjęciu do tej placówki. Więc wyskakujcie z ubrań.

Zabrały mój letni płaszcz, ale zostawiły cienką sukienkę i rajtuzy, teraz już całe w dziurach. Sporządzono inwentarz. Po kilku godzinach przemierzałyśmy długie korytarze o półkolistym sklepieniu. Odór zgnilizny wisiał w wilgotnym powietrzu. Za żelaznymi kratami stali wartownicy w furazerkach w kolorze khaki.

Jilava nie była mi całkowicie obca. Był to fort zbudowany w dziewiętnastym wieku. Cele były umieszczone głęboko pod ziemią. Kiedy rozpoczęły się masowe aresztowania, przyjechałam tutaj z dziewczyną, która myślała, że jej przyjaciel jest wśród więźniów. Przejechali palcem po rejestrze i powiedzieli, że nie ma po nim ani śladu.

¹ Aspra — w języku rumuńskim znaczy „surowa”.

Tę samą dwunastokilometrową podróż z Bukaresztu odbyłam ponownie, kiedy zniknął Richard. Wypełniłam obszerne formularze i czekałam wiele godzin, aby usłyszeć, że nic o nim nie wiedzą.

Wcześniej w centrum przesłuchań przez jakiś czas przebywały z nami w tej samej celi dwie piętnastoletnie dziewczyny, które wstąpiły do tajnego ugrupowania patriotycznego.

— Niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli kiedykolwiek miałybyście się dowiedzieć, jak jest w Jilavie w celi numer 4 — powiedziała szeptem starsza z nich.

Sierżant Aspra otworzyła kluczem ciężkie drzwi, zamykane żelaznymi sztabami.

— Ta do celi 4-tej!

Było już blisko południa, a w celi było prawie całkiem ciemno. Słaba żarówka zwisała z sufitu. Po obydwu stronach wysokiego pomieszczenia o półkolistym sklepieniu były ustawione dwa długie rzędy drewnianych łóżek piętrowych. Pomiedzy nimi było wąskie przejście. Na samym końcu było małe okno, zamalowane i okratowane.

Dziesiątki oczu wpatrywało się we mnie.

— Nazywam się Viorica, jestem szefową twojej celi — powiedział jakiś głos.

Ktoś pomachał ręką.

— Dajcie jej miejsce na końcu.

W najciemniejszym kącie celi obok otwartego ścieku stało wiadro pełniące rolę sedesu. Moje łóżko znajdowało się bezpośrednio nad nim. Z tego wiadra korzystało pięćdziesiąt kobiet, z których większość miała kłopoty żołądkowe spowodowane przez obrzydliwe posiłki.

Na górnej pryczy było okropnie duszno i gorąco. Spoczone kobiety leżały na wpół rozebrane. Gdziekolwiek by nie spojrzeć widziało się wychudzone ramiona i krzywe nogi, zapadnięte klatki piersiowe i sińce. Przypominało to średniowieczną kostnicę.

Na niektórych ciałach widać było ślady i blizny po torturach.

Kobiety leżały także na betonie blisko drzwi w nadziei, że uda im się zaczerpnąć nieco powietrza.

— Zupełnie zgłupiały — powiedziała jakaś dziewczyna blisko mnie. — Wilgoć z podłogi jest o wiele bardziej szkodliwa.

Jilava to rumuńskie słowo, które znaczy „wilgoć”. Fort był otoczony fosą. Z czegoś, co wyglądało na małą szubienicę, zwisał

kawałek szyny kolejowej. Wstawaliśmy, kiedy o piątej rano uderzano w nią żelaznym prętem. Do wiadra ustawiała się kolejka. Celę napełniał gwar rozmów. Menażki dźwięczały, gdy wlewano do nich wodę do mycia.

W pierwszy poranek w Jilavie usłyszałam jakiś śpiew.

— To znowu te zakonnice!

Serce mi zadrżało.

— Zakonnice, tutaj w Jilavie? — zapytałam.

— Tak, jeśli Aspra usłyszysz, że kołędują, znowu zwiąże im ręce na plecach. Ostatnim razem zrobiła to na trzy godziny.

Błada, może osiemnastoletnia dziewczyna przestała przeżuwać skórkę od chleba i powiedziała:

— To jeszcze nic! W moim ostatnim więzieniu w Mislei związali kobiety religijne i zakładali im na głowy maski przeciwwgazowe. To było okropne!

W przyległych celach przetrzymywano inne zakonnice. Ściany miały prawie cztery metry grubości. Choć było to bardzo ryzykowne, kobiety mogły jednak porozumiewać się ze sobą, przykładając blaszany kubek do kamiennych ścian i nasłuchując stukania. Dźwięk był w ten sposób wzmocniony i wyraźnie słyszalny. Ale trzeba było nieustannie uważać na strażniczki, które zaglądały przez wizjer.

Wiadomości były przekazywane swego rodzaju więziennym alfabetem Morse'a. Dowiedziałyśmy się, że w czterech celach w naszym skrzydle przebywa dwieście kobiet. A około trzech tysięcy mężczyzn gdzie indziej. A to wszystko w fortecy przeznaczonej dla sześciuset osób!

Człowiek, który idzie do więzienia, dowiaduje się, co to znaczy być na tej ziemi i nie mieć nic do roboty. Nie ma prania, szycia ani żadnej innej pracy. Kobiety z tęsknotą mówiły o gotowaniu lub sprzątanii. Jakże by chciały upiec ciasto dla swoich dzieci, a potem chodzić po domu ze ścierką do kurzu, umyć okna i pościierać stoły. Nie było niczego, na co mogłybyśmy choćby popatrzeć. Czas nie upływał. Stał w miejscu.

— Gdy pomyślę, jak narzekałam, że jestem przepracowana ...

— powiedziała moja sąsiadka. — Byłam chyba szalona.

Kiedy dzieci opuszczają dom, matka zaczyna rozumieć, jaką radością była praca dla nich i jak straszne jest to, że nie ma się nic do zrobienia.

O jedenastej ustawiałyśmy się w kolejce po zupę. Każda kobieta dostawała kromkę czarnego chleba. Uspokojone myślą o zbliżającym się posiłku cierpliwie czekały.

Gdy tylko parujący gar opuścił celę, wybuchały kłótnie. Kobiety kłóciły się o kawałek chleba, który ich zdaniem był większy od tego, który dostały. Zawsze zaczynało się to w ten sam sposób:

— Ty dziwko, wiesz, że dzisiaj ja miałam być pierwsza.

Obrzucały się wzajemnie wyzwiskami. Cela huczała od okropnych wrzasków.

Tym razem drzwi otwały się z hukiem. Weszły strażniczki, uderzając na oślep kijami. Aspra ryknęła:

— Jesteśmy dla was za dobrzy, wy ... Jeśli to się nie skończy, to jutro będziecie głodować!

Rozlana zupa utworzyła kałuże na podłodze. Z ciemnych pryczy dochodził szloch. Kiedy strażniczki wyszły, zatrzaszkując drzwi, ponownie zapanowała wrzawa. Pięćdziesiąt kobiet przekrzykiwało się, domagając się swego, dopóki Aspra znowu nie weszła, obwieszczając wszem i wobec:

— Nie będzie więcej jedzenia — ani dzisiaj, ani jutro!

Gdy tylko strażniczki wyszły, kobiety zaczęły się nawzajem oskarżać, cedząc słowa przez zęby i mrucząc pod nosem. Dziewczyna obok mnie dotknęła mojego ramienia.

— Biedaczko, nic nie zjadłaś.

— Nic nie szkodzi, nie było to zbyt apetyczne.

— To zgniłe marchewki. Państwowa fabryka przetwórstwa warzyw wyrzuciła ich tutaj trzysta ton. Nikt nie chciał ich kupić nawet dla świń. A my jemy je od tygodni. Spójrz — moja skóra jest całkiem żółta. Nazywamy to „marchwica”!

Powiedziała, że ma na imię Elena.

Tęga, władcza kobieta spojrzała na mnie badawczo.

— A ty kim jesteś? Dlaczego tu jesteś? — domagała się odpowiedzi. — Nie powiedziałaś ani słowa, odkąd tu się znalazłaś.

Powiedziałam im, jak się nazywam i że jestem żoną pastora.

— Religijna, hm? Znasz jakieś historie biblijne? — zapytała siwowłosa kobieta ze wsi.

— Tak, opowiedz nam coś — dało się słyszeć kolejne głosy. — Tutaj jest tak nudno.

Ale ta władcza kobieta o męskiej posturze stała się jeszcze bardziej wrogo nastawiona.

— Zamienisz to miejsce w plebanię — rzuciła.

I odeszła, kipiąc ze złości.

— Nie przejmuj się Elsą Gavrioiu — powiedziała Elena. — To stara członkini partii. Jest niezmiernie wdzięczna, że dano jej szansę studiowania jej błędów ideologicznych w instytucie reedukacyjnym Jilava!

Pozostałe kobiety roześmiały się i na chwilę doznały ulgi, zanim przypomniały sobie, że przez najbliższe trzydzieści sześć godzin nie będzie jedzenia.

Aby dodać im otuchy, opowiedziałam historię o Józefie i jego braciach, która ukazuje, jak bieg życia może się odmienić nawet wówczas, gdy wszystko wygląda zupełnie beznadziejnie. Ich twarze pały zainteresowaniem. Wyjaśniłam im więc znaczenie tej bogatej w treści historii:

— Pamiętacie, że ojciec Józefa dał mu wzorzystą szatę. Były w niej zarówno ciemne, jak i jasne nici. I jedne i drugie są częścią życia. Chociaż jego zazdrośni bracia sprzedali go jako niewolnika, został zarządcą wielkiego domu w Egipcie. Po czym koło fortuny zatoczyło się ponownie i został wrzucony do więzienia. A jednak później ustanowiono go władcą całego Egiptu i ocalił kraj przed głodem. Kiedy jego bracia przybyli do niego w poszukiwaniu zboża, nie poznali go i bali się, że ten wielki pan Egiptu może zabrać im ich osły. Tak często jest z nami. Martwimy się o drobiazgi i tracimy z pola widzenia głębokie znaczenie, które może być w nich ukryte. Niektóre smutki są wielkie tylko dlatego, że patrzymy na nie z zawężonej ludzkiej perspektywy. Nie widzimy końca. Józef został w końcu premierem Egiptu i wybawicielem braci, którzy go sprzedali.

Garstka kobiet słuchała, a reszta huczała i skrzeczała jak w ptaszarni.

Spotkałam spojrzenie rudej Viorici.

— Bądź ostrożna — szepnęła staruszka ze wsi. — Jeśli Aspra usłyszy, że mówisz tutaj o Bogu, to będą kłopoty.

Następnego poranka Viorica pojawiła się w przejściu między łózkami.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała, wskazując na mnie palcem. — Głowiłam się całymi godzinami. Ale teraz wiem.

Myślałam, że usłyszała o moim krótkim kazaniu i chciała wymierzyć sprawiedliwość.

— Wiedziałam, że skądś znam twoje nazwisko. Głowiłam się, gdzie ja słyszałam to nazwisko...

Inne kobiety wpatrywały się we mnie. Siedziałam na górnej pryczy jakbym była na jakiejś imprezie towarzyskiej.

— Tak — powiedziała triumfująco Viorica z włosami jak strąki — Ona jest kaznodziejką. Żoną pastora Wurmbranda!

Szefowa celi z dumą wyjaśniała, że jej wujek był przełożonym cerkwi prawosławnej w Bukareszcie. Słyszał przemówienie Richarda na Kongresie Religii.

— Jedyńy spośród czterech tysięcy, który wstał i przemówił jak mąż Boży, podczas gdy wszyscy inni wiwatowali na cześć komunistów — powiedziała Viorica.

— Czy wiecie, że potem wylali ministra do spraw religii?

Zwróciła się do mnie.

— Byłam w waszym kościele. Nabożeństwo było uroczne.

Stałam się więc bohaterką dnia. Zeszłam z mojej czyścicowej grzędę nad wiadrem. Viorica znalazła mi lepsze łóżko oddalone o jakieś trzy metry, które właśnie zostało zwolnione. Tamże złożyła mi wizytę państwową.

— Bycie szefową celi to nie żarty — powiedziała. — Jeszcze jeden taki dzień jak wczoraj i zwariuję.

Viorica miała ogromną władzę. Rekomendowała sierżant Asprze, kto powinien wykonywać upragnioną pracę w pralni. Jakże pokornie kobiety błagały o to, aby pozwolono im prać brudną bieliznę strażników! Była to ciężka praca, ale bez porównania lepsza od siedzenia w ciemności i zaduchu celi numer 4 i nie robienia niczego.

Dostałam moją pierwszą porcję *terczu* — kukurydzy gotowanej w wodzie — i rozglądałam się za czymś, czym mogłabym to zjeść.

— Ona chce łyżki! — drwiła pani Gavrioiu. — Wychłęptaj to!

Próbowałam jeść ten wodnisty, śmierdzący kleik z płytkiego blaszanego naczynia. Ale ściekał mi po brodzie. Chłęptanie wydawało mi się zbyt zwierzęce, więc odstawiłam mój poranny *tercz*.

Nagle pojawiła się zbawienna myśl. Dlaczego nie miałabym upokorzyć się? Nasz Pan zrobił to aż do końca. Przypomniał mi się bohater biblijny Gedeon, który wyruszył na wojnę z wrogami Izraela. Bóg powiedział mu, aby wziął ze sobą tylko tych żołnierzy, którzy chłęptali wodę z rzeki swoimi językami „tak jak chłepcze

pies” — to znaczy tych, którzy byli gotowi przyjąć skrajne upokorzenie.

Kiedy pojawił się następny posiłek, wychleptałam go.

Później Elena pokazała mi, jak można odciąć kawałek drewna i fragmentem rozbitej szyby wyźłobić go tak, żeby powstało coś przypominającego łyżkę.

Pewna kobieta z więzienia Mislea powiedziała, że karmiące matki i kobiety w ciąży otrzymywały tam dodatkową rację żywnościową.

— Ale potem się to skończyło.

— Co się stało?

— Połowa kobiet natychmiast powiedziała, że jest w ciąży, a pozostałe były zazdrosne i robiły sceny.

Żadna z nas nie była na tyle gruba, żeby uchodzić za kobietę w ciąży, choć niektóre zaczynały puchnąć z głodu. Dopiero później dowiedziałyśmy się, że głodzenie było oficjalną polityką. Dzięki niemu byliśmy apatyczne i przez to sprawiałyśmy mniej kłopotów. A kiedy potem chcieli ludzi do obozów pracy, myśl o lepszym jedzeniu czyniła z nas zapalonych „ochotników”.

Zwykle gromadziłyśmy się wokół pryczy zakonnic.

— Wykorzystaj swoje doświadczenia z pracy w stowarzyszeniu na rzecz kobiet — uchroni nas przed tymi ciągłymi sprzeczkami — powiedziała pani Stupineanu, najbliższa sojuszniczka Eleny.

Była to wysoka, dostojna kobieta. Została wdową i była dosyć dobrze sytuowana. Dopóki nie nastał komunizm. Potem, utraciwszy wszystko, zarabiała na życie, sprzedając świece i sprzątając kościół, którego była kiedyś szczerą patronką. Opowiedziała nam dziwną historię.

Pewnego poranka, kiedy stała przy swoim stole ze świecami, zobaczyła jakiegoś nieznajomego. Przeżegnał się nie od prawej do lewej jak prawosławni, lecz po katolicku od lewej do prawej. Kupił świece, ale najwyraźniej słabo znał rumuński. Okazało się, że jest studentem seminarium z Francji, podróżującym po Europie. Jakże był przygnębiony prześladowaniami Kościoła, których był świadkiem!

Pani Stupineanu posłużyła się swoim francuskim i powiedziała mu więcej. Bo przecież dokładnie w tym kościele przed tym ołtarzem oprychy z milicji ohydnie sponiewierały księdza!

Następnego dnia pani Stupineanu została aresztowana. Francuz był agentem komunistycznym. Przedstawiono jej do wyboru

dwie możliwości: albo będzie informować służbę bezpieczeństwa o osobach chodzących do kościoła — kim są i co mówią — albo pójdzie do więzienia.

— Jestem w Jilavie już prawie rok — powiedziała.

Miała czterdzieści sześć lat i zupełnie siwe włosy.

Były tam też dwie siostry katolickie, emanujące spokojem i dobrocią. Bez słowa skargi doglądały starszych kobiet. Obmywały obolałe ciała. Śpiewały pieśni. Niosły pokrzepienie tam, gdzie nie było już żadnej nadziei.

— Ale czy wolno wam śpiewać? — zapytałam na naszym pierwszym spotkaniu.

— Wolno nam śpiewać, a im wolno nas bić — odparła siostra Weronika.

Siostra Zofia, młodsza z nich, pokazała świeże sińce na swoich ramionach i szyi.

— Śpiewaliśmy bardzo cicho, ale ktoś doniósł na nas. Wpadli tutaj i zaczęli nas kopać, bić i policzkować. Później sierżant Aspra zakazała wszelkich rozmów. Ale nie sposób zmusić pięćdziesiąt kobiet do milczenia!

Zofia grała na organach w kościołach i prowadziła nas w śpiewie. Niektóre kobiety znały pieśni napisane dla Armii Pana, ruchu wywodzącego się z terenów wiejskich, zbliżonego charakterem do Armii Zbawienia.

Większość więźniarek była z Kościoła prawosławnego. Nie umiejące czytać ani pisać kobiety ze wsi straszliwie bały się umrzeć bez ostatniego namaszczenia, dokonanego przez popa. Wierzyły, że stałyby się duchami, które nie będą mogły wejść do nieba. Zakonnice wypowiadały więc formuły z nabożeństwa żałobnego i chociaż kobiety te nie były do końca pewne, czy to zadziała, było to lepsze niż nic.

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie — śpiewnie recytowały zakonnice. — Niech odpoczywa na zielonych pastwiskach.

Zielone pastwiska. Byłyśmy pod ziemią. Nad naszymi celami rosła trawa. Pasły się tam krowy. Jakże muszą być szczęśliwe, będąc na słońcu i mając mnóstwo jedzenia!

Wśród zakonnice w Jilavie były matki przełożone, nowicjuszek i siostry świeckie, które zajmowały się pomocą potrzebującym. Osiemnastoletnie dziewczęta i sześćdziesięcioletnie kobiety. Kiedy rząd zdelegalizował Kościół grecko-katolicki, mnisi, księża i za-

konnice, którzy nie zgodzili się na przyłączenie do Kościoła prawosławnego (kontrolowanego przez komunistów), zostali uwięzieni. W więzieniach spotkali się ze swoimi braćmi z Kościoła rzymsko-katolickiego.

Zastępcą sierżant Aspary była kapral Georgescu, nieciekawa, tępa dziewczyna z płaską twarzą i beznamiętnym głosem. Zabierała więźniarki na ćwiczenia.

— Kiedy mówię wyłazić na zewnątrz, to żadna nie ma być ostatnia. Wszystkie wychodźcie naraz!

Pięćdziesiąt kobiet nie może równocześnie przejść przez jedne drzwi. Ale nie można też sprzeczać się z Georgescu.

— Kiedy wydaję rozkaz, musicie być posłuszne — wycodziła przez zęby.

Kobiety chichotały za jej plecami, imitując ją, jak mówi przez nos, i w końcu dosłownie dusiły się ze śmiechu. Ale gdy zaczynała wrzeszczeć, wybiegały co sił z celi. Stare i schorowane zawsze były przez nią bite, jako że były ostatnie w tym pędzie do drzwi.

— Czy nie znasz litości? — zawołałam. — Jest napisane, że tym, którzy nie okazują litości, Bóg nie okaże litości.

— Nie, nie znam — zaskrzeczała. — I nie chcę znać.

Ale nawet Georgescu miała słaby punkt. Chociaż przez cały mój pobyt w celi numer 4 nie udzielała nikomu pozwolenia na leczenie, to jednak kobietom, które bolały zęby, pozwalała na wizytę u dentysty.

Ona również cierpiała z powodu bólu zębów. Sama dobrze wiedziała, jak to jest.

Jakże drętwe były te strażniczki!

Przywykłam do ludzi, którzy kochali, nienawidzili, reagowali w jakiś ludzki sposób. Ale te dziewczyny w mundurach zostały zamienione w marionetki. Jeśli był rozkaz, żeby bić, to biły. Równie dobrze mogłybyśmy być dywanami. A jeśli był rozkaz, żeby zwolnić tempo, ignorowały nas. Przeszły przez szkoły służby bezpieczeństwa, w których wymagane było ślepe posłuszeństwo. Większość z nich pochodziła ze wsi i nigdy nie miała czegoś równie eleganckiego, jak ich mundury, ani tak drogich zabawek, jak ich pistolety. Rządziły Rumunią i Rumunia była ich światem.

Dyktatura proletariatu była w ich wykonaniu skierowana głównie przeciwko nauczycielkom, żonom profesorów i innym

osobom ze świata kultury. Nie wyływało to jedynie z urazy żywej przez niewykształcone masy. Zostały poddane indoktrynacji i wpojono im przekonanie, że „burżuazyjni intelektualiści” zagrażają rozwojowi światowego komunizmu. Nadal wierzyły w partię i jej obietnice.

Patrząc na Sandę, można by pomyśleć, że jest jedną z najbardziej trzeźwo myślących osób w celi. Była młoda, wysoka, miała wyraziste oczy i długie ciemne włosy. Powiedziała mi, że na miesiąc przed aresztowaniem ukończyła studia techniczne. Jej delikatny głos jakby muskał powierzchnię różnych spraw. Nigdy nie było wiadomo, na czym następnie się zatrzyma. Została aresztowana z powodu swojego brata, który należał do partyzantów pułkownika Arsenescu, walczących w górach. Niektóre jej wypowiedzi z uniwersytetu zostały przekazane służbie bezpieczeństwa.

Czasami kiedy rozmawialiśmy, jej wzrok stawał się przerażająco otępiały. Głos zamierał jej w pół słowa. Widziałam to już wcześniej u więźniów i zaniepokoiłam się.

Pewnego wieczoru prycze wokół Sandy opustoszały.

Jakaś kobieta wgramoliła się do mnie na górny poziom.

— Proszę, pozwól mi posiedzieć tutaj z tobą — błagała. — Sanda zachowuje się tak dziwnie. Myślę, że znowu będzie miała jeden ze swoich ataków.

Poszłam do Sandy, żeby się jej przyjrzeć. Łzy spływały po jej twarzy w sposób zupełnie niekontrolowany. Jej długie palce wykręcały nerwowo kosmyk włosów.

Nagle zawołała:

— Nie wiem, nie pamiętam, nigdy w życiu go wcześniej nie widziałam...

Viorica nadbiegła przejściem między pryzkami.

— Co za pech! — zajęczała. — Dlaczego jej nie zabiorą? Jakbym nie miała wystarczająco dużo na głowie.

Kobiety zęgnęły się w panice.

Sanda oddychała ciężko — twarz jej poczerwieniała. Po czym z przenikliwym skowytym, jakby zwierzęcia, którego noga uwięzła w sidłach, wyskoczyła z łóżka. Wymachiwała rękami. Jej czarne włosy rozwiewały się. Uderzała w każdego, kogo napotkała na swojej drodze. Chwyliła stos brudnych misek leżących na parapiecie i cisnęła nimi w stronę głowy Viorici. Nie trafiła i miski walnęły w drzwi.

Głowy schowały się pod kocami. Wrzaski i rozpaczliwy płacz napęłniły całe pomieszczenie.

Dwie dziewczyny mocowały się z Sandą. Przepychały się tam i z powrotem w wąskim przejściu. Viorica wrzeszczała, udzielając bezużytecznych porad.

— Chwyćcie ją, podetnijcie jej nogi! O Boże, o Boże!

Zdawało się, jakby wtargnął tam legion niewidzialnych demonów.

W końcu siostra Weronika, która zachowała przytomność umysłu, zarzuciła od tyłu koc na głowę Sandy. Zwały się na podłogę. Dwie dziewczyny trzymały Sandę. Przestała się wić. Uspokoiła się. Przeniosły ją na pryczę, nieprzytomną, w podartym ubraniu i mokrą od potu.

To, co wydarzyło się później, przyprawiło mnie o dreszcze.

Z drugiego końca celi dobiegł męski głos.

Zimny, opanowany głos przesłuchującego. Zadający pytania. Te same pytania. Na okrągło.

Trzęsąc się, poszłam na drugi koniec celi. Błada młoda dziewczyna leżała skulona z kolanami przyciśniętymi do piersi i była sparaliżowana ze strachu.

Zaczęła udzielać odpowiedzi swoim własnym głosem:

— Nie wiem, nie byłam tam.

Potem krzyki:

— Proszę, nie bij mnie! Proszę, nie. PROSZĘ. Aaaaach!

Miała otwarte oczy. W straszliwym transie przeżywała ponownie przesłuchanie, które przeszła w celi służby bezpieczeństwa. Z grozą i mechaniczną dokładnością imitowała niski głos przesłuchującego i dysząc, odpowiadała litanią „nie wiem”. Wydawała też odgłosy przypominające dławienie się i krztuszenie, jakby w wyniku bólu zadawanego podczas tortur.

Był to dopiero początek.

Przez całą godzinę celę napęłniała przeraźliwa kakofonia krzyków i łkań. Kolejne kobiety rozklejały się. Zdawało się, jakby jakaś zła siła otoczyła nas w cuchnącej ciemności. Jedyna żarówka rzucała szaleńcze cienie na półkolistę sklepienie.

Początkowo byłam zupełnie oniemiała i zaszokowana.

Potem poczułam, jak coś nabrzmiewa w moim sercu niczym żelazo rozgrzewane do czerwoności w ogniu i sama zaczęłam na

nowo przeżywać swoje przesłuchanie. Noce strachu, niepokój o to, co robią z Richardem, co dzieje się z Mihaiem.

Modliłam się, żeby nie zwariować. Nie robiłam tego świadomie, ale pozwalałam słowom, by płynęły jak strumień. Zakonnice robiły to samo.

Kobiety tłoczyły się wokół naszych prycz, jakby było to jedyne bezpieczne miejsce w piekle. Więźniarki wciskały się blisko mnie, ściskając kurczowo moje dłonie; zupełnie jakby uciekały z jakiegoś potwornego pogromu.

Strażniczki były już wcześniej świadkami takich tragicznych scen. Trzymały się z daleka.

Sanda, która podpaliła lont, spała i niczego nie słyszała.

Odgłosy szlochania zaczęły cichnąć. Po godzinie tylko sapnięcia wyczerpanych kobiet dochodzące z ciemności zakłócały ciszę. Uczucie strachu ustąpiło.

Leżałam jeszcze długo i modliłam się w duchu:

— Panie, skoro sprawiłeś, że mam jakiś wpływ na te kobiety, to obdarz mnie także mądrością serca, abym mogła pozyskać ich dusze dla Ciebie.

Na zewnątrz w długim korytarzu kroki strażniczki oddalały się, stając się coraz słabiej słyszalne, i gdzieś w odległej części więzienia wielkie drzwi zamknęły się z głuchym hukiem. Wydawało mi się, że słyszę kobietę kaszlącą w innej celi. Różne ciche, stłumione odgłosy niosły się echem po ogromnym labiryncie Jilavy, w którym trzy tysiące dusz usiłowało zasnąć i zapomnieć.

Następnego poranka stanęłam twarzą w twarz z Elszą Gavrioliu, starą członkinią partii. Chodziły słuchy, że jest była oficer służby bezpieczeństwa, która wypadła z łask. Wiele ofiar czystek przeprowadzanych w partii trafiało obecnie do więzień.

Elsa wystawiła swoją wielką szczękę w moją stronę.

— Zaczynaj znowu głosić tutaj te swoje kazania, a zacznę łomotać w drzwi, dopóki nie przyjdzie strażniczka.

— Elso, czy nadal wierzysz w partię? — zapytałam.

— Oczywiście. Nie zmieniłam swoich przekonań. Moje aresztowanie było całkowitą pomyłką.

— Moje aresztowanie również nie zmieniło mojej wiary. W rzeczywistości jest jeszcze mocniejsza. Chcę mówić ludziom, jakiego przyjaciela mają w Jezusie.

— Cała cęla zostanie przez ciebie ukarana. Nie mam zamiaru cierpieć za ciebie i twojego Boga. A poza tym to i tak za bardzo ci nie pomógł.

— Ten Bóg, którego tak nie znosisz — zastanawiałam się na głos — jakiego rodzaju istotą On jest? Jeśli mówisz: „Nie lubię Jacka”, to dlatego, że wiesz, jaki ma on charakter. Jakie jest twoje wyobrażenie Boga?

— Ha!

Z wyraźną przyjemnością skorzystała z okazji, by udzielić książkowej odpowiedzi. Bóg jest więc fanatykiem, który nie pozwala nauce mówić prawdy. Jest patronem wyzyskiwaczy proletariatu. Za pieniądze, które wyciskają z biednych, budują dla Niego kościoły. Błogosławi On broń używaną przez obydwie strony konfliktów zbrojnych.

— To, co nazywasz Bogiem, jest bez wątpienia bardzo niemiłe — powiedziałam. — Bóg, którego ja kocham, jest inny. Dzielił On biedę robotników. Wychowywał się wśród uciskanych. Karmił głodnych i uzdrawiał chorych. Uczy miłości. Umarł za nas...

— Miłość! — jej głos załamał się. — Jaki z niej pożytek? Przynajmniej dla mnie. Mówię ci, cała jestem nienawiścią! Gdybyś wiedziała, jak bardzo nienawidzę tych zdradzieckich towarzyszy, którzy mnie tutaj wsadzili. Chciałabym, żeby poszli do piekła! Całe swoje życie oddałam partii i oto co mi zrobili.

Pochyliła głowę. W kąciku jej oka zakręciła się łza. Nie wyglądało na to, żeby mogła jeszcze cokolwiek zrobić w tej chwili.

— Modlić się? Przebaczyć im, Ojczy? — syknęła. — Nie uznaję przebaczenia, to wszystko kłamstwa.

Zaczęła płakać.

— Wszystko jedno — szlochała. — Jeśli przyjdą Jankesi, zostaną powieszona. Jeśli komuniści zostaną, będę siedzieć w więzieniu. Przebaczenie!

Łzy lały się strumieniami. Po chwili usiadła i końcem spódnicy wytarła swoją szarą twarz. Po czym zaczęła mi się przyglądać bądawczym wzrokiem.

— Sabino Wurmbrand, jesteś przebiegła. Każę ci przestać głosić kazania, a po pięciu minutach głośisz kazanie do mnie.

Ale tym razem pani Gavriloiu nie groziła, że wezwie strażniczkę.

Teraz wszyscy w celi numer 4 mnie znali. Kobiety przychodziły do mnie na lekcje francuskiego i niemieckiego.

— Wszystkie lekcje pani Wurmbrand rozpoczynają się od słów *Dieu* lub *Gott* — śmiała się Fanny Marinescu, moja najlepsza uczennica.

Niektóre przychodziły do mnie dla zabicia czasu. Inne uważały, że przyda im się to, kiedy zostaną uwolnione. W Bukareszcie pełnym wojsk alianckich tłumacze będą bardzo poszukiwani.

Fanny miała dwadzieścia pięć lat, krótko przycięte włosy i duże okrągłe oczy. Była cicha i nieśmiała. Jej mąż i matka też byli w więzieniu.

Po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą na dziedzińcu po porannym przeliczeniu więźniów. Sierżant Aspra i jej pomocnice wykrzykiwały notowania niczym bukmacherzy.

— Spójrz, źdźbło trawy — wyszeptła. — Że też upodobało mu się rosnąć właśnie tu.

— Jakże potężną siłą jest życie!

Przyłożyła trawę do ust.

Stałyśmy się bliskimi przyjaciółkami. Nasze lekcje francuskiego były prowadzone w ten sposób, że pisałyśmy na podeszwach butów posmarowanych mydłem. Do Jilavy nie dostarczano niczego. Ani papieru, ani ubrań, ani bielizny, ani paczek z domu. Ale od czasu do czasu rzucano DDT. Jeśli roztało się je na namydlonej podeszwie, to można było dosyć wyraźnie pisać na niej drzazgą.

Czasami musiałyśmy przerywać lekcję, ponieważ chwycił ją ból.

— Nie wiem, co to jest — z trudem łapała powietrze. — Przychodzi falami.

Ale wizyta u lekarza była praktycznie niemożliwa. Czasem po długiej przerwie mogła pojawić się sanitariuszka. Chore kobiety tłoczyły się wokół niej, krzycząc i błagając o pomoc i lekarstwa. Sanitariuszka zezwalała, aby trzy lub cztery „pilne przypadki” — te, które sprawiały najwięcej kłopotów — udały się do izby chorych.

Leczenie przybierało dwie formy: węgiel na biegunkę; aspiryna na wszystko inne.

Jakiś czas potem Fanny Marinescu zemdlła. Wyniesiono ją na kocu. Po kilku dniach wróciła: lekarz stwierdził gruźlicę jelitową.

— Obiecali, że zrobią mi operację — wyszeptła, uśmiechając się blade.

Po kilku tygodniach Fanny została przeniesiona do szpitala więziennego, gdzie zmarła.

Okazało się, że nie była chora na gruźlicę, tylko na raka.

Później w obozie pracy spotkałam matkę Fanny Marinescu i musiałam przekazać jej wiadomość o tej tragedii.

Po drugiej stronie przejścia na pryczy znajdującej się naprzeciwko mojej była pani Ioanid. Jej syn był w górach w oddziałach ruchu oporu pułkownika Arsenecu. Jej dwie córki były również w więzieniu — jedna w Mislei, a druga z nami w Jilavie, ale w przyległej celi.

Przez małą dziurkę, którą wydrapała w zamalowanym oknie, zobaczyła swoją córkę, chodzącą po dziedzińcu więziennym. Każdy przyłapany blisko tej dziurki był natychmiast karany. Ale sześćdziesięcioletnia pani Ioanid była gotowa podjąć wszelkie ryzyko, żeby choć przez chwilę spojrzeć na swoje najmłodsze dziecko. Gdy tak patrzyła, łzy spływały jej po twarzy.

Czasami z ogromnym trudem wdrapywała się na moją pryczę i opowiadała o swoim mężu i dzieciach. Pytała o Richarda, który był znany wielu więźniom z imienia. Jak spotkaliśmy się? Czy zawsze był pastorem? Żyd nawrócony na chrześcijaństwo? Czy to nie rzadkość?

— To długa historia — powiedziałam. — I smutna, czasami bolesna, ale też radosna.

Aż do tej pory nie pozwalałam sobie na sięganie pamięcią daleko wstecz. Ale pani Ioanid słuchała tak cichutko, siedząc w bladym świetle, które rzucało cień na jej pomarszczoną twarz, że wydawało mi się niemalże, jakbym mówiła do samej siebie.

Od czasu do czasu mruknęła: „Tak?“, albo westchnęła ze zdziwienia nad tą, z czym muszę się zgodzić, dziwną historią.

6

Moje nawrócenie

Swoją opowieść rozpoczęłam od mojego pierwszego spotkania z Richardem. Miał on wtedy dwadzieścia siedem lat, a ja byłam o cztery lata młodsza.

Skręciłam na ulicę w Bukareszcie, na której mieszkali Wurmbrandowie. Mój wujek regularnie ich odwiedzał, a ja towarzyszyłam mu po raz pierwszy. Spojrzałam do góry, żeby obejrzeć dom. Na balkonie stał młody mężczyzna i miał taką nasrożoną minę, że prawie się odwróciłam. Zobaczywszy mojego wujka, pomachał i zszedł na dół. Kiedy powitanie i grzeczności zostały zakończone, powiedział mi otwarcie, dlaczego był taki rozgniewany.

— Moja matka męczy mnie, żebym się ożenił. Ma już odpowiednią dziewczynę — dziedziczkę rodzinnego przedsiębiorstwa, dwóch domów i miliona w posagu.

— Brzmi całkiem dobrze.

— Tak, nie mam nic przeciwko temu, żeby mieć to przedsiębiorstwo i spadek — roześmiał się. — Ale ta dziewczyna mi się nie podoba! Matka mówi jednak, że to najlepszy sposób, jeśli chcę, abyśmy wszyscy byli bogaci. Wyszedłem na balkon i zobaczyłem ciebie. Pomyślałem sobie — dodał żartobliwie — że gdybym mógł mieć dziewczynę taką jak ty, to nie obchodziłby mnie ten milion.

Nie wróciłam do Paryża. Znalazłam pracę w Bukareszcie i spotykaliśmy się co wieczór. Richard i ja odkryliśmy, że mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego. Obydwoje byliśmy biedni jako dzieci, obydwójce byliśmy Żydami, którzy odstawili na bok swoją religię.

Richard był dobrze zapowiadającym się człowiekiem interesu, który dzięki swojej błyskotliwości po raz pierwszy w życiu zarabiał dobre pieniądze. Lubił je wydawać, więc chodziliśmy razem do klubów nocnych i teatrów i niewiele myśleliśmy o przyszłości. Jednakże z jakiegoś powodu powiedział mi pewnego wieczoru:

— Życie ze mną nie będzie łatwe. Będiesz przy mnie dużo cierpieć.

Byliśmy jednak za bardzo zakochani, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Mieliśmy ślub z oprawą religijną. Lampka wina została rozbita o podłogę zgodnie z tradycją. Miała nam przypominać o Jerozolimie deptanej przez pogan.

Szczęście trwało niecały rok. Wówczas Richard zaczął przewlekłe kaszleć. Wrócił od lekarza blady jak ściana. Była to gruźlica: na jednym z płuc pojawiła się plama. Będzie musiał natychmiast pojechać do sanatorium.

W tamtym czasie gruźlica była przewlekłą chorobą, która często kończyła się zgonem. Wydawało mi się, jakby Richard został skazany na śmierć. Była to dla mnie straszliwa tragedia, jakby ktoś spletał mi okrutnego i potwornego figla w chwili mojego największego szczęścia.

Kiedy Richard wyjechał do górskiego sanatorium, zamieszkałam z jego matką. Była miła, ale wiele wieczorów przeplakałam w łóżku.

Co dwa tygodnie jechałam pociągiem, żeby go odwiedzić. Okolica była piękna i spokojna. Wokół roztaczały się wspaniałe widoki na wzgórza i doliny zatopione w zielonych lasach. Po pewnym czasie Richard wyglądał nawet na zadowolonego z pobytu w tamtym miejscu.

— Po raz pierwszy w swoim życiu odpoczywam — wyznał.

Wyglądał na wdzięcznego i stan jego zdrowia poprawiał się. Ale zachodziły w nim też dziwne zmiany.

— Myślałem o przeszłości. O wszystkich ludziach, których skrzywdziłem. O mojej matce. I wielu dziewczętach, których nie znasz. Całe życie myślałem tylko o sobie.

— Nie smuć się tym — powiedziałam. — Ja także wiodłam takie życie. Taka jest młodość.

Pewnego dnia zobaczyłam go, jak czytał książkę, którą dostał od jednej z pacjentek sanatorium.

— To o braciach z Ratzbony — powiedział. — Założyli zakon, żeby nawracać Żydów. Tacy ludzie jak oni modlili się o mnie, podczas kiedy ja trwoiłem swoje życie.

Mówił o Jezusie Chrystusie. Niczym innym nie mógłby mnie bardziej zaszokować. W tamtym okresie w ortodoksyjnych rodzinach żydowskich takich jak moja wypowiedzenie imienia Chrystus było zabronione. Musieliśmy odwracać głowę w inną stronę, przechodząc obok kościoła. Myślałam, że wyrosłam z mojego surowego

żydowskiego wychowania. Ale już samo to, że Richard w ogóle myślał o takich sprawach, strasznie mnie zezłościło.

Znałam całą historię prześladowań mojego narodu, jakie spotykały go z rąk chrześcijan: jak Żydzi byli zmuszani do przyjęcia chrztu i jak całymi tysiącami zabijali najpierw swoje dzieci, a potem samych siebie, żeby tylko nie zmienić swojej religii; jak byli zmuszani do uczęszczania na msze katolickie i zatykali sobie uszy woskiem, aby nie słyszeć tego, co uważali za bluźnierstwo.

Również to, co widzieliśmy wokół nas, nie było zachęcające. Kościół prawosławny był mocno antysemicki. Tak samo Kościół luterński. Największa antysemicka organizacja w kraju nosiła nazwę Narodowo-Chrześcijańska Liga Obrony. Wyglądało na to, że jej działalność polegała głównie na biciu studentów, którzy byli Żydami, i rozbijaniu okien wystawowych w żydowskich sklepach.

Nie byłam więc w stanie zrozumieć, co z przeszłości lub teraźniejszości mogłoby przekonać Richarda, żeby został chrześcijaninem. Nikt mi nigdy nie wyjaśnił, o co w tym tak naprawdę chodzi.

Richard powoli wracał do zdrowia. Próbowałam rozmawiać z nim o dobrych czasach, które dla nas nadejdą, kiedy wróci do Bukaresztu. On natomiast starał się powiedzieć mi o swoim odkryciu Nowego Testamentu, w którym jest opisane życie Chrystusa. Wcześniej nie myśleliśmy o tym, żeby mieć dzieci. A teraz Richard mówił o tym, jak powinniśmy je wychowywać.

Okres rekonwalescencji przechodził w wiosce w górach. Wydarzyło się tam coś przedziwnego. Pewien stary człowiek, cieśla, spędził z nami cały dzień. Kiedy usłyszał, że Richard jest Żydem, oczy mu rozbłysły z podekscytowania. Położywszy swoją szorstką dłoń na jego ramieniu, wygłosił taką oto małą przemowę:

— Prosiłem Boga, żeby wyświadczył mi jedną przysługę pod koniec mojego życia. Ponieważ Chrystus był Żydem, chciałem przyprowadzić do Niego Żyda. A skoro nie ma tu żadnego Żyda, a ja nie jestem w stanie wyjechać z wioski, Bóg będzie musiał go tu przysłać. I oto jesteś tutaj — w odpowiedzi na moją modlitwę!

Richard był głęboko poruszony, ale we mnie serce zamarło. Zanim wyszliśmy, cieśla dał mu zużytą Biblię, mówiąc:

— Moja żona i ja całymi godzinami modliliśmy się nad nią, prosząc o twoje nawrócenie.

Richard dosłownie chłonał jej treść.

Nie wiedziałam, co robić. Byłam potwornie przerażona. Nie wiele osób spoza narodu żydowskiego może wyobrazić sobie, jak

mocno w sercu Żyda może być zakorzeniona niechęć do chrześcijaństwa. Przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi nie tylko w historii, lecz niemal zawsze także w przeżyciach osobistych. Kiedy jako dziecko wracałam ze szkoły do domu, na rogu jednej z ulic, którą musiałam iść, dwie starsze dziewczyny czekały na mnie przyczołajone, żeby ciągnąć mnie za włosy, „ponieważ jesteś małą brudną Żydówką”. A były to chrześcijanki. Była to swego rodzaju zabawa. A potem, kiedy dorosłam, w Niemczech rozpoczęły się nazistowskie prześladowania Żydów.

Richard powiedział mi, że sam Jezus padł ofiarą niesprawiedliwości. Ja jednak nie mogłam znieść dźwięku tego zakazanego imienia na jego ustach.

— Nie potrzebuję Go — powiedziałam. — Ty Go nie potrzebujesz. To nie jest naturalne. Jesteśmy Żydami — to jest inny styl życia!

A kiedy zaczął mówić o przyjęciu chrztu, prawie straciłam głowę.

— Wolę umrzeć niż patrzeć na to, jak zostajesz chrześcijaninem. To nie jest naturalne!

Powiedziałam, że jeśli chce wyznawać religię, to może praktykować swoją żydowską wiarę. I przez jakiś czas robił to. Chodził do synagogi, ale nawet tam rozmawiał o Chrystusie. Potem przekonał mnie, przerażoną, lecz również nieco zaintrygowaną, żebym zajrzała do kościoła.

Był on pełen obrazów świętych, a Richard wyjaśnił mi, że połowa z nich była Żydami, podobnie jak Jezus i jego święta matka Maria. Przykazania, których uczono wszystkie dzieci, pochodzą z żydowskiej Księgi Mojżesza. Psalmi to żydowskie pieśni króla Dawida. W Starym Testamencie jest pełno wzmianek i prorocत्व o Chrystusie.

— Prawda jest taka — powiedział Richard, oprowadzając mnie po dziwnym budynku z ostrołukowym sklepieniem — że religia chrześcijańska to po prostu nasza żydowska wiara otwarta dla wszystkich narodów ziemi. Dzięki komu wartości, moralność i mądrość żydowska panują na całym świecie i dotarły do setek milionów ludzi na przestrzeni dwóch tysięcy lat? Tylko Chrystus mógł tego dokonać. Dzięki Jego dziełu Święta Księga Żydów została przetłumaczona z hebrajskiego na tysiące języków i dialektów. Biblia jest czytana zarówno przez niewykształconych wieśniaków, jak i wielkich naukowców — Pasteura, Einsteina...

Przez wiele wieczorów Richard cierpliwie wszystko mi wyjaśniał, stopniowo przewyżając moje uprzedzenia. Czytałam Nowy Testament. Podziwiałam Zbawiciela i pokochałam Go. Ale rozumiałam także Gandhiego, który powiedział: „Z chrześcijaństwa dajcie mi Chrystusa, a całą resztę możecie sobie zatrzymać”. Nie chciałam mieć nic wspólnego z naśladowcami Chrystusa, którzy skrzywdzili mój naród.

Richard nie chciał na to przystać.

— Nie możesz przyjąć Jezusa, nie przyjmując Jego uczniów. On nie zostawiłby ich, żeby przyjść do ciebie. Nie możesz też przyjąć uczniów, nie nazywając nawet Judasza przyjacielem, jak uczynił to Jezus.

Z czasem moje intelektualne zastrzeżenia zostały przewyżnione, ale wiedziałam, że pozostawał jeszcze we mnie sprzeciw emocjonalny. Nie osłabł, lecz się wzmocnił. Przez jakiś czas mój umysł szeptał: „On ma rację”, ale moje serce, całe moje wychowanie, podnosiło bunt. Przez wiele tygodni toczyła się we mnie zaciekle wewnętrzna walka.

Pewnego wieczoru Richard wrócił do domu ze spotkania modlitewnego w Misji dla Żydów prowadzonej przez Kościół anglikański. Ujął mnie za dłonie i powiedział, że „oddał swoje serce Chrystusowi”. Wkrótce przyjmie chrzest.

Uważałam się za twardą i odporną osobę. Ale ta nowina była dla mnie nie do zniesienia. Na wiele godzin zamknęłam się sama w pokoju. I postanowiłam, że w dniu, w którym on się ochrzczy, zabiję się.

Kiedy ten dzień nadszedł i zostałam sama w domu, zamknęłam drzwi na klucz i rzuciłam się na podłogę zrozpaczona i zapłakana. Przerażliwa pustka niczym smagana wiatrami pustynia rozciągała się w moim wnętrzu. W desperacji zawołałam: „Jezu, nie mogę przyjść do Ciebie, nie chcę, żeby Richard był Twój, nie zniosę tego dłużej!”

Siła, z jaką wołałam, była dla mnie samej pełnym zaskoczeniem. Leżałam tak bardzo długo, cały czas szlochając.

Potem powoli uspokoilałam się.

Coś się we mnie zmieniło. Życie zaczęło płynąć do tyłu.

Kiedy Richard wrócił z chrztu, który odbył się w innym mieście, wyszłam na dworzec z kwiatami, żeby go powitać. Był taki szczęśliwy. Siedzieliśmy do późna w nocy, rozmawiając o wszystkim, co się wydarzyło. Zauważyłam, że jakaś cicha siła, której nie

rozumiałam, delikatnie prowadzi mnie do przemiany, mimo iż cały czas sądziłam, że mój rozum ma wszystko pod kontrolą.

Nie byłam jednak jeszcze gotowa, żeby nazwać się chrześcijanką. Byłam młoda. Chciałam chodzić na przyjęcia, potańcówki i do kina — a nie siedzieć i słuchać kazań w kościołach.

Aby mi dogodzić, Richard czasami zgadzał się na to. Na przyjęciu, na które poszliśmy pewnego niedzielnego wieczoru, nagle zdałam sobie sprawę, że w ogóle nie czuję się tam dobrze. Hałas, drinki, dym z papierosów i dowcipy stawały się coraz gorsze. A wszystkie tematy rozmów były albo nudne, albo odrażające. Nie byłam już myślami w tamtym miejscu. Powiedziałam do Richarda:

— Czy możemy wyjść?

Ku mojemu zdziwieniu powiedział, że byłoby nieuprzejmie wychodzić tak wcześnie. Czytając w moich myślach, przetrzymywał mnie tam pod różnymi pozorami. Aż miałam już zupełnie dość tego wszystkiego. Aż czułam się prawie fizycznie nieczysta.

Bardzo późno w nocy, kiedy wracaliśmy do domu, powiedziałam impulsywnie:

— Chcę zostać natychmiast ochrzczona!

Uśmiechnął się.

— Czekalaś już tak długo, poczekajmy więc do jutra.

Następnego dnia zabrał mnie na spotkanie ze swoimi nowymi przyjaciółmi z Misji Anglikańskiej: pastorem Adency, który był naprawdę świątobliwym człowiekiem, oraz pastorem Ellisonem, który również wyglądał na kogoś z innego świata. Obydwaj dla swojej służby zrezygnowali ze wszystkiego i to właśnie od nich nauczyłam się, że chrześcijaństwo oznacza poświęcenie i wyrzeczenie się samego siebie.

Ogarniało mnie tak wielkie szczęście, że musiałam się nim podzielić. Następnego dnia po chrzcie popędziłam do pracy i opowiedziałam o wszystkim mojej przyjaciółce, również młodej Żydówce, nie mając żadnych wątpliwości, że i ona zostanie pozyskana. (Zapomniałam już o tym, przez co sama przechodziłam.) Ale im więcej mówiłam o przemianie mojego serca, tym mniej była skłonna słuchać.

— A więc utraciłam cię! — powiedziała i odwróciła się płacząc.

Byłyśmy sobie bardzo bliskie.

A była to dopiero pierwsza lekcja.

Po moim nawróceniu urodziłam dziecko. Wcześniej nie chcieliśmy mieć dzieci, obawiając się, że przeszkadzałyby nam w naszym wesołym życiu. Nasz syn Mihai urodził się w 1939 roku. Nad Rumunią zebrały się już straszliwie czarne chmury. Znajdowaliśmy się w strefie wpływów Hitlera i wiedzieliśmy, że wkrótce Żydzi będą musieli zostać wytępieni. Wszystko więc przemawiało za tym, żeby nie mieć dziecka. Ale urodził nam się Mihai. Jakże jesteśmy dzisiaj szczęśliwi, że go mamy!

Matka Richarda była niemalże równie dumna jak my. Już pierwszego dnia opowiadała wszystkim krewnym:

— Cały Richard i taki inteligentny!

Richard z kolei powiedział mi:

— Ma ciemne włosy tak jak ty i jest bardzo piękny. Ale ciągle płacze; kiedy w końcu powie coś mądrego?

Byliśmy tacy szczęśliwi.

Kiedy kończyłam swoją historię, wieczór dobiegał już końca. W całej celi kłótnie i spory przybierały swój nieuchronny obrót. Gestykulujące ręce rzucały na sufit płataninę cieni, a cela huczała jak rozdrażniony rój. Kobiety przygotowywały się powoli do snu.

7

Obietnice

Z korytarza dochodziły męskie głosy. Słychać było energiczne tupanie butów. Wielkie drzwi otwały się na oścież.

— Wstawać!

Oddział strażniczek wszedł do środka gęsiego. Po nich weszło dziewięciu oficerów. Stanęli w półkołu w środku celi. Galony błyszcząły na ich czystych, dobrze skrojonych mundurach. Naprzeciwko nich stała grupa odzianych w łachmany kobiet z długimi tłustymi włosami. Nikt nic nie mówił. Oficerowie przyglądali się nam z obrzydzeniem, jeden z nich przyłożył sobie chusteczkę do nosa. Po czym wymaszerowali, nie wypowiedziawszy ani słowa. Drzwi zatrasnęły się.

Zostałyśmy poddane inspekcji w Jilavie — po raz pierwszy i ostatni.

Wrzawa! Każda miała jakąś teorię na temat tego, co to znaczy; w więzieniu bowiem znaczenie ma nawet to, że w zupie są trzy fasole zamiast dwóch.

— Nie pytajcie mnie, skąd wiem, moje drogie — Viorica powiedziała swoim przyjaciółkom. — Ale Amerykanie przekazali Moskwie ultimatum! Słyszałam o tym wczoraj, ale wtedy w to nie uwierzyłam. A teraz mówię to tylko wam!

„Tajemnica” rozniosła się po celi w mgnieniu oka. Na każdej pryczy trajkocące kobiety opracowywały najróżniejsze wariacje tego tematu. Widziały siebie jako wolne i uznane za bohaterki narodowe. Amerykanie nadchodzą! A może nawet już przybyli.

Dobry nastrój utrzymywał się, dopóki drzwi ponownie nie otwały się zamazyście.

— Wstawać i brać! Zupa marchewkowa, moje panie!

Odór parującego gara wyprzedził jego nadejście. Ale wiele kobiet w starszym wieku nie poruszyło się. Były już za słabe. Ta śmiercionośna dieta — choć nie miałyśmy wówczas o tym pojęcia — stanowiła część procesu przygotowywania nas do obo-

zów pracy. Bezbłędnie ukazywała, które są słabe. „Inspekcja” była również wstępem do tej przeprowadzki. O naszym losie zdecydowano bez żadnego związku z Ameryką.

— Jest to oczywiście praca niewolnicza — powiedziała nam pewna młoda nauczycielka. — Ale nad Kanałem dostaje się siedemdziesiąt dekagramów chleba dziennie. I makaron!

Cóż za rozkosz! W Jilavie huczało od pogłosek. Każdy nowo przybyły miał coś do dodania o cudach Kanału. O tym ogromnym przedsięwzięciu, które miało kosztować miliardy, mówiono już od dawna. Kanał o długości sześćdziesięciu kilometrów miał przebiegać przez nagie równiny południowej Rumunii i połączyć Dunaj z Morzem Czarnym.

Trzeba było wysadzić miliony ton skał. Wybudowano specjalne cementownie. Za astronomiczne sumy wypożyczono z Rosji park maszynowy. Cała armia inżynierów, urzędników i pracowników administracyjnych została zaangażowana do tej pracy. Stworzono zupełnie nowe ministerstwo i cała rumuńska gospodarka została skoncentrowana wokół Kanału.

Mówiło się, że w obozach pracy, usytuowanych wzdłuż szlaku, można nawet otrzymywać paczki.

— Co tylko zechcesz z domu!

— Czekolada!

Czekolada była marzeniem wszystkich.

Nad Kanałem są podobno ogólnie dostępne ciepłe ubrania i opieka lekarska.

Ale najlepsze ze wszystkiego jest to: nad Kanałem możesz spotkać się ze swoimi dziećmi i mężem — nie tylko podczas krótkiej wizyty, lecz na cały dzień.

Wierzyliśmy w to wszystko. Prawie o niczym innym nie myślałyśmy.

— Ale nie każda będzie miała prawo tam pojechać — ostrzegła Viorica. — Jak powiedział mi ostatnio oficer polityczny: „w społeczeństwie socjalistycznym praca jest zaszczytem, którego nie dostępują bandyci”.

Jilava stawała się coraz bardziej przepełniona. Cella numer 4 była przeznaczona dla trzydziestu osób. Do Bożego Narodzenia 1950 roku było nas tam już osiemdziesiąt. Nie można się było poruszyć, nie stąpając po ciałach, leżących w przejściu. Jakże cuchnęło powietrze!

Kiedy pewnego poranka zabrano nas do kąpieli, nie posiadałyśmy się z radości. Ale to szczęście, podobnie jak wszystkie rozkosze więzienne, było krótkotrwałe. Pędziłyśmy po długich ciemnych korytarzach, popychane i okładane pięściami przez strażników. Te niespodziewane ćwiczenia gimnastyczne były ponad siły kobiet, które od miesiący leżały na plecach. Niektóre zemdłały.

— Pięć minut! Pięć minut! — ryczał młody porucznik, wyglądający na Cygana. — Rozbierać się, brać prysznic i wynocha stąd. I żadnego gadania! Albo wszystkie zostaniecie ukarane.

Zaraz potem jakaś kobieta wrzasnęła z bólu i odwróciła się do kobiety stojącej za nią.

— Nadepnęłaś mi na moją obolałą piętę.

W odpowiedzi usłyszała wymamrotane przeprosiny.

— Chyba nie wiesz, kim jestem?

Ale wszystkie wiedziałyśmy: była jedną z najgorszych donosicielek w celi. Winowajczyni — którą była prawie siedemdziesięcioletnia kobieta — odpowiedziała spokojnie, choć wciąż nie mogła złapać tchu po tym wyścigu po korytarzach:

— Moja droga, ledwo wiem, kim sama jestem. Skąd mogłabym wiedzieć, kim ty jesteś?

Przenikliwy świst przeciął powietrze. Porucznik z wściekłością gwizdał na gwizdku. Czerwony ze złości krzyczał:

— Żadnych pryszniczy! Wracać do swoich cel! Szybko!

I znowu pod ciosami klnących strażników gnałyśmy po ciemnych, śmierdzących moczem korytarzach.

Z powrotem w celi numer 4. Usłyszałyśmy krzyki dochodzące z celi obok. Niektóre kobiety domagały się zemsty nad donosicielką. Inne chciały ukarać wątłą staruszkę, która, jak się okazało, była żoną byłego przywódcy Partii Narodowej, będącego jednym z największych demokratów w naszym kraju. Biedna pani Mihalache! Odegrała przypadkową rolę w tej farsie.

Prawda wyszła na jaw później — prysznicze były niesprawne. Pękły rury. Ale z góry przyszedł rozkaz: kąpiele! Jak umyć tyle kobiet bez wody? Dowódca strażników rozwiązał ten problem, zlecając donosicielce zrobienie zamieszania.

Przejmująca odpowiedź pani Mihalache rozniosła się po więzieniu. Skąd mamy wiedzieć, kim jesteśmy? Nasze rodziny, rzeczy osobiste i dowody tożsamości zostały nam odebrane. Ale czy gąsienica wie, że zamieni się w motyla? Możliwe, że w celi numer 4 były kształtowane w kokonie cierpienia przyszłe święte.

Następnego poranka pojawiła się kapral Georgescu z kartką papieru w ręku.

— Wszystkie z tej listy muszą być natychmiast gotowe do wyjazdu.

Pełne wyczekiwania milczenie.

— Czy mogłybyśmy wiedzieć, kto jest na tej liście? — ośmieliła się zapytać pani Gavrioiu.

— Nie wydawaj mi rozkazów!

Z groźną miną chwyciła sukienkę pani Gavrioiu.

— Masz!

Podsunięła jej listę pod nos.

— No, przeczytaj im to. Mam was wszystkich dość!

Georgescu miała kłopoty z czytaniem, a w dodatku lista była napisana odręcznie.

Wyczytano nazwiska i grupa opuściła celę. Nie podano żadnego powodu ich wyjazdu. Mało kto wierzył już, że wrócą do domu. Ale nic nie mogłoby być gorsze od Jilavy!

Z zazdrością patrzyłyśmy, jak wychodzą. Zdjęte litością zostawiały nam różne drobiazgi.

— Czy chciałabyś tę chustkę, Sabino? Obawiam się, że nie jest zbyt czysta — pani Ioanid zaoferowała artykuł, który służył jej jako ręcznik, serwetka i wiele innych rzeczy.

Zakonnica, siostra Weronika, dała mi swoją długą, plisowaną czarną halkę.

— Weź to, weź! — błagała. — Mam jeszcze jedną, a na zewnątrz jest pewnie z dziesięć stopni mrozu.

Wzięłam. Halka włożyła się po ziemi, ale było mi ciepło w nogi. Siostra Weronika pocałowała mnie radośnie i wyszła w pośpiechu, być może na śmierć.

A ja dalej czekałam, dzień po dniu, aż moje nazwisko zostanie wyczytane.

Pamiętam, że szóstego stycznia 1951 roku leżałam na swojej pryczy i miałam głowę pełną wspomnień, jako że były to urodziny Mihaia. Jeszcze przed jego narodzinami Richard postanowił, że będzie to chłopiec, i zdecydował nawet, kiedy się urodzi. Pewnego wieczoru powiedział:

— Co za dużo, to niezdrowo! Jeśli nie pojawi się do dziewiątej wieczorem, to zadzwonię po taksówkę i zawiozę cię do szpitala.

— Ale nie mam bólów.

— To ja decyduję w tej rodzinie, kiedy masz mieć bóle porodowe!

Zawiózł mnie więc do szpitala, a kiedy przyszedł nazajutrz rano, miał już syna i mógł go obejrzeć.

Po trudnym porodzie leżałam na oddziale pooperacyjnym.

— Może jeszcze jedno — powiedział. — Chciałbym dwójkę. Ale tym razem szybciej.

Uśmiechnęłam się i odparłam:

— Przykro mi. To niemożliwe.

Jakże byliśmy szczęśliwi! Teraz Mihai ma jedenaście lat.

Tego dnia moje nazwisko znalazło się na liście.

Przed ósmą rano nie było mnie już w celi numer 4, czekałam na korytarzu. Zwrócono mi mój letni płaszcz. Georgescu i strażniczki starały się być uprzejme dla kobiet stojących w kolejce, co wyglądało dosyć komicznie. O naszym losie nie wiedziały więcej niż my same. A przecież możemy się ponownie spotkać w zupełnie innych okolicznościach. Amerykanie mogą jeszcze nadejść!

Przez cały dzień pałętałyśmy się bez celu w przejmującym zimnie. Dołączyły do nas kobiety z innych cel. W końcu wsiadłyśmy do ciężarówek, które jechały do Ghencei, obozu przejściowego niedaleko Bukaresztu.

Zobaczyłam baraki, w których mężczyźni i kobiety pracowali na siedząco. Prowadzono nas po twardej jak beton ziemi pod gwiaździstym zimowym niebem. Czułam się jak w raju! Po tylu miesiącach w podziemiach Jilavy mogłam spojrzeć w górę i zobaczyć księżyc, żeglujący między małymi chmurkami. Przyjaciół kochanków! Jakże często wyświadczał nam przysługę w dawnych czasach, zasłaniając swą twarz, kiedy Richard całował mnie na ulicy!

Ghencea to stare niemieckie koszary, w których na ogromnej przestrzeni otoczonej drutem kolczastym stały rozpadające się drewniane baraki z toaletami umieszczonymi na zewnątrz. Dyscyplina była rozluźniona. Bez przeszkód można było wychodzić na dwór i rozmawiać z mieszkańcami innych baraków. Na krótką chwilę zapomnieliśmy o naszej udręce. Przez czyste, mroźne powietrze dobiegały powitalne okrzyki.

— Zwolnienie?! — krzyknęła chuda jak tyczka dziewczyna z ciemnymi oczami, usłyszawszy pełną nadziei rozmowę nowo przybyłych.

— Cóż za pomysł! To jest punkt wyjazdu nad Kanał. Zostaniecie tam wyekspediowane za kilka dni.

Docierało do nas coraz więcej informacji na temat Kanału. Obozy pracy i nowe miasteczka wyrastają wzdłuż szlaku. Nowy głęboki port morski jest budowany w Tasaul. Cała Dolina Karasu musi zostać osuszona.

Trzeciego dnia przyprowadzono mnie przed naczelnika obozu kapitana Zaharia Iona, który był członkiem partii od lat dwudziestych. Mundur wisiał na nim niczym skorupa, w której jego wychudzone ciało poruszało się całkiem swobodnie. Musiałam wyglądać na zaskoczoną. Na jego głowie, przypominającej trupią czaszkę, pojawił się uśmiech.

— Czy wiesz, dlaczego tak wyglądam? — powiedział z naciśnięciem. — Ponieważ głodowałem w więzieniu za czasów burżuazji! Ludzi takich jak ty!

Powiedziałam, że jest mi przykro, jeśli został niesłusznie uwięziony i dodałam:

— Ale ja nie należę do burżuazji.

Spojrzał na mnie z namysłem.

— Mam dla ciebie propozycję.

Zamiast wyjeżdżać do pracy przy Kanale, będę mogła pozostać w Ghencei we względnie przyzwoitych warunkach jako uprzywilejowany więzień polityczny. Będę tylko musiała od czasu do czasu donosić mu potajemnie na więźniów.

— Dziękuję — powiedziałam. — Ale w Biblii można przeczytać o dwóch zdrajcach. Jeden z nich zdradził króla Dawida, a drugi Jezusa. Obydwaj powiesili się. Nie chcę tak skończyć, więc nie zostanę informatorką.

— W takim razie już nigdy nie wyjdiesz na wolność.

Co się tyczy kapitana Zaharia Iona, to żaden z jego „burżuazyjnych” prześladowców nie okazał się równie bezlitosny, jak jego komunistyczni towarzysze, którzy na podstawie fałszywych oskarżeń wsadzili go do więzienia, w którym później zmarł. Jakiś czas potem został oficjalnie „zrehabilitowany”. Czy zdoła to pocieszyć duszę, w której istnienie nie wierzył ani on, ani jego brutalni panowie?

Na stacji rozrządowej niedaleko Bukaresztu załadowaliśmy się w końcu do pociągu jadącego nad Kanał. W długim czarnym „duba” (wagonie więziennym) słoczono nie tylko więźniarki polityczne, lecz także złodziejki, ulicznice i Cyganki. Rozdrażnieni

strażnicy wpychali nas do środka przez zasuwane drzwi. Siedzieliśmy w półmroku, czekając na odjazd. Światło prześwitywało przez małe zakratowane okienka rozmieszczone wysoko u góry. W końcu skrzypiące wagony zaczęły z wolna toczyć się na południe.

Przez chwilę mignęła mi przed oczami błyszcząca tafla wody. Była to rzeka — na jej obydwu brzegach rosła soczysta trawa. Przypomniła mi się Prut, który płynął niedaleko mojego rodzinnego miasta. W lesie zbieraliśmy maliny, które potem jedliśmy z cukrem i śmietaną.

Po wielu godzinach pociąg zatrzymał się i wysypaliśmy się z niego zmęczone i obolałe. Na peronie widniał napis CERNAVODA. Było to małe miasteczko nad Dunajem. Obóz był oddalony o wiele kilometrów. Zaczęliśmy maszerować w ciemną, mroźną noc. W końcu przeszliśmy przez bramę z drutów kolczastych pod wysokimi wieżyczkami wartowniczymi. Szperacze przesuwali się po rzędach identycznych baraków.

CZĘŚĆ DRUGA

8

Kanał

Kiedy nasza grupa weszła do jednego z baraków stojących na końcu obozu, ktoś spośród tłumu zebranego wewnątrz wydał okrzyk powitalny.

— Valiea! Dobra stara Valiea!

Młoda dziewczyna wybiegła do przodu i uściskała się ze swoimi znajomymi.

Valiea była Cyganką. Miała jakieś dwadzieścia sześć lat i była znakomitą złodziejką. Wielu Cyganów kradło, ale Valiea słynęła ze swoich wyczynów. Przywódczyni Cyganek, starsza kobieta z uroczym zakrzywionym nosem i kaskadami kruczoczarnych włosów, wzięła ją pod swoje skrzydła. Znalazły jej łóżko, dały jeść i trajkotały z nią jak szpaki.

Nie znałam nikogo ani nikt mnie nie znał. Nikt nawet na mnie nie spojrział. Był późny sobotni wieczór i kobiety szykowały się do odpoczynku po całym dniu pracy. Rozejrzałam się za jakimś miejscem, ale więźniarek było więcej niż łóżek. Usiadłam więc na podłodze i natychmiast jakaś kobieta z łóżka obok zaczęła mi opowiadać o swojej córce. Nie wiedziała, czy ona także została aresztowana, czy też wyrzucono ją na ulicę.

— Ale wspaniałe jest tutaj to, że możemy mieć nadzieję na *vorbittor* (oficjalne zezwolenie na wizyty krewnych). Możemy ich nawet poprosić, żeby przywieźli nam ubrania!

Ta wiadomość i myśl, że będę mogła zobaczyć Mihaia, nie pozwoliły mi zasnąć przez całą noc. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Nad ranem przysnęłam. Obudziłam się z łomocącym sercem. Z ciemności dochodziły odgłosy gonitwy i piski.

— Bestia! — wysapała kobieta obok mnie. — Wskoczył na moje łóżko!

Rozpoznałam teraz ten drażniący zwierzęcy zapach. Szczury! Jakaś dobrze poinformowana osoba powiedziała stonowanym głosem:

— W rzeczywistości te szczury mają więcej powodów od nas, by uważać nas za utrapienie. Są tutaj dłużej. Od wielu pokoleń.

Ktoś inny powiedział wesoło:

— Powinno się mieć dla nich trochę chleba na noc. To powstrzymuje je przed gryzieniem.

W niedzielę rano, po nocy spędzonej na podłodze z desek, miałam nadzieję, że będę miała okazję, żeby się umyć i pozszywać ubrania. Była to płonna nadzieja.

Nadzorczynią całej żeńskiej sekcji obozu była więźniarka, mająca długą przeszłość kryminalną. Posłuszna jak pies Rina została wybrana przez naczelnik obozu ze względu na jej nienawiść do politycznych. Podczas gdy więźniarki kryminalne wypoczywały, polityczne na kolanach szorowały i skrobały podłogę.

— Wszystkie nowo przybyłe mają zebrać się na zewnątrz, skąd wyruszymy do łaźni — zawołała.

Ustawiliśmy się w kolumnie i pod eskortą uzbrojonych strażników poprowadzono nas po zamarzniętym błocie.

Pośród wykształconych kobiet i dobrze wychowanych dziewcząt było kilka prostytutek. Piszczwały i wrzeszczały, prześcigając się w sprośnościach.

Strażnicy śmiali się i tupali nogami. Rina owinęła sobie głowę kolorowym szalikiem, w którym jej mały sterczący nos wyglądał jak świński ryj. Rechocząc, dopingowała je.

Świat wokół mnie zawirował. Mokra betonowa podłoga podniosła się, by mnie uderzyć. Trudy podróży, głód i wstyd spowodowały, że zemdlałam. Zaniesiono mnie z powrotem do baraku i położono na łóżku.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Rzucono mi waciak i spódnicę w brudnoszaro-białe pasy, uszyte z materiału przypominającego worek. W moich rajtuzach było pełno dziur. Ale nadal nosiłam długą plisowaną halkę, którą dała mi zakonnica w Jilavie. Z moimi czarnymi włosami i żydowskimi rysami twarzy musiałam wyglądać cudacznie.

Polityczne przyjrzały mi się i doszły do wniosku, że nie jestem jedną z nich. Cyganki zaś, z tych samych powodów, uznały mnie za należącą do ich grona.

— Zapewniam was, że nie jestem Cyganką — powiedziałam.
— Nie znam waszego języka.

Starsza kobieta z zakrzywionym nosem przybrała mądry wyraz twarzy i poklepała mnie po ramieniu.

— Wiemy, kochanie. Wiemy.

Były przekonane, że z jakiegoś tylko mnie znanego powodu staram się ukryć swoją narodowość. I tak oto w Cernavodzie stałam się adoptowaną Cyganką.

Cyganie żyją we własnym świecie, niezależnie od tego, gdzie przebywają. Ale Rumunia była ich ulubionym krajem w Europie Wschodniej. Przemierzali ją w swoich taborach. Mężczyźni mieli długie, wypomadowane włosy, a kobiety nosiły spódnice do kostek i bogato zdobione sztywne halki. Były niezwykle piękne, a wiele z nich kradło wszystko, co znalazło się w ich rękach.

Komuniści wysłali tysiące z nich do więzień i obozów pracy, gdzie w dalszym ciągu kradły. Nie można było nigdzie powiesić żadnego starego ubrania ani ścierki. Dosłownie wszystko zniknęło pod tymi obszernymi spódnicami.

Chyba jako jedyna spośród więźniarek politycznych nad Kanalem nie straciłam niczego.

Wraz z Richardem pomagaliśmy Cyganom, kiedy pod koniec wojny masowo powracali z nazistowskich obozów. Otrzymałam teraz za to nagrodę.

Powiedziały mi, że będę znowu z moim mężem i dzieckiem i będę podróżować po wielu morzach i krajach w poszukiwaniu szczęścia. Nie spodziewałam się jednak, że przyjdzie mi na to czekać piętnaście lat.

Dobrze zarabiała na wróżeniu. Kobiety oddawały swój chleb, żeby usłyszeć, iż wkrótce zostaną uwolnione, a ich rodzinom będzie się dobrze powodzić. Cyganki nie miały kart, ale przepowiadały przyszłość, używając jeszcze starszych sposobów, sięgających, być może, czasów panowania Tamerlana i Czyngis-chana. Rzuciły na podłogę ziarna zboża i z ich układu odczytywały budząc nadzieję cuda.

Jako naród koczowniczy Cyganie osiedlali się wszędzie. Nawet w więzieniu tworzyli wielką rodzinę. Kiedy jakiś czas później pozwolono nam wysyłać kartki do krewnych, zostałam ich skrybą, jako że żadna z nich nie umiała ani czytać, ani pisać. Każdy list musiał zaczynać się od słów: „Do wszystkich Cyganów, pozdrowienia!”

Czasami wybuchały między nimi zaciekle kłótnie. (Nie jest wcale legendą, że czasami Cyganki, bijąc się ze sobą, używały jako pałek swoich własnych niemowląt i nie przestawały, dopóki obydwoje dzieci nie zmarło.) Innym razem tańczyły i śpiewały jak szalone, żeby zapomnieć, gdzie są.

Z czasem poznałam wszystkie kobiety w baraku, również ulicznice. Niektóre miały piękne serca i kiedy usłyszały wezwanie Jezusa, starały się ze wszystkich sił wydostać z błota, do którego wrzuciło je życie.

Następnego dnia wcześniej rano opuściliśmy obóz. Zimny wiatr od Morza Czarnego wiał po równinie. Strażnicy rozcierali sobie ręce, kiedy czekałyśmy na wymarsz. Byli opryskliwi i źli, bo musieli rozstać się ze swoimi ciepłymi łózkami. Jeśli poruszyłyśmy się, bili nas i klęli, żeby się wyładować.

Przy bramie pod żelaznymi wieżyczkami wartowniczymi dowódca eskorty krzychał:

— Zabieram dwa tysiące kryminalistów i kontrrewolucjonistów!

W zależności od dnia zmieniała się tylko podawana liczba.

Przenikliwy wiatr wiał nam prosto w twarz i szarpał ubrania. Zdawało się, że kolumna nie ma końca. Spojrzałam do przodu i widziałam tylko całe szeregi więźniów z uzbrojonymi strażnikami kroczącymi po obydwu stronach. Czasami odważyłam się spojrzeć do tyłu (co było zabronione) i widziałam kolumnę rozciągającą się daleko niczym jakieś ogromne zwierzę, żyjące własnym życiem. Ślepe, pozbawione nadziei zwierzę, suma tych wszystkich ciał i rąk, i nóg, nie mające żadnego celu poza tym, żeby harować, aż padnie z wycieńczenia. Myślałam o niewolnikach w czasach starożytnych. O moich przodkach w Egipcie, którzy pracowali na budowach faraona.

Budowaliśmy obwałowanie. Mężczyźni i kobiety pracowali razem.

Musiałam napełniać taczki ziemią. Kiedy były już pełne, jakiś więzień musiał pchać je ze sto metrów, po czym wbiegał z nimi po stromym podejździe na szczyt wału. Wysypywał ziemię i biegł z powrotem po kolejny ładunek. Zadanie mężczyzn było trudniejsze od naszego, ale po załadowaniu pierwszych kilku taczek zataczałam się za każdym razem, gdy usiłowałam podnieść kolejną ciężką łopatę z ziemią.

Każda grupa miała swojego „brygadzystę”, który z kolei miał kilku pomocników. Sprawdzali oni, ile pracy byliśmy w stanie wykonać. Wymagana „norma” mogła wynosić nawet osiem metrów sześciennych dziennie. Jeśli po potwornym wysiłku wypełniliśmy normę, to następnego dnia była ona podnoszona o określoną liczbę taczek. Jeśli nam się nie powiodło, byliśmy karani.

„Brygadzystami” byli zaufani więźniowie. Dostawali specjalne racje żywnościowe — a niektórzy nawet pensję. Choć sami nigdy nawet nie kiwnęli palcem. W ich władzy było życie i śmierć. Rina korzystała z tego w całej pełni.

Rozmowy i wszystkie inne formy kontaktów międzyludzkich były zakazane, ale zaryzykowałam i kiedy napełniałam taczki, powiedziałam kilka słów otuchy mojemu towarzyszowi niedoli, cytując przy tym Biblię. Spojrzał na mnie zdumiony. Był to mężczyzna w średnim wieku wyglądający na wieśniaka. Po czym chwycił swoje taczki i zaczął je toczyć przed sobą. Podszedł następny mężczyzna i następne taczki. I następne. I następne.

Czwarty z kolei mężczyzna powiedział:

— Hrabia Rakosi dziękuje pani za pani piękne słowa i chciałby wiedzieć, kim pani jest.

Ten „wieśniak” był węgierskim arystokratą z Transylwanii, rumuńskiej prowincji gęsto zaludnionej przez Węgrów, która przez stulecia znajdowała się pod panowaniem Habsburgów. Byłam tak bardzo zaskoczona, że na chwilę zostawiłam swój szpadel na ziemi.

— No! Obudź się! — był to głos Riny, stojącej dwadzieścia metrów dalej. — Chyba że chcesz spędzić noc w karcerze?

Zacząłam kopać w szaleńczym tempie. Mężczyzna podniósł swoje taczki i popędził z nimi.

„Karcer” to słowo, które mroziło krew w żyłach. Zamknięcie w tym pomieszczeniu o wysokości 180 cm i szerokości 80 cm stanowiło powszechnie stosowaną karę w obozach nad Kanałem. Po całym dniu pracy trzeba tam było stać bez ruchu przez całą noc. Następnego dnia wracało się znowu do pracy z dużymi szansami na to, że zostanie się skierowanym do karceru na kolejną noc, jeśli z powodu zmęczenia nie będzie się w stanie pracować wystarczająco szybko.

W południe dawano nam pół kilo chleba z jakąś zupą i płatkami owsianymi. Było to lepsze niż w Jilavie, ale wobec naszych

nadziei było istną kpina. I na tym musieliśmy pracować aż do końca dnia.

Przyglądając się naszej wychudzonej załodze, pomyślałam sobie, że nie ma w tym nic dziwnego, iż nie rozpoznałam hrabiego. Trudno było odróżnić jednego człowieka od drugiego. Wszyscy mieli na sobie połatane łachmany. Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy — jakąś pustawą tęsknotę, która ustępowała miejsca jedynie strachowi.

A przecież niektórzy byli nauczycielami akademickimi, inni wydawcami, księżmi, przedsiębiorcami i wysokimi urzędnikami państwowymi. Jednak nie można ich było odróżnić od złodziei, stręczycieli i kieszonkowców, którzy pracowali obok nich.

Mozoliliśmy się jeszcze przez cztery godziny. Ściemniło się i uformowała się wielka kolumna, żeby powrócić do obozu. W czasie drogi kilku więźniów omdlało. Jeden upadł obok mnie. Bez słowa dwóch mocniejszych mężczyzn podniosło go, położyło jego ręce na swoich ramionach i ruszyło do przodu. Ktoś niósł na swoich barkach jakąś starszą kobietę. Jej zeszywniałe nogi sterczały do przodu w rajtuzach pełnych dziur. Z przodu zrobiło się zamieszanie. Jakiś mężczyzna upadł i nie można go było ocucić. Odciągnięto go na bok i w gęstniejącym mroku wciągnięto na ramiona trzech gderających postaci. Wiatr nie przestawał dąć.

Przy bramie dowódca eskorty znowu krzyknął:

— Powrót dwóch tysięcy bandytów.

Było ciemno. Niebo czerwieniło się jeszcze na zachodzie.

— Rzeński wiaterek! — zawołał wesoło jeden ze strażników, otulony w swój szynel.

Byłam przemarznięta do szpiku kości. Dłonie i stopy miałam pocierane. Bolały mnie wszystkie mięśnie i wydawało mi się, jakby moja głowa była własnością kogoś innego. Będę jutro miała silny katar.

A teraz musieliśmy czekać — ponure stado stłoczone na wietrze — aż czoło kolumny przecisnie się przez bramę. Kolumny z innych miejsc pracy spotkały się przy bramie, powodując długi przestój. Kiedy w końcu dotarliśmy do baraku, wybuchła kłótnia. Jedna z ulicznic zauważyła, że zniknęło coś, co ukryła pod materacem.

— Cygańskie złodziejki! — krzyczała. — Może jestem dziwką, ale przynajmniej trzymam ręce z dala od cudzych rzeczy!

Spotkało się to z odpowiedzią młodej Cyganki Tanii:

— Może i kradnę, ale przynajmniej nigdy nie spałam z nikim innym poza moim mężczyzną.

— A kim on jest? Twoim bratem? — wrzasnęła na nią Lisa z Mołdawii.

Zachichotała, śmiejąc się ze swojego smutnego dowcipu. Cyganie często musieli spać w jednym pokoju — mąż, żona, matka, teściowa, szwagierka — czasami w jednym łóżku.

Ale Lisa była z kolei morderczynią. Z zazdrości zastrzeliła ze śrutówki swojego uganiającego się za kobietami męża.

— Nie ucz mnie, jak należy się zachowywać! — zawołała Tania. — Mogę oddać to, co zabrałam, jeśli zechcę. A ty, która odebrałaś życie człowiekowi, czy możesz je zwrócić?

Próbowałam puszcząć mimo uszu tę wzniosłą debatę na temat moralności. Po kolejnej wymianie ciosów Tania odeszła wyprostowana do narożnika złodziejek. Jej grupa przyjęła ją owacyjnie, na co ona odpowiedziała uśmiechem, wyszczerzając zęby.

Tania, wysoka i piękna dziewczyna z lśniącymi czarnymi włosami, była bardzo poważana przez swoje koleżanki. Ale wzbudzała także postrach. Z powodu jej przygód, o których opowiadała z wielkim entuzjazmem, nadano jej przydomek Złowieszcza Tania. Każdy, kto ją obraził, ryzykował, że zostanie wykluczony z jej otoczenia. Każdy, kto ją oszukał, ryzykował, że spędzi noc w karcerze, jako że w celu ukarania wroga Tania nie stroniła nawet od przekupywania strażników w sprawie jakiegoś rzeczywistego lub wymyślnego przestępstwa. Jednakże przyjaciółom okazywała absolutną i rozbrajającą lojalność. I była bardzo dumna ze swoich umiejętności. Młodsze dziewczęta tarzały się ze śmiechu, słuchając jej straszliwie śmiesznej opowieści o tym, jak wyniosła połowę towaru ze sklepu odzieżowego. Najbystrzejszym spośród nich udzielała prywatnych lekcji i bardzo dobrze znała się na ludziach.

Dziewczęta darzyły ją niemalże mistycznym uwielbieniem za jej talent. Opowiadały o tym, że Tania „poza więzieniem zawsze czytała książki i inne rzeczy”, a raz włamała się do jakiegoś domu, w którym nie było właścicieli, i trafiła do ich biblioteki. Zaczęła czytać i bardzo ją to pochłonęło, ale po jakimś czasie zasnęła w fotelu z książką w ręku. Właściciele zastali ją tam po powrocie z teatru. Sama Tania nie przyznawała się do tego, że umie czytać i pisać, uważając, że źle wpłynęłoby to na jej reputację.

W więzieniu człowiek szybko uczy się odróżniać złodziejki, prostytutki, dziewczyny gangsterów i inne podgrupy. Lata przeżyte w określonym grzechu pozostawiły głębokie ślady na ich duszach. Po ich powiedzonkach i sposobie bycia natychmiast można się było zorientować, i to bez zbędnych pytań, z kim ma się do czynienia. Ale Tania była niezależna. Było w niej coś szlachetnego.

Zwracała się do mnie żartobliwie:

— Nie myśl, że my złodzieje nie mamy żadnych zasad moralnych. Z pobudek moralnych jestem zdecydowanie przeciwko wszelkim kradzieżom dokonywanym przez gang inny niż mój.

Staralam się ostrożnie pukać do drzwi jej serca. Chciałam ją lepiej zrozumieć. Zapytałam, czy i ona nie chciałaby wydostać się z Rumunii, skoro tak wielu Żydów i innych ludzi uciekało przed komunizmem za granicę.

— Do diabła z tym! — spojrzała na mnie pogardliwie. — Czekam tylko na to, żeby wydostać się z tego wysypiska śmieci i być razem z moim chłopakiem. Nie udało się im go złapać! Pokażę tym całym komunistom, na co nas stać.

Bez żadnych zahamowań paplała dalej o przestępczych wyczynach tego wzoru cnót; o tym jaki jest przystojny i o jego innych umiejętnościach.

— A co z twoimi rodzicami?

— Och, moi rodzice! — westchnęła, jakby mówiła o jakichś starych zniszczonych meblach. — Do niczego się nie nadają. Moja matka była ładna jako dziewczyna, a więc miała też mężczyzn. Potem miała mnie. Tato się ulotnił! Kimkolwiek był. W końcu została z brudnym starym pijakiem, który okładał ją co wieczór. I mnóstwem innych dzieciaków.

Tania okraszała swoje wypowiedzi tyloma sprośnymi przekleństwami, że po jakimś czasie w ogóle nie zwracało się na nie uwagi. To tak jakby przyzwyczaić się do czyjejś wady wymowy. Było mi jej żal. Pragnęłam poruszyć choćby jedną struną w jej duszy i wywołać jakieś echo. Nie mogłam patrzeć na to, jak bez cienia wstydu psuje inne dziewczyny.

A jak się okazało, tym wspaniałym kochankiem był jej szwagier. prostytutka wyśmiewająca się z niej niewiele się myliła. Tania musiała mieszkać w jednym pokoju z sześcioma innymi osobami i spać w jednym łóżku z siostrą i jej mężem. I stało się. Miała wtedy dwanaście lat. A kraść uczono ją od piątego roku życia.

Pewnego dnia wybuchła:

— Tak, wiem — „nie będziesz kradł”. To właśnie powiedzieli milicjanci, kiedy mnie pobili, te ... Powiedziałam im — to wy jesteście tymi ... złodziejami. Wy zwędziliście całą ziemię, wszystkie domy i ten cały ... kraj. Wy mówicie mi, co mam robić? Siedzicie na swoich tłustych ... w luksusowych biurach. Spróbowalibyście spać zimą, lato pod mostami w Bukareszcie, a potem przyjść do mnie i powiedzieć, żebym nie kradła.

Roześmiała się dziko.

— Och, schlastali mnie. Straciłam wszystkie przednie zęby. Mam teraz tę nową protezę.

Wyciągnęła ją, żeby mi pokazać.

Oczy jej zabłyśły. Kilka z jej wielbicielek zebranych wokół kiwało ze zrozumieniem głowami.

— Taniu, jesteś wspaniała. Nigdy nie zdobyłabym się na coś takiego — powiedziała Joana, puszysta dziewczyna, która była kochanką bukareszteńskiego gangstera. Puścił ją kantem, kiedy przyjechała milicja i mieszkał sobie teraz bezpiecznie w Paryżu.

Pozostałe dziewczyny spojrzały na mnie, chcąc dowiedzieć się, co o tym myślę.

— Taniu, jesteś bardzo odważna — powiedziałam. — Ze swoją energią i bystrością umysłu mogłabyś o wiele lepiej ułożyć sobie życie. To, że twoi rodzice byli ofiarami losu, nie znaczy wcale, że i ty musisz być taka. Wielu wybitnych mężczyzn i kobiet miało beznadziejnych rodziców albo było sierotami. Gdybyś skierowała swój umysł we właściwym kierunku, to być może i ty mogłabyś osiągnąć wielkość.

— Ja, sławna! Robiąc co?

Zasugerowała kilka paskudnych możliwości.

— Nie zrozum mnie źle. Ja LUBIĘ kraść. To jest moje życie, po to się urodziłam!

Odważyłam się użyć przykładu.

— Pewien bardzo wielki człowiek zaczął życie jako oszust, naciągacz. Nazywał się Mateusz. Ale kiedy spotkał Pana Jezusa, był tak bardzo poruszony, tak bardzo zauroczony Jego dobrocią, że zostawił wszystko, co miał i został Apostołem Mateuszem. Złodziej stał się świętym, któremu odpuszczono grzechy i który jest podziwiany wszędzie aż po nasze czasy. Został męczennikiem Kościoła i napisał Ewangelię czytaną na całym świecie.

— Apostoła, świętego, męczennika! Skąd ona bierze te wszystkie słowa? — wyśmiewała się Tania.

Niezbyt często udawało się zasypać przepaść między więźniarkami kryminalnymi i politycznymi (wszyscy aresztowani z przyczyn religijnych byli uważani za politycznych). Nadzorczykami, czuwającymi nad wykonaniem norm, i szefowymi baraków zostawały zawsze więźniarki skazane za przestępstwa kryminalne. Życie wszystkich kobiet wywodzących się z dawnej klasy średniej i arystokracji zamieniały one w istne piekło. Złodziejki zwracały się do nich sarkastycznie „madame” i wynajdowały setki sposobów, żeby się zemścić. Polityczne nie chciały i nawet nie próbowały nawiązywać kontaktu ze swoimi sąsiadkami. Nic więc dziwnego, że znajdując się w połowie drogi między tymi dwoma grupami — jako cygańsko-żydowska chrześcijanka, rozmawiająca z miłością z najgorszymi kryminalistkami w baraku i ganiąca grzech u dam z wyższych sfer — ścierałam na sobie wściekłe spojrzenia z obydwu stron.

W Cernavodzie było pełno sławnych nazwisk. Z ich poczytań można by ułożyć naprawdę ciekawą rubrykę towarzyską. (Być może napisaną w trzeciej osobie.) „Pewien przypadkowy osobnik, stojąc dzisiaj rano w kolejce do toalety, zauważył hrabinę X ucinającą sobie pogawędkę z byłą damą dworu baronową Y. Rozmowa dotyczyła ostatnich pogłosek z kuchni na temat tego, że wszystkie groby osób będących zakałą społeczeństwa mają zostać otwarte w celu przekazania państwu znajdującego się tam złota i biżuterii”.

Jakże dziwnych spotkań byłyśmy świadkami!

Jedna z grup roboczych składała się z faszystek. Ich szefową była pani Codreanu, żona przywódcy Żelaznej Gwardii, który przyczynił się do zawarcia sojuszu pomiędzy Rumunią i nazistami. W swojej książce szczycił się tym, że nigdy nie podał ręki Żydowi ani też nie wszedł do żydowskiego sklepu.

Teraz pani Codreanu pracowała niewolniczo dla komunistów ramię w ramię z Żydówkami. Jednak stare uprzedzenia pozostały.

— Ten kryminalista Churchill! — mówiła ze złością. — Syjonista, sługus Żydów! A Roosevelt, na pewno sam jest Żydem! To przez nich jesteśmy tu dzisiaj.

Strażnicy byli okrutni dla tych kobiet. Inne więźniarki atakowały je. Nie traciły jednak odwagi. Ponieważ starałam się okazać im zrozumienie i miłość, jedna z nich zwróciła się do mnie:

— Wraz z moimi przyjaciółkami postanowiłyśmy, że kiedy wszyscy rumuńscy Żydzi zostaną zlikwidowani, to ty, moja droga, i twoja rodzina zostanieie oszczędzeni.

Była zdziwiona, że nie przyjąłem tej wiadomości z entuzjazmem.

Żony innych polityków i kobiety, które osobiście były zaangażowane w politykę, toczyły długie rozmowy na temat tego, jak należałoby rządzić światem. Jedna z nich powiedziała mi:

— Nie spałam całą noc i obmyślałam plan na przyszłość — czy chcesz o nim usłyszeć?

Nie dano mi możliwości wyboru.

— Po pierwsze należy wprowadzić całkowitą reformę militarną. Wszystkie mundury mają być szafirowe z dużymi czako...

— Dziękuję bardzo — powiedziałam — ale nie widzę potrzeby dalszego omawiania tego planu. Jeśli wszystkie mundury będą szafirowe, to w zupełności wystarczy.

Czasami jednak można było nauczyć się pewnych lekcji nawet od ludzi wyglądających na głupich lub całkowicie zepsutych. Pewna kobieta wyznania prawosławnego z naszego baraku kłęta, opowiadała pikantne historie i kradła jak Cyganka.

— Ale pomyśl, jak możesz zostać zbawiona? — zapytałam.

Roześmiała się.

— Pewien mnich powiedział mi, jak mam dostąpić zbawienia. Przestrzegam bez zarzutu dwóch przykazań. Nigdy nikogo nie osądzam. I zawsze przebaczam tym, którzy zgrzeszą przeciwko mnie. Bóg więc będzie musiał mi również przebaczyć.

Nienajlepsza to teologia. Ale cieszyłam się, że to usłyszałam, jako że rzeczywiście miała ona te cnoty, które sobie przypisywała.

W 1951 roku coraz więcej komunistek zaczęło pojawiać się w obozach i więzieniach. W Cernavodzie spotkałam Marioarę Dragonescu, którą stary reżim osadził w więzieniu jako czołową rewolucjonistkę. A teraz jej obecni towarzysze wysłali ją na przymusowe roboty jako „kontrewolucjonistkę”.

Nie przestawała jednak walczyć o swoje komunistyczne ideały. Wielkie społeczeństwo marksistowskie jest tuż tuż. W Miśle, dużym więzieniu dla kobiet, karmiła swoje dwumiesięczne dziecko — po czym zabrano je od niej i umieszczono w państwowym sierocińcu. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

Mówiła ze współczuciem o George Cristescu, jednym z założycieli partii, który po raz pierwszy siedział za socjalizm w 1907 roku. Był także pierwszym sekretarzem generalnym Partii Komunistycznej. A teraz w wieku siedemdziesięciu dwóch lat pracował

obok nas na polach, od świtu do zmierzchu, w śniegu, deszczu i wietrze.

Czasami napełniałam ziemią jego taczki. Zaprzęgał się do nich jak zwierzę pociągowe. Łatwiej było je wciągać niż wypychać na wzniesienia. Przypomniało mi się coś, co Richard powiedział na krótko przed swoim aresztowaniem, i powtórzyłam mu to:

— W czasie tyranii więzienie jest najbardziej zaszczytnym miejscem pobytu.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Strażnik krzyknął na niego, odszedł więc śpiesznie zaprzęgnięty do swojego ładunku. Kiedy na zajutrz znaleźliśmy się obok siebie, szepnęłam:

— Przepraszam, że wpakowałam pana w kłopoty swoim gadaniem.

— Ależ skąd! Usłyszeć coś innego po tak długim czasie, to jak muzyka. Byłem spragniony łagodnego głosu podobnie jak jestem spragniony kolorów po tej ciągłej szarości.

Później powiedział mi o swoim rozczarowaniu.

— Ten komunizm, który oni praktykują, to nie jest ten ideał, o który walczyłem i za który cierpiałem. Uważałem, że byłoby to nieuczciwe z mojej strony, gdybym nie zaprotestował.

Te z nas, które miały wiarę, uświadomiły sobie po raz pierwszy, jak bardzo są bogate. Najmłodsze i najstarsze chrześcijanki miały więcej zasobów, z których mogły czerpać, niż najbogatsze starsze panie i najbardziej błyskotliwe intelektualistki.

Jakże często ci, którzy odznaczają się wysoką inteligencją, są wykształceni i odcytani, gdy zostaną pozbawieni swoich książek, zdają się usychać niczym rośliny pokojowe wystawione na działanie wiatrów. Serce i umysł są puste.

Pani Nailescu, żona profesora z Klużu, powiedziała do mnie pewnego dnia:

— Jakże musisz być szczęśliwa, że jesteś w stanie myśleć i zająć czymś swój umysł, i modlić się! Ja nie mogę. Staram się przypomnieć sobie jakiś wiersz, a tu jakiś strażnik krzyczy. Mój umysł natychmiast wraca do tego wiecznego obozu. Nie mogę się skoncentrować. Nie potrafię zapanować nad swoimi emocjami.

Kobiety z wyższych sfer tutaj znajdowały się często w najbardziej opłakanym położeniu. Życie było dla nich trudniejsze niż dla innych. Straciły najwięcej w sensie materialnym i miały najmniej wewnętrznych zasobów, którymi mogłyby zapełnić tę

puszkę. Potłuczone kawałki starych partyjek brydża, kapeluszy, hoteli, pierwszych nocy, utraconych weekendów i kochanków grzechotały w ich głowach jak rupiecie na tylnym siedzeniu samochodu. Najpierw odmawiały im posłuszeństwa nerwy, podobnie jak ich delikatne białe dłonie.

Po pracy kobiety przychodziły do więźniarek religijnych i prosiły, a nawet błagały, żeby opowiedzieć im o czymś, co pamiętamy z Biblii. Te słowa dawały im nadzieję, pociechę, życie.

Nie miałyśmy Biblii. Pragnęłyśmy jej bardziej niż chleba. Jakże żałowałam, że nie nauczyłam się jej więcej na pamięć! Codziennie jednak powtarzałyśmy te fragmenty, które znałyśmy. I również w nocy, kiedy miałyśmy czuwanie modlitewne. Inne chrześcijanki, podobnie jak ja, celowo uczyły się na pamięć długich fragmentów. Wiedziały bowiem, że wkrótce przyjdzie kolej na ich aresztowanie. Do więzienia przyniosły ze sobą bogactwa. Podczas gdy inne kobiety kłóciły się ze sobą i toczyły spory, my leżałyśmy na swoich materacach i używałyśmy Biblii do modlitwy i rozmyślań, a w czasie długich nocy powtarzałyśmy sobie wersety biblijne. Uczyłyśmy się tego, co przyniosły ze sobą nowo przybyłe, ucząc je tych fragmentów, które myśmy znały. Tak więc nie spisana Biblia krążyła po wszystkich rumuńskich więzieniach.

Rozmyślanie staje się stopniowo coraz głębsze. Na pierwszym etapie nie rozmyśla jeszcze twoje prawdziwe „ja”, ale to, co mylnie uważałeś za samego siebie — czyli konglomerat tego, co wiesz z gazet, książek i kina. To, co jest tobą w tobie jest bardzo małe. Na drugim etapie musisz odkładać na bok coraz więcej z tego, co nie jest tobą, co zostało zapożyczone, aby dotrzeć do ostatecznej rzeczywistości, która jest w tobie. Kiedy już ponownie staniesz się sobą, to dosyć łatwo będziesz mógł komunikować się z tą osobą, którą kochasz. W pewnej chwili, podobnie jak pisarz, w którego umyśle koncepcja przeradza się nagle w obraz, dostrzegasz tego, o którym rozmyślasz. Jezus powiedział: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”. Ale nie tylko Boga.

Często rozmawiałam z Richardem, szczególnie w trakcie tych lat, które spędził w izolatce. Przekazywał mi wiadomości. Miałam głęboką wewnętrzną pewność, że jesteśmy w kontakcie, że jest przy mnie obecny. Byłam również całkiem pewna, że i on odbierał moje myśli. Takie chwile powtarzały się przez cały czterdziestoletni okres jego pobytu w więzieniu, również długo po moim uwolnieniu. W mojej Biblii mam notatkę, którą zapisałam ołówkiem

w 1953 roku, niedługo po wyjściu na wolność: Richard przyszedł dzisiaj zobaczyć się ze mną; nachylił się nade mną, kiedy czytałam.

Cały czas bałam się, że on również może zostać wysłany do jednego z tych obozów niewolniczej pracy. Jakże wytrzyma taką pracę? Już samo pisanie i głoszenie kazań pochłaniało wszystkie jego siły. Kiedy jakaś kobieta powiedziała mi, że on nie żyje, nie uwierzyłam jej.

Wszystkich nad Kanałem pytałam, czy nie słyszeli czegoś o Richardzie. Bałam się straszliwie, że usłyszę niewłaściwą odpowiedź, ale nikt nic nie wiedział. Wtedy właśnie przewieziono do nas trzy kobiety z Vacaresti, więzienia, do którego zabierano wielu chorych. Każda nowo przybyła była jak listonosz z pocztą. Zadawałyśmy te same pytania, co zazwyczaj, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś o naszych krewnych w więzieniu. Nikt nie słyszał niczego o Richardzie.

Kilka dni później jedna z tych kobiet podeszła do mnie.

— Za każdym razem, gdy mówisz o Bogu, przypomina mi się Vacaresti — powiedziała. — Byłam tam tylko krótko, ale mieliśmy tam też kaznodzieję.

Vacaresti to był klasztor zaadaptowany na więzienie. Ściany pomiędzy pokojami mnichów zostały zburzone, żeby powstały większe cele. Pozostawiono jednak kilka małych pomieszczeń, w których można było przetrzymywać w izolacji specjalnych więźniów.

— Czekaliśmy na podeście schodów w kolejce do łazienki — powiedziała ta kobieta — kiedy usłyszałyśmy jakiegoś mężczyznę mówiącego zza zamkniętych drzwi. Mówił: „Kochajcie Jezusa i ufajcie Bożej dobroci”. Byłyśmy bardzo zaskoczone. Każdy w więzieniu pytał, kto to jest. Ale, oczywiście, trzymano to w tajemnicy.

A teraz, kiedy spotkała mnie, nabrała pewności, że był to Richard. Wyglądał na bardzo chorego. Po kilku dniach przestał zwiastować. Słyszała, że umarł.

Potoki łez spływały potajemnie po mojej twarzy. Jakże ból rozdzierał mi serce! Ale w tym smutku wzrastała nadzieja. Nadal modliłam się i prosiłam Pana, aby przydał lat życia i zdrowia temu człowiekowi, który służył mu wiernie nawet w izolatce.

Martwiłam się, że nawet Mihai może zostać aresztowany i wysłany nad Kanał. Miał dwanaście lat, a byli tam chłopcy wcale nie starsi od niego. Codziennie widziałam chłopca, który nazywał

się Marin Motza i był w tym samym wieku. Razem z nim była jego czternastoletnia siostra. Ich ojciec był dawnym przywódcą Żelaznej Gwardii. Łączył antysemityzm z głęboką wiarą prawosławną. Kiedy w czasie wojny domowej w Hiszpanii anarchiści zbezczęścili kościoły, powiedział: „Strzelają w twarz Chrystusowi. Nie mogę tego dłużej znosić”. Pojechał więc do Hiszpanii i zginął tam, walcząc po stronie przyszłego dyktatora Franco.

Jakież sprzeczności gnieźdzą się w ludzkim sercu! Człowiek ten pozostawił wspaniały testament o wymowie chrześcijańskiej. Napisał w nim: „Kiedy Chrystus obiecał, że bramy piekielne nie przemogą Jego Kościoła, to liczył na to, że Kościół będzie walczył. Zapewnienie to nie będzie aktualne, jeśli chrześcijanie nie wypełnią swojego obowiązku”. Jakże prawdziwa to myśl!

A teraz jego żona i dzieci są w więzieniu tylko dlatego, że należeli do jego rodziny. Pani Motza uroiła sobie: „Mój syn Marin będzie królem Rumunii, kiedy komunizm zostanie obalony, jako że wypędzony król Michał nigdy nie powróci”.

Cały ruch Żelazna Gwardia był pełen sprzeczności. Jego założyciel Codreanu zabijał i popierał zabójstwa ludzi, którzy nawet nie popełnili przestępstwa bycia Żydem. Ale wśród jego ostatnich słów znalazły się takie: „Nie ma znaczenia, jak ktoś umiera; tylko jak zmartwychwstaje”. Został powieszony przez swoich przeciwników.

W obozie Cernavoda rozdano nam kartki pocztowe i powiedziano, że możemy napisać do swoich rodzin i zaprosić je na odwiedzin w pewną niedzielę. Podejrzewałam podstęp: czy nie chcą nas nabrać, abyśmy wymienili nazwisko jakiegoś przyjaciela, który będzie później obserwowany i śledzony przez służbę bezpieczeństwa? Tak więc przez całe dni zadawałam sobie pytania: Do kogo mogę napisać? I czy będą tam jeszcze, żeby otrzymać moją kartkę? Tak wielu zostało aresztowanych.

Wszyscy wokół mnie pisali kartki. Każdy zadawał sobie pytanie, czy w domu jest jeszcze ktoś, żeby odpisać? Czy jest jeszcze dom? Będą tam synowie, którzy utracili swoją wiarę lub zostali aresztowani, mężowie w więzieniu lub żyjący z innymi kobietami... Widziałam wiele zbliżających się tragedii.

Ale kiedy nadszedł ten wielki dzień, żadne tragedie nie wyszły na jaw. Bo chociaż nasi krewni przyjechali, to jednak nie pozwolono nam na spotkanie z nimi.

Obudziłam się w niedzielę na długo przed odtrąbieniem pobudki o piątej rano. Światło było włączone (nie wolno go było wyłączać), a na zewnątrz wszystko nadal wyglądało jak w środku nocy. Na szybach był lód. Nie mogłam się doczekać poranku.

W końcu nastał. Wybiegłam, mając nadzieję, że zobaczę gości czekających na zamkniętym terenie koło bram. Był on bardzo daleko. Od samego obozu oddzielały go trzy ogrodzenia z drutu kolczastego i strefa zewnętrzna — ziemia niczyja, na którą nie wolno było wchodzić.

Zobaczyłam tam swojego syna. Był wyższy, szczuplejszy i licho ubrany. Rozpoznałam też mężczyznę stojącego obok niego. Był to pastor z naszego kościoła. (Od tamtej pory różne tragiczne wydarzenia wytworzyły przepaść pomiędzy nim a nami. Niemniej jednak pamiętamy, jak wielkiej pomocy udzielił nam wraz ze swoją żoną w tamtych trudnych czasach i jesteśmy za to wdzięczni. I nawet jeśli nienawidzi nas teraz, to my nigdy nie przestaniemy go kochać.)

Machałam i machałam do nich, ale nie mogli mnie dostrzec wśród wszystkich innych kobiet stojących przy drutach. Popędziłam z powrotem do baraku, żeby powiedzieć o wszystkim kobiecie, która zajmowała łóżko obok mojego.

Spojrzała na mnie. Na moją poplamioną i postrzępioną sukienkę, stare buty, pozostałości mojego letniego płaszcza, kawałek sznurka, który służył mi za pasek.

— Przerazisz swoje biedne dziecko, kiedy cię taką zobaczy — powiedziała. — Pożyczę ci swoją bluzę — przynajmniej jest w jednym kawałku.

Tania zaferowała długą, jasną cygańską spódnicę. Valia udrapowała mi na włosach białą chustę. Wypożyczono mi pończochy, a nawet brudną chusteczkę. Podczas gdy podziwialiśmy mój wytworny strój, w baraku wybuchła awantura.

Rina była w samym jej środku, piejąc triumfująco. Miałyśmy zostać ukarane. Zbyt wiele osób nie wypełniło swoich norm produkcyjnych w minionym tygodniu i odwiedziny odwołano.

Całą noc jechali z Bukaresztu i wydali oszczędności, których tak strasznie potrzebowali — całkiem na próżno. Nie będziemy mogli porozmawiać. Nie będziemy nawet mogły otrzymać ubrań i pożywienia, które przywieźli ze sobą.

Grupa około trzydziestu gości czekała przy bramie przez cały dzień, mając nadzieję, że naczelnik zmieni zdanie. Nie zmieniła.

Nie miałyśmy już nawet okazji, by choć na nich spojrzeć lub pomaćchać im. Przez cały dzień strażnicy odganiaли nas od ogrodzenia. Karabiny maszynowe na wieżyczkach były w nas wycelowane. Od czasu do czasu jakaś kobieta, której udało się przejść obok drutów, donosiła: „Są tam jeszcze!” Ale wieczorem już ich nie było.

Wyglądało na wielce nieprawdopodobne, bym w ogóle zobaczyła się jeszcze z Mihaiem, jeśli nadal będą domagać się, żeby wszyscy wypełniali swoje normy produkcyjne. Wielka liczba więźniów przybyła z Jilavy. Głód i choroby sprawiły, że byli zbyt słabi, by sprostać ciągle zwiększającym się wymaganiom, jakie na nich nakładano.

Ale mogliśmy znowu napisać. Ponownie rozdano nam kartki pocztowe.

I kilka niedziel później Mihai ponownie odbył podróż do Cernavody. Tym razem nie było kary. Ale odwiedziny odbywały się według alfabetu, a moje nazwisko było zawsze na końcu. Może minąć cały dzień, a moja kolejka nie nadejdzie.

Pożyczone ubrania przechodziły od kobiety do kobiety.

— Jak wyglądam?

— Doskonale!

Większość z nich nie spała całą noc, myśląc o tym, co powiedzą i ciągle w kółko powtarzając to sobie. Ale zazwyczaj, kiedy nadchodziła ta chwila, były tak przejęte, że nie były w stanie wypowiedzieć ani słowa. A jeśli ktoś próbował zapytać o krewnych lub przyjaciół, strażnicy powstrzymywali go. Nawet ubrania, które, jak nam powiedziano, miałyśmy otrzymać, były odrzucane pod takim lub innym pretekstem. Spotkanie to przyniosło wielu kobietom więcej bólu niż radości. Wracały szybko, żeby oddać pożyczone rzeczy, które przechwytywała kolejna osoba.

Pozostałe kobiety spoglądały na nas ze smutkiem. Być może w dniu następnych odwiedzin — za dwa miesiące — przyjdzie na nie kolej.

Zabierano nas do innego baraku blisko bramy. Nie był to oczywiście „cały dzień z twoją rodziną”, jak obiecywano nam w Jilavie, lecz tylko piętnaście minut, podczas których staliśmy w tym samym pomieszczeniu, oddaleni od siebie o dziesięć metrów, a strażnicy słuchali każdego słowa.

Ale kiedy zobaczyłam swojego syna, zapomniałam, że jestem więźniem i jak wyglądam, i gdzie jestem, i po prostu obejmowałam go swoimi oczami. Jaki był chudy, i poważny! Wpatrywałam

się w niego, a on we mnie, i piętnaście minut upłynęło w mgnieniu oka. Czas przestał dla nas istnieć. Prawie nic nie mówiliśmy. Bo też nie można było powiedzieć niczego osobistego.

Pamiętam, że zawołałam do niego przez tę przestrzeń, która nas oddzielała:

— Mihai, wierz w Jezusa z całego serca!

Udzieliłam mu najlepszej porady, jakiej mogłam, wiedząc z własnego doświadczenia w więzieniu, w którym przebywałam wśród tak wielu ludzi, starych i młodych, że tylko Chrystus może dać nadzieję, która rozjaśnia najciemniejsze miejsce.

Jak tysiące innych chłopców i dziewcząt, nie miał żadnego przewodnika. Komuniści czerpali z tego korzyści. Tak jak syn marnotrawny, roztrwoniwszy wszystko, co miał, zwrócił się o pomoc do kogoś starszego, kto zmusił go do pasienia świń, tak i tym młodym ludziom nakazywano karmić się ideami przeznaczonymi dla świń. Powiedziałam: „Wierz w Jezusa”, wiedząc, że tylko Jezus ma słowa życia wiecznego i jest najlepszym przewodnikiem dla dziecka odłączonego od matki.

Wyglądał tak pięknie; każda matka jest przekonana, że jej syn jest najprzystojniejszy. To, co było ważne podczas tego spotkania, rozkwitło później niczym drzewo z małego ziarenka. Dopiero po wyjściu na wolność dowiedziałam się, jak odebrał moje słowa.

Strażnicy brutalnie popchnęli mnie w ramię i wyprowadzili. W naszym baraku wszystkie kobiety tłoczyły się wokół mnie, pytając, co Mihai powiedział i jak się ma. Ale tylko kiwałam głową. Przez wiele godzin nie byłam w stanie mówić. Byłam jakby poza tym miejscem. Nie byłam w więzieniu.

Wieczorem okazało się, że wiele było takich, które czekały na kogoś, kto wcale nie przyszedł. I teraz płakały głośno, leżąc na swoich słomianych materacach.

9

Karcer

Co noc w każdym baraku jedna kobieta musiała stać na straży. Nigdy nie wyjaśniono nam, czego mamy pilnować (przypuszczam, że chodziło o niedopuszczenie do samobójstw), ale trzeba było być cały czas na nogach. Kary za zaśnięcie były bardzo surowe.

Goła zapalona żarówka, wisząca w środku pomieszczenia, kołysała się delikatnie w przeciągu. Leżące w rzędach kobiety wierciły się i przewracały. Niektóre głośno chrapały. Inne krzyczały przez sen. Na każdej twarzy widać było ślady cierpienia i strachu. Jakże wlokły się godziny. Jakże smętnie zawodził wiatr. Jakby zwiął tutaj wszystkie te nieznanym: stare i młode, kobiety z wyższych sfer i włączęgi spod miejskich mostów. Wszystkie je łączył — ból.

Kiedy byłam dzieckiem, nie lubiłam nocy. Teraz tęskniłam za nią, gdyż była jedynym wybawieniem od morderczej pracy. Ale kiedy robiło się ciemno, nie mogłam zasnąć. Wstawałam i modliłam się za kobiety w naszym baraku, w naszym obozie, za miliony więźniów w świecie komunistycznym, a także za chrześcijan, którzy spali spokojnie na Zachodzie oraz za tych, którzy, jak przypuszczałam, modlili się za nas.

Pewnego razu, ponieważ i tak nie spałam, zaproponowałam, że stanę na straży. Była wtedy kolej Tani. Nie miała kłopotów ze snem. Ale odmówiła szorstko.

— Sama śpij — powiedziała, chcąc w ten sposób okazać swoją życzliwość.

Później, widząc, że nadal nie śpię, podeszła i usiadła na moim łóżku. Rozmawiałyśmy szeptem. Opowiedziała mi jedną ze swoich złodziejskich historii. Była w więzieniu, w którym przetrzymywano cztery tysiące kobiet. Jedną z nich była naczelnik dokładnie tego samego więzienia w czasach starego reżimu.

— W czasie wojny dawała się we znaki więźniarkom, które były komunistkami — powiedziała Tania — a teraz sama siedziała,

co zresztą było odpowiednim dla niej miejscem. Nie tylko fałszowała księgi i podwędzała pieniądze na jedzenie. Wszyscy to robili. Ale ta jedna wypuszczała najsprytniejsze dziewczyny na kilka dni, potem sprowadzała je z powrotem i brała dla siebie dolę z tego, co ukradły.

Kiedy spróbowałam porozmawiać z nią o Bogu, odpowiedziała:

— Zanim dotrzesz do Boga, święci zabiją cię!

Było to powiedzenie powszechnie używane w Rumunii. Nie cierpieliśmy na brak zewnętrznego przywiązania do świętych, ale niewiele tak naprawdę wiedziało, kim oni są. Powiedziałam jej, że święci pomagają nam i wstawiają się za nami i naprawdę mogą przeprowadzić nas do Boga. Święci nikogo nie zabijają.

— Istnieją dwa światy — wyjaśniałam — materialny i duchowy. Ale tylko w świecie materialnym prawa Boże i ludzkie mówią: „Nie kradnij”. W świecie duchowym zasada jest taka: kradnij, ile tylko dasz rady. Kradnij wszelką wiedzę, doświadczenie i rozum, jakie tylko zdołasz. Jeśli ukradniesz mi coś w świecie materialnym, to poniosę stratę. Ale w świecie duchowym nic nie tracę. Nie jestem przeciwko temu, że jesteś złodziejką. Kłopot w tym, że nie wiesz, co kraść. Wszystko, co weźmiesz dzisiaj, stracisz, jeśli nie jutro to w dniu śmierci. Ale kiedy już weźmiesz od kogoś mądrość i poznanie Boga, to będziesz je mieć na wieki.

Być może słowa te nie uderzały w próżnię. Gdzieś głęboko w nas zagrzebane jest przeświadczenie, że „nie kradnij”, za wyjątkiem sytuacji omówionej powyżej, stanowi jedno z fundamentalnych praw rządzących wszechświatem. Coś w nas mówi: „Nie pożądam własności drugiej osoby. I bądź dyskretny, gdyż nie tylko jego rzeczy, lecz także jego istota jest jego świętą własnością”. Bóg postanowił, że ludzie, podobnie jak gwiazdy na niebie, będą znajdować się w pewnej od siebie odległości. Dał nam nieśmiałość, wstyd, dumę, godność i strach jako ogrodzenie wokół naszej indywidualności i nikt nie może przez nie przeskakiwać. Każdy człowiek jest jak atom, którego nie można na siłę przeniknąć, nie doprowadzając do jego dezintegracji, do uwolnienia destruktywnych, rewolucyjnych energii, które mogą zniszczyć świat.

Chociaż Tania tak często była głodna, to jednak nie zapominała o ptakach. Każda więźniarka spożywała swoją małą porcję chleba na swoim łóżku, ostrożnie zbierając okruszyny. Każdy okruszek miał wielką wartość: była to jedyna pewna rzecz, jaką miałyśmy. Ale

Tania brała swoje zebrane okruszki i rozsypywała je dla wróbla na parapecie okiennym.

Pewnego razu powiedziała do swojej sąsiadki:

— Co z ciebie za chrześcijanka! Tylko dużo gadasz. Nigdy nic nie dajesz ptakom.

Patrząc na dziewczyny takie jak ona, oddające te cenne okruszyny, zaczęłam dochodzić do przekonania, że żaden człowiek nie jest całkowicie zły. Ludzka natura pozostawiona samej sobie okaże dobrą wolę przynajmniej w takich rzeczach jak ta: karmienie ptaków, kiedy głodujesz.

Byłam pod wrażeniem tego, że w złodziejkach odnajdywałam cechę charakteru wyróżniającą Tybetańczyków, naród, który od tysięcy lat ma niezwykle mocne poczucie metafizyki. Sven Hedin pisze o tym, że my w Europie karmimy tylko ptaki domowe i to w tym celu, żeby później nakarmić nimi samych siebie. Natomiast Tybetańczycy zostawiają na skałach małe ciastka dla dzikich ptaków. To właśnie dzięki tym ciastkom Sven Hedin przeżył, kiedy zabłądził. Bo czyż nie wierzą oni, że dzika przyroda jest także częścią Brahmana, jedyne wielkiego Wszystkiego?

W morderczyniach i w każdego rodzaju przestępcy można odnaleźć jakiś mały okruszek bezinteresownej dobroci.

W niedzielę w Cernavodzie zamiast upragnionego odpoczynku musiałyśmy uczęszczać na męczące wykłady, podczas których byłyśmy poddawane indoktrynacji. Po południu szefowa baraku prowadziła nas do świetlicy, gdzie przemawiała do nas mówczyni. Zaczynała od powiedzenia nam, co myśli o Bogu, a nie było tego wiele, i ostrzegała nas, że każdy, kto będzie o Nim mówić, zostanie ukarany.

— Na zewnątrz wszyscy są komunistami — tłumaczyła. — Tylko wy uparcie trzymacie się tych religijnych głupstw. My natomiast zadbamy o to, żeby was tego oduczyć. Partia jest teraz u władzy i ona wie najlepiej. Nie jesteście tutaj w więzieniu! Nie chcę nawet słyszeć tego słowa! Jesteście w instytucji reedukacyjnej. Będziecie budować swoje przyszłe szczęście! Pracować dla przyszłych pokoleń! A wypełniając normy produkcyjne możecie nawet przyspieszyć swoje uwolnienie jako zrehabilitowane obywatelki.

Następnie przychodziła pora na koncert propagandowy. Były pośród nas piosenkarki kabaretowe i drugorzędne aktorki, niektóre z niemieckiej mniejszości. Musiały śpiewać komunistyczne

pieśni, szydzące z Niemców i wychwalające sowieckich zwycięzców. Współczułam im, widząc, jak bardzo cierpią z powodu tego upokorzenia. Ból fizyczny przemija i po kilku godzinach można o nim zapomnieć. Ale upokorzenie, nawet jeśli wydaje się błahe, wypala znamię na sercu. Wtedy właśnie zaczęłam rozumieć, dlaczego Jezus mówił o tym, że zostanie „wyśmiany i ukrzyżowany”. Wcześniej zastanawiałam się, dlaczego wspominał o wyśmiewaniu się. Teraz wiedziałam, jak może ono nieustannie boleć.

Niemka stała na scenie na końcu świetlicy. Była w średnim wieku. Kiedyś była ładna i puszysta. Żałośnie klaskała dłońmi, śpiewając piosenkę. Głos jej się rwał przy wysokich tonach.

Oficerowie siedzący w pierwszym rzędzie ryczeli ze śmiechu. Bo czyż może być coś bardziej śmiesznego od przekwitłej *Fräulein* robiącej z siebie pośmiewisko? Śpiewała drżącym głosem i lzy spływały jej po policzkach.

Następnie na scenę wyszła kobieta, nadal dosyć młoda, która czytała wiersz, ociekający wdzięcznością dla Sowietów za wyzwolenie nas od nazistów:

Matko Rosjo dziękujemy
Tyś dzisiaj naszą opoką
Wielka Armio Czerwona
Prowadzisz nas słuszną drogą ... itd. itd.

Na tę rymowanąkę wszyscy odpowiedzieli gromkimi owacjami, którym ton nadawały szefowe baraków. Każdy, kto nie okazywał entuzjazmu, narażał się na kłopoty. Donosiciele pilnie wypatrywali społecznie zgnitych reakcji.

Nie potępiałam kobiet, które brały udział w tej farsie. Cierpienie je wycieńczyło. To, co dla nas było udręką, dla innych było chwilą ucieczki. I wszyscy to robili: czyż najśłynniejszy rumuński kompozytor utworów religijnych, Aurel Baranga, nie przykładał swojej ręki do pisania hymnów komunistycznych? Był teraz więźniem w jednym z obozów nad Kanałem.

Niewielu się przeciwstawiało. Ci, którzy stawiali opór, nie ulegali tym coniedzielnym godzinom indoktrynacji prowadzonym w prawie każdym obozie nad Kanałem. Mimo to część tych śmieci, którymi nas obrzucano, przyczepiało się do nas.

Nie byłam w stanie wyrażać aplauzu na spotkaniach. Wszyscy mówili: „Udawaj! Co to ma za znaczenie? Czy warte to jest bicia?” Kiedy jednak słyszałam, że szydzono z Boga i ojczyzny, i kiedy

widziałam piękno wdeptywane w błoto, nie mogłam. Zawsze z tyłu świetlicy stali ludzie, więc chowałam się między nimi.

Ale nie uszło mi to płazem. Ktoś doniósł na mnie i wieczorem zaprowadzono mnie do biura naczelnik obozu. Nawet nie mrugnęła okiem, spoglądając na mnie spod czapki z daszkiem.

— Otrzymałam informację, Wurmbrand, że nie biłaś brawo podczas dzisiejszego popołudniowego wykładu i zajęć reedukacyjnych. Całe twoje zachowanie dowodzi, że jesteś siłą kontrrewolucyjną, nie poddającą się właściwej reedukacji.

Wygłosiła rytualne slogany i oblizała sobie wargi.

— Próbowaliśmy być dobrzy dla ciebie. Teraz zostaną zastosowane inne metody.

Tego wieczoru nie pozwolono mi powrócić do baraku. Zaprowadzono mnie do wartowni i umieszczono w karcercie. Było to coś w rodzaju dobudowanej do ściany wąskiej szafy, w której można było tylko stać. W żelaznych drzwiach było kilka otworów, przez które wpadało powietrze, a jedzenie podawano przez małą szczelinę znajdującą się na dole.

Karcery były we wszystkich więzieniach. Pomagały w złamaniu oporu więźnia, co ułatwiało wymuszenie fałszywych zeznań. Nad Kanałem stanowiły najczęściej stosowaną karę.

Po kilku godzinach zaczęły mnie palić stopy. Krew powoli pulsująca w skroniach, zadawała mi głuchy ból. Ile godzin będą mnie tutaj trzymać? Ile lat uda mi się przeżyć w takich warunkach? Myślałam: to zło rozprzestrzenia się po całym świecie; będzie dręczyć kolejne miliony ludzi; nikt nie ucieknie. Ale była to ścieżka szaleństwa. Wiedziałam, że wielu ludzi postradało zmysły w tych skrzyniach. Pozwolili, żeby te potworne myśli przytłoczyły ich. Ale jak mam uciec? Richard mówił mi o mnichach na górze Atos, którzy bezustannie powtarzają „modlitwę serca”. Z każdym uderzeniem serca mówią: „Panie Jezu, Synu Boży, zmiłuj się nade mną”. Ja również korzystałam z tej modlitwy.

Przypomniało mi się również, jak Richard całymi wieczorami wyjaśniał mi numeryczne sekrety Biblii. Ani Hebrajczycy, ani Grecy nie mieli oddzielnych znaków oznaczających liczby. Litery Biblii są także cyframi (a = jeden, b = dwa itd.), a każda liczba ma znaczenie symboliczne. Starłam się więc liczyć.

Gdzieś na dach tej skrzyni spadały krople wody, wydając ponury dźwięk. Liczyłam je dla zabicia czasu.

Jeden: jest jeden Bóg.

Dwa: są dwie tablice Prawa Mojżeszowego.

Trzy: oznacza Trójcę Świętą.

Cztery: Chrystus zgromadzi swoich wybranych z czterech krańców ziemi.

Pięć: to pięć Ksiąg Mojżeszowych.

Sześć: liczba Bestii w Księdze Apokalipsy to 666.

Siedem: to święta liczba.

Jednakże woda cały czas kapłała, a kiedy doszłam do piętnastu, szesnastu, liczby nic już nie znaczyły. Zaczynałam więc od nowa: jeden, dwa, trzy, cztery.

Nie wiem, jak długo to robiłam, ale w pewnej chwili zaczęłam po prostu głośno krzyczeć, żeby nie popaść w rozpacz.

— Jeden, dwa, trzy, cztery — krzyczałam.

I znowu:

— Jeden, dwa, trzy, cztery.

Po pewnym czasie słowa stały się nieartykułowanymi dźwiękami. Nie wiedziałam, co mówię. Mój umysł udał się na spoczynek. Wyłączył się. Jednakże mój duch nadal mówił coś do Boga.

Powinłam to szerzej wyjaśnić, jako że jest to jeden z kluczy do przetrwania w więzieniu. Wśród wszystkich tych zmartwień i udręk często chciałoby się po prostu wyłączyć swój umysł. W desperacji poszukuje się drogi ucieczki, jednakże nadal jest się prześladowanym i nękanym przez myśli, które mogą wywołać jeszcze głębsze zaburzenia umysłowe. Podobnie jak złamaną nogę wkłada się do gipsu, żeby odpoczęła, tak i udręczonemu umysłowi, choremu umysłowi, umysłowi pogrążonemu w żalu potrzebny jest odpoczynek, aby mógł być zdrowy.

Powszechnie wiadomo, że w pierwszym Kościele (jak również w misteriach greckich) występowało zjawisko znane jako *glossolalia* — mówienie nieznanymi językami. Religii nigdy nie zdoła się wyrazić za pomocą słów. Od samego początku znajdowała ona swój wyraz również w muzyce, tańcu i malarstwie. Język jest niedoskonałym narzędziem. Kiedy ktoś mówi: uwielbiam szarlotkę, uwielbiam moją żonę, uwielbiam Boga, tym samym słowem wyraża trzy zupełnie różne uczucia. A z kolei pomiędzy miłością i nienawiścią istnieje tyle odcieni uczuć, których nie sposób wyrazić słowami, ile jest ułamków pomiędzy jedynką i dwójką. Nie potrafimy przyoblec w słowa tego, co czuje matka patrząca na swoje dziecko. Często w ogóle nie używa słów, tylko mówi: pululu-posisi-patipati, lub coś w tym rodzaju, i dziecko jest szczęśliwe, słysząc to.

Mamy więc owo zjawisko *glossolalii*, nieznanymi języków, nieartykułowanych słów. W chwilach wielkiego uniesienia lub straszliwego cierpienia z głębi serca wypływają dźwięki, wypływają wyrazy miłości do Boga i do innych ludzi, składające się ze słów, których nie ma w żadnym słowniku. Umysł wyłącza się. Jak mówi Biblia: „Ten bowiem, kto mówi [nieznanym] językiem, nie ludziom mówi, lecz Bogu”.

To wyłączenie się umysłu, dzięki któremu z głębi podświadomości wydobywały się niezrozumiałe dźwięki, ocaliło mnie przed postradaniem zmysłów w kazerne. Po godzinie lub dwóch mój umysł powracał, wypoczęty. Odkryłam również, że mówienie w tych niezrozumiałych językach przynosi jeszcze jedną wielką korzyść. Nigdy nie kłamiesz, nikogo nie oszukujesz.

Niedługo po tym przyjechał do nas na inspekcję pułkownik Albon, funkcjonariusz objeżdżający obozy nad Kanalem. Wizyta była krótka i nieprzyjemna. Zrobił obchód Cernavody, nie wypowiadając ani słowa. Spojrzał z pogardą na rzędy szarych, wynędzniałych kobiet i zabierał się już do wyjścia, gdy podbiegła do niego młoda Cyganka. Nie potrzebowała wiele czasu, żeby powiedzieć to, co leżało jej na sercu. Potajemnie spotykała się z porucznikiem służby bezpieczeństwa i była teraz w ciąży.

Skutek tego był taki, że Albon przesłał raport do Bukaresztu, wszczęto dochodzenie i wiele z tego, co działo się w obozie, wyszło na jaw. Wszystkie kobiety przeniesiono więc z Cernavody do oddzielnego od mężczyzn obozu pracy położonego kilka kilometrów dalej nad Kanalem. Był to obóz „Kilometr 4”.

10

Obóz K4 — zima

Wczesnie rano wyszliśmy z obozu do pracy nad brzegiem Dunaju. Naszym zadaniem było umieszczenie w wodzie ogromnej ilości kamieni. Od rana do wieczora ładowaliśmy ciężkie głazy na barkę. Po czym barka wypływała na rzekę i wyrzucałyśmy kamienie przez burtę do wody. Woda straszliwie się rozpryskiwała, czego nie sposób było uniknąć, i w przeciągu kilku minut byłyśmy wszystkie całkowicie przemoczone. Lodowaty wiatr wiejący po równinie Baragan powodował, że nasze ubrania stawały się sztywne od mrozu. Było to tak, jakby ktoś zamknął nas w metalowej zbroi. Skóra na palcach popękała mi od zimna. Miałam opuchnięte dłonie. Ciężkie kamienie zgniatały mi palce.

Kiedy wieczorem wracałyśmy do baraku, mogłyśmy tylko położyć się do łóżka w swoich mokrych ubraniach. Nie było ich gdzie wysuszyć, a jeśli już powiesiłoby się coś gdzieś na noc, na pewno zostałyby to skradzione. Zwykle spałam ze swoim mokrym ubranie pod głową jako poduszką i rano zakładałam je na siebie, nadal mokre. Wysychało w drodze do pracy tylko po to, żeby znowu zostało przemoczone. Jakże tęskniłam za odrobiną słońca, trzęsąc się na wietrze, który kołysał naszą barką. Byłam chuda jak patyk i wydawało mi się, że wiatr przewiewa mnie na wskroś.

W drugim tygodniu przydzielono mnie do ładowania kamieni na taczki. Inne kobiety zawoziły je na barki i wrzucały do Dunaju. Miałam przynajmniej suche ubranie. Ale kamienie były ostre i ciągle przecinały skórę na rękach. Na zgięciach palców miałam całkowicie obdartą skórę, paznokcie miałam połamane i zakrwawione. Byłam skrajnie wyczerpana i chyba tylko dlatego ból nie doskwierał mi w całej pełni. Ale wydawało mi się, że unoszę się kilka centymetrów nad ziemią, jakby we śnie.

Podnieś kamień. Dźwigaj, zgięta w pół, przez dwieście metrów. Na hałdę. Podnieś kamień... Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła się wyprostować.

Po południu na horyzoncie na wysokości pasa strażnika pojawił się samochód. Kobiety spojrzały na niego szybko, nerwowo. Nikt nic nie powiedział. Nawet strażnicy się bali. Światła odbijały się od maski nowego i pięknie błyszczącego samochodu. Mogło to oznaczać tylko jedno — służba bezpieczeństwa. Jakaś więźniarka zostanie zabrana na dalsze przesłuchania.

Wszystkie kobiety modliły się po cichu. Nie będzie powrotu do cel, noce tortur!

Strażnicy natychmiast zaczęli krzyczeć. Nadzorcynie — niewolnice, które, jak to zwykle bywa, były jeszcze bardziej brutalne od swoich panów — biegały tam i z powrotem, powtarzając ich rozkazy.

Ale tym razem, ku naszej uldze, nikogo nie zabrano. Przywieźli i przekazali strażnikom młodą kobietę. Wiatr rozpląszczył jej bawełnianą sukienkę na jej wątlym ciele. Z poszarzałą twarzą wpatrywała się w nas z przerażeniem. Całe byłyśmy pokryte białym pyłem, spod którego wyzierały duże oczy niczym w maskach pośmiertnych podczas karnawału.

Strażnicy popchnęli ją do przodu. Zobaczyłam, że jest boso. Zaczęła pracować. Żal było na nią patrzeć. Pociągnęła kamień kilka centymetrów. Po czym nogi jej się zachwiały i upadła na kolana, rozcinając je sobie. Z trudem podniosła się i przesunęła kamień o kolejnych kilka centymetrów. Była okropnie blada, co mogło tylko oznaczać, że spędziła miesiące, a może nawet lata, w podziemnych celach.

Nie można było porozmawiać z nią tego popołudnia. Jakoś udało jej się przeżyć marsz powrotny do obozu. Przeszłyśmy pod wieżyczkami wartowniczymi i strażnik prowadzący kolumnę zawołał:

— Melduję powrót trzystu pięćdziesięciu bandytów.

Późno wieczorem, kiedy po dwóch godzinach skończyłam obieranie ziemniaków w kuchni, wróciłam do baraku i zobaczyłam, że ta dziewczyna leży na łóżku, które zostało wsunięte pomiędzy dwa łóżka, moje i mojej sąsiadki. Biały pył przywierał do jej twarzy za wyjątkiem tych miejsc, w których łyzy wyżłobiły kanały. Przyniosłam trochę wody i pomogłam jej umyć się. Mrugnęła powiekami i przyjrzała mi się jakby na wpół niewidoma.

Gdy doszła trochę do siebie, inne kobiety zebrały się wokół niej.

— Biedaczka, nie ma nawet trzydziestu lat!

— Jest całkiem urocza, nieprawdaż?

— Musimy znaleźć jej coś na nogi.

— I ta sukienka — to łachman.

Jedna z niemieckich aktorek Klara Strauss pogrzebała w swoim tobołku i wydobyła z niego starą pomiętą sukienkę. Od kogoś innego dotarła para sandałów. Te skarby, którymi została tak hojnie obdarowana, wycisnęły z jej oczu kolejne łzy. Powoli zaczęła nam opowiadać nieco o sobie.

Przez dwa lata była w izolatce w podziemiach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podczas przesłuchania w Bukareszcie była przetrzymywana bez snu przez dziesięć dni, podczas gdy funkcjonariusze przesłuchujący ją pracowali na zmiany. Mocne lampy i reflektory były skierowane na jej twarz dzień i noc. Widzi teraz tylko przedmioty na wyciągnięcie ręki.

Ale wyglądało na to, że żadna z tych rzeczy nie miała większego znaczenia. Nurtowało ją tylko jedno wielkie pytanie:

— Czy to prawda, że możemy tu spotykać się z dziećmi? Mam chłopca i dziewczynkę i nie widziałam ich od dwóch lat, i nic o nich nie słyszałam. Zostawiłam ich z moją matką, ale miała ona prawie siedemdziesiąt lat i nie czuła się najlepiej. Czy można tu uzyskać jakieś informacje?

Jej prośby były jak podawane nam miseczki na jałmużnę. Staraliśmy się ją pocieszyć. Opowiedziałam jej o moim spotkaniu z Mihaiem. Ale był to błąd.

— To znaczy, że będziemy stać po przeciwnych końcach tego pomieszczenia! Ale ja nie widzę tak daleko!

Rozplakała się i schowała twarz w szarej poduszce.

W przeciągu kolejnych dni niektóre kobiety starały się odkryć pozostałą część jej historii. Ona jednak ukryła się za ścianą nieufności. Ponieważ była tak okropnie słaba, w kamieniołomach okazywałyśmy jej wszelką możliwą pomoc. Nie było tego wiele. Dawałam jej trochę swojego chleba i próbowałam nawiązać z nią rozmowę.

— Teraz wiemy, dlaczego Chrystus podczas ostatniej wieczerzy pobłogosławił chleb, a potem kielich. Zwykle odmawia się modlitwę na początku całego posiłku i to wszystko. Ale tutaj nauczyłam się, że każda rzecz ma swoją wartość. Nikt nigdy nie mówi tutaj: „Mam trochę grochówki”, jeśli podano z nią kawałek chleba. Mówi się: „Mam grochówkę z chlebem”. Jest to smakołyk sam w sobie, za który warto podziękować Bogu.

Nagle rzuciła mi się w ramiona i zaczęła szlochać.

Po jakimś czasie nieco się uspokoiła.

— Moja matka jest religijna, tak jak ty. Jakżebym chciała się z nią teraz zobaczyć! Lub dotknąć jej. Miała w sobie taką siłę. Była skałą, do której Ignęliśmy. A ja byłam taka głupia. Gdybym tylko słuchała!

Opowiedziała mi dalszy ciąg swojej historii. Była to kolejna odmiana tragedii życiowej, która stawała się wówczas coraz bardziej powszechnym doświadczeniem. Dotyczyła ona Wiernego Komunisty. W 1951 roku coraz więcej członków partii szło do więzienia. Zostali aresztowani przez swoich dawnych towarzyszy. Widok tych zdezorientowanych kobiet wzbudzał litość. Faszystki mogły nurzać się w pogardzie i nienawiści; miały już swój dzień chwały. Chrześcijanki mogły okazywać miłość; ich dzień miał dopiero nadejść. Ale komunistki były zagubione. Zaufały partii jak Bogu. A teraz było tak, jakby oglądało się rzeź niewiniątek. Cierpiały bardziej niż ludzie tacy jak ja, którzy byli gotowi na to, co miało ich spotkać, którzy od samego początku wiedzieli, jaki reżim nad nami panuje.

Biedna Helena Coliu! Zajmowała dosyć wysokie stanowisko w Ministerstwie Edukacji. Jej mąż był również lojalnym członkiem partii, pełniącym ważną funkcję w rządzie. Helena bezinteresownie pracowała dla komunizmu. Jej hasłem przewodnim był „duch proletariacki”. Dwójkę swoich dzieci wychowywała jako wiernych małych członków Komunistycznej Organizacji Młodzieżowej.

— Naprawdę byłam gotowa umrzeć za komunizm — powiedziała. — Wierzyłam, że kiedy partia dojdzie do władzy, to zamieni Rumunię w raj.

A potem miała romans z rzeźbiarzem.

— Odnosił dosyć duże sukcesy, jeśli mierzyć je według liczby popiersi Stalina, jakie był w stanie wyprodukować tygodniowo.

Ale rzeźbiarz znudził się i opuścił ją. Helena, która poważnie traktowała ich romans, była rozgoryczona. W chwili nieuwagi powiedziała do przyjaciółki:

— To taki maniak, który pomagał partyzantom w górach. Zmarnowałam tyle czasu na kontrewolucjonistę.

Przyjaciółka była również fanatyczną komunistką. Doniosła na rzeźbiarza do służby bezpieczeństwa i został on poddany nieludzkim torturom. Do tego stopnia, że postradał zmysły.

Potem aresztowano Helenę. Sypiała przecież z tym mężczyzną. Wiedziała, jakie związki łączyły go z kontrrewolucjonistami. I teraz będzie mówić! Na nic zdały się jej tłumaczenia, że wymyśliła to wszystko w chwili wzburzenia, że jest wierną członkinią partii. Rozpoczął się jej dwuletni koszmar.

W końcu postawiono ją przed sądem. Był tam również rzeźbiarz — na dziesięciominutowej rozprawie, by otrzymać dziesięcioletni wyrok. Był zupełnie rozbity. Przez całą rozprawę nawet nie spojrzął na nią i nie powiedział ani słowa.

Co najgorsze, był tam również jej mąż z dwójką jej dzieci. Służba bezpieczeństwa oczywiście go nie oszczędziła. Stracił pracę. Dzieci zostały wydalone ze szkoły. Ich koledzy i koleżanki ignorowali je na ulicy.

— Co noc to wszystko mi się śni. Nawet w ciągu dnia mam halucynacje związane z Gregorym. Widzę go, jak był w sądzie, szary na twarzy, patrzący martwym wzrokiem. Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego w ogóle spotkaliśmy się?

Przypomniały mi się słowa Richarda: „Piekło to siedzenie w samotności i rozpamiętywanie dawnych grzechów”. Wspomnienia z przeszłości palą jak ogień. Nie ma żadnej możliwości obrony, kiedy zaczyna od nich huczeć w głowie: żadnych książek, żadnego radia, żadnych dodatkowych zajęć, żadnego miejsca, do którego można by się udać. Nie można już dłużej oszukiwać samego siebie. Teorie na temat nowej koncepcji moralności nie pomagają. Tutaj wiadomo, że nowa moralność to stara rozwiązłość. Helena miała potworne wyrzuty sumienia. Wiedziałam, co czuje.

Niemalże wszystkie kobiety w więzieniu odczuwały podobne palące wyrzuty sumienia. Prawie każda była w jakimś stopniu religijna. Zdeklarowane ateistki zaskakiwały same siebie, wzywając Boga. Wszystkie pragnęły, żeby ich modlitwa została wysłuchana.

Ale ich modlitwy były niewłaściwe. Było to tak, jakby modlić się, żeby dwa plus dwa dało wynik inny niż cztery. Nagromadzenie grzechów może tylko doprowadzić do zgryzoty i wyrzutów sumienia. Najbardziej przejmujący żal wywoływały upadki w sferze seksualnej — cudzołóstwa, zdrady, aborcje. Kobiety gorąco pragnęły porozmawiać o nich, by złagodzić ból. Przypomniały mi się słowa Dawida, który popełnił taki grzech: „Błogosławieni... których grzechy zostały zakryte”. Tak bardzo zakryte przez Boga, że nie ma żadnej potrzeby, aby odkrywać je przed ludźmi.

W naszym baraku przebywała pani Radu, żona dobrze znanego bukareszteńskiego biznesmena. W przedwojennym społeczeństwie była wielką postacią, ale jej starzy przyjaciele w ogóle nie rozpoznaliby teraz wesołej Zenaidy Radu, na której kapelusze, sukienki z Paryża i klejnoty patrzyli ongiś z zazdrością.

Akcent charakterystyczny dla wyższych sfer, z jakim mówiła, brzmiał dziwnie w ustach tej wymizerowanej kobiety.

Kiedy wieczorem siedziałyśmy na naszych słomianych materacach, zauważyła, że przyglądam się naszemu niecodziennemu zgromadzeniu kryminalistek, prostytutek, zakonnic, wieśniaczek i profeserek.

— Do jakich wniosków dochodzisz? — zapytała, układając do tyłu swoje tłuste włosy gestem, który należał do czasów, kiedy obracała się w „wielkim świecie”. — Widziałas wszystko — co myślisz? Co do mnie, to myślę już tylko o jednym: gdybym wyszła na wolność, to żyłabym szczęśliwie o suchym chlebie przez resztę swojego życia.

Tak jak wiele osób podobnych do niej, miała ona głębokie poczucie winy, że roztrwoniła swoje życie. Często mówiła do mnie z wahaniem, napomykając o jakiejś wewnętrznej udręce, którą chciałaby wyjawić. Przychodziła i siadała na moim łóżku. Albo wpatrywała się we mnie z drugiego końca baraku. Za każdym razem uśmiechałam się do niej.

Po kilku tygodniach opowiedziała mi o swoich kłopotach. Kiedy komuniści objęli władzę, została wdową z małym dzieckiem. Przyjęcia skończyły się, pieniędzy nie było, uroda przemijała.

— Odebrano mi wszystkie moje urocze rzeczy — szlochała na samo wspomnienie o tym. — Musiałam pracować. Zniszczyłam sobie dłonie. Wszyscy moi starzy przyjaciele unikali mnie. I wtedy — nadarzyła się okazja, żebym ponownie wyszła za mąż.

Znów ten gest w celu ugładzenia rozczochranych włosów.

— Ale mężczyźni po prostu nie chcą dzieci innych mężczyzn. Wiedziałam, że moja biedna Jenny — miała wtedy trzy latka — była przeszkodą. I...

Krople potu wystąpiły jej na czoło. Walczyła ze sobą, czy ma to powiedzieć czy nie. Położyłam dłoń na jej dłoni. Znowu zaczęła mówić szybko:

— Zaczęłam ją zaniedbywać. Nie karmiłam jej odpowiednio. Nie robiłam tego świadomie. Przynajmniej... płakała za dużo.

Krzyczałam na nią: „Zamknij się, mały łobuzie!” Była coraz chudsza i chudsza. Ale nic mnie to nie obchodziło.

Wyglądało to tak, jakby przy wyduszeniu tego z siebie miała umrzeć. Chwyła mnie kurczowo za rękę i wykręciła ją, jakby w okropnych bólach rodziła dziecko. I jeśli ukryłaby cokolwiek, to nie doznałaby ulgi.

— Nic mnie to nie obchodziło — powtórzyła oschłym głosem. — Zostawiałam ją samą i wychodziłam. Żeby się zabawić! Z nim! Myślałam, że jest moim wybawieniem.

— Potem w mroźne zimowe noce, kiedy już zasnęła, otwierałam okno. Możliwe, że się odkryje i złapie przeziębienie. Oczywiście, teraz zdaję sobie z tego sprawę. Wówczas mówiłam sobie: „Świeże powietrze jest dobre dla dziecka i nie wolno mi jej przekarmiać”. Nie zabiłam jej. Ale pozwoliłam jej umrzeć z powodu zaniedbania.

Wyszeptła ostatnie słowa swojego wyznania. Nie dlatego, że ktokolwiek inny słuchał. Pięćdziesiąt głosów dźwięczało w typowej wiązance skarg, kłótni i wspomnień. Przeklinanie. Śpiewanie sprośnych piosenek.

— Nigdy nikomu nie powiedziałam. I wiem już, że nie może być dla mnie przebaczenia.

Staralam się ją przekonać, że tak nie jest. Powiedziałam, że w greckim oryginale Ewangelii Chrystus to *Christos*, co jest niemalże identyczne ze słowem *chrestos*, które znaczy „łaskawy”. Nie możemy myśleć o Nim w żaden inny sposób. Łaska i przebaczenie są zawarte w tytule, który przyjął.

— Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę — powiedziała — to będę miała tylko jedno pragnienie — żeby być dobrą. Tutaj widzę bowiem pod każdym względem, co to znaczy nie być dobrym.

— Ale nikt nie jest tak naprawdę dobry — odparłam. — Właśnie dlatego apostoł mówi nam, że jeśli mówimy, iż nie mamy grzechów, jesteście kłamcami. Jeżeli jednak wyznamy nasze grzechy, to On, Jezus, jest sprawiedliwy i wybaczy nam.

Zena skończyła swoją opowieść. Potencjalny mąż okazał się kobieciarzem. Ona jednak została jego kochanką, a dzięki niemu kieszonkowemu, które jej dawał, nie musiała pracować w fabryce. To w połączeniu z jej „burżuazyjną” przeszłością stanowiło jedyne „oskarżenie”, jakie przeciwko niej wytoczono. Zawistny sąsiad doniósł na nią jako na kogoś o „zgniłym społecznym”

pochodzeniu i bez procesu dostała dwa lata jako „wyrok administracyjny”.

W czasie mojej podróży po różnych obozach i więzieniach spotkałam wiele osób, które aresztowano z absurdalnych i irracjonalnych powodów. W obozie K4 była pewna starsza pani, powszechnie znana jako babcia Apostoł, której przestępstwo polegało na tym, że okazała życzliwość obłąkanemu.

Ów szaleniec był starym metalurgiem i zrobił trochę monet z wybitymi na nich słowami: MIKOŁAJ CESARZ RUMUNII. To on był oczywiście tym Mikołajem i z upodobaniem rozdawał ludziom te monety.

— Zatrzymaj to — tłumaczył — ponieważ każdy, kto będzie mieć taką monetę, zostanie moim ministrem, kiedy wstąpię na tron.

Służba bezpieczeństwa aresztowała tego biednego cesarza i sprawdziła wszystkich jego przyjaciół i znajomych. Gdy u kogoś znaleziono monetę, stawał przed sądem. Marionetkowe trybunały wydawały za to piętnastoletnie i dwudziestoletnie wyroki.

— To haniebne! — krzyknęła Helena, oddana funkcjonariuszka partii. — Czy mogłabyś dowieść swojej niewinności?

— Mogłabym, oczywiście. Ale przed kim? Bóg i król są daleko stąd, jak powiadali mi, kiedy byłam dziewczynką. Wciąż jest tak samo. Cóż można począć na taki los? To są ignoranci. Albo sparaliżował ich strach.

Babcia Apostoł była bystrą staruszką, chociaż całe życie pracowała jako służąca. Miała w sobie prostotę, dzięki której potrafiła odrzucić pozory i dotrzeć do sedna sprawy.

Nie chodziło nawet o to, że nasi nowi władcy byli ignorantami, lecz że byli tak bardzo zarozumiali w swojej ignorancji. Chłopcy na posyłki zostali oficerami służby bezpieczeństwa. Wyniesienie ignorancji na wysokie stanowiska ogarnęło wszystkie szczeble władzy, włącznie z rządem i dotarło na sam szczyt, gdzie dawny kolejarz Georghiu-Dej ustanowił siebie szefem partii. Krążył wówczas taki dowcip: Georghiu-Dej chwalił się przed de Gaullem, że zlikwidował w Rumunii analfabetyzm. Zadał przy tym pytanie:

— Czy u was nadal są analfabeci?

— Tak, ale nie w rządzie — odpowiedział generał de Gaulle.

Oficerom nad Kanałem nawet nie przyszłoby do głowy, żeby porozmawiać z obdartymi, brudnymi kobietami. Jeśli jednak zmu-

siły ich do tego okoliczności, to w kółko słyszałyśmy te same slogany partyjne, które powtarzali jak papugi. Ileż to razy powiedziano mi: „Ludzkość wydała czterech wielkich geniuszy: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina”. Gdyby zapytać ich o Platona, Bergsona lub Edisona, to nie mieliby niczego do powiedzenia, ponieważ nigdy o nich nie słyszeli.

Głupota dzierzących władzę i przerażenie podległych im biurokratów powiększały długą listę nieszkodliwych i niewinnych osób, siedzących w więzieniach.

Pewna lekarka mimochodem wspomniała, że zawsze używała termometru wyprodukowanego na Zachodzie. O wiele łatwiej odczytywało się z niego temperaturę niż z modelu rosyjskiego. Niedługo po tym jak wyładowała w więzieniu za wypowiedzenie tego kontrrewolucyjnego stwierdzenia, dołączyła do niej pielęgniarka, którą oskarżono o to, że nie złożyła donosu informującego o tej niecnej wypowiedzi, w odróżnieniu od bardziej „lojalnej” pielęgniarki, która to uczyniła.

Do kolejnej dziwnej konfrontacji doszło pomiędzy dwoma paniami lekkich obyczajów. Jedna była krótko kochanką króla Karola, a druga komunistycznego Ministra Spraw Wewnętrznych Georgescu. Obydwie popełniły błąd, chlubiąc się swoimi dniami chwały. Partnerka króla została automatycznie skażona przez swój kontakt z dworem. Kochanka Georgescu ujawniła za dużo na temat przepychu, w jakim żył nowy minister — jego pięćdziesięciu garniturów, przyjęć z szampanem i kawiozem. Wydał więc nakaz jej aresztowania i wysłał ją do więzienia. Później i on znalazł się w więzieniu, aresztowany przez swoich własnych towarzyszy.

Spotkałam setki ludzi z sekt religijnych, którzy nie chcieli się dostosować. Byli wśród nich przedstawiciele Nauki Chrześcijańskiej, Świadców Jehowy, wyznawcy teozofii.

— To sobota — krzyknęła mała Annie Stanescu. Na pewno. Biją adwentystów dnia siódmego!

W każdą sobotę kobiety tego wyznania były wyprowadzane i nakazywano im pracę. I za każdym razem odmawiały. Nieludzko znęcano się nad nimi, ale nic nie mogło ich poruszyć. Prawosławne, katoliczki i protestantki pracowały w niedzielę, żeby uniknąć bicia, ale adwentystki cierpiały regularnie co tydzień.

Mnóstwo kobiet poszło do więzienia z powodu rzekomego objawienia Matki Boskiej. Miało ono miejsce na jednej z głównych ulic Bukaresztu. Ktoś wskazał na okno kościelne i krzyknął:

— Spójrzcie, Matka Boska!

I natychmiast setki ludzi zaczęły przychodzić, żeby zobaczyć tę wizję. Księża ostrzegali. Milicja dokonywała aresztowań. A tłumy i tak się gromadziły.

Milicja doszła do wniosku, że rozwiąże problem, rozbijając okno. Ale Matka Boska natychmiast ukazała się na następnej szybie. Tak więc rozbito cały szereg okien. Wówczas Matka Boska przeniosła się w inne miejsce na ulicy Zwycięstwa i ukazała się w oknach Komendy Głównej Milicji!

Masowe aresztowania rozpoczęły się wówczas, gdy sami milicjanci zaczęli widzieć to objawienie (wielu z nich wywodziło się z bardzo prawosławnych środowisk).

I tak to się toczyło.

— To wielka loteria — powiedziała Klara, królowa niemieckiego kabaretu. — Czasami wyciągasz los z napisem „więzienie”, a czasami z napisem „wolność”.

— Na bilecie, który ja chcę, jest napisane „Zachód” — powiedziała Zenaida Radu.

— A ty czego chcesz? — zwróciła się do mnie.

— Ja już dawno temu wyciągnęłam swój los — powiedziałam. — Jest na nim napisane „raj”.

O jedenastej w nocy drzwi baraku otworzyły się na oścież. Sześć strażniczek wkroczyło do środka, krzycząc na całe gardło:

— Wszystkie wstawać!

— Inspekcja!

Brzdęk, brzdęk! Brzdęk w żelazną szynę.

Oślepienie, przerażone kobiety wyskakiwały spod swoich szarych koców, całe się trzęsąc. Szamocząc się i przepychając, zbierałyśmy wszystkie swoje rzeczy. Być może to przeprowadzka!

Nasza szeroka w ramionach naczelnik weszła w pełnym mundurze, z czapką na głowie i wypolerowanymi butami, jakby przyjmowała salut kompanii honorowej.

— Kobiety! Chcę, żeby wszystkie te, które znają jakiś obcy język, wystąpiły do przodu. I chodzi mi o obcy język. Nie rosyjski czy serbski. Angielski, francuski — tego rodzaju język.

Grupa kobiet wystąpiła do przodu. Nauczycielki, dziennikarki, dawne damy dworu — cały przekrój czasów burżuazyjnych. Nasze nazwiska zostały pieczołowicie zapisane. Zaciętrzewione

strażniczki robiły wszystko, żeby nie wyjść na głupie. To przedstawienie było zawsze udręką. W końcu „podwójne V. Wurmbrand” została zapisana jako znająca francuski i niemiecki, i strażniczki zajęły się następnymi. Straciłyśmy dwie godziny snu, a przez dwie kolejne godziny trwały jałowe spory. Co to miało znaczyć?

— Tłumacze, o to tu chodzi — stwierdziła Klara.

— Amerykanie nadchodzą!

— I Francuzi!

— Szczęśliwe suki — powiedziała jedna z prostytutek. — Dlaczego miałybyście dostać jakąś ciepłą posadkę tylko dlatego, że mówicie, że znacie kilka słów tych żabojadów?

— A ty, Klaro Strauss, mówisz, że znasz francuski. A my wiemy, że jesteś szwabką!

— Nie mówię po francusku?! — Klara wybuchła scenicznym śmiechem. — *Moje drogie, zasłynęłam rolą Fedry. Oui, prince, je languis, je brule pour Thesée.* — Przyciskając dłoń do gardła, spiorunowała wzrokiem babcię Apostoła. — *Que dis-je? Il n'est point mort puisqu'il respire en vous. Toujours devant mes yeux...*

— Och, proszę, pójdźmy w końcu spać!

Ale kryminalistki kipiwały z zazdrości i nie ustawały w złośliwościach. Kiedy zasnęłam, już prawie świtało. Miałam jednak niespokojny sen.

Mimo to, kiedy tego poranka maszerowałyśmy przez równinę do pracy, było mi lekko na sercu. Czyżby to była prawda? Praca tłumaczki w jakimś ciepłym biurze, z dala od tego nieustannego wiatru? Czyżby nastąpił jakiś międzynarodowy przewrót? W całej naszej ekipie kamieniołomowej huczało od pogłosek.

Tego dnia pracowałam obok szczupłej Żydówki o imieniu Jessica. Wielokrotnie widziałam ją w obozie. Miała łagodny, słodki uśmiech, który pośród tyłu udręczonych twarzy był jak płomień nadziei. Mając strażników na oku, wyjaśniłam, co wydarzyło się w nocy w naszym baraku.

— Tak było w każdym baraku — powiedziała mi. — I w każdym obozie. Czasami przychodzą i pytają, kto jest obcokrajowcem. A Niemcy i Żydzi w pośpiechu podają swoje nierumuńskie nazwiska, myśląc, że otrzymają pozwolenie na emigrację. Ale nie o to tu w ogóle chodzi. Celem jest spotęgowanie cierpienia.

W niedługim czasie odkryłam, że miała rację. Była to kolejna udręka, której celem było wycięczenie umysłu i osłabienie woli.

Barak był wielokrotnie zrywany z łóżek po północy na kolejny odcinek tej gorzkiej farsy. Raz przyszli po listę kobiet uprawiających sport. Rozeszła się wieść, że Rumunii brakuje zawodników na olimpiadę — każdy, kto potrafi biegać lub skakać, lub pływać może być zabrany na treningi! Większość z trudem chodziła, jednakże nowina ta została przyjęta jak artykuł wiary.

Byłyśmy dzięki temu bardziej podatne na reedukację. Stworzono też chór żeński, który uczył się pieśni komunistycznych, poczynając od Międzynarodówki:

„Wyklęty powstań ludu ziemi!...

Dziś wiedzie nas na bój, na trud!”

Annie Stanescu śpiewała radośnie.

Wystawiono także sztukę pt. „Prawdziwe szczęście”. Ukazywała ona, że prawdziwe szczęście polega na budowaniu Kanału dla socjalizmu. Z jakąż pasją wiersze obnażały okropieństwa kapitalistycznego wyzysku. A kiedy kazano nam opłakiwać miliony głodujących Amerykanów, widziałam kobiety, które rzeczywiście były we łzach.

Kiedy udało się już udaremnić wysiłki nikczemnego wujka Sama, których celem było sabotowanie prac nad Kanałem, szlachetna młoda komunistka zaśpiewała sopranem, który przypominał dźwięk pocierania styropianem o szybę:

„Jakże kochamy ojczulka Stalina,

Radość, którą daje partia, nigdy nie zginie...”

Najsmutniejsze z tego wszystkiego były aplauz i owacje po zakończeniu przedstawienia. Przynajmniej część widowni była w tym szczerą. Pomiędzy torturowanym i torturującym może się wykształcić relacja miłość-nienawiść. Strażników, którzy nas bili i wyśmiewali się z nas, często nazywano zdrobnieniami od ich imion.

„Zanim będzie można zbudować dom, należy oczyścić bagno i pozbyć się całego robactwa, które się w nim znajduje!” Młodsze strażniczki, które uczono, że my wszyscy jesteśmy bandytami, powtarzały te chwytliwe powiedzonka, których nauczyły się w szkołach bezpieczeństwa. A my wszystkie nauczyłyśmy się wystrzegać dwudziestokilkuletnich dziewczyn o obojętnym wyrazie twarzy. Dopóki działała indoktrynacja, której zostały poddane, potrafiły być bardziej brutalne od jakiegokolwiek mężczyzny.

Ale potem rozlokowano je nad Kanałem i przez całe miesiące i lata mieszkały na tym pustkowiu obok swoich więźniów. Maszerowały z nami długie kilometry do kamieniołomów. Stały nad nami,

gdy my pracowałyśmy. I chociaż było to surowo zabronione, czasami z nami rozmawiały.

Po jakimś czasie zauważały, że nie mają do czynienia jedynie z „robactwem” i „bandytami”, lecz często z prostymi wieśniaczkami, takimi jak te z ich własnych rodzin. Był to okres przymusowej kolektywizacji. Ziemię i zwierzęta siłą odbierano właścicielom. Kiedy strażniczki dowiadywały się, że ich własni krewni głodują i są aresztowani, zaczynały powątpiewać.

Utraciły poczucie dumy ze swojej pracy. A potem swoją wiarę w partię. Atak na Kościół szedł ramię w ramię z zagrabianiem wszystkiego, do czego były przywiązane. Ta wzmagająca się odrazą do następstw komunizmu doprowadziła u niektórych z nich do wspaniałej przemiany.

W obozie K4 miałyśmy kilka uczennic, które zostały tam zesłane, ponieważ wstąpiły do patriotycznego ugrupowania młodzieżowego. Jedną z nich była przepiękna piętnastoletnia dziewczyna Maria Tilea. Niewolnicza praca zdawała się jedynie dodawać jej urody. Jej skóra stała się lśniąca, ciemne oczy bardziej błyszczące, a delikatne rysy twarzy bardziej wyraziste. Miała wiarę w siebie, która wypływała z umacniającego się przeświadczenia, że jest lubiana i podziwiana przez wszystkich.

Nina, pyzata strażniczka, która w przeszłości okazała mi nieco życzliwości, bardzo dbała o tę wypieszczoną dziewczynę z innego świata.

— Co za hańba, biedna dziewczyna! Dlaczego? — przecież to jeszcze dziecko! Powiedzieli mi, że będę zajmować się złodziejkami i morderczyniami, a ona jest taką młodą panienką!

Pewnego dnia Nina zapytała Carine, jedną z moich przyjaciółek, która była chrześcijanką:

— Czy jesteś jedną z zakonnicek?

— Nie, jestem żoną pastora.

— Ach, powiedzieli mi o tobie. Rozdajesz swój chleb i takie tam. Rozchorujesz się. Słuchaj — idź za chwilę do toalety i połóż rękę na parapecie okiennym po prawej stronie.

Poszła. Wyciągnęła rękę do góry i natrafiła na coś owiniętego w papier. Kanapka. Gdyby hojność Niny została wykryta, ona sama zostałaby wysłana do obozu pracy.

Carine i ja kilkakrotnie z nią rozmawiałyśmy. Opowiedziała nam, że jako dziecko zawsze chodziła do kościoła. A nawet wówczas, gdy musiała wstąpić do Komunistycznej Organizacji Mło-

dzieżowej, nadal uczęszczała na nabożeństwa — tyle tylko, że chodziła do innej wioski oddalonej o wiele kilometrów, w której nikt jej nie znał.

— Pewnego razu w drodze powrotnej spotkałam jedną z liderkę młodzieży. Wypytywała mnie, gdzie byłam: „Jest niedziela, nie byłaś chyba w kościele?” Powiedziałam, że porzuciłam to wiele lat temu. Żałuję, że nie miałam odwagi, żeby powiedzieć jej, by zajmowała się swoimi spawami, ale co by to dało? Bardzo płakałam, kiedy wróciłam do domu. Czułam się jak Piotr, który wyparł się Chrystusa.

Płakała, ale nawrócenie takie jak Piotra było ponad jej siły. Pozwoliła, by oddzielono ją od kościoła, wciągnięto w szeregi milicji i uczyniono z niej strażniczkę w obozie. Dała wiarę tej gadaninie o budowaniu lepszego świata (i zmieceniu z powierzchni ziemi burżuazycznego robactwa w trakcie dążenia do tego celu). Na rozkaz biła i źle traktowała więźniarki. Teraz zobaczyła, co komunizm zrobił w wioskach takich jak jej rodzinna wieś. I miała poczucie winy.

Carine nie była jedyną, której pomagała. Na podstawie pewnych sygnałów domyślałam się, że zaprzyjaźniła się też z młodą Marią Tilea. Wiele miesięcy później, kiedy Niny nie było już z nami, ta uczennica powiedziała mi, co Nina dla niej zrobiła.

— Moim rodzicom zostało jeszcze trochę pieniędzy. Udało się im też ukryć kilka rzeczy, kiedy nasz dobytek został skonfiskowany. Zapytałam Ninę, czy przekazałaby im ode mnie wiadomość, że mam się dobrze. Kiedy do nich przyszła, mój tatuś obiecał jej pieniądze lub prezent, jeśli dostarczyłaby dla mnie trochę rzeczy — aspirynę, czekoladę i wełniany sweter.

Nina mogłaby to przypłacić życiem. Ale zrobiła to. Przeszmurowała te rzeczy do obozu i nie przyjęła łapówki. Wizyta w domu Marii była dla Niny jak objawienie. Ładne rzeczy, spokojny dom, uprzejmość państwa Tilea'ów były dla niej czymś zupełnie nowym. Jej wiara w komunizm załamała się jeszcze bardziej.

Kiedy zaczęłam z nią rozmawiać, szło naprawdę trudno. Wciąż jeszcze drwiła z religii, powtarzając jak papuga wszystko, co usłyszała na szkoleniach. Jej serce było zamknięte. Kiedy mówiłam o Chrystusie, powiedziała:

— Ale my komuniści jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi Chrystusa! Jeśli jest jakieś niebo, a Chrystus jest sędzią, to będziemy najbardziej ze wszystkich faworyzowani. Twój mąż jest pastorem. Jak myślisz, ilu ludzi przyprowadził do Chrystusa? Kilkudziesięciu?

Kilkuset? Ale my komuniści dbamy o to, żeby co roku przychodziło do Chrystusa tysiące klientów, którzy umierają z jego imieniem na ustach. Zapełniamy niebo. Powinien być za to wdzięczny!

Zauważyłam, że może to oznaczać coś więcej niż jej się wydaje. Niegodziwy człowiek, który z Marii Magdaleny uczynił grzesznicę, przygotował ją także do tego, żeby była świętą. Ten, który w Szawle z Tarsu zaszczepił nienawiść do chrześcijaństwa, położył również podwaliny pod rozwój przyszłego Pawła. Biblia mówi, że gdzie grzech się wzmaga, tam jeszcze obficie rozlewa się łaska. Zastanawiałam się też, czy komuniści swoimi żartami na temat wysyłania chrześcijan do nieba nie wzbudzali w niebie litości nad sobą z powodu swojej nikczemności. Był to krok ku jej nawróceniu.

Nina ponownie została chrześcijanką, a coś takiego niełatwo jest ukryć. Zdrajca taki jak Kim Philby może pracować przez dwadzieścia lat i nie zostać zdemaskowany, ponieważ zło jest wszędzie wokół i może się w nim ukryć. Pod każdym kamieniem jest następny chrząszcz. Ale dobroć jest rzadko spotykanym motylem, który rzuca się w oczy nawet bardzo niewrażliwym osobom. Nikt nie może go przeoczyć, a niektórzy będą chcieli go zabić. Gdzieś w 1951 roku Nina zniknęła z obozu K4.

Długo nie wiedziałyśmy, co się z nią stało. Po czym okazało się, że trzy nowo przybyłe były kiedyś strażniczkami w obozach nad Kanałem i zostały skazane za przyjmowanie łapówek od więźniów. Nina stanęła przed sądem razem z nimi i dostała dziesięć lat.

Biedna Maria strasznie się zadręczała.

— To moja wina — płakała.

— Nie trap się tym tak bardzo — powiedziałam. — Pragnieniem jej serca było to, żeby robić takie właśnie rzeczy. Będzie miała więcej radości jako więźniarka niż kiedykolwiek miała jako strażniczka.

Często rozmawiałyśmy o Ninie. Carine powiedziała, że wie, co ją czeka i że ostatecznie stanie się bardzo głęboko wierzącą chrześcijanką. Dzięki cierpieniu będzie mogła przemawiać do innych z wielkim autorytetem. Ale co jeśli umrze w więzieniu? Jeśli tak, stanie się to dla dobrej sprawy, a Bóg nie pozostawi bez nagrody kogoś, kto podał cierpiącemu choćby kubek zimnej wody. Ją również wynagrodzi. Ci, którzy umierają za swoją wiarę, pozostawiają po sobie przeogromne dziedzictwo, które stanowi zachętę do czynienia dobra.

11

Dunaj

W nocy napadało dużo śniegu. Kiedy ustawialiśmy się w kolumnie przed rzędami baraków, nadal padały duże śnieżynki. Szkielety wieżyczek wartowniczych znikły prawie zupełnie za białą zasłoną. Wiatr ucichł. Wszystkie dźwięki były przytłumione i ponure.

W oddali przez wywietrznik z kuchni unosiła się para. Nadzieja na ciepło, jakie ze sobą niosła, tylko powiększała cierpienie. „Politycznym” bardzo rzadko przydzielano pracę w kuchni. Robienie prania plasowało się zaraz na drugiej pozycji. Norma dzienna była wygórowana: trzydzieści prześcieradeł, trzydzieści poszewek na poduszki, plus koszule i kalesony — wszystko prane ręcznie w okrawkach szarego mydła. Ale przynajmniej było to wewnątrz.

Tego poranka więcej kobiet niż zazwyczaj usiłowało zgłosić, że są chore. Ana Cretzeanu, obozowa lekarka, a także więźniarka, nie wyrażała zainteresowania.

— Nic ci nie jest! — powiedziała. — Nadajesz się do pracy.

Jakże więźniarki nienawidziły tego jękliwego głosu. Doktor Cretzeanu zaprzedała siebie w zamian za prawo pozostawania wewnątrz budynku, z dala od śniegu i deszczu. Miała władzę życia i śmierci w takim tego słowa znaczeniu, które musiało być nowością dla lekarza. Wiedziała, że wysyłając pewne kobiety do pracy, skazywała je na śmierć. Niektóre były tak bardzo osłabione, że omdlewały, słysząc, iż muszą znowu iść do kamieniołomów. Ale ona miała rozkazy od rady lekarskiej. Im większej liczbie kobiet pozwoliłaby chorować, tym mniejsze byłyby jej szanse na przetrwanie i uwolnienie.

W baraku numer 10 była inna lekarka, także więźniarka, która była uczciwa. Więźniarki używały wszelkich możliwych wybiegów, żeby choć na kilka dni zatrzymać ją w obozie. Miała ponad sześćdziesiąt lat i nie miała siły, żeby kilometrami maszerować do

kamieniołomów, a co dopiero tam pracować. I znała się na medycynie o wiele lepiej niż Cretzeanu. Ale naczelnik obozu była całkowicie zadowolona z dokonanego przez siebie wyboru lekarki. Tamta z baraku 10 musiała pchać taczki.

Mogłyśmy tylko marzyć o aspirynie, ciepłym napoju czy jakimkolwiek środku uśmierzającym ból. Ból zęba trzeba było po prostu znosić. Z powodu ciężkiej pracy w obozie szerzyły się najróżniejsze choroby kobiece. Zespoły lekarzy-więźniarek wystawiały właściwe diagnozy. Jednakże leczenie to była już zupełnie odrębna kwestia.

Podczas gdy brnęliśmy przez śnieg, Carine powiedziała:

— Nie myślmy o Cretzeanu. Trzeba jej współczuć. Zawsze gdy słyszę ją, jak krzyczy: „Zdolna do pracy”, przypomina mi się moja przyjaciółka, lekarka, która celowo wstąpiła do milicji. Ze względu na Chrystusa ubrała ten znieprawiony mundur i udawała zagorzałą komunistkę tylko po to, żeby móc pomagać innym. Zrobiła dla chorych ogromnie dużo, zanim została zdradzona przez donosiciela. Jest teraz w więzieniu.

— Biedna dusza. Musiała być niezwykłą świętą.

Potyając się, szliśmy dalej po białej równinie pod ciemnym niebem. W martwej ciszy odgłos uderzeń z kamieniołomu brzmiał dziwnie złowrogo.

W czasie godzin przedpołudniowych ciężki kamienny blok przygniół mi palce. Podniesienie każdego kamienia i wsadzenie go na wywrotkę wiązało się ze straszliwym bólem. Pewna nowo przybyła starsza kobieta zauważyła, że jest mi ciężko i próbowała mi pomóc. Zapytała, czy przypadkiem nie spotkałam w więzieniu dziewczyny o nazwisku Fanny Marinescu.

— Tak — powiedziałam. — Znałam ją dobrze. Uczyłam ją francuskiego w Jilavie i zaprzyjaźniłyśmy się.

— Co się z nią stało?

— Poszła do nieba — powiedziałam. — Umarła na raka, który był zbyt długo nie leczony.

Wówczas kobieta ta zaczęła płakać i domyśliłam się, że jest matką Fanny.

Strażniczka ustawiła się blisko nas i nie mogłyśmy rozmawiać. Nikt nie mógł przestać pracować, choć jego dziecko umarło. Starsza kobieta chodziła po omacku, zataczając się. Oburącz chwytając głazy i podnosiła je, a łzy spływały jej po twarzy. Nasze serca i porzecznane dłonie krwawiły w równym stopniu.

Dopiero następnego dnia mogłam przekazać jej kilka słów pociechy. W trakcie przerwy, kiedy czekałyśmy na jedzenie.

— Fanny jest teraz w niebie — powiedziałam. — Umarła w wierze w Odkupiciela, który jest dawcą życia wiecznego.

— W niebie! Łatwo powiedzieć. Gdyby to była twoja córka...

Opowiedziałam jej więc, jak w czasach nazistowskich utraciłam całą swoją rodzinę, a potem moje osierocone dzieci na statku do Izraela.

— Nie powinniśmy jednak tracić spokoju ducha — dodałam. — Wszyscy jesteśmy istotami śmiertelnymi, ale jest także życie wieczne z Bogiem. W tym nasza pociecha.

Siedziałyśmy razem, pielęgnując nasze pogniecione palce i czekając na tłustą zupę. Nogi i ręce trzęsły się nam z wyczerpania. Powiedziała mi, że ma na imię Kornelia.

— Twoja córka — powiedziałam — pomogła wielu więźniarom będącym w depresji, mówiąc im o życiu wiecznym. Ja także pomagałam innym. A ty pomagasz mi podnosić te kamienie. W niebie zaś jest Ktoś, kto pomaga tym, których utraciliśmy i troszczy się o nich.

Wyglądała na nieco pocieszoną.

Pewnego wieczoru przyszła do mojego baraku. W zimne noce niewielu strażników było na zewnątrz i udało jej się niepostrzeżenie prześlizgnąć przez dziedziniec.

Poczułam, że ktoś usiadł na łóżku i dotknął mnie w rękę. Otworzyłam oczy i usiadłam.

Uśmiech zadrgał na ustach Kornelii.

— Pozwól mi tu chwilę posiedzieć. Wygląda na to, że diabły nie mają zbyt wiele mocy przy tobie.

Każdy chrześcijanin przejawia nieco z chwały Pana. W czasach cierpienia inni mogą to zauważyć.

— Cały nasz barak został ukarany — powiedziała Kornelia. — Nie mogłam wydostać się wcześniej. Przez cały tydzień co wieczór musiałyśmy czyścić podłogę.

Wsunęła swoje chude ręce pod stary rozpinany sweter, żeby się ogrzać.

— Ale nie przyszłam tutaj, żeby narzekać. Chcę powiedzieć ci coś, czego nie powiem nigdy nikomu, dopóki żyć będę.

Delikatna twarz rozjaśniła się, cierpienie przeobraziło się w radość.

— Wczoraj wieczorem zasnąłam, nie rozebrawszy się. I od razu znalazłam się na wielkim polu, równie rozległym jak równina Baragan, na której pracujemy. Ale jak okiem sięgnąć było tam pełno kwiatów. W powietrzu unosił się upojny słodki zapach jakby lilii i czułam, że moja córka tam jest. Chociaż wszystko było takie ogromne, to jednak było tam też tak domowo. Nigdy nie widziałam tylu traw i kwiatów w jednym miejscu. Słychać było bzyczenie ós i pszczoł. Obłoki motyli, wielkie mnóstwo, wszystkie błyszczące kolorami, przyfrunęły do mnie. Czułam taki spokój ducha. Wyglądało to tak, jakby całe piękno i wspaniałość ziemi zebrały się w tym jednym miejscu.

— Gdy tak stałam samotnie w rogu, zobaczyłam kobietę, która podeszła do mnie. Jej łagodne spojrzenie przenikało do głębi serca. Włożyła mi do rąk bukiet białych lilii. Och, zapach był taki miły! Wciąż go jeszcze czuję. Z samego środka pola usłyszałam mocny i łagodny męski głos, wypowiadający wyraźnie słowa z Pieśni nad pieśniami: „Jak lilia pośród cierni, tak przyjaciółka ma pośród dziewcząt”.

— I wtedy obudziłam się i uświadomiłam sobie, że nadal jestem nad Kanałem. I ci straszni szaleńcy, strażnicy, czekali na mnie. Ale kiedy zabębnilili w szynę o piątej, wstałam i poszłam do kamieniołomu, jakbym tańczyła na łąkach, by uszczęśliwić mojego Umiłowanego.

— Nadal widzę pole kwiatów i czuję ich zapach i słyszę ten głos. I ta kobieta, nigdy jej nie zapomnę.

Te wspomnienia żyły w jej sercu. Patrzyła nowymi oczami na tysiące drobnych przejawów dobroci i piękna, na mnóstwo znaków i cudów, świadczących o Jego obecności.

Czasami pamiątkowe kamienie, które zabierałyśmy z doliny cierpienia, były piękne.

Jakiś czas potem przyszła odwilż. Obudził mnie dźwięk wody spadającej kroplami z okapu dachu. Twarda jak beton ziemia zamieniła się w błoto. Poczerniałe płachty śniegu nadal otulały ściany w miejscach, w których były zaspy, ale ciepłe powietrze pokonywało je. Jakżeż w czasie tych długich miesięcy tęskniłyśmy wszystkie za tym, by zelżał uścisk zimy!

Nawet strażniczki były w doskonałym humorze. Krzyczały i wrzeszczały na nas i na siebie nawzajem jak rozbrykane psy. Lekki wietrzyk wiejący z południa przynosił ze sobą jakiś nieokreślony zapach. Zapewne morza... Albo wiosny.

Znowu pracowałam na barkach. Wypływałyśmy na spokojne, ciemne wody Dunaju, żeby wrzucić do nich nasze wielkie kamienie, które wpadając w wodę rozbryzgiwały ją z wielką siłą. Obok przepływały wielkie ciemne kry. Moje dłonie i stopy były sine, nie miałam w nich czucia. Spomiędzy śnieżnobiałych chmur przeziarały duże połacie bladoniebieskiego nieba.

Strażnicy zawsze szli razem z kolumną zarówno z obozu, jak i do obozu. Byli jedynymi mężczyznami, jakich kobiety w ogóle widziały i czasami sprośne dowcipy fruwały wokół ich głów. Dzisiaj sprośności było więcej niż zazwyczaj.

Annie Stanescu, zgryźliwa mała prostytutka, zawsze wiodła w tym prym.

— Jak śmiecie! — powiedziała Zenaida. — Ten Piotr ma ręce jak goryl. I wszystkie te czarne włosy na karku! Założę się, że jest nimi pokryty od stóp do głów. Gdyby można to zobaczyć.

— A są tutaj takie, które to widziały! — Annie pokazała galerię złotych zębów.

Rozległ się śmiech.

— Faj! — Zenaida była pełna obrzydzenia.

— Ale co oni takiego mogą widzieć w nas, co by ich pociągało — zastanawiała się Zenaida — tego nie jestem w stanie zrozumieć. Czyż można sobie wyobrazić bardziej nieapetyczną i nieseksowną grupę istot niż my? Jestem przekonana, że wszystkie musimy potwornie śmierdzieć!

Riposta Annie na tę uwagę wywołała salwy śmiechu u jej przyjaciółek. Nieprzyzwoite słowa fruwały tam i z powrotem. Nie można ich było powstrzymać.

— Nasza mała święta nie lubi brzydkiego gadania! — krzyczała Annie.

Strażnicy, objijający się i palący papierosy, podczas gdy my pracowałyśmy, spojrzeli na mnie, wyszczerzając zęby.

— Myśli, że jesteśmy okropni!

Milczałam. Co, oczywiście, było naganą. Jednakże Annie, która rzadko chciała wyrządzić komuś krzywdę swoją paplaniną, przysłużyła mi się gorzej, niż zamierzała.

— Równać! Równać! — ryczeli strażnicy.

Maszerowałyśmy do miejsca zbiórki, gdzie czekały ciężarówki.

Błotnista ścieżka ciągnęła się wzdłuż rzeki. Byłam świadoma, że strażnik o imieniu Piotr nie spuszczał ze mnie oczu. Podły

uśmieszek przeleciał mu po twarzy. Szturchnął swojego kolegę, młodego chłopaka o tępym wyrazie twarzy i płaskim nosie. Po czym podstawił mi nogę i upadłam w błotnistą breję.

Strażniczki ryczały ze śmiechu.

Jakaś ręka chwyciła mnie i podciągnęła do góry. Byłam śliska od błota, szamotałam się i krzyczałam, ale Piotr trzymał mnie mocno.

— A teraz, moja pani — warknął — potrzebna ci jest kąpiel.

— Do Dunaju z nią! — wrzasnął kobiecy głos.

Poczułam, że wbijają się we mnie szpony innego mężczyzny. Jeden chwycił mnie za nadgarstki, drugi za kostki. Poderwali mnie do góry, zamachnęli się i rzucili mną. Wylądowałam na kamienistej przybrzeżnej płyciźnie, woda rozprysła się dookoła. Nie mogłam złapać tchu. Byłam ogłuszona, ale wciąż przytomna. Lodowata woda przepływała nade mną tak szybko, że wlokła mnie po kamieniach. Prąd wirował wokół mnie. Z brzegu słychać było krzyki, ale nie mogłam nic zrozumieć. Za każdym razem, gdy usiłowałam wstać, pędząca woda przewracała mnie. Rozpaczliwie próbowałam się podnieść, ale tylko raniłam się o kamienie.

Dwie ręce chwyciły mnie pod pachy i ktoś zaczął mnie ciągnąć. Mężczyzna, który mnie trzymał, potknął się i przewrócił do tyłu, siadając w wodzie. Potem leżałam płasko na brzegu.

Ktoś zmusił mnie, żebym usiadła i klepał mnie po plecach. Byłam oszołomiona i chciało mi się wymiotować. Po raz pierwszy poczułam ostry ból w boku. Kręciło mi się w głowie, więc znowu się położyłam. Kiedy przestało mi już być niedobrze, leżałam jeszcze przez chwilę, słuchając rzeki — czyżby była to woda życia płynąca w raju? Ale potem spojrzałam w górę przez czarne, mokre i gołe krzaki. Nie, to jeszcze nie było niebo.

— Wszystko z nią w porządku. Wstawaj!

Głos kobiecy. Stała, patrząc na mnie z góry.

— Ruszaj się, albo zamarzniesz.

Młoda strażniczka wyglądająca na wieśniaczkę pomogła mi usiąść. Włochatego Piotra nie było w polu widzenia. Usiłowałam wykręcić brzegi mojej długiej spódnicy.

— Ruszać się, ruszać!

Podciągnęli mnie do góry. Cała się teraz trzęsłam, ale bardziej z powodu szoku niż z zimna. Kolumna była już kilkaset metrów z przodu. Kuśtykałam za nią, w czym pomagała mi strażniczka, ciągle mnie popychając.

Kiedy dołączyłyśmy do głównej grupy, kobiety zerknęły na mnie ze współczuciem. Czekaliśmy na ciężarówkę.

Włochaty Piotr krzyknął:

— No, teraz lepiej. Nie ma nic lepszego od zimnej kąpieli!

Moje ubranie było zimne i oślizłe, chlupało mi w butach. Objęłam się rękami i zastanawiałam się, skąd ten ból w moim boku. Stawał się coraz bardziej dotkliwy. Za każdym razem, gdy ciężarówka podskakiwała na wybojach, potworny ból przeszywał mnie niczym rozgrzany do czerwoności nóż. Ponieważ ciężarówka cały czas kołysała się, zbierało mi się na wymioty.

— Ten drab Piotr! — wymamrotała oburzona Zenaida.

Razem z nami jechała w ciężarówce szefowa naszej grupy, będąca więźniarką kryminalną. Wyłowili mnie szybko, kiedy już się wystarczająco pośmiali. Bo przecież musieli zameldować w wartowni tę samą liczbę więźniów, z którą rano wyruszyli. Jeden niewolnik mniej oznaczałoby stratę dla państwa.

Jakoś dotarliśmy z powrotem do baraku, gdzie wykręciłam swoje mokre rzeczy. Mój bok był bardzo napuchnięty, na rękach i nogach miałam zdartą skórę. Podniesienie rąk do góry było prawdziwą męką. W nocy co kilka minut starałam się znaleźć wygodniejszą pozycję. Ale takiej nie było.

Rano poszłam do doktor Cretzeanu. Cały jeden bok mojego ciała pokrywał fioletowo-żółty siniak, który wyglądał jak mapa Afryki. Nie byłam w stanie podnieść ręki powyżej bioder.

— Zdolna do pracy! — obwieściła.

Ustawiłam się w kolumnie razem z innymi.

— Co się z tobą dzieje?

Nadzorczyńni wpatrywała się we mnie. Możliwe, że się zachwiała. Myślałam, że zemdleję.

— Nie mogę iść dzisiaj do pracy — powiedziałam. — Strasznie mnie boli. Myślę, że mam złamane żebra.

Ale włochaty Piotr pilnował mnie. Chwycił mnie za nadgarstek i wyciągnął z szeregu.

— Ona wczoraj nie wypełniła normy. Do roboty!

Obrócił mnie dookoła i poczułam na plecach jego wielki but. Nie kopnął mnie, ale raczej wepchnął do szeregu kobiet.

Tak więc tego dnia i każdego następnego pracowałam. Miałam złamane dwa żebra (lekarze ustalili to po moim uwolnieniu), ale Bóg je uzdrowił. W więzieniu widzieliśmy wiele cudownych uzdrowień.

12

Obóz K4 — lato

Nadeszła wiosna. Plamy świeżej jasnej zieleni pojawiły się pomiędzy wynędzniałą trawą, rosnącą wzdłuż drogi do kamieniołomu. Odrobina zieleniny w ciepłej wodzie nazywanej zupą, którą dostawaliśmy w południe, była wielkim przysmakiem. Na tej jałowej równinie, choć deszcz ciągle padał, dobrą jadalną trawę można było spotkać znacznie rzadziej niż gorzkie chwasty. Tylko bardziej odporne formy życia mogły przetrwać w porywistym wietrze, który wywiewał nam zupę z łyżek, zanim dotarła do naszych ust.

Jedzenie trawy było zabronione, podobnie jak wszystko inne, co mogłoby polepszyć stan, w jakim znajdowali się polityczni. Karmiłyśmy się nią jak bydło, kiedy strażnicy nie patrzyli. I wystrzegaliśmy się donosicieli, które nawet w tym nas szpiegowały. Wierzyły w obietnice, że przez to zasłużą sobie na szybsze zwolnienie.

Żaby również padały naszą ofiarą, jako że ich surowe mięso było uważane za całkiem niezły delikates. O dziwo, bardzo trudno było je złapać. Ale czasami jakiś żądny przygód płaz wskoczył do kamieniołomu, gdzie natychmiast płacił za to najwyższą cenę.

Nad rzeką żyły one w ogromnych ilościach. W nocy ich rechot niósł się po polach całymi kilometrami. Przypomniało mi się, że Biblia mówi o „duchach wyglądających jak żaby”. W przeszłości często zastanawiałam się nad tym porównaniem. Potem przyszli komuniści, którzy niczym żaby bez końca powtarzali swoje partyjne hasła. „Niech żyje partia — rech, rech!” „Niech żyje Republika Ludowa — rech, rech, rech!” „Precz z wojującymi imperialistami — rech!” Wtedy zrozumiałam.

Węże były również popularne. W menu były tłuste zaskrońce, które dosłownie pożerano. Ale hałas w miejscach pracy odstraszał je. Kilka węży udało się złapać tym, którzy karczowali skarłowaciałe drzewa i siali na ich miejsce specjalną trawę — piaskownicę, żeby nie dopuścić do erozji gleby. Pewnego razu dziki kot przebiegł przez ścieżkę z zaskrońcem w pysku. Grad kamieni i łopat

posypał się za tym przestraszonym stworzeniem. Uciekł, nie oddając swojego łupu. Z powodu naszej zupowatej diety okropnie chciało nam się mięsa lub jakiegokolwiek białka. Ziemniak, fasola, kapusta — nic z tego nie miało żadnej wartości odżywczej. Choroby spowodowane niedoborem witamin były powszechne. Prawie wszyscy miewali co pewien czas biegunkę. Pojawiał się szkorbut i tajemnicze choroby skóry. Zakażenie dostawało się do ran i sińców, w wyniku czego na nogach i stopach rozwijały się wrzody, mające nawet dziesięć centymetrów średnicy. Toksyny przedostawały się do naszych organizmów i powodowały, że byliśmy w stanie skrajnego wyczerpania.

Ale cierpieliśmy mniej niż mężczyźni. Specjalne strefy dla duchownych i członków Żelaznej Gwardii w obozie Półwysp były całkowicie oddzielone od pozostałych więźniów. Pracowali więcej godzin i dostawali mniej jedzenia. Utrzymanie się przy życiu zależało od pomysłowości więźnia. Lub od jego bezwzględności.

Wszystko, co się ruszało, zostawało zjedzone.

— Pies jest dosyć smaczny — zapewniał mnie ksiądz, który przeżył taki obóz. — Ale raczej nie polecałbym szczura.

W obozie Midia kolonia pracy składała się głównie ze starszych mężczyzn, z których wielu miało ponad siedemdziesiąt lat. Zaprzęgnięci do taczek jak zwierzęta pociągowe często pracowali boso i nigdy nie byli w stanie wypełnić norm. A jeśli komuś się to udało, to normy podnoszono. Była to polityka eksterminacji.

Ci, którzy nie umarli, byli często bici na śmierć, gdy upadli z wycieńczenia. „Cmentarz na półwyspie” — mówiono nam — „jest dwa razy większy od obozu”.

Normy pracy nie są wynalazkiem komunistów. Biblia mówi, że Żydzi w Egipcie również byli niewolnikami i musieli wypełniać normę, która była nieustannie podnoszona. Początkowo do wyrobu cegieł otrzymywali słomę. Potem musieli ją sami znajdować. Jednakże liczba cegieł, które musieli wyrabiać, nie uległa zmianie.

Faraona od czerwonych odróżnia to, że nie próbował nazywać swojego wyzysku rajem na ziemi.

Wszystkie nowiny wyciągałyśmy od nowo przybyłych, których nie brakowało. Pewnego wieczoru drzwi naszego zatłoczonego baraku otwarły się i wprowadzono kolejnych dwadzieścia kobiet. Wszystkie były prostytutkami zwiniętymi z ulic i wyciągniętymi ze swoich domów podczas milicyjnych nalotów. W ten

sposób komuniści „likwidowali społeczne problemy kapitalizmu” i jak zwykle lekarstwo było gorsze od problemu, któremu miało zaradzić. Cała ta nowa grupa przybyła z tego samego więzienia i były to najbardziej zdemoralizowane kobiety, jakie dotychczas spotkałyśmy. Być może po prostu zbyt długo przebywały w swoim własnym towarzystwie.

Wrzaskami, szturchańcami i sprośnymi przekleństwami oczyściły dla siebie gniazdo. Grupka zakonnice została bezlitośnie odepchnięta na bok. Udało im się znaleźć schronienie u politycznych po drugiej stronie baraku. Polityczne próbowały jakoś porozumieć się z nowo przybyłymi. Nierządnicę piszczącą ze śmiechu i przedrzeźniały je. Kobiety skazane za zwyczajne przestępstwa patrzyły na to wszystko, uśmiechając się blade. Cyganki zaś pozostały obojętne na kłopoty zakonnice, podobnie jak w przypadku większości podobnych wydarzeń, które mogłyby zakłócić ich mały świat trajkotania, sprzeczek i piosenek.

Wiele prostytutek miało na wargach otwarte syfilityczne wrzody. Używały tych samych kubków i talerzy co my. Wszędzie tam, gdzie się gromadziły, powietrze jakby nieco bardziej cuchnęło. Niestety, niektóre z nich miały serca równie zakażone jak ciała.

Zakonnice siadywały ściśnięte pod żarówką rzucającą czerwone światło. Z wystrzyżonymi włosami przypominały stadko nieopierzonych piskląt tłoczących się wokół swojej matki. Siostra Maria była starszą zakonnicą o ascetycznym wyglądzie i czystym duchu. Jej utrudzona i wyrazista twarz, szpiczasty nos i okrągłe druczane okulary (ocalałe jakimś cudem dzięki niezliczonym wybiegom) przypominały mi papieża Piusa XII. Jej błogi uśmiech, delikatny jak u dziecka, był już sam w sobie skarbem.

— Ale gdyby tylko przestała wygłaszać te wykłady o ciele! — narzekała Zenaida. — Tak jakby, biedaczka, miała jakieś ciało, o które trzeba by się martwić.

Z jakże wielkim poświęceniem dbała ona o to, żeby jej mała trzódka trwała w wierze! Nierządnicę co wieczór dogryzały im. Stara siostra Maria opowiadała o św. Bernardzie z Clairvaux, który kiedyś w chwili słabości miał spojrzeć na kobietę. Przerażony tym, co zrobił, umartwiał swoje ciało, stojąc przez całą noc zanurzony po szyję w lodowatym jeziorze.

— A ten po co to robił? — Nierządnicę zawsze słuchały jedynym uchem. — Czegóż to ludzie nie zrobią, żeby się rozerwać!

Jakże wtedy chichotały, szturchały się łokciami, a czasami ła-skotały się!

Stara zakonnica ostrzegała swoje młodsze siostry, żeby nawet nie spoglądały na strażników... niektórzy byli młodzi i przystojni... były w śmiertelnym niebezpieczeństwie... już sama taka myśl jest grzechem... bierzcie przykład ze świętych...

— Niektórzy to mają szczęście. Ja tom nigdy tych tam świętych nie spotkała. A wielem widziała. Ludzie to różne chwytys stosują. Pamiętacie tego biskupa?

Doskonale pamiętały biskupa. Zakonnice zarumieniły się.

Kobieta nazywana Wiktorią była — co zresztą trudno było ukryć — burdelmamą.

Podstarzałej Wiktorii udało się jakoś przerobić jej strój więzienny we frywolną sukienkę z falbankami i zakładkami nad pasem, poniżej przylegającą do ciała. Trudno było ocenić, czy to ona odmieniła pozostałe prostytutki, czy też to one przejęły jej straszną osobowość.

— Kiedy chodziłam na moje cotygodniowe badania (proytucja była kontrolowana przez państwo), pewien policjant zawsze wyciągał mnie z kolejki. — zaczęła swoją opowieść Wiktorja. — Och, niezła byłam. Chociaż teraz możecie się śmiać. I ten gliniarz zabierał mnie na noc do pałacu biskupa. Stary brodac! I musiałam ubierać spodnie jak chłopak.

Dało się wyczuć, że raczej sprzyjały temu postępującemu szelmowsko biskupowi. Płacił dobrze i każdemu próbował się przypodobać.

— Czystość — ciągnęła dalej stara zakonnica, przesuwając powoli swoją wysuszoną dłoń po drugiej dłoni — jest jak lustro. Nawet oddech może zabrudzić jej powierzchnię. Nie pozwólcie nigdy, żeby jakaś zła myśl zanieczyściła wasz umysł...

Wyglądała tak, jakby ktoś wyrzeźbił ją z jakiegoś twardego wytrzymałego drzewa. To właśnie ta wytrzymałość zachęcała do ataków.

— Nie wiecie pewnie za dużo o swoich księżach, no nie? — jedna z młodszych dziewczyn włączyła się do tej prześmiewczej rozgrywki. — A mnie zabierali, żeby robić to z niektórymi z nich. Ach, oni wiedzieli wszystko o kobietach. Ich nigdy za wiele nie obchodziły ich dusze. Co za lustro?!

— A św. Tomasz otrzymał tak wspaniały dar czystości, że anioł obiecał mu, że już go nigdy nie straci, nigdy nie będzie kuszony. Niemniej jednak starał się w ogóle nie patrzeć na kobiety, żeby nie pojawiła się okazja dla popełnienia grzechu.

Nierządnicze dostały ataku śmiechu. Piszczwały i wydzierały się tak, że aż je skręcało.

— Biedny staruszek! Ładna mi obietnica! Nie o to wcale się modlił! — powiedziała Wiktoria, parszcząc śmiechem i trzymając się jedną ręką za trzęsący się brzuch.

Wszystkie prostytutki znowu wrzasnęły. Wiktoria otarła łzy z oczu.

— Ech, przejrzałyśmy was na wylot!

Nie wnikając, o kogo chodzi, siostra Maria przerwała swój wykład, żeby zrobić coś jeszcze bardziej klarownego.

— Odmówmy różaniec — powiedziała stanowczo.

Razem zaczęły mruzczyć:

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

Wtedy wszystkie nierządnicze przeżegnały się. Wyśmiewały się ze wszystkiego, co święte, ale ceremonie, rytualne gesty odbierały im odwagę. A może zaczynały wzbudzać w nich choćby odrobinę szacunku?

Zmówienie różańca zajmuje trochę czasu, ale pozwoliły zakonnicom odmówić go do końca. Nie mogły jednak dać sobie spokoju. Zupełnie jakby Maria patrzyła im prosto w oczy.

Młodsza dziewczyna z rudymi kręconymi włosami przypominającymi druty znowu zaczęła. Ale tym razem były to bluźniercze słowa o Dziewicy.

To jednak wywołało taką burzę protestów ze strony pozostałych mieszkanek baraku, że zaalarmowane prostytutki ruszyły na pomoc rudej bluźnierczynie i skupiły się wokół niej, krzając jak wrony.

— Mamy was już po wyżej uszu! — krzyknęła Annie Stanescu i uderzyła rudowłosą w twarz.

Powiedziała jej, kim jest, skąd pochodzi i dokąd może jeszcze pójść.

— Niektóre kobiety — tłumaczyła dalej — są zwyczajnie podłe.

Ten napad wściekłości i oburzenia na chwilę poskromił nieco nierządnicze, choć najwyraźniej niewiele robiły sobie z aluzji do własnej podłości. Niemniej jednak kiedy dowiedziały się, że ta mała złośnica należy do ich profesji, były całkowicie skonsternowane.

Annie nie pozwalała na to, żeby religia przeszkadzała jej w „pracy” i nie za wiele wiedziała o ewangelii i Bogu. Ale nikt w jej

obecności nie będzie obrażać Marii Dziewicy. Wiedziała, kim jest Święta Dziewica, czciła ją i broniłaby jej jak własnej matki.

Jak to się dzieje, że Maria Dziewica inspiruje tak wielu, którzy poza tym są całkowicie zaślepieni i nie widzą Boga będącego właśnie tą wielką miłością?

Prostytutki odrzuciły wszystkie zasady moralne. Niemniej jednak nie mogłam również zgodzić się z punktem widzenia zakonicy, gdyż zwyczajnie przeczył on życiu. W złu kryje się potencjalne dobro.

Powiedziałam więc, że w języku hebrajskim rdzeń słowa *kedesza* znaczy zarówno prostytutka, jak i święta. A to dlatego, że świętość oznacza oddanie się w miłości każdemu bez względu na rasę czy wyznanie wiary; oddanie tego, co w duszy najlepsze.

Św. Maria Magdalena była *kedesza*. Ale zmieniła się. I zamiast przechodzić z ramion jednego mężczyzny do drugiego rozdawała za darmo wszystkim to, co miała dobrego w swojej duszy.

Istnieje prawdziwa miłość, która potrafi pomóc innym ludziom. Oznacza to, że żyjesz i umierasz, starając się ze wszystkich sił pomóc im wznieść się na wyższy poziom istnienia. Są poniżające sposoby okazywania miłości; połączenie się z kawałkiem ciała jak krowa. Ciało rozkłada się i zjadają je robaki; wszakże miłość duchowa jest wieczna.

Co się zaś tyczy tego biskupa, z którego wyśmiewały się prostytutki, to znałam go. Ze wszystkimi swoimi słabościami potrafił powiedzieć komunistom, którzy go aresztowali: „Nie żyłem jak chrześcijanin; mogę umrzeć jak chrześcijanin”. Grzesznik, z którego szydziły te kobiety, był teraz świętym w niebie. Umarł podczas tortur.

Dwie dziewczyny, które przybyły z tą grupą, należały do innej kategorii. Choć ulicznice je znały, to jednak one niewiele z nimi rozmawiały i znalazły sobie łóżka w przeciwległym końcu baraku.

Były siostrami, miały ciemne włosy i skupiony wyraz twarzy. Były przy tym ciche i miały dobre maniery. Ale, jak mówiły ich towarzyszeki, były też prostytutkami, zwiniętymi jak inne, żeby odsiedzieć „administracyjny” wyrok nad Kanałem.

Aura smutku i tajemniczości otaczała te siostry. Nikt nie wiedział zbyt dużo o ich przeszłości, choć wiele kobiet próbowało wetknąć swój nos i czegoś się dowiedzieć. Oczekiwano na ich osobiste zwierzenia.

Wiktorcia, przyglądając sobie włosy wodą lub oglądając swoje powiększające się żyłki, mawiała:

— Niektóre dziewczyny po prostu nie wiedzą, jak nawiązywać znajomości. Ale przecież wszystkie jedziemy na tym samym wózku. Jeśli nie możemy opowiedzieć o swoich kłopotach naszym przyjaciołom, to chciałabym wiedzieć, po co są przyjaciele.

Ale Diana, która miała dziewiętnaście lat, i siedemnastoletnia Floarea nie powiedziały jej nic o sobie, mimo iż Wiktorcia, być może z zawodowego przyzwyczajenia, była dla nich bardzo uprzejma.

Taka niewdzięczność złościła Wiktorię. Swoimi drobnymi opuchniętymi nogami deptała po rzeczach, relacjach i myślach innych ludzi. I śmiała się ze sprośnych historyjek. I strasznie ćmiła. Widziałam kobiety walczące o niedopałek papierosa wyrzucony przez strażnika, ale Wiktorcia miała najwyraźniej swoje własne źródło zaopatrzenia.

Tak więc te dwie siostry pracowały niewolniczo i spały, i zapewne pozostałyby dla mnie tajemnicą, gdyby Diana nie usłyszała, jak strażniczka literuje moje nazwisko. Natychmiast zapytała, czy znam Richarda Wurmbranda. Odpowiedziałam, że jestem jego żoną.

— Och! — powiedziała.

Po czym szybko dodała:

— Co sobie o mnie pomyślisz?

Zapytałam ją, co ma na myśli. Powiedziała, że jej ojciec był świeckim kaznodzieją. Czytał jej książki Richarda, które nazywał swoim „duchowym pokarmem”. Został wsadzony do więzienia za swoją wiarę, zostawiając chorą żonę i szóstkę dzieci. Diana i Floarea były najstarsze. Obydwie straciły pracę w fabryce, kiedy ich ojciec poszedł do więzienia. Wkrótce rodzinie zaczął grozić głód.

Chłopak o imieniu Silviu zabrał ją pewnego wieczoru do kina. Powiedział, że może załatwić jej pozwolenie na pracę. Poszli do restauracji. Po posiłku z dużą ilością wina kochał się z nią.

Wkrótce wydarzyło się to ponownie. Nie było już więcej mowy o pozwoleniu na pracę, ale dał jej w prezencie pieniądze. Chciała pomóc rodzinie, więc nie odmówiła. A tydzień później przedstawił jej kolegę i zostawił ich samych. Kiedy z kolei ten mężczyzna chciał się z nią kochać, zezłościła się. Ale on także pokazał jej pieniądze, których tak strasznie potrzebowała, i powiedział, że kieruje się tylko sugestiami Silviu. Oddała mu się.

W miarę napływu klientów podsyłanych przez Silviu pozbyła się zupełnie wstydu. Przywykła do takiego życia, a nawet wolała je od harówki w fabryce.

Z tego, jak Diana opowiadała o swoich przeżyciach, zorientowałam się, że coś ukrywa. Przerwała i przyglądała mi się badawczo.

— Myślałam, że będziesz oburzona. Czyż nie napawa cię wstrętem to, że zostałam... prostytutką?

— Nie jesteś prostytutką — odpowiedziałam. — Jesteś więźniarką. I nikt nie jest prostytutką lub świętą lub nawet kucharką lub stolarzem przez cały czas. Każdy jest sobą. To, co robisz, stanowi cechę tylko części tego, kim jesteś. Może się to zmienić w każdej chwili. A ja wierzę, że już zmieniłaś się, mówiąc mi o tym.

Ale Diana nie dała się pocieszyć. Siedziała z zaciśniętymi pięściami na wąskim łóżku w pustym baraku, a z jej twarzy można było wyczytać, w jak wielkim napięciu się znajduje i jak bardzo cierpi z powodu poczucia winy.

— Gdybym to była tylko ja — wydusiła w końcu z siebie — to nie byłoby tak źle. Ale namówiłam swoją siostrę, żeby się do mnie przyłączyła. Silviu zasugerował to i powiedział, że to nie jest w porządku, żeby cała rodzina spoczywała na moich barkach. Więc w końcu przedstawiłam ich sobie i pozwoliłam mu pójść z nią.

Wkrótce również Florea została wtajemniczona. Największą trudność sprawiało im to, jak zachować to wszystko w tajemnicy przed ich najstarszym bratem, piętnastoletnim chłopcem, który obydwie je ubóstwiał. Podobnie jak ojciec był bardzo pobożny i niezwykle wrażliwy, ale w ogóle nie znał życia. „Nie skrzywdziłby nawet muchy” — powiedziała o nim Diana.

Ale nowy styl życia sióstr, nocne wypadki i pieniądze w domu uświadomiły sąsiadom, co się dzieje, i powiedzieli o tym chłopcu. Z powodu szoku postradał zmysły. Znalazł się w szpitalu dla umysłowo chorych.

Niedługo później został zwolniony ojciec. Kiedy dowiedział się prawdy, powiedział: — Proszę Boga tylko o jedno — żeby wysłał mnie z powrotem do więzienia, abym nie musiał na to patrzeć.

Strumienie łez spływały teraz po twarzy Diany.

— Dostał to, czego chciał. Zaczął udzielać dzieciom lekcji z ewangelii i ktoś doniósł na niego do służby bezpieczeństwa. Ten donosiciel powiedział mi później, że zrobił to, żeby stary nie przeszkadzał nam w interesach. Był nim Silviu.

W obliczu takiej tragedii i zdrady nie łatwo było znaleźć słowa. W końcu powiedziałam:

— Jest ci wstyd z powodu tego, co zrobiłaś, i słusznie. W świecie pełnym cierpienia, w którym nawet Bóg został przybity do krzyża, nie możesz pozwolić, żeby Jego imię, które nosisz jako chrześcijanka, została pohańbiona. Wszakże tego rodzaju ból i poczucie winy doprowadzi cię do świetlistej sprawiedliwości. Pamiętaj, żołnierze nie tyle przebili bok Chrystusa, co „otworzyli” go, żeby grzesznicy mogli z łatwością dotrzeć do jego serca i znaleźć przebaczenie.

Zastanowiła się i powoli odpowiedziała:

— Wstyd, cierpienie. Tak, znam je. Ale jest jeszcze coś, co muszę powiedzieć. Nie zawsze nienawidziłam pracy, którą wykonywałam. A teraz przez cały czas złe myśli pojawiają się w mojej głowie. Nie mogę ich zatrzymać. Co mam robić? Co mogę zrobić?

Diana modliła się o pomoc i otrzymała ją. Powiadają, że im bardziej doskonała jest dusza, w tym większym stopniu doznaje bólu. Naprawdę czymś strasznym było patrzeć na to, jak dusze takie jak ona pytały w rozpacz, gdzie mogą znaleźć ucieczkę od pożądliwości, które zagnieździły się w ich sercach. Któż będzie osądzać Dianę, jedną z wielu córek chrześcijańskich męczenników? Zgrzeszyła, żeby zdobyć chleb dla rodziny. Być może większy grzech ciąży na chrześcijanach z wolnego świata, którzy nie zadali sobie trudu, żeby wysłać kawałek chleba, by uratować dziewczyny takie jak ona.

Wiosenne dni zaczęły się wydłużać. O zachodzie słońca złocisto-szkarłatne niebo nad Dunajem wyglądało cudownie. Marsz do pracy był prawdziwą radością. Kępy pokrzyw i perłowej trybuli wyrastały z rowów, szerząc zapach wilgotnej zieleni. Ziemia poczerniała i zrobiła się grząska. Drzewa zaczęły odważnie wypuszczać świeże błyszczące listki. Chciało się je dotykać, były takie malutkie.

Balsamiczne powietrze oddziaływało na każdą z nas. Światło, liście, trawa, słońce, wszystko się zmieniało. My również nie mogliśmy się temu oprzeć i zmieniłyśmy się odrobinę. Rozkwitały nowe przyjaźnie.

Maria siedziała w świetle porannego słońca i spletała sobie dziewczęcy warkocz.

Nauczycielka Paula Vieru, która lubiła uchodzić za cyniczną i surową, pomagała jej i opowiadała o książkach. Oczy Marii promieniały, gdy zaciekawiona pytała o tego lub tamtego pisarza.

Zenaida i Clara rozumiały się doskonale i na przemian opowiadały sobie historie o sukniach wieczorowych, w których przed wojną chodziło się do opery; o przyjęciach z udziałem rodziny królewskiej; o kontrowersjach dotyczących kapeluszy i koronek.

Wszystkie byłyśmy bardziej skłonne do okazywania sobie miłości i mniej skore do ranienia innych. Jednakże jedna z nadzorczyń zaskoczyła mnie, wysuwając przeciwko mnie oskarżenie:

— Wurmbrand trzyma się z dala od wszystkich. Z nikim nie nawiązuje przyjaźni.

— Wszyscy tutaj są moimi przyjaciółmi — odpowiedziałam.

Nadzorczyńni zezłościła się:

— Ty i to twoje wymądrzanie się.

Zastanawiałam się, czy jest to prawdą. Staralam się pomagać innym. Reakcje niektórych kobiet były zgoła przesadzone. Traktowały mnie, jakbym została posłana prosto z nieba. Inne były nieco zdezorientowane i podejrzewały, że za moim postępowaniem kryją się jakieś ciemne motywy. W Rumunii panowało powszechne przekonanie, że istnieje żydowski spisek, którego celem jest infiltracja chrześcijaństwa i zniszczenie go. Byłam Żydówką — być może więc należę do tego spisku!

Miałam jednak jedną przyjaciółkę naprawdę mi bliską.

Początkowo to nie rozmowy połączyły nas ze sobą, lecz milczenie. Kiedy nawet zakonnice wzdychały i narzekały, ona milczała. Jej milczenie mówiło więcej niż trajkotanie jej sąsiadek. Czasami przyglądałam się jej, kiedy późnym wieczorem siedziała na łóżku i starała się naprawić swoje ubranie. Podnosiła głowę ze spokojem i nasze oczy spotykały się. Albo podczas pracy w kamieniołomach wyczuwałam, że jest mi bliska. Istniała między nami jakaś nić porozumienia.

Miała niewiele ponad trzydzieści lat. Była niska i ciemnowłosa, miała czarne oczy, z których emanowała głębia i dobroć.

— Byłam prawie pewna, że jesteś chrześcijanką.

Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie przenikliwie.

— Zastanawiałam się, czy ty być może nie jesteś jedną z nas.

Roześmiałam się i zrobiło mi się dosyć wesoło.

— Czy masz dużo lat do odsiadki?

— Nie, tylko dwanaście.

— Tylko! I to cię nie martwi?

— Bóg może nas uwolnić, jeśli zechce. A jeśli chce, żebym została tutaj, to zostanie.

Pani Dżamil była żoną hodźy — muzułmańskiego nauczyciela i duchownego. Pracowała dla organizacji o nazwie „Pomoc Krymowi”, która starała się nieść pomoc ludziom cierpiącym na tym terytorium podczas okupacji nazistowskiej. Powiązania faszystowskie! Wraz z mężem aresztowano ich, a potem osadzono w więzieniu.

Naczelnik obozu K4 zapytała ją kiedyś, dlaczego tu jest. Usiłowała to wyjaśnić. Ale naczelnik nigdy nie słyszała o Krymie.

— To znaczy Korea, oczywiście — powiedziała. — Pomagałaś południowym Koreańczykom!

Pani Dżamil pochodziła z wyspy na Dunaju o nazwie Ada-Kaleh i najwyraźniej nie przeszkadzało jej to, że znajduje się pośród chrześcijanek z tak wielu różnych wyznań.

Katoliczki, adwentystki, świadkowie Jehowy i teozofki wyjaśniały jej, na czym polegają błędy wiary muzułmańskiej, ale pani Dżamil nie podejmowała dyskusji.

— Mahomet nazywa się *al amin* „Wierny”, a więc ufam temu, co mówi — odpowiadała.

Nie zgadzała się z Modlitwą Pańską.

— Nazywanie Boga Ojcem kojarzy się z czymś zbytnio łagodnym i ludzkim. Dla nas Bóg jest panem.

Nawet w tych warunkach, w których znajdowałyśmy się, myła wszystko, co jadła, i nie tknęłaby zupy, gdyby istniało podejrzenie, że została przygotowana na tłuszczu wieprzowym. Ortodoksyjne żydówki także trzymały się tej zasady.

— Średniowieczne zabobony! — powiedziała Paula. — Dwa tysiące lat temu może był ku temu jakiś powód...

Niemniej jednak oddanie tych kobiet ich religii zyskiwało im szacunek. Więźniarki prosiły je, a nie Paulę, żeby wydzielały równe porcje posiłków.

Wywodząc się z tak wielu wyznań i religii, toczyłyśmy też spory na tematy religijne. Jednakże napastliwość z dawnych dni w dużym stopniu przeminęła. Pojawiło się nowe zrozumienie, przynajmniej pośród kobiet. Na zewnątrz nie mogłybyśmy dzielić świata bez różnych sporów. Tutaj dzieliłyśmy barak, ustęp, wszystko. Byłyśmy siostrami.

13

Równina Baragan

Podczas układania planu budowy Kanału popełniono błąd. Mniejsze systemy irygacyjne zostaną zatopione wodami Dunaju, jeśli jego brzegi nie zostaną podniesione i nie zasadzi się na nich roślin korzeniowych w celu przeciwdziałania erozji gleby. Tak więc przenieśliśmy się z kamieniołomów na pola, aby w samym środku gorącego lata spulchniać i przekopywać ziemię.

Sierpniowe słońce paliło żarem na rozległej równinie Baragan. Wstawaliśmy o piątej rano i pośpiesznie ustawialiśmy się do przeglądu. Wydawano nam motyki i szpadle (w większości zużyte), po czym długa wężowata kolumna wyruszała, wzbijając wokół siebie obłok białego pyłu, przypominający słup ognia.

Pracowałam obok Janetty, córki dawnego kupca. Miała ona zostać jedną z moich najbliższych przyjaciółek i współpracownic w Kościele podziemnym. (Jest obecnie jednym z bardziej wpływowych jego członków.) Wypełniała normę za mnie i inne kobiety, które nie były w stanie dobrze pracować. Odkryłyśmy, że urodziłyśmy się tego samego dnia. W dniu urodzin dawałyśmy sobie nawzajem w prezencie surowego ziemniaka.

Olbrzymie pole jęczmienia rozciągało się przed nami jak okiem sięgnąć. W miarę upływu dnia robiło się coraz goręcej. Drzewa migotały w drgającym żarem powietrza. Nie pojawił się żaden wóz ani człowiek.

Tylko szereg pięciuset kobiet rozciągnięty po polu.

Za nami wrzeszczały znużone strażniczki.

— Zamknąć się!

— Pracować szybciej!

— Ej! To nie osioł ryczy. To strażniczka daje rozkazy. Ruszać się!

Przechodziły wzdłuż szeregu, kracząc.

— Pomyśleć, że kiedyś tęskniłyśmy za latem! — powiedziała Janetta.

Pracowałyśmy w palącym słońcu, spulchniając motykami ziemię na pustej równinie. Od upału aż kręciło się nam w głowie. Nie było ani skrawka cienia.

Przypomniały mi się słowa Hioba:

Jak niewolnik, co wzdycha do cienia.

Uczennica Maria Tilea pracowała obok mnie, spalonymi od słońca rękami wkopując się w wysuszoną na pył ziemię.

— Nie możemy za tobą nadażyć! — wysapała Janetta.

— Weź moją motykę! Jest lepsza.

— Nie, bo zrobią się z tego tylko nowe bąble.

— Niech pani spróbuje, pani Wurmbrand.

Tak oto uprzejmie dowodziłyśmy swoich racji. Uczennica, kobieta z wyższych sfer i żona pastora.

Strażniczki podeszły, wrzeszcząc i grożąc.

Poszły dalej. Maria z wielką chęcią posłuchałaby o wesołym życiu Janetty. Uroczyste obiady, wyścigi konne, bale dobroczynne.

— Teraz w ogóle o tym wszystkim nie myślę — powiedziała Janetta. — W izolatce rozumiałam, że więcej wart niż to wszystko jest miły uśmiech.

Przekopaliśmy kolejne sto metrów. Pot ściekał nam po twarzy, mieszając się z kurzem i brudem. Valeria wyglądała tak, jakby ubrała starożytną maskę teatralną.

— W izolatce — ciągnęła dalej Janetta — miałam sen. Widziałam, jak jeden z naszych komunistycznych oprawców kąpał się w mojej wannie. A pozostali funkcjonariusze stali w kolejce przed drzwiami łazienki, żeby też się wykapać. Krzyknęłam na tego nagiego mężczyznę:

— Wynocha stąd! To nie jest twój dom.

— Sądzę, że wy chrześcijanie macie w swoich sercach sadzawkę jak ta w Betezdzie — odpowiedział. — Ludzie wchodzą do niej brudni i wychodzą oczyszczeni.

Wyszedł z wanny. Jego nagie ciało było teraz jaśniejsze niż śnieg. I miał taki przemiły wyraz twarzy. Nie był to już ten mężczyzna, który mnie bił. Po czym pozostali rozebrali się i weszli do wanny. Wtedy obudziłam się. W swoim śnie doznałam objawienia. Kiedy jakiś człowiek pojawia się w życiu chrześcijanina, nawet gdy go torturuje, to znajduje tam miejsce, w którym jego obraz zostaje oczyszczony, upiękaszony. Rozumiemy go. Dla innych może być przestępcą. Ale dla nas staje się istotą umiłowaną na wieki.

Ta historia dodała nam otuchy. A w tamtym miejscu podtrzymywanie się wzajemnie na duchu było świętym obowiązkiem.

Jakże powoli mijał czas na tym wielkim polu. Jakże chrypiało nam w gardle, a język przysychał do podniebienia. Kopałyśmy dalej motykami jak trybiki maszyny, które mogą wykonywać tylko jeden ruch.

— Widzisz coś? — odezwał się ktoś chrapliwym głosem.

— Wkrótce musi przyjechać.

Ale beczkowóz nie przyjechał.

Nawet strażniczki, które miały ze sobą butelki z wodą, spoglądały niespokojnie w stronę horyzontu. Robiło się późno. Ochryple od krzyczenia i zmęczone maszerowaniem wzdłuż szeregu, postanowiły odpocząć.

Mogłyśmy się wyprostować. Co za ulga!

— Zemdleję, jeśli szybko się czegoś nie napiję — Maria wyglądała blado.

— Nie mdlej. Będą cię kopać.

Słońce wznosiło się coraz wyżej.

Kiedy pracowałyśmy, myślałam o Mihaiu. Widziałam jego małą postać, wychudzoną i zapłakaną buzię. Komunizm specjalizuje się w wykradaniu młodzieży i jego też ukradną. Co zrobią z niego ci ludzie, którzy nie wiedzą, co to dobroć?

Jakże wiele rozpaczliwych modlitw zanosily matki nad Kanalem!

Krzyki dochodzące gdzieś z szeregu sprowadziły mnie z powrotem na ziemię. Jakaś kobieta zemdlała. Strażniczki biły ją, żeby zmusić ją, by wstała. Zwisiała bezwładnie w ich ramionach niczym ryba.

Maria przestraszyła się i zaczęła szybciej wdrapywać się w pył.

— Mario, spójrz! Beczkowóz!

Ciemny punkt poruszał się w oddali po drodze.

Całe pole zaczęło brzęczeć od spragnionych głosów.

— Zamknąć się! Do roboty! — wrzeszczały strażniczki.

Beczkowóz przez cały dzień był na słońcu. Zanim woda dotrze do nas, już dawno utraci swoje odświeżające walory. Mogłyśmy teraz dostrzec starego konia ciągnącego beczkowóz.

Wpatrywałyśmy się tak, jakby był to jakiś miraż, który może rozplynać się w drżącym powietrzu.

— Poproszę tuzin szklanek lodowatej wody — powiedziała Zenaida — i tłustego kotleta i całe góry owoców. Pomarańcze, winogrona...

— Przestań! — rozległy się okrzyki.

Więźniarki nieustannie opuszczały szereg, żeby przykucnąć przy zwale ziemi pod czujnym okiem strażniczek. Wszędzie w obozie były tabuny much. Szerzyła się czerwotka, na którą zapadało wiele kobiet. Więźniarki były chude jak patyki i miały poszarzałą skórę.

Od świtu niczego nie jadłyśmy ani nie piłyśmy. Na rozpalonej jak piec równinie minęło już południe. Osiem godzin.

Strażniczka ruszyła drogą w kierunku zbliżającego się beczkowitzu. Po czym zatrzymała się i odwróciła.

— To wóz z jedzeniem — jęknęła Zenaida.

Rozłoszczone kobiety zaczęły szemrać.

Więźniarki kryminalne pracujące blisko drogi rzuciły swoimi narzędziami i zaczęły krzyczeć.

Strażnicy wyciągnęli broń.

Horda wrzeszczących kobiet zaczęła im wygrażać. Jedna seria z broni maszynowej puszczona w tę watahę zabiłaby wiele z nich. Maria wtuliła twarz w moje ramię.

Konfrontacja trwała jakieś dziesięć minut. Kobiety nie chciały podjąć pracy.

— Wody! — skandowały — Chcemy wody!

Strażnicy, uderzając nas kolbami po żebrach, zegnali nas w jedną grupę z więźniarkami kryminalnymi. Splecione ręce i zimna stal powstrzymywały rozwścieczony tłum. Przycisnęłam Marię mocno do siebie.

Wóz z jedzeniem przyjechał na miejsce. Ale przerażony woźnica, gapiący się na nasz zbuntowany rój, był nieostrożny. Wóz podskoczył na kamieniu, woźnica pociągnął lejce w złą stronę, koń skręcił gwałtownie i na chwilę wóz przechylił się. Strażnicy krzyczeli i starali się go podtrzymać. Koń cofnął się.

Pojemniki wypadły.

Pięćdziesiąt kilogramów gotowanego makaronu spadło na zakurzoną ziemię.

Rozległ się wściekły ryk. Zapomniano o wodzie, strażniczkach i upale.

Jedzenie, cenne jedzenie leżało teraz w prochu.

Kobiety naparły na kordon, przełamały go i rzuciły się na makaron.

Chwytały go całymi garściami i wpychały do ust. Przepychały się, rozpychały łokciami i kłóciły ze sobą.

Pozostałe kobiety patrzyły w przerażeniu na to potworne przedstawienie.

Janetta zaczęła się śmiać straszliwym homeryckim śmiechem, który potrząsał jej chudym ciałem.

— Podano do stołu — wysapała i chwyciła się rękami za głowę.

Strażniczki były zadowolone. Niebezpieczeństwo minęło.

Godzinę później rozległy się gwizdki i wróciłyśmy do pracy.

Tego dnia woda nie dotarła.

Po południu nadjechały jeszcze dwie ciężarówki ze strażnikami.

Podczas pracy robiło mi się ciemno przed oczami. Wydawało mi się, jakby język mi się strasznie powiększył. Przypomniały mi się ostatnie słowa Jezusa na krzyżu:

— Pragnę.

W piekle nie ma wody.

Przypomniało mi się też *pizzicato* na początku partii „Pragnę” w oratorium Haydna *Siedem Słów Chrystusa na Krzyżu*. Haydn starał się w nim oddać złudzenie doznane przez ukrzyżowanego Chrystusa, który miał rzekomo czuć na wargach krople padającego deszczu. Wzbudziło to we mnie zazdrość, bo nie doznawałam nawet tego złudzenia.

W końcu o zmierzchu uformowałyśmy kolumnę, żeby wyruszyć w drogę powrotną. Jakies półtora kilometra od bramy obozu przechodziłyśmy obok błotnistej bajora.

Kobiety jedna za drugą padały na ręce i kolana, żeby chłeptać tę stojącą mętną ciecz.

Postawiono tam strażnika, żeby do tego nie dopuścić.

Następnego dnia w obozie przeprowadzono dochodzenie. Za nasz „bunt” zostałyśmy ukarane dodatkowymi godzinami pracy w niedzielę.

— To nie jest sanatorium! — powiedziała naczelnik.

— Przyjaciele, walka klasowa osiągnęła szczyt! — Paula przykuła naszą uwagę. — W Rumunii pozostały już tylko dwie klasy:

optymiści i pesymiści. Optymiści twierdzą, że wszyscy Rumuni zostaną wywiezieni na Syberię. Pesymiści mówią, że będą musieli tam pójść piechotą.

Ale niewielu z nas było teraz do śmiechu. Codziennie na polach kobiety mdlały z wycieńczenia. W nocy w dusznych, gorących barakach leżały na swoich łózkach półnagie i całkowicie wyczerpane. Kiedy uderzenia w szynę kolejową obwieszczały pobudkę, wydawało nam się, jakbyśmy się dopiero co położyły. Rzadko zdarzało się nam przespać całą noc.

Pewnego razu obudziła mnie Paula, szarpiąc mnie za ramię.

— Pobili Dianę! Chodź szybko, jest z nią źle.

Diana leżała nieprzytomna na podłodze i ciężko oddychała. Krew ciekła jej z nosa, a część jej włosów była zmierzwiona i lepka. Wargi miała napuchnięte. Rozluźniłyśmy jej ubranie i zobaczyłyśmy, że jej ciało jest całe posiniaczone.

— W jaką grę oni grają, ci strażnicy!

Paula cała się trzęsała. Diana jęknęła i poruszyła się. Otworzyła oczy.

— Wszystko w porządku... Nie pozwoliłam im — wyszeptwała.

Dałyśmy jej pić. Kiedy poczuła się trochę lepiej, wyjaśniła, że dwie prostytutki wywabiły ją z baraku do miejsca, w którym czekali strażnicy. Miała dziewiętnaście lat, była ładna, a jej skromność prowokowała ich. Nie chciała się im oddać. W końcu wrzucili ją do najbliższego baraku i uciekli.

Przykryłyśmy ją naszymi dwoma kocami, bo nawet w tym dusznym baraku cała się trzęsała. Paula i ja siedziałyśmy przy niej aż do świtu, rozmawiając szeptem.

— Ma inteligentny wyraz twarzy. Może była nauczycielką.

Paula zawsze szukała bratniej duszy. Całe swoje życie była nauczycielką.

— Marzy mi się, żeby poprowadzić lekcję — mówiła często. — Widzę całe rzędy twarzy, czekających, aż zacznę mówić. Widzę siebie, jak wchodzę przez bramę z filarami. Słyszę wszystkie odgłosy szkoły.

Pisała opowiadania, dzięki którym została przyjęta do Związku Pisarzy. Maszerowała wśród nich w pochodach z okazji Dnia Wyzwolenia 23-go sierpnia. Znała niektórych ze sławnych pisarzy rumuńskich: poetę Mihaia Beniucę, a także powieściopisarzy,

którzy byli uznani przez państwo, bo wydawali książki sławiące komunizm i oczerniające Zachód. Jako agitatorka dbała o to, żeby wszystko, co pisała, przyczyniało się do „szerzenia socjalizmu”. Pisało się bowiem albo utwory czysto propagandowe, albo poruszało się tematy, które nie miały nic wspólnego ze współczesnym światem.

Paula zgodziła się, że pieśni chwalcące „genialnego” Stalina były głupie. Ale wszystkie te wojownicze pieśni kierowane do Boga niczym się od nich nie różnią!

— Różnica polega na tym — powiedziałam — że z jednej strony wychwala się Stwórcę wszystkiego, co żyje, a z drugiej chore stworzenie, które pozbawiło życia miliony istnień ludzkich.

Zapytałam, dlaczego została aresztowana.

— Zrobiłam niemądrą uwagę o przekłamaniach w podręcznikach do historii. Wybierali ludzi, którzy przepisywali wszystko zgodnie z życzeniami Rosjan.

— Wszystkie muzy są zakute w łańcuchach.

— Och, ale pisarze są bardzo dobrze traktowani. Mieliśmy specjalne przywileje i wysokie płace, i ośrodki wypoczynkowe...

— Ale wysoka pensja (wysoka tylko na warunki rumuńskie) stanowi jedynie zabezpieczenie przed tym, żebyś nie napisała czegoś, co im się nie spodoba. Sztuka i religia są w równym stopniu prześladowane. Mogą przetrwać tylko w podziemiu...

Noc upłynęła nam na rozmowie. Więźniarki mruczały przez sen i krzywiły się. Mamrotały lub wykrzykiwały imiona: dzieci, ojców, kochanków, przyjaciół. Ale najczęściej słyhać było słowo: „mamo!” Wiek i status społeczny zupełnie utraciły swoje znaczenie. Spały, a ich udręczone dusze wydobywały ze swoich głębin ten prastary okrzyk.

Było to coś głębszego niż tylko wezwanie jednego z rodziców. Było to wołanie o wieczną, matczyną czułość i troskę, które mają swoje źródło w Bogu w niebie. Zastanowiło mnie znaczenie wizji św. Jana Ewangelisty, któremu ukrzyżowany Pan powierzył opiekę nad swoją matką. To właśnie jemu dane było potem zobaczyć wielki znak na niebie — kobietę odzianą w słońce, z księżycem u swoich stóp.

Przyprowadzono mnie do zastępcy naczelnik obozu. Była to kobieta o rumianej twarzy, z ogorzałymi rękami i okazałymi zębami. Jej mundur zdawał się ograniczać jej ruchy niczym kolczuga.

— Mówisz więźniarkom o Bogu. To musi się skończyć! — ostrzegła mnie.

Powiedziałam, że nic nie zdoła z tym skończyć. Rozwścieczona uniosła pięść, żeby mnie uderzyć.

Po czym zatrzymała się i zaczęła się we mnie wpatrywać.

— Czemu się uśmiechasz? — powiedziała z naciskiem.

Twarz pulsowała jej ze wściekłości.

— Jeśli się uśmiecham — powiedziałam — to z powodu tego, co widzę w pani oczach.

— A co to takiego?

— Ja sama. Każdy, kto zbliży się do drugiej osoby, może zobaczyć w niej samego siebie. Ja również byłam impulsywna. Wpadałam we wściekłość i waliłam pięściami. Dopóki nie nauczyłam się, co to naprawdę znaczy kochać. Znaczy to, że potrafię poświęcić się dla prawdy. Od tamtej pory moje dłonie nie zaciskają się w pięści.

Opuściła rękę.

— Gdyby spojrzała pani w moje oczy, to zobaczyłaby pani siebie taką, jaką Bóg mógłby panią uczynić!

Twarz jej skamieniała.

— Odejdź — powiedziała cicho.

Często zastanawiałam się nad tym, czy gdyby Piłat spojrzał w oczy Jezusowi, to zobaczyłby w oczach „króla Żydów” władcę, którym mógłby być. Bo przecież jego własna żona powiedziała mu, że Jezus jest niewinny i sprawiedliwy. I tak te dwa imiona zostały połączone ze sobą na wieki. „Chrystus... cierpiał pod Poncjuszem Piłatem” — powtarzają chrześcijanie na całym świecie.

Nadal świadczyłam więźniarkom o Chrystusie. Zastępcą naczelnik nie przeszkadzała mi.

Podczas przekopywania pola motykami Maria powoli przesuwiała się do mnie wzdłuż szeregu, zamieniając się miejscami z kolejnymi kobietami pracującymi obok niej. Raz strażniczka prawie ją przyłapała. Ale w końcu znalazła się obok mnie i zaoferowała pomoc.

Strażniczki przyłapały nas na szeptaniu.

— Brać się do pracy!

Wzięłyśmy się energicznie do kopania. Ale tego ranka czułam się słabo. Miałam zawroty głowy i często zatrzymywałam się, a za każdym razem, kiedy ośmieliłam się rozprostować plecy, strażniczki krzyczały:

— Dzisiaj w nocy wylądujesz w karcerze!

Robiło mi się ciemno przed oczami. Maria cały czas mówiła do mnie, starając się sprawić, bym zapomniała, jak się czuję, ale jej głos wydawał się dochodzić gdzieś z oddali.

Udało mi się utrzymać na nogach do południa. Wypiłam kubek obrzydliwej wodnistej zupy i skubnęłam trochę chleba. Mimo to po południu zemdlałam.

Pałace słońce zawirowało po niebie. Po czym zobaczyłam nad sobą twarz Marii, jej wargi poruszały się, jakby bezgłośnie krzyczały z jakiejś ciemnej studni.

Strażniczki postawiły mnie na nogi. Wlały mi wodę do gardła, aż zaczęłam się krztusić.

— Wszystko z nią w porządku.

Zaczęły obrzucać Marię wyzwiskami:

— Co się gapisz? Bierz się do roboty!

Po czym odeszły, stanęły okrakiem i rozmyły się w drżącym od gorąca powietrzu.

— Przeraziłaś mnie — powiedziała Maria.

Przeraziłam samą siebie. W omdleniu jest coś szczególnie przerażającego dla osoby wierzącej. Dochodzisz do siebie i uświadamiasz sobie, że całkowicie straciłeś przytomność. Z tego powodu zaczynasz powątpiewać w istnienie duszy jako odrębnej całości — a taka myśl jest o wiele bardziej przerażająca niż myśl o śmierci. Dopiero po jakimś czasie udało mi się przekonać siebie, że nie było to nic innego jak sen, podczas którego nic się nie śni. Dlaczegoż by dusza miała być stale świadoma swojego istnienia, ciągle mówić do siebie: jestem? Gdybyśmy mieli nieustannie powtarzać sobie, że istniejemy, to byłaby to iście marna egzystencja.

Wróciłyśmy do plewienia mocno ukorzenionych chwastów. Bezlitosne słońce wysysało z nas wszystkie soki. Ledwo mogłam utrzymać motykę.

Późnym popołudniem na horyzoncie pojawiły się chmury burzowe.

Kiedy rozległy się gwizdki oznaczające koniec pracy, ciężkie chmury wisiały nisko nad ziemią. Nie padało od tygodni i marzyliśmy o deszczu.

Pracowałyśmy daleko od obozu. Na drodze czekały na nas zdezolowane ciężarówki, którymi miałyśmy wrócić do obozu. Kiedy stłoczyłyśmy się już na pace — tak, że nie mogłyśmy usiąść,

ale przynajmniej nie mogłyśmy się też przewrócić — rozbłysła błyskawica i pierwsze ciepłe krople dotknęły naszych twarzy skierowanych ku górze.

Zaczął padać, ściana deszczu przetaczała się po równinie. W kilka chwil byliśmy całe przemoczone.

— Cudowna, cudowna woda! — krzyczała Maria.

Ale ta cudowna woda lała się cały czas, jakby wylewała się z jakiejś ogromnej wanny. Dudniły grzmoty, a błyskawice przeszywały niebo. Piorun uderzył niedaleko i kobiety krzyknęły.

Ciężarówka wpadła w poślizg i zatrzymała się. Jej tylne koła ugrzęzły w błotnistej mazi.

— Wszystkie wysiadać! Szybko!

Strażnicy naradzali się.

— Trzeba przynieść drewno — postanowili.

Ale nie było drewna.

W ulewnym deszczu, po kolana w wodzie, my kobiety oparliśmy się plecami o ciężarówkę i zaczęłyśmy ją pchać, podczas gdy mężczyźni przyglądali się.

Koła buksowały, rozpryskując błoto.

Ciężarówka nie ruszyła z miejsca. Przez godzinę pracowałyśmy na próżno, aż w końcu sierżant wydał rozkaz, że mamy wrócić do obozu na piechotę. Maszerowałyśmy więc w deszczu. W butach nam chlupało, a ubranie kleiło się do ciała.

Strażnicy bili kobiety, które się potykały.

W końcu kolumna obdartych szarych widm dotarła do bramy obozu.

— Towarzyszko naczelnik, melduję powrót sześćdziesięciu dwóch bandytów — krzyknął sierżant.

Przemoczeni „bandyci” zawlekli się do swoich baraków. Niektórym od razu przydzielono pracę w kuchni. Pozostali usiłowali wysuszyć ubrania i zasnąć.

W jakże nieodgadniony sposób potrafi zachowywać się ludzki umysł! Tuż przed snem przypomniał mi się dowcip, który opowiedział kiedyś Richard. Pewien człowiek postanowił, że nie ma sensu narzekać i że w przyszłości będzie robić ze wszystkiego jak najlepszy użytek. Właśnie wtedy odpadło mu koło od wozu.

— Nic nie szkodzi — powiedział. — Dorożki mają tylko dwa koła. Ja mam trzy. Jestem bogaty.

Po czym odpadło drugie koło.

— Nie ma się co martwić — powiedział. — Taczki mają tylko jedno koło. Ja mam dwa.

Odpadło trzecie koło.

— No cóż, sanie nie mają w ogóle kół, a radzą sobie całkiem dobrze — powiedział.

W końcu stracił ostatnie koło.

— Zawsze chciałem powozić saniami — wykrzyknął radośnie.

Zasnął z uśmiechem na ustach.

Czas stał w miejscu. Niewolnictwo było całym naszym życiem, a Kanał całym naszym światem. Zostałyśmy zredukowane do poziomu beznadziejnej akceptacji naszego losu. Nawet wieści dochodzące z zewnątrz nigdy się nie zmieniały. Głód, kolejki i ucisk. I to odwieczne: „Amerykanie nadchodzą. Nie pozwolą, żebyście byli nadal niewolnikami”.

Przygnębienie oznaczało, że spadała wydajność pracy. Posługiwano się więc różnymi dziwnymi fortelami, żeby ją zwiększyć.

Pewnego razu dwudziestu kobietom kazano wystąpić z szeregu i powiedziano do nich:

— Pracowałyście tutaj najciężej ze wszystkich. Z tego powodu zostaniecie wypuszczone na wolność.

Naczelnik wygłosiła przemówienie.

— Tak więc żegnajcie, towarzyszki, i przyjmijcie nasze podziękowanie. Wspólnie mozolnie budowałyśmy komunizm i teraz nadeszła chwila, żeby cieszyć się owocem naszego trudu. Jesteście wolne! Na pożegnanie dajemy każdej z was dodatkowy bochenek chleba.

Dwadzieścia bohaterek wychylało się z tyłu ciężarówka, machało czerwonymi flagami i śpiewało Międzynarodówkę.

Kolejne oszustwo. Piętnaście kilometrów dalej w innym obozie nad Kanałem ciężarówka zatrzymała się i ponownie zmuszono je do pracy.

Wpływ na normy pracy w obozie K4 był elektryzujący. Ale tym samym fortem posługiwano się w innych obozach i wkrótce dowiedziałyśmy się prawdy.

14

Pociąg

Pewnego poranku zaraz po pobudce do baraku wpadły strażniczki.

— Za godzinę wszystkie macie być gotowe do przeprowadzki!

Tym razem nie chodziło o przeniesienie dwóch lub trzech osób. Cały obóz postawiono na nogi. Setki kobiet przygotowywało swoje tobołki, krzątało się pośpiesznie jak kurczęta, starając się uściskać na pożegnanie z przyjaciółkami, których być może już nigdy nie zobaczą. Strażniczki były również zaniepokojone, co jeszcze bardziej potęgowało ogólne napięcie. Nie wiedziały bowiem więcej niż my.

Amerykianie przedarli się przez żelazną kurtynę! Rosjanie zajęli Berlin Zachodni! Zostaniemy rozstrzelane!

— Chyba nie, buty! — zawołała dźwięcznym głosem Zenaida.

Trwała pierwsza dostawa obuwia. Szefowa baraku wyrzucała buty z wózka, nie zwracając żadnej uwagi na ich rozmiar i kierunek rzutu. Udało mi się zdobyć parę o trzy numery za dużą.

Kiedy wszystko było już gotowe, pudełka i tobołki zostały ułożone na stosach, a odziane w łachmany kobiety ustawiły się w rzędach, zaczęło się czekanie. Na co czekamy? Nikt nie wiedział. Dokąd mamy jechać? Każda z nas „wiedziała” coś innego. Życie więzienne to jedno długie czekanie, a tym razem pałętałyśmy się po obozie niemalże przez cały dzień i dopiero pod wieczór załadowałyśmy się do ciężarówek. Przewieziono nas na stację rozrządową.

W K4 nikt się nie buntował. Bocznic kolejowe były opustoszałe. Kręciło się tylko kilku pracowników kolei. Nie było to dla nich nic nowego. Pociąg składał się z wagonów towarowych i całego sznura długich czarnych wagonów więziennych, pomiędzy którymi nie było żadnych przejść. Wszystkie miały ciężkie zasuwane drzwi i po kilka małych okratowanych okienek rozmieszczonych u góry. Z wyglądu przypominały one wagony bagażowe.

— Ruszać się! Włazić do środka!

Strażnicy kolejowi specjalizowali się w tego rodzaju pracy. Wyglądali niechlujnie i nie przepracowywali się. Czekali, aż faceci z K4 wepchną nas do wagonów, a zajmowało to trochę czasu. Nie było gdzie stanąć.

— Nikt się już tutaj nie zmieści!

— Mój Boże, udusimy się!

Ale wpychano coraz więcej kobiet, aż w końcu w wagonie przeznaczonym dla czterdziestu osób znalazło się nas osiemdziesiąt cztery. Duże zasuwane drzwi zostały nareszcie zatrzaśnięte i zaryglowane. Żelazne sprzęgi szczęknęły, a gdy lokomotywa szarpnęła pociągiem, wszystkie powpadałyśmy na siebie.

W naszym wagonie było trochę ławek. W jednej z nich, jak udało nam się odkryć, był ukryty ustęp; bez wody, oczywiście, i bez papieru, ale nikt nie miał zamiaru na to narzekać. I była przykrywka!

Kobiety układały się do snu albo klóciły się, albo płakały — nie były jednak pewne o co. Nieszczelne baraki w obozie K4 stały się naszym domem. Niewiadoma wzbudzała trwogę. Dobrze poinformowane plotkarki przepowiadały naszą masową egzekucję. Zostaniemy rozstrzelane z karabinów maszynowych i wrzucone do grobu, który same wcześniej wykopimy. Co poniektóre proste kobiety mamrotały pod nosem, że byłoby to dla nas o wiele lepsze.

— Ależ nie! — pewna kobieta z Ploeszti zapewniała nas stanowczym tonem — zmierzamy do obozu przejściowego w Ghencea i zostaniemy przedterminowo zwolnione. Słyszała, że klika Anny Pauker utraciła władzę i linia partyjna jest weryfikowana.

Cały wagon huczał od domysłów. Bo ta potworna Anna powinna posmakować trochę swojej własnej trucizny! Niewiele kobiet tak naprawdę w to wierzyło, ale wszystkie najwyraźniej podniosło to na duchu.

Ktoś opowiedział dowcip:

— Na czym polega różnica między zebłą a komunistą? W przypadku zebry linie są na zwierzęciu; w przypadku partii zwierzęta muszą trzymać się linii partyjnej.

Trudno było znaleźć wolne miejsce, żeby usiąść, a o położeniu się nie było mowy. Przysypiałyśmy na chwilę i po raz kolejny budził nas pisk hamulców, obwieszczający następny tajemniczy postój. Za wąskimi oknami panowała tylko ciemność.

Zwolna wyłaniał się jesienny krajobraz. Krowy pasły się spokojnie na polach. Po rozległych pustych równinach Baraganu już sam widok tych domowych zwierząt dodawał otuchy. I drzewa: już bez liści, ale unoszące swoje czarne gałęzie ku niebu jakby w błagalnej modlitwie. I kilku rolników, wolnych mężczyzn i kobiet, rozrzucających obornik po ciemnej ziemi. Trzy małe dziewczynki machały i machały do nas, nie mając wcale pojęcia, że spowodowały, iż setka kobiet zaczęła płakać.

Pociąg sapiąc toczył się przez Rumunię cały czas na północ. Po godzinie zatrzymał się na jakimś węźle kolejowym. Usłyszałyśmy dźwięk odsuwanych drzwi i brzdęk żelaznych zasuw. Strażnicy podawali trochę wiader z wodą, a inni stali obok z automatami.

Opryskliwy młody wiejski chłopak w mundurze przywykł do pojenia zwierząt i wiedział, że nie należy reagować na ich ryczenie. A i tak przecież nie było chleba.

Kiedy pociąg ruszył, ponownie pojawiły się domysły. Cyganki jak zwykle paplały między sobą i nic nie można było z tego zrozumieć. Wieśniaczki z kołchozów oddały się rozpamiętywaniu i oplakiwaniu utraconych krów i dzieci.

W wagonie było tylko kilka starych znajomych: Helena Coliu, dziewczyna, która nadal wierzyła w komunizm pomimo tego, że została wielokrotnie pobita; Annie Stanescu, pogodna drobna prostytutka i Maria Tilea. Ale nie było Zenaidy, Clary Strauss, babci Apostoła, Corneli Marinescu. Nie wiedziałam nawet, czy są w pociągu.

Domorosłe znawczynie polityki obok mnie omawiały wybory w Ameryce. Wiedziałyśmy, że mają się odbyć tej zimy. Truman kończył swoją czteroletnią kadencją, a Eisenhower — który tak długo był głównodowodzącym w Europie — wszystkich nas uratuje.

— Oczywiście zostanie wybrany — powiedziała głośno dobrze poinformowana pani z Ploeshti. — Według moich informacji poprosi on o specjalne uprawnienia prezydenckie, żeby wyzwolić zniewolone kraje w Europie Wschodniej.

Sensacja! A ponieważ kobieta ta zaledwie miesiąc wcześniej przeszła przez obóz przejściowy w Ghencei, jej słuchaczki, złąk-nione jakiegokolwiek pociechy, wierzyły jej bez zastrzeżeń.

Chciałam powiedzieć, że ten sam Eisenhower pod koniec wojny przekazał „wujkowi Joe”, jak Roosevelt nazywał Stalina, setki tysięcy uciekinierów z krajów komunistycznych. Niektórzy

z nich popełnili samobójstwo, niektórzy zostali powieszani, niektórzy wyginęli w syberyjskich łągach. Ale milczałam. Dlaczego miałabym rozwiewać złudzenia, skoro ludzie potrzebują ich jak spragniony człowiek wody?

Jakże powoli pociąg turlał się przez podmokłe tereny. Skrzypiał i zgrzytał na zwrotnicach. Zatrzymywał się i ruszał. Stał godzinami na zapomnianych bocznicach. Kobiety na zmianę tłoczyły się przy małych okienkach, rozkoszując się widokiem wiejskich domów i tłących się ognisk, przy których siedzieli cicho pasterze. Wdychały pierwsze zapachy mrozu w jesiennym powietrzu.

Ekscytacja związana z wyruszeniem w drogę ustąpiła miejsca panice z powodu stłoczenia w tej kołyszącej się i skrzypiącej czarnej rurze. Tak wiele kobiet było chorych, że niewygodny podróżny zamieniły się wkrótce w istną udrękę. Chociaż ciągle dokuczały nam przeciągi, to jednak powietrze w wagonie było zatęchłe.

Było tam wiele wykształconych kobiet: pisarek, dziennikarek, poetek — znanych i nieznanymi. Wymizerowana ciemnowłosa Marina Capoianu, która w Klużu była nauczycielką literatury angielskiej i francuskiej, miała nadzwyczajny dar opowiadania historii. Z wielkim polotem opowiadała powieści z klasyki gatunku, do których czytania zmuszała kiedyś opornych uczniów. Gdy opowiadała fragmenty prawdziwie dramatyczne, jej mocny, potrafiący dotrzeć do końca klasy głos grzmiał wyrzutami kierowanymi do Nancy przez Billa Sykesa lub pełnymi pasji okrzykami Madame Bovary: „Leonie, Leonie! Do czwartku, do czwartku!”

Jedną z jej najbardziej ulubionych historii był melodramat „Portret Doriana Graya”. Powieść Wilde’a o przestępstwie i karze opowiadana przez ponad trzy godziny podczas pewnego wieczoru, gdy utknęłyśmy na cichej zapomnianej bocznicy, zrobiła furorę. W scenie morderstwa Marina Capoianu uderzała pięścią w otwartą dłoń w miarę jak Dorian Gray zadawał ciosy nożem. Jej publiczność przyjęła to niemalże z aplauzem. (Oscar Wilde narzekał na warunki panujące w więzieniach w swoich czasach. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył te kobiety, przewożone jak bydło?)

„Czyż to nie jest wspaniałe, to wykształcenie?!“ Wieśniaczki były zadziwione i rozbawione. „Móc powiedzieć to wszystko i to bez książki!“ Intelektualistki były w niemniejszym stopniu pochłonięte opowieścią, ale teraz zaczęły krytykować biednego Oscara za brak powagi, za snobizm i za inne przykre wady. W trakcie

sporu Janetta powiedziała, że Wilde nadał swojej książce głębokie znaczenie alegoryczne o wymowie religijnej. W „Dorianie Grayu” malarz reprezentuje Chrystusa, który maluje swój obraz w sercu każdego człowieka. Ale w miarę jak niewinność Doriana ulega skażeniu, obraz Chrystusa staje się coraz bardziej zniekształcony. Dochodzi w końcu do tego, że Dorian nie może już dłużej na niego patrzeć. Odsuwa go od siebie, tak jak czynią to wszyscy ludzie. I wtedy pewnego dnia malarz puka do drzwi i prosi o pokazanie obrazu. Ale Dorian nie może znieść myśli, że ktoś miałby go zobaczyć. To on przecież spowodował, że jest teraz taki, jaki jest. Tak więc ludzie robią to, co zrobił Dorian Gray, który zabijając malarza — co jest symbolem śmierci Chrystusa — zabił równocześnie sens własnego życia.

Jest to alegoria bogobójstwa, największej ze wszystkich zbrodni, ale także tego, co w końcu przyniesie przebaczenie wszystkich występków i odnowę. Krew przelana na Golgocie zbawiła nawet morderców Chrystusa. Symbolika wilde’owskiego malarza sięga dalej: wiedział on, że spotka go śmierć, jeśli poprosi o zobaczenie obrazu; niemniej jednak przyszedł. Dzięki jego ofierze obraz Dorian Gray odzyskał swoje pierwotne piękno.

Teraz z kolei Marina wyglądała na zaskoczoną.

— Strasznie naciągane — zawołała. — Jest to w rzeczywistości nieuświadomiony portret psychiki Wilde’a. To on był tym tłustym, szkaradnym, rozdętym portretem, a Dorian Gray reprezentuje jego dzieciństwo, za którym tak bardzo tęsknił, że był gotów zabić swój geniusz — reprezentowany przez malarza — aby je odzyskać. I, oczywiście, to właśnie zrobił.

Inne kobiety z zapałem interpretowały tę książkę w kategoriach walki klasowej (ten biedny, odrzucony młodzian i upadek próżnego bogacza).

— Jest to bez wątpienia przypowieść — powiedziała pani Capoianu — dwuznaczna i wielowymiarowa jak wszelka dobra sztuka. Nie do końca angielska; całkiem rosyjska, pod pewnymi względami.

Tak oto osiemdziesiąt kobiet, tłukących się pociągiem przez Rumunię, zapomniało na chwilę o strachu przed egzekucją dzięki rozrywce, jakiej dostarczył im Oscar Wilde.

Na jednym z postojów drzwi otwały się z hukiem i wrzucono nam worek z racjami żywnościowymi.

Bochenki czarnego chleba były świeżo upieczone i cudownie pachniały. Trzeba je było jednak skrupulatnie porozdzielać pomiędzy poszczególnymi grupami. Pożarliśmy je natychmiast. W każdej chwili możemy przecież dojechać do celu. Jedzenie zostawione na później to jedzenie utracone — taka była zasada życia więziennego. Upchane w pociągu kobiety zapomniały na krótko o swoich obolałych, poodcieranych o deski ciałach i o dokuczliwym swędzeniu.

Przez dwa dni trzeszczący pociąg włókł się przez te bezkresy, zatrzymując się i ruszając. Ale trzeciego dnia, chociaż postoje się wydłużały, nie pojawiła się ani woda, ani chleb. Dopiero późnym wieczorem drzwi otwały się i ukazał się w nich ubrany niechlujnie sierżant. Widać było, że sporo wypił. Bez wątpienia była to *tzuica* — mocna rumuńska śliwowica. Kołysał się na piętach i kamienie chrzęściły mu pod butami, podczas gdy obserwował, jak gburowata eskorta wrzucała worek chleba.

— Wy kobiety macie dzisiaj szczęście.

Nasze milczenie było bardzo wymowne.

— Razem z chlebem dla każdej z was jest łyżka dżemu.

Możliwe, że *tzuica* skłoni go do kolejnych ustępstw. Maria zapytała więc odważnie:

— Ile jeszcze będziemy jechać, starszy sierżancie sztabowy?

Schlebiło mu to. Powiedział więc:

— Jeszcze jeden dzień.

— A dokąd zmierzamy?

Czknął.

— Na rozstrzelanie, oczywiście!

Ryknął śmiechem.

Drzwi zasunęły się z trzaskiem. A w wagonie wybuchł hałaśliwy spór. Te, które nie zaczęły płakać i szlochać, znowu zadawały sobie nawzajem te same pytania: Czy może to być prawda? Ale on był pijany. Właśnie dlatego można mu wierzyć! Zapłakane Żydówki zaczęły się przytulać i całować na pożegnanie. Przeżyły obozy nazistowskie, a teraz spotyka je coś takiego!

Pociąg rozpaczliwie wolno włókł się do przodu. Po godzinie zatrzymał się. I znowu ruszył.

Siedząca obok mnie pani Capoianu, która zatraciła się w śnie na jawie, zapytała nagle:

— Sabino — czy my wszystkie jesteśmy po prostu ofiarami szaleńca? Co to wszystko znaczy? Mówią, że siedzi on przerażony za zamkniętymi stalowymi drzwiami i wydaje coraz więcej wyroków śmierci. A kiedy przychodzą do niego ambasadorzy z innych państw, w ogóle nic nie mówi, tylko ciągle rysuje coś czerwoną kredką na skrawku papieru. Coraz więcej i więcej rysunków przedstawiających torturowane kobiety.

Wstrząsnęły nią dreszcze.

— A oni wszyscy mówią o nim tak, jakby był bogiem: „Wielki geniusz Stalin!” „Ojczulek Stalin!”

— Nie po raz pierwszy ludzie stają się ofiarami dyktatora, który stara się zasiąść na tronie Boga — odpowiedziałam. — Oskarżają oni Boga i starają się zająć Jego miejsce. Kiedy myślę o Stalinie, to zawsze przypomina mi się faraon. Niewolnicza praca, pogromy, terror — wszystko to mamy tutaj ponownie. Człowiek stara się wykraść Bogu należne Mu miejsce. Wiesz, że faraon wydał rozkaz, aby wszystkich nowo narodzonych chłopców żydowskich wrzucać do Nilu. A potem ten sam faraon wychował jako jednego z członków swojej rodziny człowieka, który miał zrealizować plan Boży wymierzony przeciwko niemu. W Psalmie 2 jest powiedziane, że Bóg czasami się śmieje. (Po wielu latach od tej rozmowy wydawało mi się, jakbym znowu usłyszała śmiech Boga: córka Stalina nawróciła się w Kościele podziemnym w Rosji!)

— Wiem, że nie może on wiecznie panować — powiedziała pani Capoianu. — Ale co sprawia, że człowiek staje się takim maniakiem?

— Często są to okoliczności — powiedziałam. — Nie wyjaśniają one wszystkiego, ale wyjaśniają wiele. Był on nieślubnym dzieckiem oficera policji. Jego matka musiała pracować u niego w domu jako służąca i zaszła w ciążę. W jej łonie począł się przyszły Stalin. Mąż jego matki był pijakiem. Wiedział, że chłopak nie jest jego i bezlitośnie go bił. Po czym Stalin wstąpił do prawosławnego seminarium, w którym chłopcy byli bardziej więźniami niż studentami. Sytuację pogarszało to, że był on Gruzinem, a właśnie wtedy Rosjanie zamknęli gruziński Kościół prawosławny i zaczęli prześladować jego członków. Został więc rewolucjonistą. Widać teraz, skąd biorą się tacy rewolucjoniści.

Ta noc była istnym koszmarem. Na każdym postoju bałyśmy się, że buty chrzęszczące o żwir zatrzymają się, drzwi otworzą się i zostaniemy wyciągnięte na pewną śmierć. Całymi godzinami

więźniarki będące chrześcijankami starały się uspokoić i pocieszyć pozostałe kobiety. Ale nic nie wydarzyło się tego dnia ani nazajutrz. O zachodzie słońca można było dostrzec ozłoczone szczyty odległych gór. Kiedy ponownie zapadła noc, wycieńczone i udręczone kobiety popadły w otępienie.

— Wysiadać! Wszystkie WYSIADAĆ!

Zasuwki zostały wyciągnięte i przed naszymi oczyma ukazała się czarna nieprzenikniona noc. Nie było żadnej stacji, nawet bocznicy. Mój Boże, czy to prawda, czy rzeczywiście nas powyrzynają? Płacząc, krzycząc, przeklinając, kobiety wyskakiwały lub wpaadały na tory kolejowe wysypane ostrymi kamieniami. Nie było żadnych stopni i upadłam, raniąc sobie kolana. Kilku innym ktoś pomógł zejść na dół, ale nie byli to strażnicy, którzy stali, wymachując karabinami i wrzeszcząc jak oszaleli na przerażone więźniarki. Prawdopodobnie winą za ich nastrój można było obarczyć długie oczekiwanie na zimnie i słońce. Ale dla nas wyglądali jak demony rodem z piekła.

Kobiety były bite pięściami po twarzy, odpychane na bok, policzkowane, uderzane kolbami karabinów. Nie miałyśmy pojęcia, co mamy robić.

— Ustawiać się w szeregu, w szeregu! Trzymać się blisko sierżanta!

Ale nie było nikogo, do kogo można by wyrównać szereg. Kobiety ześlizgiwały się i staczały po błotnistym nasypie prosto na ogrodzenie z drutu kolczastego. Jeden młody strażnik doszedł do wniosku, że próbują uciec i rzucił się na nie z pięściami. Pani Capoianu otrzymała potężny cios i wpadła na kobiety stojące obok niej.

Po godzinie straszliwego zamieszania kilkaset z nas zostało zagnanych na pola obok torów.

— Wszystkie na ziemię! Kłaść się na brzuchach! Padnij!

Zostałyśmy zmuszone do położenia się twarzą w błocie. Przeklinający strażnicy stanęli wokół nas.

— O Boże, o Boże, zastrzelą nas — jakaś kobieta obok mnie mamrotała w kółko. — Nie dopuść do tego, nie dopuść do tego. Już nigdy nie będę narzekać.

Powtarzała modlitwy i błagania jak katarynka. Myślę, że wszystkie to robiłyśmy.

— W drogę, bandyci! Ogłuchłyście?

Maszerowałyśmy bardzo szybko w zupełnej ciemności, ponaglone groźbami i ciosami. Dźwigałyśmy nasze tobołki. Przewraca-

łyśmy się, ślizgałyśmy się i z trudem łapałyśmy oddech. Po czterech dniach zupełnego bezruchu byłyśmy całkowicie oszołomione.

— Stać! Zagnać je na to pole! Wszystkie na ziemię!

Upadłyśmy na twarz lub na kolana. Połowa kolumny zgubiła się i musiałyśmy na nią poczekać.

Nie wiem, jak długo maszerowałyśmy. Minęły chyba całe godziny, zanim zobaczyłyśmy wysokie mury nowego więzienia — długie, ponure ściany osnute bladym światłem reflektorów. Ciężkie stalowe i drewniane bramy otwały się i bezładnymi piątkami weszłyśmy do środka.

Na dziedzińcu rozniosła się wieść: to Tirusor.

Nowa nazwa, nowi strażnicy. Te same przekleństwa. Ta sama rutyna.

Znowu sprawdzanie nazwisk i numerów. Zanim dotarliśmy do naszych cel, było już dawno po północy.

Dlaczego tutaj? Dlaczego Tirusor? — wszystkie zadawałyśmy to pytanie. Było to więzienie o najwyższym stopniu zabezpieczeń, w którym przetrzymywano skazanych za szczególnie okrutne przestępstwa. Nazwa ta była słynna w Rumunii. Cóż za tajemnica! Co to może znaczyć?

— Nie mają już miejsca w żadnym innym więzieniu — wymamrotała pani Capoianu.

Ale nikomu nie przyniosło to ulgi.

15

Tirgusor

W Tirgusorze przydzielono mnie do szwalni. Praca trwała tam na okrągło w dwunastogodzinnych zmianach. Siedziałyśmy przy ławach w dużym wysokim pomieszczeniu z zakratowanymi oknami rozmieszczonymi blisko sufitu.

Maszyny do szycia pochodziły chyba z poprzedniego stulecia i psuły się przynajmniej raz dziennie. Dostyc szybko przestałam podzielać zachwyty Richarda nad Singerem, Żydem, który wynalazł maszyny do szycia.

Grubymi nićmi zeszywałyśmy więzienne materace. Ciężki materiał trzeba było ciągle obracać i skręcać, równocześnie naciskając stopami na pedały wprawiające maszynę w ruch.

Kobiety pracujące na nocną zmianę regularnie zasypiały przy maszynach. (W ciągu dnia nie dało się spać z powodu hałasu w więzieniu.) Nadzorcy chodzili więc między rzędami, rozdzielając szturchańce i ciosy pięściami. We wczesnych porannych godzinach niejedna z nas zastanawiała się, czy życie nad Kanałem nie było lepsze.

W Tirgusorze byli przetrzymywani najbardziej niebezpieczni przestępcy z całego kraju: mordercy, gwałciciele, oszuści, sadyści — niektórzy bez wątpienia psychicznie chorzy.

Przy maszynie obok mnie siedziała jakaś histeryczka. Zakłuła na śmierć lekarza nożyczkami. Kilka razy dziennie pożyczła nożyczek, których używałyśmy wspólnie przy naszej ławie. Najwyraźniej nie zauważała nerwowych spojrzeń swoich sąsiadek, kiedy przecinała materiał. Często wpatrywała się w nożyczki, zanim je odłożyła.

Biedna „szalona Anna” żyła w świecie fantazji. Wierzyła, że łączyły ją intymne stosunki z lekarzem, którego zabiła. A teraz igłą na mydle pisała listy do samej siebie od wymaginyowanych kochanków. Było ich bardzo wielu i różnili się usposobieniem. Listy Piotra były górnolotne; Jana pełne pasji; a Henryka odznaczały

się prostotą. Wszystkie je czytała na głos swoim zaskoczonym towarzyszkom z celi.

Anna miewała czasami napady histerycznego płaczu, ale przez większość dnia żyła szczęśliwie w swoim iluzorycznym świecie. Nie miało dla niej większego znaczenia, czy była w więzieniu, czy poza nim.

Jakże wielu pełnych łez powitań byłam świadkiem w więzieniu! Zdawało się, że niemal zawsze, gdy drzwi celi otwierały się, wprowadzano matkę lub siostrę, lub kuzynkę jakiejś kobiety, która już tam była. Każda z nich myślała, że ta druga jest na wolności i zajmuje się dziećmi. Gdy ta nadzieja pryskała, ich smutek stawał się niewymowny.

Byłyśmy też świadkami bardzo osobliwych spotkań. Pewnego poranku nowo przybyła przedstawiła się:

— Nazywam się Cornilescu i pochodzę z Klużu.

Był to zbieg okoliczności. Miałyśmy już jedną panią Cornilescu z Klużu. Głowy uniosły się znad prycz, żeby przyjrzeć się tej konfrontacji. Wyglądało na to, że obydwaj panowie Cornilescu mieli na imię Emil. I obydwaj byli dawnymi członkami Żelaznej Gwardii. Pierwszy z nich był wysoki i ciemnowłosy. Taki czarujący, no i kulturalny. Druga pani Cornilescu zbladła. Jej Emil był również wysoki i ciemnowłosy. I miał takie wspaniałe maniery.

— Przepraszam — powiedziała moja sąsiadka — ale zdaje mi się, że w celi trzeciej jest trzecia pani Cornilescu. Jej mąż również pasuje do tego opisu!

Zadnej z naszych pań Cornilescu nie można by nazwać piękną. Jedna była niska i przebiegła, i miała zbrązowiałe zęby, a druga wysoka i wynędzniała z nogami jak patyki. Obydwie skwapliwie skorzystały z propozycji małżeństwa.

Wywiązała się zajadła kłótnia. Pierwsza pani C. uderzyła swoją rywalkę w twarz. Druga ciągnęła pierwszą za włosy. Strażniczki wkroczyły, żeby je rozdzielić.

— Moja droga, to stara historia — powiedziała moja sąsiadka. — Facet ukrywa się przed służbą bezpieczeństwa jak wszyscy starzy członkowie Żelaznej Gwardii. Nie ma domu, dokumentów, pieniędzy. Jest na utrzymaniu jednej kobiety za drugą, żeniąc się z nimi lub obiecując ślub. Potem żony zostają aresztowane i spotykają się w więzieniu. Widziałam niejedną potworną kłótnię.

Dochodziło także do spotkań między krewnymi, ponieważ całe rodziny były aresztowane za udzielanie pomocy uciekinie-

rom, przebywającym w górach. Przywódca partyzantów pułkownik Arsenescu był popularną postacią i setki osób aresztowano za udzielanie pomocy jego ludziom. Jego żona była również w więzieniu. Kapusie powiedzieli jej, że jej mąż został zastrzelony. Karmiono ją tym kłamstwem, żeby złamać jej ducha.

Usłyszałyśmy, że generał Eisenhower został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Potem doszły nas słuchy, że kilku przywódców komunistycznych zostało obalonych i wydalonych z partii. Czyżby był to początek liberalizacji?

— Takie marionetki w ogóle się nie liczą — powiedziała Silvia, dziennikarka. — Rosja wszystko kontroluje. Nic się nie zmieni, dopóki Stalin nie odejdzie.

Wszakże po Rumunii zaczęły się rozchodzić pogłoski: budowa Kanału ma zostać zarzucona. Wielkie obozy pracy mają zostać zamknięte. Cały plan okazał się niewypałem.

Pogłoski zamieniły się w fakty. Naoczny świadek z obozu K4 powiedział nam, że obóz jest zamykany. Urzędnicy są aresztowani. Inżynierowie budujący Kanał mają zostać postawieni przed sądem jako przestępcy „kradnący państwowe pieniądze”.

W naszych głowach pojawiła się myśl: jaki pożytek będą teraz mieć z tych dziesiątek tysięcy więźniów? Czyżby mieli nas uwolnić?

Pewna młoda kobieta z ministerstwa Anny Pauker została osadzona w naszej celi. Denerwowała wszystkich swoimi gorącymi tyradami. My byliśmy bandytami, ona cierpiała niewinnie. Jenny Silvestru nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

— Padłam ofiarą niesprawiedliwości! — powtarzała ciągle.

— Niesprawiedliwość, czytaj komunizm — powiedziała jej pani Iliescu, żona oficera Żelaznej Gwardii.

— Partia powinna rozstrzelać takie jak wy. Za dobrze się was traktuje!

— Moja droga panno, byłam w więzieniu za Antonescu. Zostałam zwolniona na kilka miesięcy, zanim komuniści znowu mnie nie wsadzili. To jest mój szósty rok w więzieniu. Twoje groźby nic dla mnie nie znaczą.

Pani Iliescu była równie niezdolna jak Jenny. Jej pogarda dla komunistów nie znała granic.

— Musimy okazać naszą wyższość nad tymi szumowinami, przekraczając te ich przeklęte normy. Pod komunizmem czy nie pod komunizmem, to, co robimy, przynosi korzyść ojczyźnie!

Pracowała tak ciężko w zakładzie, że normy zostały podniesione i wszyscy cierpieli. Jej postawa była głupia i odrażająca. Ale zarazem trudno było jej nie szanować. Tak wiele wycierpiała. Miała w sobie tak wiele hartu ducha.

Jedna z historii, które często opowiadała, dotyczyła funkcjonariuszki służby bezpieczeństwa, która z sadystycznym upodobaniem torturowała uwięzionych mężczyzn. Wylądowała w Jilavie po pierwszej czystce w partii.

— Kobiety, których mężowie i synowie doznali cierpień i upokorzeń z jej strony, rzuciły się na nią — powiedziała pani Iliescu. — Zarzuciły jej koc na głowę i pobiły ją tak, że była cała posiniaczona.

Nawet w obliczu tak straszliwej nienawiści pojednanie było nadal możliwe. W Słowie Bożym jest przeogromna moc. Pewnego razu nie zgodziłam się na to, żeby prowadzić modlitwy w celi, dopóki będą w niej kobiety, które nie będą chciały się pojednać. Zacytowałam Ewangelię Mateusza 5,23–24:

„Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!”

Słowa te przekonały wiele mężczyzn i kobiet, by zakończyli długotrwałe i zjadłe spory. Ich życie zostało zmienione. Wypowiedź Jezusa z apokryfów oddaje to tak: „Nigdy nie będziesz szczęśliwy, dopóki nie spojrzysz na swojego brata z miłością”.

Niemniej jednak w Tirgusorze panowała atmosfera potężnego strachu i podejrzliwości. Nie mieliśmy poczty pantoflowej rozchodzącej się przez pukanie w ścianę. Komuniści starali się wykorzystać takie rzeczy dla swoich celów. W każdej celi byli kapusie, którzy szpiegowali i wystukiwali fałszywe wiadomości. Odpowiedzi uzyskiwane od niczego nie podejrzewających nowo przybyłych były wykorzystywane podczas trwających bezustannie intensywnych przesłuchań.

Uwięzieni komuniści byli pewni, że zostaną rozstrzelani. Sami byli kiedyś okrutni, spotka ich więc okrutny los.

W międzyczasie dokonywano egzekucji tych, którzy byli pełni miłości.

Jeszcze w Jilavie miało miejsce następujące wydarzenie:

Córka wysokiego urzędnika komunistycznego, która była chrześcijanką, dowiedziała się pewnego wieczoru, że o północy

stanie przed plutonem egzekucyjnym. Egzekucje były częste, a wyroki śmierci wydawano z błahych powodów, często z zemsty.

Ta dziewczyna, zanim poszła na spotkanie z „oblubieńcem czekającym o północy” — jak nazywano egzekucję — razem z towarzyszkami ze swojej celi spożyła ostatnią wieczerzę złożoną z owsianki i wody. Spokojnie podniosła gliniane naczynie, w którym był pokarm.

— Wkrótce ponownie stanę się prochem — powiedziała. — Tym, z czego zrobione jest to naczynie. Kto wie, czym ono było wcześniej? Może przystojnym ciałem młodego mężczyzny. Wkrótce na moim ciele będzie rosła trawa. Ale śmierć zawiera w sobie jeszcze coś więcej, a na ziemi jesteśmy właśnie po to, aby dbać o swoje dusze po królewsku, dopóki żyjemy.

Gdy ją wyprowadzano, zaczęła odmawiać credo. Jej głos niósł się echem po półkolistym sklepieniu galerii. Były to te same słowa, które powtarzamy w kościele. Ale było to inne credo, ponieważ teraz każde słowo miało dla niej głębokie znaczenie. Szła na śmierć dla tego jedyne Boga i została przyjęta do życia wiecznego.

Mijały tygodnie. W Tirusorze liczono nas dwa razy dziennie. Ale niewielu strażników umiało liczyć. A jeszcze mniej potrafiło dodać liczbę stojących w pierwszych rzędach do liczby tych stojących w tylnym rzędzie. Zajmowało to całe godziny. Potem były inspekcje w celach. Kraty sprawdzano drewnianymi pałkami. Na dziedzińcu było bardzo zimno i codziennie rano modliłyśmy się, żeby nie dochodziło do zbyt wielu błędów w liczeniu.

Pewnego dnia liczenie przebiegło niezwykle szybko. I natychmiast potem padło złowieszcze wezwanie:

— Zabierajcie wszystkie swoje rzeczy!

Oznaczało to przenosiny.

16

Hodowla świń

W odkrytych ciężarówkach przyjechałyśmy do państwowego gospodarstwa rolnego Ferma Rosie. Od razu zaczęłyśmy pracę w polu. Miałyśmy przykrywać winną latorośl ziemią, żeby ochronić ją przed zimą. Ale ziemia była twarda jak beton, a te biedne rośliny już dawno przemarzły i uschły. Zbyt długo zwlekano z wykonaniem tej pracy. W przyszłym roku nie będzie winnicy. I nikogo to specjalnie nie obchodziło. To nie była ich sprawa. Przewadzili grę, polegającą na wykonywaniu bezużytecznej pracy i wysyłaniu odpowiednich sprawozdań.

Ta winnica była jedną z najsłynniejszych w Rumunii. Jej właściciel był teraz w więzieniu. Jednakże ofiarami przymusowej kolektywizacji nie padali jedynie wielcy posiadacze ziemscy. Najmocniej uderzono w drobnych rolników. Ich próby buntu przeciwko systemowi zostały brutalnie zdławione. Stali się więc posępni i zobojętniali. Pracowali tak mało, jak tylko to było możliwe. A potem całymi tysiącami wtrącano ich do więzień za „niedopełnienie obowiązków względem państwa”. Ziemia leżała odłogiem. Dawny „spichlerz Europy” stanął w obliczu głodu. A odpowiedzią państwa było wysłanie więźniów jako niewolniczej siły roboczej do państwowych gospodarstw rolnych.

Wszędzie było tak samo: pola były uprawiane tak źle, że niewiele na nich rosło. Strażnicy, którzy nas pilnowali, sami często pochodzili ze wsi. Jeden z nich opowiadał o tym, jak rozkazano mu zastrzelić pierwszego człowieka, którego zobaczy w pewnej wiosce. Potem zebrano mieszkańców tej wioski i zaproszono do dobrowolnego przyłączenia się do kolektywu.

Urzednicy przeszukiwali domy opornych rolników. Zawsze znajdowali w nich „ukrytą broń” — którą wcześniej podrzuciła służba bezpieczeństwa.

Żony rolników opowiadały, jak zespoły przeprowadzające kolektywizację zabierały im wszystko, co posiadali: bydło, wozy i narzędzia rolnicze.

Pani Manuila, grubokoścista wieśniaczka, która pracowała obok mnie, powiedziała:

— Kiedy straciliśmy wszystko, mój mąż powiedział tak: Pozostał nasz śpiewnik. Zaśpiewajmy dla naszego Pana i podziękujmy Mu za większe dobra, które mamy w niebie.

Pani Manuila miała ulubioną krowę. Mówiła o niej czule: jak obejmowała ją za kark w chłodne poranki; jak jej ciepło ogrzewało jej ciało.

— Krowy nie dają dobrego mleka, jeśli ich nie kochasz — powiedziała. — A teraz jest ona takim samym zwierzęciem jak każde inne.

W państwowych gospodarstwach rolnych nikt nie robił niczego z miłością. Nie było błogosławieństwa od Boga.

Pewnego poranku, kiedy pracowałam w polu, zemdlałam. Zakłady pracy przymusowej i państwowe gospodarstwa rolne wyczerpały moje siły. Strażnicy położyli mnie na zrobionych na poczekaniu noszach. Zaniesiono mnie do ciężarówki i przewieziono do szpitala więziennego w Vacaresti. W czasie drogi głowa mi napuchła do tego stopnia, że wyglądała chyba jak arbuz.

Znałam dobrze to więzienie. W dawnych czasach Richard głosił tam ewangelię. Z okazji Bożego Narodzenia przyjeżdżałam tam z paczkami i pomagałam w ubieraniu choinki. Zamiast na oddziale szpitalnym zostałam umieszczona w izolatce, w której nie było nic oprócz brudnego wiadra stojącego w rogu. Spałam na gołym betonie.

Następnego ranka wyjrzałam przez okno i zobaczyłam więźniów na spacerunku. Kiedy przechodzili obok mojego okna, pytałam, czy słyszeli coś o Richardzie Wurmbrandzie. Pierwszy i drugi mężczyzna potrząsnął przecząco głową. Strażnik uciął sobie drzemkę. Trzeci, usłyszawszy moje pytanie, powiedział:

— Wurmbrand? Pastor?

— Tak — odparłam — to mój mąż.

Pochylił się do ziemi tak, jak prawosławni robią w kościele.

— Spotkałem go — wyszeptał. — Nie żałuję dziesięciu lat spędzonych w więzieniu. Warto było, ponieważ ten pastor przyprowadził mnie do Chrystusa. A teraz spotykam jego żonę!

Musiał iść dalej, ale nie powiedział mi, czy Richard jeszcze żyje.

Szedł wokół dziedzińca z opuszczoną głową i rękami złożonymi z tyłu. Kiedy znowu przechodził blisko okna, dodał:

— Spotkałem go w Tirgul-Ocna. Był w celi dla umierających. Cały czas mówił o Chrystusie.

Podczas następnego kółka wokół dziedzińca dowiedziałam się, że mój nowy przyjaciel jest nauczycielem. Strażnik ziewnął. Jego drzemka skończyła się i kazał więźniom wracać do cel. Ale wiedziałam, że Richard jest nadal Richardem, wywyższa Chrystusa i zdobywa dusze. A może wszystko to dotyczyło odległej przeszłości?

Ten duży szacunek, jakim darzono Richarda, nie był dla mnie zaskoczeniem, gdyż Rumuni zazwyczaj żywią głęboki szacunek wobec tych, którzy przeprowadzili ich do Chrystusa.

Pozostałam w celi jeszcze jeden dzień. Żaden lekarz nie pojawił się, żeby mnie zbadać, ale byłam zadowolona, że tam jestem, gdyż miałam nadzieję, że znowu zobaczę tego nauczyciela. Nie wierzyłam, że Richard nie żyje. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale pewien werset z Biblii dźwięczał mi w głowie niczym jakiś utwór muzyczny. Dotyczył on Rubena, syna Jakuba, a takie właśnie jest hebrajskie imię Richarda: „Niech żyje Ruben, niech nie umiera”. Potraktowałam to jako obietnicę, skierowaną osobiście do mnie.

Po czterdziestu ośmiu godzinach władze szpitala przypomniały sobie, że zostałam przywieziona jako nagły przypadek. Położono mnie do łóżka z prześcieradłem i kocami.

Lekarka w czystym białym kitlu robiła obchód.

— Musisz teraz jeść wszystko, co dostajesz — powiedziała.

Jej uprzejmy głos sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu.

Doktor Maria Cresin dopiero co ukończyła akademię medyczną. Z wielkim poświęceniem i wytrwałością pracowała w cierpiącym na niedobór personelu i przepelnionym Vacaresti. Jej pacjenci uwielbiali ją.

Powiedziała mi, że z powodu złego odżywiania mam jakąś okropną chorobę skóry — coś jakby szkorbut. Muszę jeść: było to jedyne lekarstwo. Dawła mi zastrzyki i objawy zaczęły ustępować. Rany i strupy na moim ciele zaczęły się goić. Zapalenie okrężnicy i biegunka ustąpiły. Nawet poprawił mi się wzrok: brak witamin potrafi dziwnie wpłynąć na oczy; wielu więźniów nic nie widziało wieczorami.

W łóżku obok leżała kobieta, która była kiedyś bogata. Nie denerwowała się zbyt tym, że jest w więzieniu. Była pewna,

że wkrótce zostanie uwolniona. Czyż Eisenhower nie jest prezydentem Ameryki? A Winston Churchill brytyjskim premierem? Tych dwóch wielkich żołnierzy nie dopuści do tego, żeby Europa Wschodnia pozostawała w niewoli.

— Kiedy przyjdą Amerykanie, zmuszą Rosjan do wypłacenia odszkodowań wojennych. Biorąc pod uwagę moje dawne dochody, zażadam pięciu tysięcy lei za każdy dzień mojego sześciomiesięcznego pobytu w więzieniu. Daje to milion lei! Będę zabezpieczona na resztę życia.

Zasugerowałam, że mogłaby równie dobrze zażądać po dziesięć tysięcy za dzień. Miałaby wtedy dwa miliony.

— Świetny pomysł — powiedziała. — Wy Żydzi jesteście mądrymi ludźmi!

Pozostałe więźniarki nazywały ją „milionerką”.

Na oddziale szpitalnym grałyśmy w różne gry, które często kończyły się płaczem. Staraliśmy się wyobrazić sobie, jak wyglądałoby życie, gdybyśmy były głuchymi staruszkami. Grałyśmy więc w głuchy telefon, dobrze się przy tym bawiąc. Ale śmiech i rozemocjonowanie zasiewały w nas niepokój. A kiedy już zamieniały się w płacz, cały oddział ogarniał smutek. Było tam wiele młodych kobiet, które widziały, jak przemija ich młodość. Gra stała się rzeczywistością.

Nadzór nad Vacaresti sprawował oficer polityczny. (Medycyna, tak jak wszystko inne, musiała być praktykowana w duchu walki klasowej.) Pewnego wieczoru przyszedł na oddział z kilkoma kolegami w mundurach i wygłosił pompatyczną mowę na temat radości komunizmu.

— Skoro takie wspaniałe szpitale jak ten są powszechnie dostępne, to któż potrzebowałby Boga? — zapytał.

— Poruczniku — powiedziałam — dopóki na ziemi będą ludzie, będziemy potrzebować Boga i Jezusa, który daje życie i zdrowie.

Wpadł we wściekłość. Jak śmiem mu przerywać? Jakże mogę wciąż wierzyć w takie rzeczy?

— Każdy, kto mieszka w domu, wie, że został on zaprojektowany przez architekta — powiedziałam — podobnie jak każdy, kto idzie na przyjęcie, wie, że zostało ono przygotowane przez kucharza. Wszyscy jesteśmy zaproszeni na przyjęcie, którym jest ten pełen wspaniałości świat. Mamy słońce, księżyc, gwiazdy i deszcz,

i najróżniejsze owoce; i wiemy, że to wszystko zostało przygotowane przez Boga.

Oficer polityczny roześmiał się szyderczo i wyszedł razem ze swoimi kolegami, trzaskając drzwiami.

Następnego ranka przyszedł strażnik i kazał mi się spakować. Tego samego dnia zostałam odesłana do obozu pracy.

Tym razem była to państwowa hodowla świń. Pięćdziesiąt kobiet zajmowało się tu kilkoma setkami świń. Wszystkie te lata były ciężkie, ale to było najcięższe ze wszystkiego. Dostawałyśmy głodowe racje żywnościowe. Zwlekałyśmy się z łóżek o piątej rano, nadal mając na sobie brudne łachmany, w których położyłyśmy się spać, i gdy było jeszcze ciemno, wychodziłyśmy na ziąb, by nakarmić świnię.

W chlewach brodziłyśmy w wodnistej mazi, która sięgała do kostek. Była to jedyna substancja, która nigdy nie zamarzała. Wszędzie unosił się ohydny, przyprawiający o mdłości odór. Przenikał do wszystkich zakamarków naszych baraków. Czepiał się naszych ciał i włosów. Z brei, którą dostawały świnię, z wielką wprawą wydobywałyśmy naszymi drewnianymi łyżkami co bardziej smakowite kąski. Miałyśmy się lepiej niż syn marnotrawny: napełniałyśmy nasze brzuchy strąkami, które jadły świnię.

Wszystko straciło sens. Śmierć zaglądała mi w oczy. Jak nigdy wcześniej cały mój świat pogrążył się we łzach i rozpacz, a z mojego serca wydobywał się okrzyk: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Próby posprzątania tych chlewów były równie beznadziejne jak chęć posprzątania całego świata. Byłyśmy przemoczone, głodne i półżywe i codziennie od nowa zaczynałyśmy wywozić taczkami góry gnoju.

Wiedziałam, że ani dla mnie, ani dla świata nie ma już nadziei i czekałam tylko na śmierć.

Niewykluczone, że będąc w takim stanie psychicznym, nie przeżyłabym zbyt długo. Ale na szczęście nie trwało to wiele tygodni. Jestem przekonana, że Pan usłyszał moje modlitwy i wy dostał mnie stamtąd zgodnie ze swoim planem. Musiałam tylko nauczyć się bardzo głębokiej lekcji i wypić po same brzegi kielich gorzkości. Dzisiaj jestem wdzięczna, że przeszłam przez tę twardą szkołę, która uczy najwyższej miłości — miłości do Boga, nawet wówczas, gdy nie daje On niczego poza cierpieniem.

Z odkrytej paki ciężarówki obserwowałam znikającą w oddali hodowlę świń — skupisko ciemnych baraków na śnieżnobiałym tle. Wiatr przypominał zimną stalową dłoń. Szarpał za nasze ubrania i rozwiewał po polach delikatne płatki śniegu. Nikt nie wiedział ani nie pytał, ani nie przejmował się zbytnio tym, dokąd jechałyśmy. Wszystkie państwowe gospodarstwa były takie same.

Ale nieoczekiwanie przybyłyśmy do Ghencei, obozu przejściowego, z którego ponad dwa lata wcześniej zostałam wysłana nad Kanał.

— Co za tłumy kobiet! Jest tu większy ruch niż kiedykolwiek — szeptałyśmy między sobą, czekając na kontrolę i przeliczenie.

— Co się tutaj dzieje?

Zapadł już zmierzch, zanim skończyli z nami i mogłyśmy zostać odstawione do baraków. Krew zaczęła ponownie krążyć w naszych ścierpniętych kończynach. W środku było względnie ciepło i nadzieja zaczęła sączyć się w nas jak wody podczas odwilży. Setki kobiet, które zapełniły ten i pozostałe baraki w Ghencei, przybyło tutaj z obozów z całej Rumunii. Albo planowali jakieś nowe przedsięwzięcie, do którego będzie potrzebna niewolnicza siła robocza, albo...

Ale nikt nie śmiał robić sobie nadziei. Przeszłyśmy przez zbyt wiele i zbyt często zostałyśmy wystrychnięte na dudka.

Drugiego dnia rozniosła się pogłoska: w biurach w Ghencei dziesięciu ludzi z centrali służby bezpieczeństwa pracuje nad aktami. Naszymi aktami! Przyjechali z Bukaresztu dwa dni temu. Czy to naprawdę może oznaczać wolność?

Rozejrzałam się po baraku. W lichym świetle nieosłoniętych żarówek siedziały wyglądające jak straszdyła kobiety i rozmawiały przyciszonym głosem, omawiając z każdej strony właśnie zasłyszaną pogłoskę i dzieląc ją niczym włos na czworo. Gadały i gadały — a równocześnie w myślach układałyśmy plany na przyszłość. Smród skisłego jedzenia i zakisłych ciał unosił się w powietrzu jak budzące odrazę wyziewy. Do wyposażenia obozu zostały dodane głośniki. Od czasu do czasu wydobywały się z nich ostre, skrzeczące dźwięki, przypominające odgłosy jajek smażonych na wielkiej patelni. Z ryku, jaki się z nich rozchodził, nie sposób było zrozumieć treści, przekazywanych zniekształconym głosem. Kiedy minęło już początkowe rozemocjonowanie, wiele kobiet po prostu godzinami siedziało, gapiąc się gdzieś tępym wzrokiem. Czekały. Nie, nie wierzyły, że kiedykolwiek zostawią to wszystko za sobą.

Były tam niektóre z Cyganek, które poznałam w Cernavodzie. A pewnego dnia usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu:

— Sabino, Sabino!

Była to Zenaida z K4, królująca w przedwojennym Bukareszcie. Ona również objechała sporo państwowych gospodarstw rolnych. Chciałyśmy uścisnąć sobie dłonie, ale zatrzymałyśmy się. Wszystkie nasze palce były opuchnięte i popękane w wyniku odmrożeń.

Śmiałyśmy się i opowiadałyśmy sobie o swoich przeżyciach, a raczej wybierałyśmy z nich tyle, ile mogłyśmy znieść. Nalegała, żebym wzięła parę męskich spodni i ciepłą kurtkę, które gdzieś wyżebrała. Przyjęłam je z wdzięcznością.

— Charlie Chaplin jak żywy!

Pozostałe kobiety cofnęły się nieco, żeby zobaczyć mnie w całej okazałości.

— Nawet jej buty mają klapki z tyłu!

Niedługo później przeszłyśmy do omawiania zasadniczego zagadnienia.

— Jak długo jeszcze?

— Czy jest tak, jak myślimy, że jest?

Strażnicy zaczęli nas brać na przesłuchania do obozowych biur. Zenaida była w jednej z pierwszych grup.

— Było tak jak za dawnych przesłuchań — powiedziała mi — tyle że byli bardzo uprzejmi. I zamiast pytać o nas, pytali, co my myślimy o nich!

Powiedziała też, że trzech oficerzy w mundurach siedzieli za biurkami, na których było pełno dokumentów. Po kilku pytaniach o jej zdrowie, o to, jak jej się podoba pobyt w obozie i czy ma krewnych na wolności, sprawy przybrały nieco niezwykły obrót.

— Czy wiesz, jak bardzo myliłaś się, przeciwstawiając się budowie socjalizmu? — zapytali. — Co myślisz o swojej reedukacji w więzieniu? Czy rozumiesz, że państwo miało rację, dając ci tę szansę na przemianę? I że nikt i nic nie zdoła powstrzymać fali komunizmu?

— Oczywiście powiedziałam im, że cieszyłam się każdą chwilą — powiedziała Zenaida. — Co za napuszony osioł z tego oficera. Perorował na temat naszych narodowych osiągnięć i o naszych świetnych gospodarstwach rolnych i wspaniałych obozach. Do mnie, kochana, po trzech latach i dziewięciu miesiącach tego wszystkiego!

Jak większość więźniarek starała się ze wszystkich sił zrobić wrażenie, że rozumiała, iż była w błędzie i że jest teraz gotowa zapracować sobie na właściwe miejsce w społeczeństwie.

Przed upływem miesiąca małe grupy kobiet zaczęły opuszczać Ghenceę. Jak zwykle nie wiedziałyśmy, dokąd są wywożone. Wyczytywano listy nazwisk, kolejne grupy eskortowano do biur obozowych i wywożono w ciężarówkach. Ale był to kolejny niewielki znak, dający jakąś nadzieję.

W końcu przyszła kolej na mnie. Major za biurkiem był tęgi i miał skórę różową jak niemowlę. Jego palce u rąk wyglądały jak tłuste kielbaski. Kiedy mówił, nieustannie usuwał nimi różne przedmioty ze swojego biurka, jak gdyby miał na nie później wskoczyć i wygłosić przemowę.

Dla więźniów religijnych mieli kilka specjalnych pytań.

— W tym miejscu, pani Wurmbrand (pani!), musi pani wiedzieć, że jestem potężniejszy od Boga. Przynajmniej jak dotychczas nie przeprowadził on żadnej interwencji w tym biurze.

Jego dwóch asystentów uśmiechnęło się na znak aprobaty, co przyjął on z należytą powagą.

— Ale czy tak naprawdę pogodziła się pani z tym? Czy naprawdę przejrzała pani tę religijną szopkę? Czy uświadomiła sobie pani, że w społeczeństwie komunistycznym Bóg jest zbędny? Że już go pani nie potrzebuje? Jeśli kiedykolwiek zostanie pani stąd wypuszczona, to będzie pani zadziwiona osiągnięciami ostatnich lat, a jest to dopiero początek!

Złote galony na jego epoletach były nowe i błyszczące. Pod jego kielbaskowatą dłonią leżała skórzana teczka pełna akt, które mogły być moje.

— Widzę, że ma pan wielką władzę — powiedziałam. — I prawdopodobnie dysponuje pan aktami i dokumentami na mój temat, których nigdy nie widziałam, i może zadecydować o moim losie. Ale Bóg również prowadzi dokumentację i ani pan, ani ja nie mielibyśmy życia, gdyby nie On. Tak więc, niezależnie od tego czy mnie tutaj zatrzyma, czy uwolni, przyjmę to jako najlepsze dla mnie rozwiązanie.

Major walnął dwoma pięściami o biurko jakby było czymś, czemu mógłby zadać ból.

— Zupełny brak wdzięczności, pani Wurmbrand, brak wdzięczności! Przykro mi, że nie nauczyła się pani swojej lekcji. Złożę w związku z tym odpowiedni raport.

Przez kilka minut wrzeszczał jak oszalały.

Ale trzy dni później moje nazwisko zostało wyczytane. Wyższa władza niż major decydowała tak naprawdę o mojej przyszłości.

Stałyśmy z naszymi lichymi tobołkami na ośnieżonym placu przed obozowymi biurami. Nawet teraz nie byłyśmy do końca pewne, że zostałyśmy zwolnione. Dopiero kiedy przeprowadzono nas przez skrzypiące bramy z drutu kolczastego i stanęłyśmy na drodze, trzęsąc się z zimna, strażnik rozpoczął długi proces wydawania kartek papieru.

Wiatr rozwiewał jego zachrypnięty głos.

— Wurmbrand, Sabina, urodzoona... Cernauti, 1913... zamieszkała w...

Wzięłam dokument nakazujący moje zwolnienie. W nagłówku było napisane: „Zaświadczenie uwolnienia”, ale robiło się zbyt ciemno na czytanie. Ostatnie brunatne pasma nieba zwolna zniknęły, kiedy wsiadałyśmy do ciężarówki i odjeżdżały. Ghencea znajduje się tylko kilka kilometrów od Bukaresztu, ale wysadzono nas dosyć daleko od rogatek miasta.

Szłam przez przedmieścia ze swoim tłustym, śmierdzącym tobołkiem. Po raz pierwszy po niemal trzech latach widziałam ludzi śpieszących się po pracy do domu i robiących zakupy dla swoich rodzin.

„Dom!” Tam właśnie zmierzam. Ogarnęło mnie radosne podniecenie.

Jeśli w ogóle cokolwiek istniało. Domy, przyjaciele, rodzina — nie wiedziałam, co się z nimi wszystkimi stało. Mihai będzie mieć teraz czternaście lat. Co te lata z nim zrobiły? Strasznie bałam się tego, czego mogę się dowiedzieć, a zarazem niezmiernie chciałam się z nim zobaczyć.

Światła strasznie raziły mnie w oczy, a zapach posiłków z restauracji drażnił moje zmysły! Chciałam zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć metalicznego pisku tramwajów i skulić się na widok rozpryskującego się nad nimi pióropusza niebieskich iskier. W miarę jak potok śpieszących się ludzi mijał mnie obojętnie, ogarnęło mnie przerażenie. Szukałam przystanku tramwaju numer 7. Być może już go nie ma. Nie, jest tam. Opanowałam paniczny strach i wsiadłam do tramwaju, i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam pieniędzy.

— Czy ktoś byłby tak uprzejmy, żeby zapłacić za mój bilet?
— powiedziałam głośno.

Wszystkie głowy obróciły się, żeby zobaczyć, kto przedstawił tę niezwykłą prośbę. Krótkie spojrzenie wystarczyło, żeby zorientować się, dlaczego została ona przedstawiona. Z tuzin ludzi natychmiast zaproponowało, że zapłaci za mnie. Stłoczyli się wokół mnie; w ich oczach było tak wiele współczucia. Tego rodzaju wydarzenia stanowiły teraz część życia. Wyglądało na to, jakby każdy z nich miał w więzieniu krewnego lub przyjaciela. Nie zadawali żadnych pytań — tylko wymieniali nazwiska swoich bliskich, których być może spotkałam.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok ulicy Zwycięstwa, odżyły smutne wspomnienia z siedziby służby bezpieczeństwa, w której byłam przetrzymywana na początku. Nic się nie zmieniło. Gigantyczne portrety czterech geniuszy ludzkości — Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina — nadal gapiły się z góry na tłumy drepczące w brei. Wysiadłam z tramwaju niedaleko znanej mi kamienicy i weszłam po schodach na górę. Drzwi otwarła przyjaciółka.

— Sabina!

Przyłożyła rękę do ust i zrobiła krok do tyłu.

— Czy to możliwe?

Objęłyśmy się.

— Chyba zemdleję — powiedziała i rozplakała się.

Ktoś pobiegł, żeby przyprowadzić Mihaia. Serce mi zamarło, gdy go zobaczyłam, jak wchodzi przez drzwi. Był wysoki i blady. I taki chudy.

Ale był teraz młodzieńcem.

Kiedy objęliśmy się, lzy w końcu zaczęły spływać mi po policzkach. Ocierał je swoimi dłońmi.

— Nie płacz za dużo, mamó — powiedział.

Wydawało mi się wówczas, że wszystkie moje kłopoty skończyły się i że już nigdy nie będę musiała płakać.

CZĘŚĆ TRZECIA

17

Ponownie w domu

Następnego dnia poszliśmy na spacer do dużego parku w Bukareszcie o nazwie Cismigiu. Musiałam na nowo poznać swojego syna. Nie znałam go już. Kiedy Mihai był mały, nieco obawialiśmy się o niego. Zdawał się być pochłonięty przeżyciami religijnymi. Zadawał takie dociekliwe pytania. Był nad wiek rozwiniętym dzieckiem. Gdy miał pięć lat, był już zapalonym ewangelistą. Mając siedem lat, przyprowadził do Chrystusa profesora, który został członkiem naszego zgromadzenia.

Czy podczas naszej nieobecności to dobro w nim zostało zniszczone przez komunistów — ludzi, którzy nie wiedzieli, czym jest dobroć?

Uradowałam się, odnalazłszy w nim od razu znamienite cechy charakteru. Rozmawialiśmy o moich latach więzienia i przymusowej pracy.

— Nie krytykujemy przyrody za to, że zawiera w sobie zarówno noc, jak i dzień, światło i ciemność — powiedział. — Tak więc akceptuję zło ludzi. Starajmy się nie nazywać ich bestiami.

Ja zaś, zastanawiając się nadal nad tym, jaki on jest, opowiedziałam mu o drodze krzyża. Słuchał uważnie, dopóki jego wzroku nie przykuło drzewo owocowe wypuszczające pąki. Był to jeden z tych niebiańskich wiosennych dni, które pojawiają się przedwcześnie, jakby piękna pogoda nie mogła się doczekać na swoje narodziny. Przebiśniegi przebijały się przez zaniedbane grządki. Rozwijały się hiacynty.

Kiedy skończyłam, powiedział:

— Mamo, ty i ojciec wybraliście drogę krzyża jako najlepszą drogę służenia Bogu. Nie wiem, czy ja też bym ją wybrał. Czuję

się najbliżej Boga w miejscu takim jak to. Tutaj jest piękno. A nie cierpienie i wstyd.

Doświadczył w życiu tak niewiele przyjemności i cieszyły go drobne radości, które były na wyciągnięcie ręki. Nie trzeba płacić pieniędzmi, żeby popatrzeć sobie na lilie stworzone przez Boga.

— Dlaczego nie mielibyśmy po prostu zostać w ogrodzie — powiedział — wahać kwiatów i kochać Boga w ten sposób?

— Wiesz — odparłam — że jest powiedziane, iż kiedy Jezus został ukrzyżowany, to opodal był ogród. Co zrobiłbyś, przebywając w tym ogrodzie, gdybyś usłyszał straszne krzyki niewinnego człowieka, który jest przybijany do krzyża? Więzienia Vacaresti i Jilava nie są daleko stąd. Ludzie są w nich torturowani, podczas gdy my spoglądamy na kwiaty. Straszne rzeczy dzieją się także w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, obok którego przechodzimy.

— Czy było ci bardzo ciężko, mamo? — powiedział cicho.

— Mihaiu — odpowiedziałam — jesteśmy Hebrajczykami i dziećmi Boga. To nie strona fizyczna doskwierała nam najbardziej. Raczej to, że zmuszano nas do pracy dla iluzorycznego świata, a odsunięto od duchowego. Historia Kanału dowodzi, jak bardzo iluzoryczna może być ta fizyczna harówka, jeśli nie stoi za tym Bóg.

— Z Kanału w końcu nic nie zostało — dodałam. — Podobnie było z imperium rzymskim, greckimi republikami, pierwszym państwem żydowskim, egipską i chińską cywilizacją. A teraz rozpada się też imperium brytyjskie. Wszystko to należało do świata iluzji.

— Tak więc to właśnie było naszym największym cierpieniem — mówiłam dalej. — Zmuszano nas do życia w iluzorycznym świecie — a nie w naszym hebrajskim, duchowym, „tych, którzy pochodzą z drugiej strony”, bo takie właśnie jest etymologiczne znaczenie tego słowa.

Pewnego wieczoru przyszedł do mojego pokoju i przeczytał mi fragment *Żywota Katona* Plutarcha. Było tam napisane, że pałac tyrana Sulli był właściwie miejscem straceń, gdyż tak wielu ludzi było tam torturowanych i uśmiercanych. Katon miał wtedy czternaście lat, dokładnie tyle ile Mihai teraz. I kiedy zobaczył, jak wynoszono głowy zacnych obywateli i zauważył, że ludzie wzdychali potajemnie z powodu tych strasznych scen, zapytał, dlaczego ktoś nie zabije Sulli. Jego nauczyciel i wychowawca odparł, że ludzie boją się go jeszcze bardziej, niż go nienawidzą. Katon powiedział wówczas:

— Dajcie mi miecz, abym mógł zabić tego człowieka i uwolnić mój kraj.

Mihai odłożył książkę.

— To prawda. Czuję się trochę podobnie. Chciałbym po prostu cieszyć się życiem, ale czasami zastanawiam się, dlaczego tak wielu młodych ludzi nie robi czegoś. Zaledwie jeden chłopak taki jak ja mógłby uwolnić cały kraj od tyrana. O tym przecież jest cały Stary Testament. Czy nie jest on od Boga?

Powiedziałam, że moim zdaniem na niewiele by się to zdało we współczesnym świecie i że nie jest to najlepsza droga. Powinniśmy starać się zabić tyranię, a nie tyrana. Powinniśmy nienawidzić grzechu, ale kochać grzesznika.

— Mamo, to będzie najtrudniejsze — odrzekł Mihai.

Podczas tych pierwszych kilku dni czułam się jak kobieta, która wróciła z grobu. Byłam wolna! Po tak wielu latach w więzieniu wszystkie inne problemy wydawały się błahe. Z goryczą w sercu zwykłyśmy mówić:

— Gdybym mogła się stąd wydostać, to przez resztę życia żyłabym szczęśliwie o chlebie i wodzie i nigdy nie usłyszałabys ode mnie jednego słowa skargi.

I większość z nas żyła o chlebie i wodzie.

Pojawiły się jednak prawdziwe problemy. Troski duże i małe.

Byłam zaszokowana, widząc wszędzie naokoło skrajną nędzę i głód. Ludzie, których odwiedzałam, zostali pozbawieni niemal wszystkiego. Na łóżkach leżały zużyte koce, ale nie było żadnych prześcieradeł ani poszewek. Całymi dniami nie mogli sobie pozwolić na kupno czarnego chleba ani na zużycie odrobiny prądu, żeby ogrzać swoje mieszkanie.

— Musieliśmy sprzedać wszystko — tłumaczyła mi jedna z moich przyjaciółek. — Sztuće, pościel, dywany. Nawet nasze książki. Nie! Nie siadaj na tym krześle! Noga jest złamana.

Większość pieniędzy została wydana na zakup drogich lekarstw dla jej ojca, który mieszkał z jej rodziną w ich maleńkim mieszkanku.

— Sabino, naprawdę uważaj, co mówisz ludziom — mówiła błagalnym głosem. — Donosiciele są wszędzie! W kościele aż się od nich roi.

Przyjaciele i nieznajomi nieprzerwanym strumieniem przychodzili zobaczyć się ze mną. Wszyscy w rozdzierający serce spo-

sób błagali o wieści o swoich krewnych, przebywających w więzieniu. Tylko niekiedy mogłam im pomóc lub odpowiedzieć na ich pytania: Czy to jest amnestia? Odwilż? Nowa polityka? Dlaczego zostałam zwolniona? Do kogo powinni się zwrócić?

Szybko zapoznałam się z biurokracją i składaniem podań. Kolejki w urzędach państwowych były dłuższe niż w sklepach spożywczych. Potrzebne mi były kartki żywnościowe. Bez nich nie mogłam kupić nawet chleba. Pewnego poranka wiele godzin czekałam w kolejce. Kiedy dotarłam do maleńkiego okienka, siedząca za nim dziewczyna warknęła:

— Gdzie jest twoja karta pracy? Bez niej nie można otrzymać kartek żywnościowych.

— Ale ja jestem byłą więźniarką.

— Nic na to nie poradzę. Nie ma karty pracy i numeru, nie ma kartek żywnościowych.

Musiałam więc polegać na życzliwości innych ludzi.

Przez jakiś czas mieszkaliśmy w jednym pokoju z moją przyjaciółką. Ale Mihai był już teraz młodym mężczyzną. Nie mogliśmy dłużej mieszkać wszyscy w takim ścisku. Rozpoczęłam bardzo długotrwałe poszukiwania dodatkowego pokoju.

Nasze stare mieszkanie zostało skonfiskowane. Tak samo wszystko, co się w nim znajdowało: meble, pościel, książki. Ale nasi przyjaciele mieszkali w tej samej kamienicy, w której kiedyś było nasze mieszkanie. Powiedzieli nam, że jest tam wolne niewielkie poddasze. Rzeczywiście było małe: jedno pomieszczenie miało cztery metry na pięć, a drugie trzy metry na dwa.

Po wielu dniach stania w kolejkach i wypełniania formularzy otrzymałam pozwolenie na zajęcie tej „powierzchni mieszkalnej”. Jedynymi meblami były stare rozchwierutane łóżka z popsutymi sprężynami. Nie było bieżącej wody ani ubikacji. W zimie było straszliwie zimno, a w lecie za gorąco. Okno wychodziło na nie otynkowaną ścianę.

Tam właśnie mieszkaliśmy, gotowaliśmy i spaliśmy. Mihai i ja wprowadziliśmy się. Kiedy wypuszczono Janettę, zamieszkała razem z nami. Nie mieliśmy łóżek, więc spałyśmy razem na kanapie. Potem pojawiła się Marietta.

Pewnego dnia podeszła do naszych drzwi. I stanęła w nich, uśmiechając się nieśmiało jak mała dziewczynka. Miała mocno podkrążone oczy i ubrana była w wyliniały czarny płaszcz. Trzymała niewielką paczuszkę obwiązaną sznurkiem.

— To nic takiego — powiedziała. — Dwie drożdżówki.

Stała po nie dwie godziny i nie były one za bardzo drożdżowe.

Marietta była od dawna członkiem naszego zgromadzenia. Była słodką, dobroduszną dziewczyną, ale niezbyt bystrą. Ludzie trochę się jej bali. Chorowała na padaczkę.

Ucieszyłam się na jej widok. Miała w sobie tę dziewczęcą niewinność, dzięki której naprawdę miło było spędzać z nią czas.

— Wejdz i usiądź, Marietto — cofnęłam się, żeby wpuścić ją do środka i drzwi uderzyły o koniec łóżka Mihai.

— Mieszkamy tu od niedawna i jest tu jeszcze sporo nieporządku.

Przycisnęła się obok mnie i usiadła na jednym z rozchwierutanych krzesel, jakie udało nam się zdobyć. Oparcie odpadło. Mihai poszedł do Marietty, żeby jej pomóc.

— Jak tu u was przytulnie! — powiedziała, oglądając piec, na którym smażyłam ziemniaki na tanim tłuszczu.

— Tylko ten dach — powiedział Mihai.

Na skośnym suficie widać było wilgotne plamy, na których codziennie wykwitał ciemny, omszały grzyb. Gdy tylko ktoś z nas chciał gdzieś przejść, wszyscy musieliśmy się ruszyć ze swoich miejsc, żeby zrobić mu przejście.

Marietta zjadła razem z nami smażone ziemniaki. Potem, kiedy Mihai poszedł do swojego pokoju, żeby się uczyć, powiedziała mi, że nie ma teraz nikogo na świecie, a za tydzień nie będzie mieć dachu nad głową. Rodzina, z którą mieszka, poprosiła ją, żeby się wyprowadziła. Ich krewni przeprowadzają się z Klużu, będą potrzebować łóżka...

— No cóż, Marietto, jak widzisz, to nie jest mieszkanie. To tylko stare poddasze, na którym trzymaliśmy rupiecie, kiedy mieszkaliśmy niżej. Ale jeśli chcesz, to możemy wcisnąć tu jeszcze jedno łóżko. Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć gdzieś jakiś materac.

Jej twarz rozpromieniała radością.

— Naprawdę? Jesteś pewna, że chłopiec nie będzie mieć nic przeciwko temu? Mam trochę rzeczy — koce i trochę talerzy, i sztućców. Tak bardzo chciałabym być z wami!

Tak oto Marietta zamieszkała z nami na ulicy Olteni.

Minął jakiś tydzień od mojego uwolnienia. Powietrze skrzyło się, tramwaje zdawały się wirować jak w wesołym miasteczku,

buro-szarzy ludzie poruszali się po ulicach lżejszym krokiem. Kończąca się zima była straszliwie sroga, jedna z najgorszych od trzydziestu lat. A teraz łagodne, ciepłe słońce roztapiało nawet serca.

Nagle odezwały się dzwony kościelne. Ileż to lat minęło, od kiedy słyszałam ten dźwięk. Głębokie, żałobne tony dobiegły najpierw z katedry, potem od świętego Spirydiona, potem ze wszystkich innych cerkwi w Bukareszcie, które pozostały otwarte.

W Bukareszcie jest wiele dzwonów. (W średniowieczu Rumunia była bastionem chrześcijaństwa, stawiającym opór Turkom i w całym kraju jest pełno klasztorów i cerkwi.) A teraz wszystkie dzwoniły równocześnie. Ale ten miły dźwięk był również przerażający. Ludzie zatrzymywali się na ulicach i pytali jedni drugich, co się wydarzyło. Pomimo oficjalnego zakazu publicznych zgromadzeń, na placach robiły się małe zbiegowiska i ludzie rozmawiali ze sobą szeptem.

Wtem ożyły trzeszczące głośniki na ulicy Zwycięstwa:

— Drodzy towarzysze i przyjaciele! Robotnicy Rumuńskiej Republiki Ludowej! Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z głębokim żalem powiadamia partię i rumuńskich robotników, że dnia 5-go marca 1953 roku po ciężkiej chorobie zmarł Prezes Rady Ministrów Związku Radzieckiego i Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Józef Wissarionowicz Stalin. Życie tego mądrego przywódcy i nauczyciela ludu, towarzysza i wiernego ucznia Lenina, dobiegło końca.

Z głośników rozległ się głośny marsz żałobny.

Dla większości z nas dźwięk dzwonów nie oznaczał śmierci, lecz brzask nowej nadziei.

— Ale dlaczego to robią? — pytali wszyscy.

Szczególnie kiedy usłyszeli, że z okazji zgonu przewodniczącego Światowej Organizacji Ateistycznej, który tak wiele wysiłku włożył w zniszczenie chrześcijaństwa, nakazano odprawienie nabożeństw żałobnych.

Rozeszły się plotki, że przerażony Stalin poprosił na łożu śmierci o ostatnie namaszczenie i błagał, żeby pochowano go z krucyfiksem. Cień milionów jego ofiar (radziecki pisarz Ilia Erenburg napisał później, że gdyby Stalin przez całe życie po prostu zapisywał ich nazwiska, to nie starczyłoby mu czasu, żeby ukończyć tę listę) zawisł nad jego łóżkiem, a on poprosił wszystkich chrześcijan, żeby modlili się o niego. Takie wieści przekazywano sobie szeptem.

Szkoły i sklepy zostały zamknięte. Mihai wrócił do domu ze specjalnym wydaniem *Scintei*, naszej jedynej gazety, będącej organem partii. Były w niej oczywiście tylko same peany ku czci zmarłego. Wszystkie ogromne hasła i transparenty porozwieszane na ulicach, w kinach i kawiarniach opiewały radziecko-rumuńską przyjaźń. Radio trąbiło o tym samym.

Narażając się na poważne ryzyko, słuchaliśmy zagranicznych rozgłośni. W jednej z takich audycji został odczytany czternasty rozdział Księgi Izajasza, zawierający zatrważający opis upadku tyra. Idzie on do piekła, w którym zostaje wyśmiany i słyszy:

„Ty również padłeś bezsilny jak i my, stałeś się do nas podobny! ... Robactwo jest twoim posłaniem, robactwo też twoim przykryciem... Jakże runąłeś na ziemię, ty, który podbijałeś narody?”

Cały ten rozdział stanowi wyraz triumfu i pomsty.

— Co o tym myślisz? — zapytał Mihai, kiedy program się skończył.

Powiedziałam, że nie myślę w ten sposób. W ostatnich chwilach życia człowieka, stojącego na progu śmierci, mogą zajść wielkie zmiany. Przypomniałam, że matka Stalina była dobrą i pobożną kobietą. Jakże musiała się o niego modlić! Pewien biskup powiedział świętej Monice, oplakującej grzeszne życie swojego syna: „Syn takich łez nie może zostać zgubiony”.

A obecnie znamy również świadectwo córki Stalina, która pomimo wszystkich jego nauk została chrześcijanką i uciekła na Zachód. Kto wie, co umierający Stalin miał na myśli, wykonując ów „niezrozumiały i niezwykły gest”, jak opisuje to Swietłana, gdy „nagle podniósł swoją lewą rękę, jakby pokazywał na coś... a już za chwilę jego duch wyrwał się z jego ciała”? Papież odprawił mszę za duszę Stalina. Czyżby Jezus miał kochać duszę Stalina w mniejszym stopniu niż papież?

Z drugiej strony doznawaliśmy radości z powodu początku, jak mieliśmy nadzieję, nowej ery, w której nie będzie już obozów pracy niewolniczej i nie będą realizowane projekty takie jak Kanał. Wszystkie pogłoski rzeczywiście się sprawdzały: budowa Kanału została wstrzymana. Po czterech latach i wykonaniu zaledwie jednej siódmej planu całe przedsięwzięcie upadło. Ponad dwieście tysięcy mężczyzn i kobiet wykonywało tam niewolniczą pracę. Nikt nie wie, ile tysięcy zmarło. Miliardy zostały wyrzucone w błoto, a gospodarka została zrujnowana. Bez żadnego pożytku.

W *Scintei* przeczytaliśmy, że państwo rezygnuje obecnie z realizacji wielkich przedsięwzięć gospodarczych na rzecz produkcji towarów konsumpcyjnych. Poziom życia musi zostać podniesiony. Fakty były jednak takie, że Kanał był jednym wielkim niepowodzeniem. To przedsięwzięcie nigdy nie mogłoby się powieść. Inżynierowie przeprowadzili ostateczne wielkie pomiary. Niektórzy powiadali, iż odkryto, że równina Baragan została zatopiona. Inni z kolei mówili, że nie wystarczyłoby wody, żeby zaopatrzyć w nią zarówno Kanał, jak i systemy irygacyjne.

Pewne jest to, że główni inżynierowie i planiści zostali aresztowani. Wydano wyroki śmierci za „sabotaż gospodarczy”. Przynajmniej dwie osoby zostały rozstrzelane na miejscu. Kolejnych trzydzieści otrzymało wyroki aż do dwudziestu pięciu lat więzienia.

Odmówiłam modlitwę paschalną: „Byliśmy niewolnikami faraona w Egipcie i Pan wyzwolił nas swoim potężnym ramieniem”. Po raz kolejny słowa te sprawdziły się. Obozy pracy zostały zamknięte. Baraki niszczały. Trawa i chwasty przebijały się przez pęknięcia w betonie. Rozległa, pusta równina ponownie stała się dzikim pustkowiem.

Obecnie jest to odludny, zapuszczony teren. Wężę pełzają po ziemi i nikt już nie poluje na nie w celu zdobycia pożywienia. Nikt też nie rozsypuje okruszków dla przelatujących ptaków. Zardzewiały sprzęt leży na nie uprawianych polach, a wilgotny wiatr znad Morza Czarnego przeżera rdzą ostatnie ślady tego, co miało być cudem świata.

Małymi kroczkami wracałam do zdrowia i po części odzyskiwałam dawne siły. Żebra, które złamałam, kiedy wrzucono mnie do Dunaju, bolały mnie, ale lekarz powiedział, że jest tak dlatego, iż jeszcze do końca się nie zrosły. Zalecił kilka tygodni w łóżku i dodał, że to cud, iż przeżyłam. Ale za wiele było do zrobienia.

Pewnego poranka, idąc ulicą Olteni, zauważyłam obdartego niewysokiego mężczyznę z przerzedzonymi włosami. Kiedy mijaliśmy się, bacznie mi się przyglądał. Gdy potem włożyłam rękę do kieszeni swojego płaszcza, znalazłam tam małą, złożoną broszurkę. Wsunął ją tak, że tego nie zauważyłam, po czym zniknął.

„Przyjdzie do tego wówczas, kiedy Pan da ci pokój po twych cierpieniach i kłopotach, i po twardej niewoli, którą cię przytłoczono...”

Przeczytałam ten tekst i wiedziałam, że walka nadal się toczy. Być może miłość Boża nie była eksponowana publicznie, ale

otaczała mnie z każdej strony. Była w mijających mnie twarzach, które niczego nie zdradzały. W sercach, których żaden Stalin nie zdołałby odmienić.

Szczęście na nowo wypełniło moją duszę. Jestem członkiem Kościoła podziemnego.

Nie można było znaleźć jego nazwy w książkach telefonicznych ani jego budynków w miastach Europy Wschodniej. Nie miał on katedr. Jego duchowni byli ubrani w zużyte ubrania robocze. Nie mieli wykształcenia teologicznego. Niewiele wiedzieli o międzywyznaniowych utarczkach. Kościół podziemny za żelazną kurtyną nie miał nawet swojej nazwy. Dopiero kiedy dotarliśmy na Zachód, dowiedziałam się, że byliśmy w ten sposób określani przez tych niewielu obcokrajowców, którzy wiedzieli, co robimy. Gdyby wcześniej zapytano mnie: „Czy macie w Rumunii Kościół podziemny?”, to nie zrozumiałabym tego pytania, podobnie jak molierowski pan Jourdain przez całe życie mówił prozą, nie wiedząc o tym. Po prostu spełnialiśmy nasz chrześcijański obowiązek. Nie zważaliśmy na komunistyczne prawa. I nie odczuwaliśmy potrzeby, żeby nazywać jakoś naszą postawę.

Miało się to stać moim życiem na następnych dwanaście lat.

Początkowo los osób chodzących do kościoła przygnębiał mnie. Byli prześladowani przez służbę bezpieczeństwa, nękanymi przez donosicieli. Kampania mająca na celu wykorzenienie wiary była prowadzona bez przerwy w radiu, szkołach, kinach, teatrach i w prasie. Starsi ludzie mogli uczęszczać na nabożeństwa — ale robiono im trudności i znajdowali się pod stałą obserwacją. Jednakże młodym nie wolno było wierzyć.

Widziałam, jak wielu dawnych przyjaciół w obawie przed utratą pracy omijało z daleka nasz dom. Inni nawet nie przyznaliby się do tego, że kiedyś chodzili razem z nami do jednego kościoła.

Przechodząc obok uniwersytetu, zobaczyłam nauczyciela, którego dobrze znaliśmy, i podeszłam, żeby się z nim przywitać. Był z kolegą.

— Myli się pani. Ja pani nie znam.

Odwrócił się, gdyż nie był w stanie spojrzeć mi w oczy.

Ludzie byli tak okropnie przerażeni, chociaż byli „wolni”. W więzieniu, nawet w najtrudniejszych chwilach, widzieliśmy w

działaniu rękę Boga. Zrozumieliśmy, że chociaż cierpimy, to jednak On nas nie zostawi. Możemy Mu zaufać. Uczenie ludzi tej prawdy stało się więc istotną częścią pracy w naszym Kościele podziemnym. A mając za sobą więzienie, łatwiej można było zdobyć ich zaufanie.

Musiałam także pamiętać o tym, gdzie jest moje miejsce. Nasz kościół prowadziło teraz dwóch młodych luterzańskich pastorów. Niemniej jednak wprowadzało mnie w zakłopotanie to, że tak wielu z ich wiernych pukało do moich drzwi, aby zapytać o poradę lub opowiedzieć o swoich kłopotach. Wierzący, którzy cierpieli za wiarę, byli traktowani przez innych chrześcijan niemal w bałwochwalczy sposób. Wszystko, co mówiliśmy, było „ewangelią”.

Niesie to jednak ze sobą pewne zagrożenie. Męczennicy nie tworzą prawdy. To Prawda tworzy męczennika. Musiałam być bardzo stanowcza i powstrzymać ludzi przed traktowaniem mnie z nadmierną czcią.

Wszakże zatrzymywanie swoich opinii dla siebie również nie było łatwe. Ci dwaj młodzi pastory starali się, jak mogli, ale wolno im było nauczać tylko tego, czego nauczyli się od luterzańskich profesorów i z książek. Te zaś często pisano w oparciu o inne książki sprzed wielu lat, pochodzące z czasów zupełnie innych niż nasze. Nie darzyłam już tych koncepcji takim poszanowaniem jak dawniej. Nie wszystko, co było napisane w tych książkach, pasowało do lekcji, których nauczyłam się w więzieniu.

Komunistyczne metody prania mózgu i indoktrynacji były nowe. Potrzebne więc były nowe odpowiedzi. W miarę upływu czasu Kościół podziemny znalazł je.

— Mamo, skończyłem ze szkołą — oznajmił Mihai z błyszczącymi oczami i wymuszonym uśmiechem, kiedy pewnego dnia wrócił wcześniej do domu.

— Co to znaczy, skończyłem?

— Nie pójdę tam już.

— Ale musisz kontynuować naukę.

— Nie tam!

Stopniowo udało mi się wydobyć od niego, co zaszło. Tworzono właśnie Komunistyczny Ruch Młodzieżowy i najlepsi uczniowie dostępowali przywileju noszenia czerwonej chusty. Dzieci miały zaproponować swojego kandydata do tego zaszczytu. I wybrały Mihaia — który się na to nie zgodził.

— Nie będę nosił czerwonej chusty — powiedział. — Jest to znak partii, która przetrzymuje mojego ojca w więzieniu.

Konsternacja! Nauczycielka, młoda Żydówka, nie wiedziała, co powiedzieć. Ale musiała grać komunistkę. Zrugła Mihaia i odesłała go do domu.

Prawda była jednak taka, że niemal wszyscy nauczyciele nie nawidzili tego, co muszą robić oraz ludzi, którzy ich do tego zmuszali. Następnego dnia nauczycielka Mihaia przemyciła go z powrotem do klasy i uściskała.

Od tamtej pory był najbardziej chronionym chłopcem w całej szkole. Na lekcjach zaczęto szerzyć ateistyczną propagandę i Mihai wielokrotnie wdawał się w spór ze swoimi nauczycielami. Czasami przegrywał w dyskusji, ponieważ nie był w stanie rozeznac się w zawiłościach ich argumentacji, ale nie przestawał stawiać im czoła. A nauczyciele, wiedząc, że jest synem więźnia politycznego, kochali go za to. Rumunia nie była krajem komunistycznym, lecz krajem uciskanym przez komunistów.

Podczas gdy byłam w więzieniu, Mihaiem opiekowała się nasza stara przyjaciółka Alicja, katechetka. Była kiedyś dyrektorem jednego z departamentów w ważnym ministerstwie, ale kiedy nie zgodziła się wstąpić do partii, wyrzucono ją. Dorabiała, ucząc francuskiego i przygotowując uczniów do egzaminów. Kiedy mnie zabrano, Mihai poszedł po prostu do swojej „cioci Alicji” i powiedział:

— Teraz ty będziesz moją mamusią.

Była bardzo biedna i musiała także opiekować się swoim starym ojcem. Cała trójka mieszkała w jednym pokoju. Ponieważ nie miała już miejsca dla innych dzieci, którymi chciała się zająć, pomagała im, okazując miłość i rozdając zaoszczędzone grosiki. Gdyby nie inni chrześcijanie, którzy ofiarnie ich wspierali, cała trójka cierpiałaby głód.

Dzięki Alicji Mihai zdołał oprzeć się wszystkim ciosom, jakie spadły na niego pomiędzy dziewiątym a trzynastym rokiem życia i powiedzieć mi, kiedy wróciłam z więzienia:

— Mamo, jestem po twojej stronie i kocham Boga.

Propaganda w szkołach była intensywna. Nauczyciele mieli za zadanie udowodnić, przy pomocy filmów i wykładów, że Bóg nie istnieje. Mihai często prosił mnie więc o podanie dowodów na Jego istnienie.

Przypomniało mi się, jak Richard powiedział: „nikt nie dopomina się o dowód na to, że przyroda istnieje. Po prostu jest, a my jesteśmy jej częścią. A sprawy duchowe są równie oczywiste jak rzeczy materialne. Na przykład jakiś geniusz mówi, że został natchniony — ale przez co? Przez coś wyższego od siebie. Przez doznanie duchowe, przez bliskość z Bogiem”.

W każdej szkole była „bezbożna gablotka”, w której umieszczano zdjęcia i książki, wyśmiewające duchowieństwo. Mihai wiedział, że niektóre z tych historii są prawdziwe. Znał pastorów, którzy postępowali źle, którzy zdradzali braci.

Staralam się mu wyjaśnić, że Kościół ma zarówno ludzką, jak i boską stronę, i że każdy chrześcijanin posiada również tę podwójną naturę.

Dzień za dniem przychodził do domu z przykładami błędów Kościoła i upadków duchownych, które mu przedstawiano.

— Ale oni nigdy nie powiedzą ci o żalu, jaki odczuwa pastor, kiedy źle postąpi — tłumaczyłam. — Pokazują ci tylko tę grzeszną stronę. Ukrywają dobrą. Każdy może postąpić źle. Ale to właśnie wówczas, kiedy żałujemy tego, ukazujemy to, co w nas jest z Boga.

Rozwiewałam jego wątpliwości. Aż do następnego szturmu.

Każda matka będąca chrześcijanką toczyła taki sam bój. Życie było polem bitwy i co wieczór odzyskiwałyśmy teren zajęty przez komunistów w ciągu dnia.

— Nasz profesor powiedział, że Józef był spekulantem, handlującym zbożem.

— Dlaczego król Dawid chciał się ożenić z żoną Uriasza?

— Biblia nie ukrywa prawdy — odparłam. — Opowiada o ludziach, którzy mogą zgrzeszyć i popełniać błędy. Ale kiedy sam czytasz te historie, to widzisz, że to komuniści kłamią i wszystko przekręcają.

Wyglądało na to, jakby w tej walce o młodzież komuniści dysponowali wszelką dostępną bronią: szkołą, radiem, prasą. Jednakże Mihai miał stale przed swoimi oczami przykład chrześcijaństwa w działaniu.

Kiedy byłam nad Kanałem w 1951 roku, ludzie z naszego kościoła ryzykowali utratą wolności, żeby mu pomóc. Pewne starsze małżeństwo spędziło dwa dni w podróży — okrężną drogą, żeby ich nie wykryto — i wręczyło dużą część swoich oszczędności komuś, kto mógł pomóc Alicji.

Stara pani Mihailovici, która była dla Mihaia jak ciocia, po moim aresztowaniu przemierzyła setki kilometrów ze swojej wsi, przywożąc wszystko, co mogła — worek ziemniaków. Donosiciele, którzy nieustannie obserwowali krewnych więźniów politycznych, powiadomili odpowiednie organa o jej odwiedzinach. Kiedy wróciła do domu, została wezwana na milicję i tak bardzo pobita, że już nigdy nie odzyskała zdrowia.

Pomimo takiego traktowania członkowie Kościoła podziemnego nigdy nie zapominali o swoim obowiązku wobec dzieci tych, którzy siedzieli w więzieniach.

Czasami przegrywaliśmy bitwę.

Pamiętam pewną kobietę, która przyszła do mnie cała zapłakana.

— Moje dziecko pracuje dla służby bezpieczeństwa — powiedziała. — Regularnie spotyka się z pewnym mężczyzną, który wypytuje go o wszystkich, którzy przychodzą do naszego domu. Nie wiem, co mam robić.

Nie mogła wyrzucić swojego syna z domu. Nie mogła też pozwolić na to, aby zdradzał chrześcijan, którzy przychodzili do nich w odwiedzinach. Doradziłam jej, żeby na jakiś czas zerwała z nami kontakt.

Czasami późno w nocy jakiś mężczyzna — a częściej jego żona — przychodził na moje poddasze i wyznawał, że donosił.

— Jesteśmy w pułapce — powiedziała mi pewna kobieta. — Kochamy Boga. Kochamy ciebie i Mihaia — ale nie potrafimy oprzeć się tym wszystkim groźbom i pogróżkom. Mój mąż straci pracę lub zostanie wrzucony do więzienia. Musimy donosić na wszystkich, którzy chodzą do kościoła i przekazywać to, co mówią. Staramy się mówić im tylko to, co nie może wam zaszkodzić — ale musicie się strzec!

Inni wyjechali z Bukaresztu i przenosili się z miasta do miasta, żeby uniknąć tych cotygodniowych wezwań do służby bezpieczeństwa.

Pod rządami komunistycznymi twój dom jest zawsze podzielony. Jeśli nie uda im się znaleźć dziecka lub krewnego, który powie, ile chleba kupujesz, co gotujesz i kto cię odwiedza, to zawsze znajdzie się jakiś sąsiad lub kolega, który to zrobi. Dziewczeta są wypytywane o chłopców, z którymi chodzą. I wszystko jest zapisywane w kartotece, aby w taki czy inny sposób można było tego użyć przeciwko tobie.

System ten wygenerował pewien fenomen: całe tysiące potajemnie wierzących chrześcijan, którzy noszą czerwony krawat lub mają legitymację partyjną. Niektórzy nawet piastują wysokie stanowiska państwowe, będąc równocześnie członkami Kościoła podziemnego. Wzywają księdza, żeby w nocy ochrzcił im dziecko. Udadają się do odległego miasta, żeby pastor udzielił im potajemnie ślubu. Z kolei wielu donosicieli przyszło do mnie, żeby opowiedzieć mi o wszystkim, co muszą zrobić, i żeby szukać przebaczenia za swoją zdradę.

— Potwierdźcie szczerą swoją skruchę — mówiłam im — wyjawiając nam teraz, w jaki sposób nas szpiegowano. Podajcie nazwiska oficerów, od których otrzymywaliście rozkazy. Powiedzcie nam, kiedy i gdzie się spotykacie.

Jeśli mieli w zwyczaju przekazywanie swoich informacji na rogu jakiejś ulicy, to jeden z nas siedział sobie w pobliskiej kawiarni i robił zdjęcie funkcjonariuszowi służby bezpieczeństwa, który przychodził na umówione spotkanie. Potem śledziliśmy go, żeby zobaczyć, z kim następnym się spotka. Jeśli ich spotkania odbywały się, jak często to miało miejsce, w „bezpiecznym” mieszkaniu służby bezpieczeństwa, obserwowaliśmy to miejsce i robiliśmy zdjęcia tym, którzy wchodzili i wychodzili.

Była to ryzykowna praca, ale dzięki takim metodom udało nam się sporządzić listę większości donosicieli, w tym pułkownika Shircanu, który z ramienia służby bezpieczeństwa koordynował infiltrację Kościoła. Obserwowaliśmy go równie bacznie, jak on nas. Namierzyliśmy jego głównych donosicieli.

Niektórych udało nam się skłonić do nawrócenia. Z innymi musieliśmy postąpić bardziej surowo. W ten sposób chroniliśmy Kościół podziemny i umożliwialiśmy mu dalszą pracę.

Byłam bardzo szczęśliwa, że mam Mihaia. Mój syn był nad wyraz wierny. Był w bardzo trudnym wieku dla chłopców, a my przydzielaliśmy mu niezwykle ciężkie zadania. Oprócz wszystkich swoich problemów musiał nieustannie mieć się na baczności. Musiał podejmować decyzje, które mogły spowodować, że oboje wyładowalibyśmy w więzieniu. A jednak często potrafiliśmy się śmiać razem z absurdalnych rzeczy, które jego nauczyciele byli zobowiązani mówić, a także z wielu dziwnych zdarzeń.

Pewnego razu, jakieś kilka miesięcy po tym, jak Marietta z nami zamieszkała, wróciła ona później niż zwykle i przez cały wieczór prawie nic nie mówiła. Zauważyłam, że w przeciągu ostatnich tygodni kilkakrotnie późno wracała. I że wyglądała — nie

tyle na szczęśliwszą, bo zawsze była wesołą dziewczyną — co na spokojniejszą, bardziej pewną siebie.

— Jest coś... — powiedziała nagle. — Nie wiem za bardzo, jak to wam powiedzieć... No cóż, mam chłopaka, w którym jestem bardzo zakochana.

Spotkała go, kiedy odwiedzała w szpitalu kuzynkę. Był niepełnosprawny. W wyniku wypadku w fabryce cała lewa strona jego ciała była sparaliżowana. Miał też kłopoty z mówieniem. Przez wiele miesięcy był zupełnie niemy i nie był w stanie poruszać się bez wózka inwalidzkiego.

— Ale teraz cały czas mu się polepsza i może bardzo powoli chodzić o kulach. Ale nienajlepiej mu idzie mówienie. Ja rozumiem, ale inni ludzie na początku nie mogą go zrozumieć.

Następnego wieczoru ten młody człowiek przyszedł nas odwiedzić. Z trudem wszedł na trzecie piętro. Tak jak powiedziała Marietta, trudno go było zrozumieć. Tej nocy zatrzymało się u nas kilkoro przyjaciół z innego miasta. Mieli spać na podłodze. Ale okazało się, że Petru również nie miał dokąd pójść. Od wyjścia ze szpitala sypiał w czyjeś piwnicy, a teraz nawet to utracił.

Chora na epilepsję Marietta poślubiła niemego kalekę i Petru zamieszkał z nami. Było nas teraz czworo, nie licząc gości, którzy niemal codziennie nocowali w naszym maleńkim mieszkaniu. Były wśród nich żony aresztowanych pastorów i chrześcijanie, którzy nie mieli odwagi kontaktować się za dnia z byłą więźniarką.

Jednym z nich był młody człowiek, pracujący jako kucharz w milicyjnych koszarach. Nigdy nie brakowało im tam jedzenia i często przynosił nam swój chleb.

18

Kościół podziemny

Mihai przyniósł do domu historię, której z pewnością nie nauczył się na lekcji historii: Hitler, Napoleon i Aleksander Wielki wzięli sobie dzień wolnego z piekła, żeby obejrzeć paradę wojskową na Placu Czerwonym. Kiedy przetaczały się kolumny czołgów, Hitler powiedział:

— Gdybym wiedział, że Armia Czerwona jest taka potężna, to nigdy nie zaatakowałbym Rosji.

— Gdybym miał armię taką jak ta, to mógłbym podbić cały świat — skomentował Aleksander.

Napoleon, studiujący właśnie rosyjską gazetę, podniósł znad niej wzrok i powiedział:

— Gdybym tylko miał gazetę tak posłuszną jak *Prawda*, to świat nie dowiedziałby się o Waterloo.

Mihai zbierał dowcipy o komunizmie. Po skończeniu szkoły podstawowej nie mógł dalej się kształcić. Dzieciom więźniów politycznych nie pozwalano na dalszą edukację. Szukał więc pracy i miał dużo wolnego czasu. Pewnego razu stary przyjaciel Richarda usłyszał, jak gra on na fortepianie i zaoferował mu pracę.

— Konserwuję instrumenty w Operze Państwowej — powiedział — i potrzebny mi jest praktykant z wprawnymi palcami i dobrym słuchem.

Aby dostać tę pracę, Mihai musiał wypełnić szesnastostronicowy kwestionariusz. Oprócz wielu innych rzeczy musiał podać adresy dwóch sąsiadów z każdego miejsca zamieszkania z „ostatnich dwudziestu lat”. Miał wtedy piętnaście lat.

— I lepiej upewnij się, że będą wiedzieli, co powiedzieć, kiedy pojawi się służba bezpieczeństwa — ostrzegł stroiciel.

Po otrzymaniu formularza Mihai wrócił do urzędnika działu kadr i powiedział, że narobiło mu się na nim kleksów — i czy mógłby otrzymać jeszcze jeden egzemplarz. Następnie wypełnił

obydwie kopie i jedną z nich zatrzymał, aby w nadchodzących latach mógł sprawdzać, co napisał. Ten kwestionariusz będzie przez wiele lat podążał za nim od pracy do pracy i jeśli zaprzeczyłby czemukolwiek, co jest w nim napisane, miałby kłopoty.

Jedno z pytań brzmiało: Czy twój ojciec został kiedykolwiek aresztowany? Napisał po prostu „NIE”, mówiąc sobie: „Został porwany z ulicy. To nie jest aresztowanie”. Czyż nie miał racji?

Został przyjęty. Jego pensja stanowiła równowartość ośmiu funtów. Była to dla nas bardzo duża suma. I miał także kartki żywnościowe, dzięki którym mógł kupować chleb.

Stroiciel zauważył, że Mihai ma doskonały słuch i potrafi z łatwością rozpoznawać tonacje i dźwięki.

— Jest w tym lepszy niż ja, choć wykonuję tę pracę od czterdziestu lat.

Został więc ekspertem od naprawy wszelkiego rodzaju instrumentów muzycznych, dzięki czemu, kiedy po osiemnastu miesiącach wykryto, że jest synem więźnia politycznego, zostało mu przynajmniej trochę jego własnych klientów pośród bukareszteńskich muzyków. W ten sposób, mimo że utracił pracę, był jednak w stanie zarobić co nie co na naukę i książki, które kupował sobie, żeby uczyć się w domu.

Ja z kolei chwyciłam się różnych dziwnych zajęć, żeby utrzymać dom.

Najpierw była Spółdzielnia Hodowli Jedwabników.

Marietta przeczytała o niej w gazecie. „Prawdziwe jedwabniki w domu. Dorób sobie do swojej pensji i pomóż budować socjalizm”.

— Marietta widzi się w szykownej sukni wieczorowej, całe zrobionej z wyhodowanego w domu jedwabiu — Mihai wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie, poważnie — powiedziała Marietta. — Jedwab jest wart dużo pieniędzy.

Mihai sięgnął po to czasopismo.

— Ach, ale wszystko, co wyprodukujesz, musisz dostarczyć do spółdzielni państwowej. Jak myślisz, co oni dadzą ci za to? A poza tym, gdzie mielibyśmy je trzymać? Jeśli myślicie, że będę jadł swoje posiłki z pudłem brudnych jedwabników na środku stołu, to się mylicie.

— Mógłbyś trzymać je pod swoim łóżkiem.

— Pod swoim łóżkiem!?

— A co jedzą jedwabniki?

— Liście morwy, mądralo, wszyscy to wiedzą!

— Mihaiu, pamiętasz, jak mieszkałeś z ciocią Alicją i na rogu był szpital, a po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu, cmentarz?

— Tak, to naprawdę dodawało mi otuchy.

— Ale na tym cmentarzu było dużo morw. Przynajmniej będziemy mieli zawsze czym karmić te jedwabniki.

Otwarliśmy więc hodowlę, mając pudło z setką małych gąsienic i broszurę z instrukcją od Spółdzielni Hodowli Jedwabników.

Mihai odczytywał z niej różne fragmenty:

— Kiedy jedwabnik jest gotowy, żeby zamienić się w ćmę, oprzędza się, tworząc kokon z substancji pochodzącej z własnego ciała.

— Nie miałam pojęcia, że zamieniają się w ćmy — powiedziałam.

— Lepiej uważaj, mamo. Pewnego dnia podniesiesz wieko i odlecą.

— „Po rozwinięciu kokonu” — kontynuował studiowanie broszury — „otrzymuje się jedwabną nić o długości wielu set metrów”. Trudno by było zrobić tutaj coś takiego, nie?

Zerkaliśmy do tekturowego pudła, w którym Mihai zrobił otwory wentylacyjne. Gąsienice nie były zbyt piękne. Były ziemistoszarej barwy i miały około siedmiu centymetrów długości. I miały wilczy apetyt. Życie jedwabników to właściwie jeden nieustanny wspólny posiłek, na końcu którego owijają się w kokon zrobiony z ich własnej jedwabnej nici. Można ją nawinąć na szpulkę.

Początkowo Mihai bez przeszkód częstował się liśćmi morwy z cmentarza. Ale wkrótce stróż zauważył go i przepędził.

— Będziemy musieli zrobić tam wypad pod osłoną nocy! — powiedział.

Następnej nocy, uzbrojony w papierowe torby, przeszedł przez cmentarne ogrodzenie i powrócił triumfalnie z zapasem na kilka dni.

— Umarli ich nie potrzebują — stwierdził.

Przypomniałam, że w Księdze Apokalipsy jest powiedziane, iż w niebiańskim Jeruzalem liście drzewa życia służą do uzdrawiania.

— Cieszę się — powiedziała Marietta — ponieważ dowodzi to, że nawet bardzo chore dusze mogą tam znaleźć dla siebie miejsce.

Gąsienice jedwabników, sztucznie hodowane od czterech tysięcy lat, są grymaśnymi stworzeniami. Nie lubią temperatur powyżej 24°C ani poniżej 16°C. Lubią światło, ale nie w nadmiarze. W trakcie wylinki, która następuje co kilka dni, nie wolno im przeszkadzać.

— Ciii! — powiedział Mihai, szeptem cytując broszurę — „Podczas każdej wylinki gąsienice należy chronić przed hałasem!”

Po jakimś miesiącu i powtarzających się wypadach na cmentarz mieliśmy sto małych kokonów. Zanieśliśmy je do spółdzielni — a to, co nam zapłacono, wystarczyło na zakup żywności na dwa dni. No cóż, powitaliśmy z zadowoleniem to dwudniowe wyżywienie. Zabrałam do domu kolejnych sto dopiero co wylęgłych gąsienic.

— Och nie! — westchnął Mihai.

Tak czy inaczej, nasza ferma jedwabników rozkwitała przez kilka miesięcy.

Aż pewnego dnia zauważyłam, że gąsienice były jakieś blade i napuchnięte, jakby miały wybuchnąć. Mihai odgwizdał *Marsz żałobny* Chopina i udał się do biblioteki, żeby dowiedzieć się czegoś na temat hodowli jedwabników z książki, którą udało mu się znaleźć.

— Tak — relacjonował — to dosyć powszechne. Nazywają to *grasserie*. Bierze się to stąd, że trzyma się te biedactwa na przeciągu.

— Ale *grasserie* znaczy tyle co tusza.

— To prawda, tak jest napisane w tej książce — jest to odmiana puchliny wodnej.

Jezus uzdrowił kobietę cierpiącą na puchlinę wodną, ale nic nie wskazywało na to, że powtórzy ten cud dla moich jedwabników. Musieliśmy je wyrzucić.

Zajęłam się więc innymi pracami chałupniczymi takimi jak szycie i robienie swetrów na drutach. Te niewielkie sumy, które udawało mi się zarobić, do spółki z pieniędzmi zdobytymi przez Mihaia, pozwalały nam jakoś przeżyć.

Był to rok Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży. Młodzi komuniści i sympatycy ruchu komunistycznego przybyli do Bukaresztu z wielu stron świata. Przez trzy miesiące poprzedzające to wydarzenie w sklepach nie było nic, zupełnie nic. Kolejki po chleb

i cokolwiek jadalnego były ogromne. Tylko od czasu do czasu po niekończącym się czekaniu udawało się zdobyć odrobinę masła lub kilka garści mąki.

Potem rozpoczął się Festiwal. Sklepy zostały zavalone towarami. Przez trzy wspaniałe tygodnie oglądaliśmy całe mnóstwo rzeczy, których nie widziano w Rumunii od czasów przedwojennych.

— Widziałem pudełka daktyli w państwowym sklepie spożywczym — mówił Mihai po powrocie do domu — i są też czekolady owinięte w złoty papier!

Po czym Festiwal zakończył się i przez wiele kolejnych miesięcy zaopatrzenie było gorsze niż kiedykolwiek wcześniej. Roztrwonili wszystkie rezerwy na ten wystawny pokaz, mający na celu oszukanie zagranicznych gości.

Mihai powiedział, że ci młodzi komuniści z zagranicy byli zakazani plagą szpiegowania w równym stopniu, jak nasza młodzież. Na wielu Rumunów, którzy wypowiedzieli nierozważne uwagi do młodych przybyszy z Francji czy Włoch, zostały złożone donosy w służbie bezpieczeństwa. Aresztowano kolegę Mihaia.

Wszystko to było niegodziwe, fałszywe i wstrętne! Słyszac o takich rzeczach, znienawidziłam ten zły system, który zniszczył przyzwoitość i uczciwość w jednej trzeciej świata. Rolnicy zostali zmuszeni do wykradania produktów rolnych z ziemi, która była kiedyś ich własnością. Robotnicy w fabrykach zostali sterroryzowani i pozbawieni swoich praw. Korupcja przeżarła wszystko od góry do dołu. Dyrektorzy dużych sklepów państwowych wdzili rej na czarnym rynku, gdzie handlowali towarami ze swojej branży wartymi miliony. Zewsząd otaczały nas kłamstwa i kapusie. Często to właśnie na barki byłych więźniów, tych, którzy najwięcej wycierpieli, spadał obowiązek uczenia ludzi, że nienawiść wobec komunistów jest czymś negatywnym i złym. Jedynie wyrozumiałość i miłość prowadzą do zwycięstwa.

Mihai opowiedział pewną historię, która ukazuje, jak bardzo znienawidzeni byli komuniści.

Dwóch przyjaciół spotyka się w autobusie. Jeden drugiego pyta szeptem:

— Co myślisz o premierze Georghiu-Deju?

Jego rozmówca przykłada palec do ust:

— Zwariowałeś? — mruczy pod nosem. — Ludzie słuchają.

Wysiadają z autobusu i idą przez park.

— Ale naprawdę — nalega pierwszy mężczyzna — jaka jest twoja opinia?

Jacyś nieznajomi siedzą może z pięćset metrów od nich.

— Cicho! — mówi drugi rozmówca. — Mogą usłyszeć.

W końcu docierają do zupełnie odludnego miejsca, w którym nie widać nikogo.

— A więc powiedz mi teraz, co myślisz o Georghiu-Deju? — mówi pierwszy mężczyzna.

— Mam o nim jak najwyższe mniemanie — odpowiada ten drugi.

Wszystkie wybiegi, dzięki którym jakoś udawało nam się wiązać koniec z końcem, nie były tak naprawdę najważniejsze. Najbardziej zależało nam na tym, żeby zgromadzić naszych braci chrześcijan, szczególnie żony i dzieci więźniów, i zachęcać ich do życia opartego na modlitwie i ufności. Na tym polegała prawdziwa praca Janetty i moja, w czasie gdy Richard był w więzieniu.

Jako że aresztowano tak wielu szczerych i dobrych pastorów, sprawa budowania Kościoła podziemnego spadała w coraz większym stopniu na barki ich żon. Dziesiątki z nas zostało „duchownikami” — samoukami. Rozmawiając z ludźmi, nauczyłyśmy się głośno kazania. Ze wszystkich stron kraju przyjeżdżały kobiety, żeby zasięgnąć porady i opowiedzieć, jak wiedzie się ich kościołowi. Niedługo okazało się, że prawie cały swój czas poświęcałyśmy tej pracy.

Na Zachodzie nadal toczy się spór, czy należy wyświęcać kobiety. Na Wschodzie problem ten rozwiązał się sam, gdyż za każdym razem, kiedy komuniści osadzali pastorów w więzieniu, ich żony, wyświęcone przebitymi dłońmi Jezusa, zostawały pastorami w ich miejsce.

Kościół podziemny miał w całym mieście niezliczoną liczbę miejsc, w których odbywały się tajne spotkania; często w piwnicach lub na poddaszach podobnych do naszego. W ciemną noc światło pokazywało się w oknie i ludzie przemykali na górę po schodach, po czym pukali do drzwi w umówiony wcześniej sposób. Tłoczyliśmy się w pomieszczeniach tak gorących i dusznych, że nie było w nich dość powietrza, by podtrzymać płomień w lampie stojącej przy oknie. Płomień migotał, a my siedzieliśmy niemalże w całkowitej ciemności.

Pomysł wykorzystania taktyki pracy komórek komunistycznych przeciwko partii zrodził się w rozmowie z pastorem Grecu,

który czasami przyłączał się do nas późno w nocy. Był duchownym legalnie działającego kościoła. Komuniści dawali mu nieco swobody, ponieważ wiadomo było, że pije. Pijani księża stanowili dobry materiał dla komunistycznej propagandy. Rządzący nie wiedzieli jednak, że pił, aby pozostać na stanowisku, i to tylko tyle, ile było konieczne, żeby zamydlić im oczy.

Serce pastora Grecu było z nami. Okazywał nam nieoczekiwaną pomoc. Prowadził potajemną służbę, która wykraczała daleko poza ograniczenia narzucone przez państwo. Wielu duchownych postępowało w ten sposób. Nie było wyraźnej linii podziału pomiędzy Kościołem pokazowym, a Kościołem podziemnym. Ich działania przeplatały się ze sobą.

Podczas prześladowań rozpadało się coraz więcej barier międzywyznaniowych: katolicy, prawosławni, luteranie powracali do elementarnych zasad wiary. Przypominało to Kościół z pierwszych stuleci.

Pastor Grecu i ja wiele dyskutowaliśmy o taktyce. Janetta stała się już filarem naszego kościoła. Obydwie przeczytałyśmy książkę Lenina *Co robić?*, w której przedstawił on swój plan podboju świata. Została napisana w 1903 roku, kiedy wszyscy bolszewicy mogliby zmieścić się na jednej sofie (istnieje nawet zdjęcie przedstawiające ich, jak tak siedzą). Jedną z podstawowych zasad Lenina jest infiltracja konkurencyjnych organizacji (przynajmniej o tej jednej zasadzie można powiedzieć tyle, że sprawdza się w praktyce). Kiedy komuniści przejęli władzę w Rumunii, dowiedzieliśmy się, że już dużo wcześniej wkręcili się zarówno do „burżuazyjnych” ministerstw, jak i do kierownictwa antykomunistycznych organizacji. Infiltracja nie ominęła nawet seminariów i duchowieństwa.

Teraz role musiały się odwrócić. Oni byli szefami. My zaś zrozumieliśmy, że Kościół podziemny nie będzie mógł działać, jeśli nie przenikniemy do organizacji komunistycznych, które starają się nas zniszczyć.

Początkowo wydawało się nam, że jest to sprzeczne z naszymi zasadami. Ale pastor Grecu miał na to gładką odpowiedź:

— Chrystus nazwał świątynię jaskinią zbójców, a jednak apostołowie celowo pracowali tam po Jego śmierci i zmartwychwstaniu. Dziwne okoliczności wymagają niezwykłych działań. *A voleur, voleur et demi* — żeby złapać złodzieja, musisz być podwójnym złodziejem.

Wciąż jednak wahałam się.

— Wiele naszych braci i siostr będzie mieć skrupuły moralne. Jeśli wstąpią do organizacji komunistycznych, to będą od nich oczekiwać, żeby robili wiele złych rzeczy. Ludzie wywodzący się z Kościoła na pewno się zdradzą. Po miesiącu pozbędą się ich.

— Niektórzy z nich mogą być dobrymi aktorami — powiedział pastor Grecu. — Młodszym przyjdzie to o wiele łatwiej. Bez problemu można ich umieścić w Komunistycznym Związku Młodzieży. A stamtąd w milicji. A potem w służbie bezpieczeństwa i partii.

Zgodziłam się, że musimy nauczyć się lekcji od Rosjan. I wprowadzić ją w czyn z pomocą tych, którzy przychodzą na nasze tajne spotkania.

Wszyscy ludzie przychodzący na te nabożeństwa byli nastawieni entuzjastycznie i gotowi pomóc, ale przebywając razem z nimi dzieliłam ich w myślach na dwie grupy.

Większość z nich uchylałaby się przed graniem fałszywej roli. Wiedziałam, co odpowiedzieliby, gdybym im to zaproponowała. Argumentowaliby, że wymagałoby to wielu oszustw, których nie sposób usprawiedliwić. Druga, o wiele mniejsza grupa myślałaby tak jak wielki zdobywca dusz św. Paweł. Dla Żydów stał się Żydem, dla Greków Grekiem, pozyskując tym samym i jednych i drugich. Jednak swoje plany wyjawiliśmy tylko niewielu osobom nawet z tej grupy. Natychmiast przyznali nam rację, że w imię zachowania własnej reputacji nie można pozbawić Kościoła podziemnego ochrony. Samolubne pragnienie, by uchodzić za prawą osobę, nie usprawiedliwia tego, że niezliczone rzesze chrześcijan idą do więzienia. Tylko jeden na stu naszych członków wiedział, co robimy. Chodziło bowiem o nasze bezpieczeństwo.

Pastor Grecu zastanawiał się, czy rodzice nie będą protestować, jeśli uznają, że ich dzieci podejmują się wykonania zbyt niebezpiecznych zadań.

— Kiedy chodziłam do szkoły, opowiadano nam o księciu Stefanie Wielkim — powiedziałam. — Pewnego razu został ranny i przybył do bram swojego zamku.

— Któż to przybywa? — zapytała jego matka.

— To twój syn Stefan — odparł.

— Nie możesz być moim synem — odrzekła. — On nie opuściłby pola bitwy, podczas gdy jego armia nadal tam jest. On pozostaje i walczy. Nie znam innego syna.

— Wiele matek, które znam, wychowało się w tej tradycji — dodałam.

— Muszą to być naprawdę oddane kobiety.

— Wiem, co one czują, te matki, które tu przychodzą. Gdyby komuniści udowodnili mi teraz, że Richard zmarł w więzieniu, nie byłabym jedynie smutna. Byłabym także dumna. Taki duch rozprzestrzenia się z dnia na dzień. Jeśli można być dumnym z syna, który umiera za swój kraj, to o ileż bardziej można być dumnym z syna, który został męczennikiem dla Chrystusa.

— Śmierć przynajmniej następuje szybko — pastor Grecu uśmiechnął się gorzko. — Ale są też inne rodzaje męczeństwa.

— Tak, jest ich wiele — powiedziała Janetta. — I być może większą ofiarą jest poświęcenie dla sprawy swojej reputacji niż poświęcenie swojej wolności, a może nawet życia.

Pastor Grecu wstał, strącił trochę okruszyn ze swojej wytartej marynarki i zabierał się do wyjścia.

— Jakże dziwne musi być życie w świecie, w którym człowiek nie jest wzywany, by zrezygnować z którejkolwiek z tych rzeczy — powiedział na koniec.

Marietta miała przyjaciółkę, śliczną dziewczynę z małego miasteczka na prowincji, którą będę nazywać Trudi. Miała osiemnaście lat, ciemne puszyste włosy i błyszczące oczy. Kiedy odwiedziła nas już kilka razy, powiedziałam:

— W więzieniu, zanim byliśmy bite, strażnik zwykł mówić do nas: „Chciałyście być męczennicami, więc teraz cierpcie!” I cierpiałymy. Ale nawet w najgorszych chwilach towarzyszyła nam radość, wynikająca z przeświadczenia, że dzieje się to ze względu na Jezusa. Tak jak u pierwszych chrześcijan. Teraz jednak musimy posunąć się dalej. I ty, Trudi, możesz nam w tym pomóc.

Spojrzała na mnie swoimi brązowymi oczami. Była cichą, inteligentną dziewczyną. Nie bała się pracy. Miała duże, ale kształtne ręce. Kiedy podawała talerz na stół lub zamykała drzwi, robiła to miarowo, powoli. Wszystko to wskazywało na to, że nie będzie jej można łatwo złamać. Jako najstarsza córka w dużej rodzinie, przez lata była piastunką i aniołem stróżem swojego młodszego rodzeństwa.

Wyjaśniłam jej, że obserwowałam ją i że szukamy dziewcząt, które wstąpiłyby do Komunistycznej Organizacji Młodzieżowej.

— A teraz pojawiło się coś nowego — dodałam. — Może to być wspaniała okazja. Pułkownik Shircanu, który pracuje w służbie bezpieczeństwa, zapytał podległego mu sierżanta, czy nie zna jakiejś dziewczyny, która nadawałaby się na pomoc domową. Ma on duży dom w jednej z najlepszych dzielnic. Jego żona wygląda na dosyć ekstrawagancką i niezbyt dobrą osobę, ale jest całkiem uprzejma. Gdybyś zgłosiła się do tej pracy poprzez ich specjalne biuro zatrudnienia, mogłabyś dowiedzieć się wielu rzeczy, które by nam pomogły.

Nic nie powiedziała i nie zmieniła wyrazu twarzy. Ale brązowe oczy zabłyśły.

— Nie będą niczego podejrzewać — kontynuowałam. — Sierżant poprosił swoją żonę, żeby zapytała przyjaciółek, a jedna z nich przychodzi na nasze nabożeństwa. Nikt nie wie, że jest chrześcijanką.

— Co będę miała robić?

— Początkowo nic. Wyczuj atmosferę panującą w tym domu. Zapoznaj się ze wszystkimi. Zauważyłam, że ludzie lubią zwierzać ci się ze swoich kłopotów. Przypomnij sobie, jak stara pani Tomaziu pokazywała ci wczoraj swoje żyłaki.

Trudi roześmiała się.

— Jakbyś była pielęgniarką.

Zastanowiła się przez chwilę. Po czym wyraziła zgodę.

Pewnego wieczoru pastor Grecu powiedział mi, że znalazł dziwny fragment w Ewangelii św. Jana, który napomykał o czymś w rodzaju infiltracji pałacu arcykapłana dokonanej przez uczniów.

— Jest tam powiedziane, że jeden z uczniów był znany arcykapłanowi Kajfaszowi — i to na tyle dobrze, że tej samej nocy, podczas której Chrystus został postawiony przed sądem, uczeń ten mógł wejść na teren świątyni i jeszcze wprowadzić tam Piotra.

Pastor Grecu zasugerował, że można o tym powiedzieć młodym ludziom, którzy mieli rozpocząć dla nas tajną pracę, gdyby mieli jakieś obiekcje. Ale niewielu je miało.

Wysłałam kilka dziewcząt, aby wstąpiły do Komunistycznej Organizacji Młodzieżowej, ale nie podałam pastorowi Grecu ich nazwisk. Na duchownych z Kościoła oficjalnego nieustannie wywierano presję, by skłonić ich do donoszenia na członków swojego zgromadzenia. Najlepiej było dla niego, żeby nie wiedział.

Byliśmy świadkami wielkich tragedii spowodowanych tym niekończącym się szpiegowaniem. Pewnego razu w naszym mieszkaniu ciocia Mihaia Alicja zapytała:

— W Biblii jest powiedziane, że „wszystko współdziała ku dobremu” — ale do jakiego dobra, chciałabym wiedzieć, przyczyniają się donosiciele? Boję się nawet otworzyć usta.

Początkowo nie miałam na to odpowiedzi. Mogłam myśleć tylko o ogromnych szkodach, jakie wyrządzili. Ale to pytanie nie dawało mi spokoju. Leżąc tej nocy w łóżku, zrozumiałam, że nawet w tym kryje się duchowy sens. Donosiciele nauczyli nas, że za życia znajdujemy się pod nieustanną obserwacją. Aniołowie przyglądają się wszystkiemu, co robimy i mówimy, ale są niewidzialni, więc nie przejmujemy się tym. Ci donosiciele przypomnieli nam, że każdy nasz czyn ma znaczenie.

Miałam swój własny system wykrywania kapusiów. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa przychodzili do naszego mieszkania na przespiegi, udając wierzących. Kiedy wydarzyło się to po raz pierwszy, mężczyzna, który do nas przyszedł, od razu wydał mi się podejrzany.

Zatrzymał mnie na ulicy Olteni.

— Przepraszam — czy to siostra Wurmbrand?

— Tak, ale obawiam się, że nie pamiętam, gdzie...

Jego płaszcz był raczej zbyt nowy, a on sam był trochę za bardzo niespokojny. Spoglądał na mnie ukradkiem. Miał niewiele ponad trzydzieści lat.

— W Cernavodzie. Byłem w czwartej brygadzie. Widziałem panią kilka razy przez jakiś miesiąc, zanim przenieśli mnie na przylądek Midia. Była pani dla nas wielką pomocą — ludzie, których pani nigdy nie spotkała, nadal rozmawiają o tym, jak mówiła pani otwarcie o Chrystusie!

Obsypał mnie kilkoma przesadnymi komplementami. Idąc obok niego, zadałam mu kilka pytań na temat jego pobytu nad Kanałem. Jego odpowiedzi były mgliste. Byłam pewna, że nigdy tam nie był. Ale nie mogłam go na niczym przyłapać.

Pytał, gdzie mieszkam, co robię, jak zarabiam na życie i tak dalej.

— Jestem wierzący, wie pani — powiedział. — Nawróciłem się w więzieniu.

Opowiedział rozwlekłą historię o chrześcijaństwie, który przekonał go nad Kanałem, żeby powrócił do wiary z dzieciństwa.

Stało na tym, że wprosił się do naszego mieszkania. Pozwoliłam mu wejść na górę po obskurnych schodach i powiedziałam:

— Witamy w naszym domu.

Zaczął mnie wypytywać o zapatrywania polityczne, moje i moich przyjaciół, i było jasne, że takie pytania może zadawać tylko prowokator. Zadałam więc swoje własne pytanie:

— Czy często czyta pan Biblię?

— Tak, tak. Bardzo często.

— To może chciałby pan coś nam przeczytać.

Podałam mu moją Biblię. Byli z nami Mihai, Janetta, Marietta, Petru i pewna kobieta, która przyszła z wizytą.

Przeczytał coś z Psalmów i nawet udało mu się dodać od siebie kilka świętoszkowatych słów.

— A teraz pomódlmy się — powiedziałam. — Czy poprowadzi nas pan w modlitwie?

Uklękaliśmy wokół niego i czekaliśmy, aż rozpocznie.

Wymamrotał kilka słów i przerwał. Cały poczerwieniał i nastąpiło długie milczenie. Nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby powiedzieć. Wiedział, że wszyscy zrozumieliśmy już, na czym polega jego praca.

W końcu przemówiła Janetta:

— To, co pan robi, jest bardzo złe! — powiedziała gniewnie. — Zrobiłby pan sobie przysługę, gdyby pan to rzucił.

Richard dał mi Biblię w 1938 roku — był to rok mojego nawrócenia. Co druga kartka była w całości przeznaczona na notatki. Zawsze gdy w tych wczesnych latach siadywaliśmy razem, żeby ją czytać i studiować, zapisywałam w niej różne myśli, komentarze i duchowe przeżycia, dzięki czemu po pewnym czasie miałam całą księgę cennych słów i wspomnień, które przywodziły na pamięć przyjaciół z całego kraju, zarówno tych żywych, jak i zmarłych.

Wiele notatek zostało zapisanych prywatnym kodem, co czyniło z mojej Biblii po dwakroć podejrzany przedmiot. Ale nawet po moim aresztowaniu Mihaiowi udało się ją ocalić i zachować.

Kiedy otwierałam ją i czytałam tak wiele myśli Richarda, które zapisywałam w przeszłości, czułam się tak, jakby stał obok mnie w pokoju. Niezwykle mocno odczuwałam jego obecność, jak nachyla się nade mną, dodaje mi otuchy i pociesza. Stenografowałam te jego odwiedziny. A kiedy teraz otwieram moją Biblię, ponownie przeżywam te wszystkie chwile. Po trzydziestu latach jest już

mocno zużyta i porwana, ale mam ją stale ze sobą, bo jest wielkim moim bogactwem. Kurier naszej misji przemycił ją z Rumunii.

Bible były wówczas w Rumunii wielką rzadkością i wiele osób przychodziło do naszego mieszkania, żeby posłuchać czytania Pisma Świętego. Nie mogłam swobodnie uczęszczać na spotkania Kościoła podziemnego odbywające się w innych miejscach. Bez przerwy mnie obserwowana, a prócz tego nie wolno mi było opuszczać miasta.

Ale Mihai mógł chodzić zarówno na tajne, jak i otwarte spotkania. Odbywały się one pod przykrywką imprez. Około trzydziestu młodych ludzi pojawiała się w domu tego, kto miał największe mieszkanie. Hałaśliwie witali się przy drzwiach. Potem puszczała adapter. Rozlegała się głośna muzyka młodzieżowa, a przechodnie mogli widzieć ich, jak tańczą. Po pewnym czasie adapter wyłączano. Ktoś dzielił się ewangelią. Poświęcano czas na modlitwę. Potem dla użytku sąsiadów puszczała jeszcze kilka płyt i hałasowali jak na typowej imprezie.

— Emil miał już trzy razy urodziny w tym roku — śmiał się Mihai. — A jego siostry dwie rocznice ślubu. Następnym razem jedziemy na piknik.

Również na niedzielne wycieczki krajoznawcze zabierali ze sobą adapter. Przeradzały się one później w spotkania modlitewne. Na wszystkich drogach prowadzących do miejsca, w którym przebywali, rozstawiali czujki. Gdy tylko ktoś się zbliżał, dawano sygnał ostrzegawczy.

Wszystko to sprawiało, że nabożeństwa stanowiły naprawdę intensywne przeżycie. Wszystkie szczegóły były już wcześniej zaplanowane: miejsce, godzina, hasło. Ci, którzy na nie przychodzili, wiedzieli, że mogą już nigdy z nich nie wrócić. Bardzo różniło się to od nabożeństw w wolnym świecie. Każdy kaznodzieja wygłaszał swoje kazanie tak, jakby miało być jego ostatnim: jego słowa mogły oznaczać więzienie i śmierć i stąd miały swoją wagę.

Większość naszych pastorów należała do Kościoła oficjalnego. Poddawani kontrolom, które z „wolności religijnej” czyniły farsę, prowadzili potajemną służbę. Tylko w ten sposób mogli docierać do młodzieży i swobodnie głosić Chrystusa, gdyż o każdym słowie, które wypowiadali w kościele, mogła zostać poinformowana służba bezpieczeństwa.

Mihai opowiedział nam najnowszy dowcip:

— Ministerstwo Gospodarki Mieszkaniowej zarządziło, że we wszystkich nowych blokach mają być specjalnie cienkie ściany, aby sąsiedzi mogli się nawzajem szpiegować.

Ale czy był to tylko dowcip?

Na spotkaniach często pytano mnie o mój pobyt w więzieniu i nad Kanałem. Początkowo nie mogłam za dużo o tym mówić. Nie potrafiłam dobrać słów.

Mihai stopniowo skłonił mnie do mówienia. Kiedy dowiedział się, jak byliśmy bite i zmuszane do jedzenia trawy, żeby przeżyć, zapytał:

— Jak mogłaś znieść to wszystko i nie załamać się, i nie zaprzeć się Chrystusa?

W odpowiedzi opowiedziałam mu o pewnej osobliwości języka hebrajskiego. W języku hebrajskim, o dziwo, niektóre przyszłe wydarzenia są przedstawione za pomocą czasu przeszłego dokonanego. Czas przeszły dokonany nosi taką nazwę, ponieważ służy do wyrażania czynności, które w chwili mówienia są już całkowicie i doskonale ukończone. I tak w wielkim pięćdziesiątym trzecim rozdziale Księgi Izajasza, w którym przepowiedziane jest przyjście Mesjasza i Jego cierpienia, autor mówi o tych wydarzeniach tak, jakby należały one do przeszłości, a nie do przyszłości. Jednakże słowa te zostały zapisane osiemset lat przed narodzeniem Chrystusa.

Kiedy Jezus czytał przepowiednie o swoich wielkich cierpieniach, one już się zaczęły. Był już wtedy wzgardzony i odepchnięty przez ludzi. Stanowiły Jego terażniejszość i przyszłość. Wszakże czytając o nich w języku hebrajskim, odbierał je tak, jakby wydarzyły się w przeszłości.

Dokładnie tak czułam się pośród cierpienia. Starłam się wyjaśnić, że radość jest wieczną terażniejszością, w której przebywa duch chrześcijanina. Znajdowałam się na wyżynach niebieskich, z których nikt nie mógł mnie usunąć. Gdzie były nieszczęścia, które mnie spotykały? Dla tej najbardziej nietykalnej części mojego umysłu były czymś z przeszłości. Przeżyłam to cierpienie dawno temu, natomiast terażniejszą rzeczywistością było rozkoszowanie się bliskością Pana.

To przeświadczenie, że cierpienie już się wydarzyło, ocaliło mnie. Katastrofy spotykają nas wszystkich, ale kiedy już przeminą, przemijają na zawsze. Tego właśnie można nauczyć się z

tej osobliwości języka hebrajskiego. Doświadczamy teraz minionych dramatów.

Po wielu latach rozmawiałam o tym z Richardem. Powiedział, że kiedy przebywał w izolacji, odczuwał to samo dokładnie w taki sam sposób. Zastanawiałam się, czy nie był to kolejny przykład naszego wzajemnego porozumiewania się w duchu.

Po licznych przesłuchaniach przeprowadzonych przez służbę bezpieczeństwa i wypełnieniu wielu formularzy Trudi zainstalowała się w domu pułkownika Shircanu. Jakiś miesiąc później przekazała mi pilną wiadomość. Nie przychodziła już do naszego mieszkania, ale zostawiła informację dla nas w pewnym domu. Nauczycielka, panna Landauer, przekazała ją dalej.

Była to zła wiadomość. Trudi podsłyszała, jak Shircanu wspominał w rozmowie telefonicznej nazwisko pastora N., który często przychodził na nasze spotkania.

— Jestem przekonany, że on nam pomoże — powiedział.

Pastor ten, przyparty do muru, wyznał nam, że grożono mu długim wyrokiem więziennym. Jego zdrowie podupadało. Nie dałby rady. Kilka dni wcześniej obiecał, że będzie „współpracować” z Shircanu. Ale jak dotąd nic dla niego nie zrobił.

Ogromnie zawstydzony pastor N. wyjechał z Bukaresztu do prowincjonalnego miasteczka.

Potem Trudi podała nam nazwisko studentki, o której Shircanu wspominał w podobnych okolicznościach.

Początkowo wszystkiego się wyparła. Położyłam dłoń na jej dłoniach.

— Proszę, powiedz prawdę. Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, jaką presję wywierali na ciebie. Wielu ludzi powiedziało nam wcześniej — z własnej dobrej woli — jak zmuszano ich do donosicielstwa. Swoim prawdziwym przyjaciółom powinnaś wyjawiać to, co naprawdę się wydarzyło.

Zalęła się łzami i uklękła obok mnie.

— Szłam sobie po ulicy — szlochała — kiedy podjechał samochód i dwóch mężczyzn powiedziało: „Jesteśmy z milicji. Wsiadaj”. Nigdzie mnie nie zawieźli, tylko wozili całymi godzinami. Cały czas mówili mi, że muszę co tydzień donosić o wszystkim, co się mówi i robi w twoim domu i w kościele, i że jeśli tego nie zrobię, to straszne rzeczy przydarzą się mojej rodzinie.

Zgodziła się więc. Ale przysięgła mi, że nie doniosła o niczym, co mogłoby nam zbytnio zaszkodzić. Mogłam mieć tylko nadzieję, że tak jest w istocie.

Raz za razem Trudi dostarczała nam wartościowych informacji. Ale jej najbardziej spektakularnym wyczynem było to, że zamieniła dom pułkownika w tajną kryjówkę dla tych, których on starał się wytropić.

Z racji tego, że Shircanu wspinał się wysoko w komunistycznej hierarchii, mógł cieszyć się związanymi z tym przywilejami. Zabierał swoją rodzinę na wakacje w góry lub nad morze. Zaufana Trudi miała opiekować się domem. Pani Shircanu nazywała ją: „Mój mały skarb”.

Pewnego razu Trudi przekazała nam przez pannę Landauer pewną propozycję:

— Dlaczego nie mielibyśmy odbyć spotkania tutaj, w domu rodziny Shircanu? Nie będzie ich przez kilka dni, dom jest duży i ma kilka wejść. Nikt nie będzie niczego podejrzewać.

I rzeczywiście, któż podejrzewałby, że chrześcijanie odbędą tajne spotkanie w domu człowieka, który kierował służbami prowadzącymi infiltrację Kościoła? Pomyślałam, że warto spróbować. W umówiony wieczór pół tuzina nieco zdenerwowanych liderów Kościoła podziemnego przybyło tam pojedynczo w odpowiednich odstępach czasowych. Powitała nas uśmiechnięta Trudi. Wszystko poszło doskonale.

Od tamtej pory dosyć regularnie spotykaliśmy się w domu pułkownika Shircanu, gdy ten gdzieś wyjechał.

Trudi dobrze odgrywała swoją podwójną rolę. W miarę upływu czasu coraz więcej naszych ludzi uczyło się postępować tak samo. Musieli wyśpiewywać czerwone pieśni i peany na cześć partii. Większości z nich powiodło się. Niektórzy wysoko awansowali.

Uczyliśmy się z doświadczeń Kościoła podziemnego w Rosji, który doznawał prześladowań już od trzydziestu lat. Bracia z Besarabii, prowincji, którą Rosjanie wykradli nam podczas wojny, opowiadali o tym, w jaki sposób tamtejsi chrześcijanie stawiali opór. Wiedzieliśmy więc, jak działać w podobnych okolicznościach.

Niepowodzenia były jednak nieuchronne. Dla niektórych pracowników stresy związane z podwójnym życiem były zbyt duże. Inni zaczęli poczynać sobie nazbyt śmiało i zapłacili za to cenę.

Jeden z naszych ludzi był kierownikiem ogromnej księgarni państwowej, która zajmowała kilka pięter. Nie miał oczywiście w

sprzedaży Biblii, ale miał na stanie ogromne ilości podręczników wymierzonych przeciwko Bogu, w których znajdowała się wielka skarbnica tekstów i wersetów zaczerpniętych z Biblii. Były one opatrzone szyderczymi komentarzami, ale większość czytelników po prostu śmiała się z tych krytycznych uwag. Sprzedano wiele egzemplarzy tych książek.

Niewykluczone, że to właśnie ten sukces spowodował, że kierownik księgarni posunął się za daleko.

23-go sierpnia w Dzień Wyzwolenia wystawa księgarni przyciągała pełne zachwyty tłumy. Ale kiedy ludzie nie przestawali się tam gromadzić, podśmiechiwać, a nawet klaskać, zaciekało to służbę bezpieczeństwa. Trudi powiedziała nam później, że to właśnie pułkownik Shircanu rozwiązał tę zagadkę. Przepchnąwszy się do przodu tłumu na ulicy Zwycięstwa, przyjrzał się wnikliwie portretom Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, które zajmowały większość miejsca na wystawie. Nie było w nich nic śmiesznego. Potem zauważył, że pod obrazami znajduje się plakat reklamujący tanie wydanie arcydzieła Victora Hugo. Dużymi czarnymi literami był na nim zapisany tytuł: NĘDZNICY.

Wydał więc rozkaz aresztowania kierownika i wysłał go do obozu pracy, gdzie przydzielono go do wycinania trzciny u ujścia Dunaju — było to wówczas kolejne wielkie przedsięwzięcie państwowe.

19

Ruch duchowego oporu

Kilka miesięcy po moim uwolnieniu po zawilgoconej klatce schodowej wspiał się do naszego mieszkania urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Był to otyły mężczyzna z tubalnym głosem i czarnymi włosami z przedziałkiem pośrodku. Miał ze sobą teczkę, pękającą w szwach od upchanych w niej dokumentów.

Chciał wiedzieć, czy jestem matką. Byłam nią przecież. Ale cóż ze mnie za matka? Czyżbym w ogóle nie troszczyła się o swoje dziecko? Czyżbym nie chciała, żeby otrzymał jak najlepsze wykształcenie? Czyżbym nie chciała, żeby dostał pracę z dobrą pensją, emeryturą wypłacaną przez państwo i kartkami żywnościowymi? Oczywiście, że chcę, więc DLACZEGO NIE ZMIENIŁAM NAZWISKA? JAK ŚMIEM NAZYWAĆ SIĘ MATKĄ!

Krzyczał i perorował w tym duchu przez kilka minut. Siedziałam w milczeniu i przyglądałam mu się. Im mniej będę mówić, tym szybciej dotrze do sedna sprawy. Wiedziałam, o co mu chodzi.

Rozwód. Jakież z tego pożytek, powiedział w końcu, żeby być nadal związaną ze swoim mężem? Kontrrewolucjonistą, z którym już nigdy nie powinnam się spotkać? To kwestia zwyczajnego zdrowego rozsądku, żeby młoda inteligentna kobieta taka jak ja rozwiodła się z wrogiem państwa. Jeśli nie uczynię tego teraz, to z pewnością później. Jak długo mam zamiar występować przeciwko państwu w tym swoim ślepym, głupim nieposłuszeństwie?

Zastraszał mnie, to znowu przymiłał się i opowiadał rozdierające serce historie o naszym nieuchronnym losie. Miłość — drwił — miłość! To wierutna bzdura. Nic takiego nie istnieje. Potrzeba mi nowego męża i ojca dla moich dzieci. Nie ma żadnej miłości dla kontrrewolucjonistów.

Pomyślałam: Masz czelność mówić tak do mnie w moim domu.

Ale moją najlepszą obroną było milczenie.

— Nie poślubiłam mojego męża tylko dla szczęśliwych chwil. Zostaliśmy połączeni na zawsze i niezależnie od tego, co się wydarzy, nie rozwiódę się z nim.

Przekonywał i namawiał mnie przez kolejne pół godziny, ja zaś w ogóle się nie odzywałam. Nawet Bóg nie może zaprzeczyć twierdzeniom kogoś, kto milczy. W końcu urzędnik dał sobie spokój, potrząsając swoją okrągłą głową.

— Wcześniej czy później przyjdiesz do nas — powiedział. — One wszystkie to robią. Wiesz?!

Słyszałam, jak hałaśliwie schodził po schodach. Do swojej następnej ofiary. A z nią będzie mieć pewnie więcej szczęścia.

Czyniono wszelkie starania, żeby skłonić żony więźniów do wystąpienia o rozwód. Po pierwsze więzień, usłyszawszy o tym, że został porzucony, częstokroć zupełnie tracił wolę walki, a nawet chęć do życia. Po drugie łatwiej było wówczas nakłonić takie żony do życia na modłę komunistów. Kiedy rozwód był już sfinalizowany, kobiety te strasznie pragnęły zapomnieć o swoich mężach, a najłatwiejszym na to sposobem było przyjęcie linii partyjnej. Znałam mnóstwo rozwódek, które jak papugi powtarzały hasła sztychujące z więźniów politycznych — mężczyzn, których kochały i których dzieci urodziły. Po trzecie pozbawione ojca dzieci były zdane na łaskę państwa i już od najmłodszych lat można je było poddawać indoktrynacji.

Wystarczyło jedno słowo, żeby to wszystko załatwić. Kiedy zadzwonił urzędnik, mówiło się: „Tak”. A on zajmował się resztą.

Kilka dni później mąż zostawał poinformowany w obecności innych więźniów ze swojej celi: „Twoja żona postanowiła rozwieść się z tobą”.

Mężczyzna taki myślał wówczas: „Kogo ja w ogóle teraz obchodzę? Byłbym głupcem, gdybym nie uległ i nie podpisał tych bredni, które mi podsuwają, by dzięki temu wyjść na wolność”. Ale nawet jeśli podpisał, to mógł być jeszcze przetrzymywany w więzieniu przez kilka lat, a w międzyczasie jego żona miała już dzieci z innym mężczyzną. W taki sposób niszczone domy i rodziny. Po wyjściu z więzienia dowiedziałam się o tak wielu podobnych tragediach, że nie sposób byłoby je wszystkie opisać w jednej książce.

W więzieniu kobiety mawiały: „Jaka byłam głupia, że kłóciłam się z moim mężem o byle co. Jakże dobrą, kochającą żoną będę, jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę!”

Ale na zewnątrz często zaczynała się inna śpiewka: „Dlaczego nie miałabym się z nim rozwieść, jeśli tego właśnie chcę? Może siedzieć w więzieniu przez całe życie. Jak wyżywię dzieci bez kartek żywnościowych, jak dostanę pracę? Jego tak naprawdę to wszystko nie obchodzi...” Stopniowo przekonywały same siebie, że powinny odpowiedzieć ministerstwu: „Tak”.

Mówiłam takim kobietom, że powinnyśmy kochać mężów takimi, jakimi są i nie myśleć, że będziemy ich kochać tylko wówczas, gdy będę tacy, jacy naszym zdaniem powinni być. Doradzałam im, żeby myślały o szczęśliwych chwilach ze swojego małżeństwa i wykorzystywały je do odpierania pokus.

Nazbyt często przegrywałam. Naciski były zbyt gwałtowne.

Ale czasami dzięki zwykłemu żartowi udawało mi się pomóc ludziom zobaczyć ich problemy małżeńskie w nowym świetle. Miałam w pamięci starą żydowską opowieść. Oszłomiony mąż przyszedł do rabina, narzekając, że jego żona urodziła dziecko trzy miesiące po ich ślubie.

— Musiała mnie zdradzić! — powiedział.

— Wcale nie! — odpowiedział rabin. — Żyłeś ze swoją żoną trzy miesiące. Ona żyła z tobą trzy miesiące. Żyliście razem trzy miesiące. W sumie daje to dziewięć miesięcy. Wszystko jest w doskonałym porządku.

Niejednokrotnie, dążąc do uratowania małżeństwa, musiałam uciekać się do kompromisów nieco podobnych do tego.

A kiedy kobiety przychodziły do mnie, mówiąc, że mają zamiar rozwieść się ze swoim mężem przebywającym w więzieniu, opowiadałam im piękną historię o zwyczajach Malgasów, zamieszkujących Madagaskar. Gdy jakieś małżeństwo występuje tam o rozwód, małżonkowie stawiają się oddzielnie przed sędzią, który bardzo szczegółowo wypytuje męża i żonę o ich życie. Na podstawie tych rozmów sędzia pisze dwie deklaracje, a w dniu rozprawy mówi, że rozwód jest możliwy, ale najpierw małżonkowie muszą przeczytać to, co on napisał.

Żona czyta: „Moja ukochana — w tym dniu, w którym mamy się rozwieść, przypomina mi się ten piękny dzień, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jakże pragnąłem znaleźć się w twoich ramionach, jakże pragnąłem zostać twoim mężem! Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę z pracy, żeby być blisko ciebie. Czy pamiętasz nasz pierwszy pocałunek...” Dalej są tam opisane wszystkie najszcześniejsze chwile i wspomnienia z ich wspólnego życia.

W międzyczasie mąż czyta podobną deklarację ułożoną ze wspomnień żony, która kończy się słowami głębokiej wdzięczności za wszystkie dobre chwile pomimo obecnego konfliktu. Najczęściej małżonkowie zaczynają płakać ze wzruszenia i wracają do domu w pokoju.

Małżeństwo nigdy się nie rozpadnie ani przyjaźń nie zostanie zerwana, jeśli będziemy pamiętać o dobrych rzeczach, które się wydarzyły. Jednak nazbyt często nie pamiętamy.

Janetta i ja znałyśmy pewną atrakcyjną młodą kobietę Maurę Dalea, która miała dwoje małych dzieci, a jej mąż był w więzieniu. Był on więźniem politycznym. Przez siedem lat nic o nim nie słyszała. Związała się z innym mężczyzną. Dzieci dorastały prześląknięte komunistyczną propagandą.

W końcu po siedmiu latach przyszła kartka z więzienia. Wysłała mężowi paczkę. Ale nie powiedziała niczego o swoim romansie.

Po jedenastu latach jej mąż został zwolniony. Odnalazł swoją rodzinę. Dzieci, chłopczyk i dziewczynka, miały teraz dwanaście i trzynaście lat.

— Nie wiemy, kim pan jest — powiedziały okrutnie. — Ojciec? Mamy już ojca!

Próbował odzyskać Maurę. Ale było już za późno. Rozwiodła się z nim i wyszła za tego drugiego mężczyznę.

Załamal się. Widywałam go czasami na ulicy przygniecionego straszliwym bólem. Ale unikał mnie. Kilka lat później zmarł, wyniszczony latami więzienia i zdruzgotany utratą bliskich.

— To, co dzieje się w więzieniach — powiedziała Janetta — to mniejsza część tragedii. Setki tysięcy ludzi, całe nasze pokolenie i to pokolenie, które urodzi się w tych latach, będzie nosiło znamie tego, co komunizm z nami zrobił.

Czasami byłam w stanie pomóc ludziom w znalezieniu wyjścia z takich kłopotów, ponieważ znałam je z własnego życia. Niejednemu raz byłam kuszona w trakcie tych czternastu lat, które Richard spędził w więzieniu.

Do najpoważniejszego zdarzenia doszło jakiś rok po moim uwolnieniu. Pewien mężczyzna, który przychodził na nasze spotkania, zakochał się we mnie. Byłam samotna, miałam czterdzieści trzy lata i syna, który znajdował się w najtrudniejszym dla młodego człowieka okresie i bardzo potrzebował ojca. Lata mijały w szalonym tempie. A po Richardzie słuch zaginął.

Mężczyzna ten był kawalerem mniej więcej w moim wieku. Był rzetelny i stały, a Mihai bardzo go lubił. Był chrześcijaninem pochodzenia żydowskiego i mieszkał w jednym pokoju ze swoimi starymi rodzicami. Odwiedzaliśmy się nawzajem i czasami zabierał Mihaia do kina albo pomagał mu w nauce. Mihai bardzo pilnie uczył się teraz w domu.

Był uprzejmy i miły i wiedział, jak mnie rozbawić. Przyszła mi do głowy myśl: oto jest ktoś, z kim kobieta mogłaby żyć we wzajemnej miłości i zaufaniu. Czasami, kiedy ze mną rozmawiał, chwycił mnie za rękę i spoglądał mi w oczy z taką tęsknotą. Nie potrafiłam wysunąć swojej dłoni. Nigdy nie doszło do tego, co Kościół lub prawo państwowe uznałoby za cudzołóstwo. Niemniej jednak było to cudzołóstwo w oczach Bożych. I w moim sercu.

Na szczęście pastor Grecu zobaczył, co się dzieje i porozmawiał ze mną. Życzyłabym sobie, żeby wszyscy, którzy widzą, że ich przyjaciel jest bliski popadnięcia w takie kłopoty, postąpili tak samo jak on.

— Wiesz, jak bardzo cię kocham i cenię — powiedział pastor. — I nic nie zdoła tego zmienić.

Był bardzo przejęty i mówił z rzadko spotykaną szczerością.

— Znam ciebie i Richarda od wielu lat. I mam nadzieję, że wiesz, iż niezależnie od tego, czy zgrzeszycie czy nie, czy stracie wiarę czy też ją zachowacie, nadal będę troszczył się o was w taki sam sposób. A to z tego powodu, że znam was z tego, kim jesteście, a nie co robicie.

— Wybacz mi więc, że zapytam — dodał. — Jak to jest między tobą i Paulem?

Przez chwilę milczałam.

— Nie myśl, że ja nie przechodziłem przez takie próby — kontynuował. — Proszę, odpowiedz na moje pytanie.

— On jest we mnie zakochany.

— A czy ty jesteś w nim zakochana?

— Nie wiem. Być może.

— Pamiętam, co Richard zwykł mówić — dodał. — „Żadna namiętność nie zdoła oprzeć się głosowi rozsądku. Jeśli zaczekasz, jeśli dasz sobie czas na przemyślenia, to zrozumiesz, jak wielką krzywdę mógłbyś lub mogłabyś wyrządzić swojemu mężowi lub żonie, a także swoim dzieciom”. Chciałbym, żebyś podjęła trudną decyzję — najtrudniejszą ze wszystkich. Nie spotykaj się więcej z tym mężczyzną.

Wiedziałam, że ma rację. Z pewnym trudem udawało mi się unikać Paula. Mijały tygodnie i w końcu przestał dążyć do spotkania ze mną.

Później dowiedziałam się, że pastor Grecu rozmawiał także z nim i przypomniał mu o Richardzie, przebywającym w więzieniu. Dopiero wówczas zobaczyłam, jak blisko byłam wyrzeczenia się wszystkich tych lat czekania i nadziei. Ukłękłam i pomodliłam się.

Były też inne pokusy. Czternaście lat to długi okres. Czasami niemalże ulegałam. Czasami była to tylko przemijająca słabość ciała. Popęd seksualny jest nieposkromiony i czasami nie można nazbyt srodze się oskarżać. Dobrze jest nie zapominać o tym, że powinniśmy być wyrozumiali zarówno dla samych siebie z naszymi słabościami, jak i dla innych.

Pewnego poranka szorowałam podłogę w kościele, gdy nagle wpadła tam Marietta, wymachując kartką pocztową.

Łzy spływały jej po policzkach.

— Myślę — myślę, że to od...

Nie była w stanie mówić dalej, ale ukłękła obok mnie na mokrych deskach, nie mogąc złapać tchu.

Odwróciłam tę tanią kartkę na drugą stronę. Była podpisana „Vasile Georgescu”, ale duże, nieregularne i piękne litery nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że był to charakter pisma Richarda. Zamgliło mi oczy.

Wiedziałam, że wszystko co piszą więźniowie polityczni jest poddawane cenzurze i że mogą napisać tylko dziesięć linijek. Co mógł napisać po tak wielu latach, nie wiedząc, czy jego żona i rodzina jeszcze żyje? Spojrzałam.

Ten drogocenny list, o którym tak długo marzyłam, zaczynał się od słów: „Czas i odległość zaduszają małą miłość, ale wielką umacniają...” Poprosił mnie też, żebym w określonym dniu przyjechała zobaczyć się z nim do szpitala więziennego w Tirgul-Ocna.

Wkrótce wieść o tym rozniosła się po Kościele podziemnym. Ludzie w całym kraju uczyli się tego listu na pamięć. Stał się on symbolem wiary.

W więzieniu odebrali Richardowi nawet jego imię. Był „Vasilem Georgescu”. Nawet strażnicy nie wiedzieli, kim był naprawdę. Gdyby tajemnica się wydała, zagranica mogłaby zadawać pytania. Musiał zniknąć bez śladu. Ale było to w 1948 roku.

Teraz jednak Chruszczow dążył do przejęcia całkowitej władzy w Rosji i zaczynały się pojawiać oznaki wielkich przemian. Po śmierci Stalina przez cały 1954 rok mieliśmy nadzieję, że Zachód zrobi coś dla nas. Ale w 1955 roku odbył się szczyt genewski, a potem Rumunia została członkiem ONZ. Byliśmy zaszokowani tymi wiadomościami. W całym kraju dziesiątki tysięcy więźniów politycznych przebywało w więzieniach. Nie przyszło nam do głowy, że Rumunia mogłaby zostać przyjęta do ONZ, zanim nie zostaliby oni uwolnieni.

Ale chociaż Karta Narodów Zjednoczonych, zobowiązująca państwa członkowskie do zapewnienia wolności religijnej i politycznej, została zignorowana, to jednak dzięki szczytowi genewskiemu warunki panujące w więzieniach nieco się poprawiły. Słyszeliśmy, że jedzenie jest lepsze i lekarstwa są dostępne. Chodziły słuchy o amnestii. Pozwalano też na więcej odwiedzin.

Kartka Richarda była najwspanialszą nowiną, jaką mogłam otrzymać. Ale chociaż tak bardzo pragnęłam się z nim zobaczyć, nie mogłam pojechać. Co tydzień musiałam stawiać się na posterunku milicji. Narzucony mi zakaz opuszczania Bukaresztu nie został uchylony. Mihai musiał więc zająć moje miejsce.

Tirgul-Ocna to małe miasteczko daleko na północy, po drugiej stronie Karpat. Trasa pociągu, licząca wiele set kilometrów, wiedzie wokół gór. Umówiłam się z ciotką Alicją, że pojedzie z Mihaiem. Nie znaczy to, że będzie mogła spotkać się z Richardem. Pozwolenie na odwiedzinę otrzymywała tylko żona i dziecko.

Czekałam na nich w domu. Nie było ich dwa dni i przez cały ten czas nachodziły mnie zmartwienia: Czy go zobaczą? (Pamiętałam, jak Mihai jechał tak daleko, żeby odwiedzić mnie nad Kanałem i został odesłany z niczym.) Czy pozwolą Richardowi zatrzymać kilka ciepłych ubrań i jedzenie, które zapakowałam? Skoro jest w więziennym sanatorium, to musi być bardzo chory. Czy będzie miał siłę, żeby wstać lub choćby porozmawiać z Mihaiem?

Wrócili późno wieczorem. Był grudzień. Usłyszeliśmy ich, jak wchodzą po schodach.

— Widzieliśmy go! Widzieliśmy go! — krzyczała Alicja jeszcze zanim weszła do środka.

A potem dodała:

— On żyje. Trzyma się na nogach!

Weszli do mieszkania obsypani śniegiem.

— Mihaiu!

— Mamo! Tatuś ma się dobrze i prosi, żeby ci powiedzieć, że wie, że wkrótce do nas wróci. Powiedział, że jeśli Bóg może dokonać jednego cudu i sprawić, że mnie zobaczył, to może dokonać także drugiego i połączyć nas wszystkich razem.

Po chwili wszyscy płakaliśmy. A potem zrobiliśmy im coś ciepłego do picia, a oni wszystko nam opowiedzieli. Byli z nami też Marietta i Petru. Zrobiło nam się całkiem wesoło. Bycie niemym kaleką, epileptyczką, żoną i synem więźnia nie przeszkadzało nam w doznawaniu radości. Policzki Alicji zarumieniły się, a gdy mówiła, wymachiwała z podniecenia rękami.

— Musieliśmy całymi godzinami czekać w śniegu. Wpuścili nas przed główną bramę, a potem staliśmy na placu otoczonym ogrodzeniem z drutu kolczastego, z dala od budynków sanatoryjnych. Więźniowie musieli przejść przez otwarty teren do blaszanego baraku, w którym spotykali się z odwiedzającymi. Ich widok był straszny. Przerażający! Grupki okutanych postaci na tle błyszczącego śniegu. Jak szare widma. I wśród nich zobaczyłam idącego Richarda. Nie można go było przegapić. Jest taki wysoki. Machałam jak szalona, ale mnie nie zauważył. Byliśmy strasznie stłoczeni i wszyscy machali. Tylko Mihaiowi pozwolono z nim rozmawiać.

Kiedy w końcu wyszli stamtąd, nie było już powrotnego pociągu. Przenocowali więc u znajomych rolników z tego miasteczka.

Mihai był tak bardzo wstrząśnięty tym, że widział się ze swoim ojcem, iż początkowo nie mogłam wiele z niego wydobyć. Ale byłam zbyt szczęśliwa, żeby zwracać na to uwagę. Pozwolono mu zostawić jedzenie i ubrania.

Dopiero później zdałam sobie sprawę, jakim szokiem musiało być dla niego to, że tego ojca, którego kochał i szanował, zobaczył za kratkami, z ogoloną głową i chudego jak szkielet.

Mihai od razu wyrzucił z siebie słowa, które sobie wcześniej przygotował:

— Mamusia mówi, żebyśmy się nie bali, bo jeśli nie spotkamy się już na ziemi, to spotkamy się w niebie.

Pocieszające słowa! Richard uśmiechnął się i zapytał:

— Czy macie co jeść?

— Och tak — odparł Mihai. — Nasz Ojciec troszczy się o nas!

Przysłuchujący się rozmowie więzienny oficer polityczny wyszczerzył zęby, gdy to usłyszał. Sądził, że oznacza to, iż ponownie wyszłam za mąż.

W takich warunkach niewiele mogli powiedzieć. Ostatnie słowa Richarda brzmiały:

— Mihaiu, jedyny dar, jaki mogę dać ci jako ojciec, to powie-
dzieć ci: daj zawsze do najwznioślejszej z cnót chrześcijańskich,
którą jest zachowywanie we wszystkim właściwej miary.

Kartkę od Richarda włożyłam do swojej Biblii. Od czasu do czasu zaglądałam do niej i czytałam po raz setny. W więzieniu stał się mistrzem w pisaniu tych miniaturowych liścików. Powiedział mi później, że inni więźniowie przychodzili do niego po pomoc, ponieważ potrafił w niewielu słowach zawrzeć tak wiele treści. Pytali się też nawzajem, co Richard powiedział i przekazywali to sobie z ust do ust. W rezultacie dziesiątki więźniów zaczynało swoje kartki od słów: „Czas i odległość zaduszają małą miłość, ale wielką umacniają”. I w ten sposób przesłanie miłości i nadziei rozchodziło się wszędzie.

Rok 1956 zastał cały blok komunistyczny w buntowniczym na-
stroju. „Plany pięcioletnie” na nic się nie zdały. Niedobory żywno-
ści były takie jak zawsze. Pensje były niskie. Rozwiały się wszystkie
nadzieje rozbudzone po śmierci Stalina.

Wtedy to w lutym na XX-ym Zjeździe KPZR Chruszczow wy-
głosił swoje tajne przemówienie, potępiające Stalina i jego poczyna-
nia. Rosjanie nigdy go nie opublikowali, ale w niedługim czasie
wszystkie kraje Europy Wschodniej poczuły wiejący z Moskwy
ciepły powiew odwilży.

Coraz szybciej pojawiały się oznaki destalinizacji. Ogromne
siły milicyjne i niezwykle rozbudowana służba bezpieczeństwa
zostały zredukowane liczebnie. W celu ratowania gospodarki ne-
gocjowano z krajami zachodnimi kontrakty handlowe warte mi-
liony dolarów. Kolektywizacja została złagodzona. W kilku krajach
bloku komunistycznego rozpoczęła się walka o przywództwo w
partii. A najwspanialsze było to, że w wyniku amnestii codziennie
uwalniano setki więźniów politycznych.

Nie śmiałam nawet marzyć, że Richard będzie pośród nich.
Nie było żadnego sygnału, żadnych wieści. Miał jeszcze dwana-
ście lat do odsiadki.

Pewnego pięknego czerwcowego poranka w 1956 roku po-
szłam odwiedzić przyjaciół. Gdy wróciłam, był w domu. Objął
mnie swoimi ramionami.

Był to wieczór pełen śmiechu, łez i powitań z przyjaciółmi, którzy schodzili się z całego Bukaresztu. Długo po północy pożyczaliśmy od sąsiadów materac i zrobiliśmy z niego łóżko. Richard jest taki wysoki, że musieliśmy położyć na krzesło poduszkę pod jego stopy.

Nie spał. Wiem, ponieważ ani ja, ani Janetta nie mogłyśmy zasnąć. Nad ranem wstał, podszedł po cichu do łóżka Mihaia i bardzo długo mu się przyglądał, jakby chciał się upewnić, że on naprawdę tam jest.

W więzieniu Richard był bity i faszcerowany lekami odurzającymi. Na swoim zmaltretowanym ciele miał osiemnaście blizn po torturach, ale nie zaczął mówić. Lekarze odkryli, że jego płuca są pokryte zrostami po gruźlicy. Nie mogli po prostu uwierzyć, że przeżył w więzieniu osiem i pół roku (w tym trzy lata w podziemnej izolatce) w zasadzie nie leczony. Dostał teraz najlepsze łóżko w szpitalu. Wszyscy uwolnieni więźniowie spotykali się z uprzejmością i szczodrością ludzi wszędzie tam, dokąd się udawali. Stanowili najbardziej uprzywilejowaną grupę w Rumunii, co doprowadzało komunistów do szału.

Richard musiał nieustannie się przemieszczać. Bracia z całego kraju zjeżdżali się, żeby się z nim zobaczyć. Musiał więc przenosić się ze szpitala do szpitala, żeby nie przyciągać uwagi służby bezpieczeństwa.

Niedługo po tym, jak mu się polepszyło, obchodziliśmy dwudziestą rocznicę ślubu. Richard nie miał ani grosza na prezent dla mnie. Ale zdobył ślicznie oprawiony notatnik, w którym co wieczór zapisywał wersety z Biblii i wiersze miłosne skierowane do mnie. Mihai i inni bliscy przyjaciele również zapisywali w nim krótkie pozdrowienia. A w dniu rocznicy naszego ślubu wręczył mi go. Jednakże ten uroczy podarunek nie należał do mnie zbyt długo.

W pierwszym powiewie politycznej odwilży Richardowi wydano pozwolenie na głoszenie kazań. Prześladowania bardzo zbliżyły kościoły i został on najpierw zaproszony do wygłoszenia kazania w katedrze prawosławnej w Sibiu, gdzie popem był nasz stary przyjaciel.

— Jedyne problem w tym — powiedział pop — że muszę mieć na względzie Metropolitę. Będzie się od ciebie oczekiwać, że zrobisz znak krzyża i tak dalej.

— Zrobię ile tylko będzie trzeba znaków, które są wymagane w obrządku prawosławnym, pod warunkiem, że będę mógł mówić o Jego krzyżu — odparł Richard.

Pojechałam do Sibiu razem z nim. Nadal był słaby i musieli mu znaleźć coś, na czym mógłby siedzieć, podczas gdy będzie mówić. Zdecydowali się przynieść tron Metropolity. A gdy ludzie to zobaczyli, rozeszła się plotka, że sam Metropolita ma głosić kazanie. Zamiast tego pojawił się ten człowiek, o którym ludzie mówią, że jest Żydem.

Richard nie tylko zrobił znak krzyża, lecz także głosił o krzyżu i jego znaczeniu. W kazaniu tym nie było jednoznacznych akcentów politycznych. Niemniej jednak donosiciele z kościoła przekazali służbie bezpieczeństwa każde słowo, a ta z kolei, niejednokrotnie lepiej od niektórych chrześcijan, rozumiała ukryte znaczenie tych słów.

Kiedy Richard przemawiał następnym razem podczas serii spotkań ze studentami uniwersytetu w Klużu, Ministerstwo ds. Religii wysłało tam jednego ze swoich czołowych przedstawicieli. Człowiek ten złożył sprawozdanie, w którym stwierdził, że wykłady Richarda to „potoki podburzających słów”. Podburzanie polegało na tym, że po kolei obalił wszystkie marksistowskie argumenty wymierzone przeciwko religii. Biskup luterański został zmuszony wbrew swojej woli do pozbawienia Richarda prawa do wygłaszania kazań w Rumunii. Posiadał je przez sześć tygodni.

Na następnym spotkaniu duchownych luterańskich przedstawicieli Ministerstwa ds. Religii powiedział z nienawiścią w głosie:

— Wurmbrand jest skończony, skończony!

I wyszedł z budynku.

Za kilka minut rozległ się pisk hamulców i doszło do straszego wypadku. Mężczyzna ten został potrącony i przygnieciony do muru przez samochód, który z niewyjaśnionych przyczyn wjechał na chodnik.

Richard nadal potajemnie głosił kazania. Przemykał z miejsca na miejsce. Mówił krótko na tajnych spotkaniach w małych kościołach i od razu opuszczał zebranych, zanim ktokolwiek zdążył donieść o tym lokalnej milicji. Wychodził z domu, nie mówiąc mi nawet, dokąd idzie. Żyłam więc w ciągłym strachu.

Mihai nazywał go „kaznodzieją widmem”, ale wiedział, że nie było to wcale takie wesołe. W każdej chwili mógł znów zostać aresztowany.

Zanim rok dobiegł końca, w Polsce i na Węgrzech wybuchły powstania, ale szybko je stłumiono. „Odwilż” była krótkotrwała.

Niemniej jednak przez cztery miesiące, od uwolnienia Richarda do październikowych powstań, mieliśmy chwilę wytchnienia. Małe seminarium teologiczne w Sibiu otrzymało pozwolenie na wykształcenie kilku nowych pastorów. Mihai postanowił, że się do niego zapisze.

Miał teraz osiemnaście lat i żelazny charakter. Niezbyt przypominał chłopca, którego Richard zostawił wiele lat temu. Stoczył w tym okresie ciężkie duchowe walki, spotkało go też wiele trudnych doświadczeń. Ale pomimo wątpliwości, które go nachodziły, i pomimo napastliwej indoktrynacji pozostał chrześcijaninem.

Richard pomagał mu teraz wzmacniać jego wiarę. Ale już na samym początku Mihai zaznaczył:

— Ojciec, Kocham Cię i szanuję, ale ty to ty, a ja to ja. Nie myślimy o wszystkim tak samo. Mam swoją własną osobowość!

Mihai zdał wszystkie egzaminy ze szkoły średniej, chociaż po ukończeniu piętnastego roku życia ani razu nie był w szkole. A teraz postanowił, że zostanie pastorem.

— Czy jesteś pewny, że chcesz iść do tego seminarium? — spytał Richard. — Naprawdę nie polecam go. Żadnemu młodemu człowiekowi.

— A dlaczegoż by nie?

— Ponieważ to, czego w dzisiejszych czasach uczą w seminariach, jest najczęściej destruktywne. Nie będą cię tam uczyć miłości do Boga i do Biblii czy też najlepszego sposobu naśladowania przykładu świętych. Będziesz tam rozbierać Biblię na czynniki pierwsze i doszukiwać się w Słowie Bożym sprzeczności. Może to zatruć twoją duszę. Niektórzy z profesorów są głęboko wierzący, ale pozostałym daleko do tego.

Ale Mihai się uparł.

Kiedy wrócił do domu na Boże Narodzenie, przeżyłam duży szok. Podczas rodzinnej modlitwy Richard przeczytał jakiś fragment z Ewangelii, w którym Jezus cytuje Stary Testament.

— Och — Mihai powiedział później. — Nie myślę, że takie jest znaczenie tego fragmentu. Bo przecież Jezus nie posiadał ani wiedzy, ani wykształcenia potrzebnych do właściwej naukowej interpretacji Starego Testamentu.

— Nie posiadał? — powiedziała, siłą powstrzymując się od płaczu. — Bądźmy za to wdzięczni.

Mihai uporał się ze swą młodzieńczą arogancją. Rozmawialiśmy z nim i w końcu zaczął sprzeciwiać się natchnionej przez komunizm nauce swoich profesorów. Miał z tego powodu wiele kłopotów.

Marzył wtedy, żeby zostać misjonarzem w Indiach. Studiował hinduskie religie i zwyczaje. Trochę się obawiałam, widząc go, jak przez kilka minut stoi na głowie zgodnie z zasadami hata-jogi.

— Czy nie wydaje ci się, że Bóg stworzył nogi po to, żebyśmy na nich stali? — zapytałam.

Jako temat swojej pracy magisterskiej wybrał życie dwóch nonkonformistycznych kaznodziejów brytyjskich Bootha i Spurgeona, którzy nie przykładali wielkiej wagi do akademickiego wykształcenia teologicznego.

Komuniści chcieli, żeby seminarium było otwarte, aby zrobić wrażenie na Zachodzie (Rumunia przystąpiła właśnie do Światowej Rady Kościołów). Niemniej jednak liczbę studentów starali się ograniczyć do minimum. Kiedy zgłosiło się czterystu nowych kandydatów, władze zostały zaalarmowane. Dali tym chłopcom do zrozumienia, że jeśli będą obstawać przy swoim, to ich ojcowie mogą stracić pracę. Wielu więc wycofało się „dobrowolnie”. W 1965 roku w seminarium luterańskim w Klużu zostało tylko pięciu studentów, a w seminarium baptystycznym w Bukareszcie sześciu.

Mihaiowi udało się jednak studiować w Sibiu przez trzy lata. Była tam dobra biblioteka, a niektórzy profesorzy byli wspaniałymi ludźmi. Nie było go więc w domu, kiedy przyszli, żeby po raz drugi aresztować jego ojca.

Wiedzieliśmy, że to się zbliża. Nowa fala terroru rozszalała się w 1958 roku. I wszyscy widzieliśmy, jak zostaliśmy oszukani. Wielu naprawdę myślało, że komuniści rzeczywiście chcieli jakoś pogodzić się z Zachodem. I że zmiękną. Chociaż ludzie byli w przeszłości świadkami tak wielu matactw, to jednak nadal nie zdawali sobie sprawy z głębi tego całego zakłamania.

W lipcu 1958 roku uchwalono całą serię praw, które były surowsze niż wszystko to, co dotychczas widziano w krajach satellickich. Wprowadzono karę śmierci za wiele pomniejszych przestępstw i już jesienią powszechnie ją stosowano. Powróciły masowe aresztowania. Tysiące ludzi zostało wysłanych do nowych obozów pracy niewolniczej, by realizować kolejne wielkie przedsięwzięcia, takie jak osuszanie mokradeł w delcie Dunaju. Wszyst-

kich młodocianych przestępców (czyli młodych ludzi, którzy krytykowali rząd) wysyłano „do trzciny”.

Zaczęła się nowa czystka w szeregach urzędniczych. Wszyscy urzędnicy o wątpliwym pochodzeniu społecznym, którzy znaleźli sobie pracę w czasie „odwilży”, zostali teraz wylani. Wydano przepis zabraniający zarówno im, jak ich dzieciom podejmować pracę w jakiegokolwiek gałęzi administracji państwowej.

Wznowiono walkę z religią. Na rozkaz Chruszczowa w całej Europie Wschodniej zamykano kościoły i aresztowano księży. Była to część siedmioletniej kampanii, mającej na celu „wytępienie pozostałości zabobonów”.

Nasze poddasze stało się teraz centrum Kościoła podziemnego w większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej. Nie mogło to zbyt długo ująć uwagi władz. Co wieczór Richard modlił się:

— Boże, jeśli znasz jakiegoś więźnia, któremu mógłbym się na coś przydać, to pošlij mnie z powrotem do więzienia.

Po tej modlitwie z wahaniem wypowiadałam: Amen.

We wtorkowy wieczór w styczniu 1959 roku pewna kobieta z naszego kościoła przyszła do nas cała zapłakana. Tydzień wcześniej pożyczyła trochę kopii kazań Richarda. Setki z nich, powielone na powielaczu, krążyły po całej Rumunii. Było to całkowicie wbrew prawu. A teraz służba bezpieczeństwa przeprowadziła nalożenie na jej mieszkanie i zabrała te pożyczone kopie.

Od naszego informatora w partii dowiedzieliśmy się także, że młody pastor, który twierdził, że jest przyjacielem Richarda, doniósł na niego. Możliwe, że go szantażowano — zmuszając do podpisania donosu pod karą więzienia. Tak czy inaczej, zrobił to i nie do mnie należy oceniać jego motywów. Lubiliśmy go i lepiej jest po prostu nadal kochać.

W środę 15-go stycznia o pierwszej w nocy służba bezpieczeństwa zaczęła się dobijać do drzwi i wtargnęła na nasze poddasze, zanim jeszcze zdążyliśmy wstać z łóżka. Zapaliło się światło.

— To ty jesteś Richard Wurmbrand? Przejdź do drugiego pokoju. I zostań tam.

W naszym małym mieszkanku kłębiło się od mężczyzn otwierających szafki, wysypujących zawartość szuflad i wyrzucających papiery na podłogę. Na biurku Richarda znaleźli kartki z notatkami, kazania napisane na maszynie, zużyte Biblie. Wszystko zostało skonfiskowane.

Potem znaleźli prezent, który dostałam na rocznicę ślubu — notatnik, w którym Richard i Mihai pisali dla mnie wiersze.

— Proszę, nie zabierajcie tego. To jest rzecz osobista, prezent. Na nic wam się nie przyda.

Zabrali.

Dowodzący akcją kapitan wyprowadził mojego męża z drugiego pokoju. Richard miał już założone kajdanki.

— Czy nie wstyd wam traktować w ten sposób niewinnych ludzi? — powiedziałam.

Richard przesunął się w moją stronę. Złapali go za rękę.

— Nie opuszczę tego domu bez walki, jeśli nie pozwolicie mi objąć mojej żony — ostrzegł ich.

— Pozwólcie mu — powiedział kapitan.

Uklękaliśmy i zaczęliśmy się modlić, podczas gdy służba bezpieczeństwa stała wokół nas. Potem zaśpiewaliśmy pieśń „Jedynym fundamentem Kościoła jest Jezus Chrystus, Jego Pan”.

Ręka opadła na ramię Richarda.

— Musimy iść. Jest już prawie piąta — powiedział kapitan.

Ale mówił cicho i oczy mu lśniły.

Zesłam za nimi po schodach. Richard odwrócił się i rzekł:

— Przekaż moje serdeczne pozdrowienia Mihaiowi i temu pastorowi, który na mnie doniósł.

Wepchnęli go do furgonetki.

Kiedy zapalili silnik, zaczęłam wołać:

— Richardzie! Richardzie!

Biegłam za furgonetką po pokrytej lodem ulicy, wołając i płacząc. Potem zniknęła za rogiem. Musiałam się zatrzymać. Nie mogłam złapać tchu i byłam oszołomiona.

Wróciłam na poddasze. Drzwi były otwarte na oścież. Płacząc, rzuciłam się na podłogę.

— Panie, powierzam mojego męża w Twoje ręce — wołałam.

— Nie mogę nic uczynić, ale Ty możesz przechodzić przez zaryglowane drzwi. Możesz ustawić wokół niego aniołów. Możesz sprowadzić go z powrotem!

Siedziałam w ciemności, modląc się, aż nadszedł nowy dzień. Wtedy zaczęłam sobie przypominać, co mam ciągle jeszcze do zrobienia. Alicja przyszła mnie odwiedzić.

— Znowu ukradli mojego Richarda — powiedziałam jej.

20

Nowy terror

Najpierw trzeba było powiedzieć Mihaiowi. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe. Przeżył już tak wiele tragedii. Nie można było też dopuścić do tego, żeby dowiedzieli się o tym donosiciele na uniwersytecie, bo zostałby wydalony. Nie mogłam więc jechać. Znali mnie tam.

Nazajutrz wcześniej rano Alicja pojechała tam pociągiem i czekała w małym parku niedaleko wydziału teologicznego, aż Mihai będzie tamtędy przechodzić. Nie ośmieliła się o nic zapytać innych studentów. Gdyby donieśli o jej przyjeździe (a niezrobienie tego było uważane za wykroczenie), wszystko by się wydało.

Mogła mieć tylko nadzieję, że Mihai będzie tamtędy przechodzić. Było straszliwie zimno. Śnieg otulał gałęzie drzew i grubą warstwą pokrywał ławki. Pod wieczór Mihai nadszedł.

— Tak — powiedział. — Spodziewałem się tego. Powiedz mamie, że natychmiast przyjeżdżam do domu. Ją też mogą zabrać.

— Ale co z twoimi studiami? — zapytała Alicja. — Poświęciłeś na nie prawie trzy lata...

— Jakie to ma znaczenie? Czasami to właśnie pastory z tytułami dopuszczają się zdrady i niszczą to, co zbudowali prawdziwi „rybacy ludzi”. Lepiej już bez tytułu naukowego. I tak mnie wkrótce wyrzucą. Jak przyjdzie im na to ochota.

Było już bardzo późno, kiedy Alicja wróciła na poddasze i opowiedziała mi o wszystkim, o czym rozmawiali.

Zobaczyłam Richarda jeszcze raz, zanim zniknął na kolejnych sześć lat. Było to podczas procesu. Krewni mogli w nim uczestniczyć. Partia postępowała w sposób nieco bardziej formalny w porównaniu z 1948 r. Nie zamykamy ludzi w więzieniach bez żadnego powodu — mówili światu — mamy swoje trybunały i sędziów.

Było ich pięciu — zasiedli na podium pod czerwonym sztandarem z napisem: SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA LUDU W SŁUŻBIE LUDU. Powyżej wisiały portrety Gheorghiu-Deja i innych dobrze odżywionych liderów partyjnych.

Wrogowie ludu wchodzili przez jedne drzwi i wychodzili przez drugie — akt oskarżenia zostawał odczytany, dawano możliwość przedstawienia linii obrony, wydawano wyrok, a wszystko to zajmowało kilka minut. Księża, wieśniacy, Cyganie, dziennikarze przesuwali się przed naszymi oczami, jakby jechali na jakimś pasie transmisyjnym.

Jakiś zamiatacz upił się i krzyczał:

— Gheorghiu-Dej to stary idiota. Powinien wrócić do kierowania swoją puf-puf!

(Dej był kiedyś kolejarzem.)

Na sali rozpraw zawrzało, aż w końcu obrońca zamiatacza poprosił o ułaskawienie.

— Dwa lata — powiedział przewodniczący składu sędziowskiego.

Wprowadzono zamiatacza. Wprowadzono Richarda.

Nie słyszałam ani jednego słowa z tego, co działo się później. On także niczego nie słyszał. Po prostu patrzyliśmy na siebie. Być może po raz ostatni.

Mihai powiedział mi potem, że ponownie rozpatrzono jego starą sprawę z tajnego procesu, który odbył się w 1951 roku. Amnestia została zniesiona i przywrócono stary wyrok. Kiedy wychodził, odwrócił się i obdarzył nas ostatnim radosnym uśmiechem. Wszystko zajęło kilka minut.

Pisarz sądowy, niewysoki i wyglądający na okrutnie zmęczonego, podszedł do mnie i wręczył mi kartkę. Było na niej napisane, że Wurmbrand R., urodzony w 1909 roku itd., itd., został skazany na dwadzieścia pięć lat. Dodano pięć lat.

Później dowiedzieliśmy się, że wyrok obejmował także wysoką grzywnę i pokrycie „kosztów procesu”. Tak więc cały nasz dobytek został ponownie skonfiskowany. Działo się tak z rodzinami wszystkich więźniów politycznych. Nie mieliśmy pieniędzy, więc odwiedziło nas dwóch urzędników z urzędu skarbowego, żeby wymusić na nas zapłatę. Wyszli, zabierając tych kilka cennych rzeczy, które udało nam się zgromadzić od chwili mojego uwolnienia w 1953 roku.

Zostawili nam łóżka, stół i dwa krzesła. Uważaliśmy, że jesteśmy niezłymi szczęściarzami. Ale w przeciągu następnych sześciu lat przychodzili ciągle na nowo, domagając się pieniędzy i konfiskując kolejne rzeczy. Zima, lato toczyłam bój z biurokracją o naszych kilka starych gratów.

Był to okres potwornego strachu. Codziennie dochodziło do aresztowań kolejnych przyjaciół. Prawie wszyscy bliscy nam ludzie byli z powrotem w więzieniu. Przestała dla nas istnieć różnica między nocą i dniem. Z całego kraju napływali ludzie, którzy opowiadali o terrorze, zamykanych kościołach i porwaniach.

Podczas gdy to wszystko działo się z nami, Chruszczow odbył swą „przełamującą lody” podróż do USA i mówiło się o ważnym spotkaniu na szczycie, do którego miałyby dojść w Paryżu w maju 1960 roku.

W mieszkaniu panny Landauer dyskutowaliśmy o widokach na przyszłość.

— Widzisz, Sabino — powiedziała — po tej konferencji twój mąż zostanie zwolniony. Dojdą do porozumienia. Drzwi więzień otworzą się!

Wtedy zadzwonił telefon — był to sąsiad, który chciał nam powiedzieć, że służba bezpieczeństwa jest na naszym poddaszu.

— Nie wracaj dzisiaj wieczorem! Na pewno zostaniesz aresztowana. Zabrali już Alicję.

Alicja była chyba najbardziej bezinteresowną i szczodrobliwą kobietą, jaką znałam. Wszystko, co miała, rozdawała innym. Troszczyła się o dzieci więźniów politycznych. Dzieci, które zostały dosłownie wyrzucone na ulicę. Na tym polegало jej przestępstwo.

Ponieważ podczas przesłuchań nie chciała przekazywać informacji o swoich przyjaciółach, została straszliwie pobita. Wybito jej zęby i połamano kości. Po czym skazano ją na osiem lat więzienia.

Tego wieczoru służba bezpieczeństwa przeszukiwała nasze poddasze przez dwie godziny. Oprócz Alicji aresztowali dziewczynę, która akurat nas odwiedziła — była to powszechna praktyka.

Jakiś czas potem wróciliśmy do zdemolowanego mieszkania. Ubrania i papiery leżały porzucane po podłodze. Łóżka były wywrócone do góry nogami. Nawet materace były poprzecinane.

— Wiesz, co zabrali? — powiedział Mihai. — To wspaniałe lekarstwo na reumatyzm.

Stara pani Tomaziu przepisała ręcznie całe strony z książki pewnego niemieckiego lekarza, który proponował dosyć wątpliwy sposób leczenia reumatyzmu. Nalegała, żebym pożyczyła od niej te kartki.

— To bardzo rzadka książka, moja droga. Mogłam ją pożyczyć tylko na jeden dzień. Nie zgub więc moich notatek bez względu na wszystko.

Bardzo trudno było jej wyjaśnić, że zabrała je służba bezpieczeństwa. Nie sądzę, żeby udało mi się ją do końca przekonać.

Całymi godzinami i dniami usiłowaliśmy dowiedzieć się czegoś o Alicji i pozostałych przyjaciółach, którzy byli codziennie aresztowani. Nasze wysiłki rzadko kończyły się powodzeniem. Znikali w bezdennej studni więzienia. Możliwe, że kiedyś znowu o nich usłyszymy. (O tym, co stało się Alicją, dowiedzieliśmy się dopiero bardzo długo po jej aresztowaniu.)

Wyglądało na to, że wszystkich naszych najbliższych przyjaciół spotyka ten sam los.

Stary pan Trifu, który był dla Mihaia jak dziadek. Był poetą w rodzaju W.H. Daviesa — nie mającym formalnego wykształcenia mieszkańcem wsi, piszącym wiersze o niebiańskiej prostocie i głębi. Można powiedzieć, że Mihai chował się na jego kolanach.

Nailescu, zapewne najwybitniejszy kompozytor muzyki religijnej w całym kraju. Zostawił żonę i czwórkę dzieci, które zostały wyrzucone z domu prosto na ulicę.

Pastor Armeanu. Gdy opowiadam o nim mieszkańcom Zachodu, myślą, że żartuję. Został skazany na dwadzieścia lat za wygłoszenie kazania na temat tekstu: „Zarzućcie swoje sieci po prawej stronie...”

— Aha! — powiedzieli. — Dlaczego nie po lewej? Imperialistyczna propaganda!

Donosiciel przekazał informacje o tym kazaniu. Stanowiło ono pretekst do aresztowania.

Pastor Armeanu zostawił żonę i pięcioro małych dzieci. Zostały one wywiezione w odludne rejony kraju — do Baraganu. Pewnego dnia pani Armeanu przyszła do naszych drzwi. Była wyczerpana i chora. Przyjęliśmy ją. Nie była ciężarem. Wręcz przeciwnie, jej pełne słodczy usposobienie, dzięki któremu zносиła wszystko bez słowa skargi, wszystkim nam pomagało.

Ale teraz było nas pięcioro.

Człowiek, którego wszyscy podejrzewaliśmy o to, że doniósł na pastora Armeanu, przyszedł na spotkanie Kościoła podziemnego.

Pani Armeanu szepnęła:

— Zostawcie go. Został do tego zmuszony.

Chciała przebaczyć i zapomnieć.

Ale ja nie chciałam. Postanowiłam go sprawdzić:

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Dręczyli mnie całymi miesiącami — wrzasnął. — A poza tym nie powiedziałem niczego, co nie było prawdą. Pastor rzeczywiście powiedział to, o czym doniosłem, a nawet jeśli zgadzałem się z tym, to i tak było to kontrrewolucyjne. Wykonałem swój obowiązek, tak jak go rozumiałem.

— Stoisz więc po stronie reżimu, który jest gotów posunąć się do wszystkiego? Który zabija i aresztuje niewinnych ludzi i zatruwa dzieci ateizmem?

— Och nie. Oczywiście, że nie — wymamrotał nerwowo.

— To dlaczego nie poinformowałeś ich, że ty sam jesteś przeciwko reżimowi, zamiast mówić to o swoim bracie?

Byłam rozgoryczona. Wiedziałam, że pastory i przyjaciele, a nawet pewien biskup przyczynili się w pewnym stopniu do aresztowania Richarda. Kochali siebie bardziej niż zasady, które głosili. Walczyłam z sobą, czując, że ogarnia mnie nienawiść wobec tych, którzy zabrali mojego męża. I wielu innych mężów. Modliłam się, ale nie mogłam znaleźć wewnętrznego pokoju.

Wówczas Marietta wycięła skądś obraz Chrystusa na krzyżu, namalowany przez jednego z włoskich mistrzów. Mój wzrok często wędrował w to miejsce, gdzie wisiał na ścianie naszego poddasza. I za każdym razem przypominały mi się ostatnie słowa, wypowiedziane przez Chrystusa: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. A także: „Pragnę”.

Jakże ci zdrajcy pragnęli przebaczenia! A ja nie chciałam im go okazać. Wzbraniałam się z powodu swojego rozgoryczenia.

Gdy o tym myślałam, coś się zmieniło. Wiedziałam, że w życiu nawet głęboko wierzących może nastać taki czas, w którym miłość własna będzie mocniejsza od miłości Bożej. Biskup luterński Mueller, który był naszym dobrym przyjacielem, mawiał, że ci, których inni nazywają zdrajcami, mogą w oczach Bożych być po prostu słabymi świętymi. Mówił o tym, nie przejmując się

wcale, że może z tego powodu zostać uznany przez niektórych za słabego biskupa. Postanowiłam więc okazywać miłość i nie oczekiwać niczego w zamian.

Zima 1960 roku przysłała wcześniej. Na ulicach leżało pełno śniegu i jeśli ktoś nie musiał, to nie wychodził z domu. Z okna wypadła szyba. Mihai przybił na otworze stary dywan, ale nic nie mogło powstrzymać natrętnego wiatru, zawodzącego żałośnie w szparze pod drzwiami.

— Równie dobrze moglibyśmy siedzieć na zewnątrz — powiedziała Marietta. — Tutaj nie jest ani trochę cieplej.

Dywan nie przepuszczał światła i pomimo przeciągu w naszym przeciekającym poddaszu, zamieszkiwanym przez pięć osób, w nocy było okropnie duszno.

Kiedy nie zajmowałam się sprawami Kościoła podziemnego, przemierzałam ulice od jednego urzędu do drugiego, starając się uzyskać odroczenie terminu płatności grzywny nałożonej na Richarda. Jeżeli nie uścimy w terminie określonej sumy, to przyjdą i zabiorą wszystko, co nam zostało. Wysiadywałam więc na ławkach w pełnych przeciągów korytarzach, żeby spotkać się z urzędnikami i wypełnić dziesiątki skomplikowanych formularzy.

Nic nam to nie pomogło.

Pewnego dnia dwóch urzędników z urzędu skarbowego załotało w drzwi. Mihai otworzył im i zawołał mnie. Chcieli więcej pieniędzy. Nie mogę zapłacić? To niedobrze. Zrobią więc listę wszystkich mebli i sprzętów domowych, abym mogła poprosić o ich zwrot, kiedy zdobędę gotówkę.

— Nie zajmie wam to dużo czasu — powiedziałam.

Zapisałi krzesła, stoły, sztuce, szafkę po starym gramofonie bez mechanizmu grającego (relikt po czasach, w których Mihai naprawiał instrumenty muzyczne). Łóżka mogliśmy zatrzymać. Bo i tak były za bardzo zepsute, żeby można je było gdzieś przenieść.

— Dywan, brązowy, mały — powiedział pierwszy z nich i szarpnął go.

Dywan spadł z okna i do środka wpadł ze świstem lodowaty wiatr.

— Nie, lepiej uznajmy to za część okna — powiedział. — Tu śpią ludzie.

I założyli go z powrotem.

Podziękowałam im. Ale był to błąd. Przypomnieli sobie o swoich obowiązkach.

— Macie trzy dni na uiszczenie zapłaty. W przeciwnym razie możecie się z tym pożegnać.

Wyszli.

Następny poranek wypełniły mi starania o spotkanie się z odpowiednim funkcjonariuszem. W końcu przyszła moja kolej. Siedział w kabinie z tekturowymi ścianami.

— To znaczy, że jeszcze nie puścili was z torbami — pieklił się. — Co mnie to obchodzi, co z wami będzie? Rozporządzenie sądu jest jasne. Albo zapłacicie od razu i to wszystko, albo wasz dobytek zostanie skonfiskowany. Nie możecie zapłacić? To trudno. Jutro będą u was. Jasne!?

Schodziłam po schodach. Nie mogłam powstrzymać łez spływających mi po policzkach. Trzęsąc się i kaszląc, zatrzymałam się na chwilę w dużym holu, żeby złapać oddech, zanim dam nura na lodowatą ulicę. Wtem ktoś dotknął mnie w ramię.

Wysoki mężczyzna w okularach i czarnym garniturze zszedł za mną na dół. Przypuszczałam, że jest to jakiś kolejny urzędnik z nowymi pogroźkami. Szybko rozejrzał się wokół.

— Znam pani sprawę — powiedział. — Proszę, niech pani to weźmie.

I zniknął, zmierzając pośpiesznie tam, skąd przyszedł.

Spojrzałam na zwinięte banknoty, które wcisnął mi do ręki. Wystarczy ich, żeby całymi tygodniami ich zwodzić!

Wracając do domu, nawet nie zauważyłam, że mam przemozone buty, zmarznięte ręce i jestem całkowicie wyczerpana. Niezwykły spokój rozgrzewał moje serce. Ten dobry, hojny człowiek stał się dla mnie znakiem Bożej miłości. Kim on może być?

Mihai przeprowadził dyskretne dochodzenie i dowiedział się, że pracuje on w jednym z działów urzędu skarbowego. Był to jeden z wielu przyjaciół Kościoła podziemnego. Nie mogliśmy się z nim spotkać — było to zbyt niebezpieczne — ale od tamtej pory przez cały czas pobytu Richarda w więzieniu przekazywał nam co miesiąc pewną kwotę ze swojej niedużej pensji.

Jak przewidywaliśmy, Mihai został wyrzucony z seminarium. Nasz przyjaciel biskup Mueller robił co mógł, żeby go zatrzymać. Wielu luteran pogardzało doktorem Muellerem z powodu jego jawnej współpracy z komunistami, którzy nawet przyznawali mu

odznaczenia. Nie wiedzieli jednak, że zdawał on sprawozdania Kościołowi podziemnemu z każdej rozmowy z wysokimi urzędnikami państwowymi. Oprócz tego potajemnie ochraniał rodziny chrześcijańskich męczenników i udzielał im pomocy. Mogę teraz mówić o tym otwarcie, ponieważ on już nie żyje.

Mihaiowi udało się dostać na uniwersytet na wydział inżynierii budownictwa lądowego. Oczywiście, nie przyznał się do tego, że jest synem więźnia politycznego.

— Dowiedzą się za jakichś kilka miesięcy — powiedział. — Wtedy wyrzucą mnie i będę mógł zapisać się gdzie indziej.

Usiłowałam zarobić trochę pieniędzy, pracując w domu.

Znalazłam starą maszynę dziewiarską, przeznaczoną do robienia swetrów i pulowerów. Kłopot polegał na tym, że kiedy ja chciałam pracować, maszyna nie chciała.

Przyjaciel, który mi ją podarował, wkrótce zorientował się, że podarował mi także samego siebie. Był mechanikiem i prawie nie było dnia, żebym nie wzywała go do jakiejś naprawy.

W końcu powiedział:

— Panewki poszły.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że ją wyrzucamy. Oddaj ją na złom. Nie można do niej dostać części zamiennych.

— Och...

Moje swetry, choć czasem dosyć niezwykle z wyglądu, sprzedawały się dobrze.

— Rozejrzę się. Może znajdę dla ciebie tanio jakąś inną.

Tydzień później pojawił się z dwoma prostszymi maszynami do szycia skarpetek. Teraz pani Armeanu i ja miałyśmy zajęcie. Problemem były tylko igły. Często się łamały, a zapasowe były po prostu nie do zdobycia w nowej Rumunii. Wszystkie zapasy były przekazywane do fabryk. Mechanik próbował wynieść kilka igieł ze swojego miejsca pracy, ale pracownicy byli przeszukiwaniu przy wyjściu. Nie mogłam mu pozwolić, żeby ryzykował więzieniem dla igły. Tak więc wyrób skarpetek był niejednokrotnie wstrzymywany, czasami na kilka miesięcy.

Mieliśmy skarpetkowy czarny rynek. Ponieważ nikt nie mógł niczego sprzedawać bez pozwolenia od państwa (doszło do tego, że szycie skarpetek w domu było nielegalne), nasi przyjaciele sprzedawali je przy bramach wejściowych do fabryk, na pchlim

targu, albo na przystankach autobusowych. Wszędzie tam, gdzie można było ukryć się w tłumie.

W końcu daliśmy sobie z tym spokój. W latach sześćdziesiątych bariery ekonomiczne między Wschodem i Zachodem zostały rozluźnione. Rumunia otrzymała z Zachodu maszyny i specjalistyczną wiedzę. Kiedy pojawiły się skarpetki nylonowe, moje zniknęły. Byłam z tego nawet całkiem zadowolona.

Moje kolejne przedsięwzięcia, mające na celu zarobienie pieniędzy, ograniczały się do uczenia języków obcych.

— Towarzyszka Sabina Wurmbrand?

Młody mężczyzna w ciemnym płaszczu przyszedł po zmierzchu do naszych drzwi.

— Tak, to ja jestem pani Wurmbrand.

— Jutro o dziewiątej rano macie się stawić w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Pokażecie tę kartkę strażnikom i zapytacie, gdzie jest pokój, którego numer jest na niej zapisany.

Spojrzał na mnie chłodno.

— Dobranoc!

Zszedł na dół, stukając obcasami po schodach.

Wezwanie takie jak to mroziło krew w żyłach. Gości Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czekał zazwyczaj nieodgadniony los. Czyżby ktoś złożył na mnie donos? Tego wieczoru na naszym poddaszu byliśmy małą smutną rodziną.

Wczesnie rano następnego dnia zapakowałam do małej torbki przybory toaletowe i ciepłe ubrania. Powiedziałam wszystkim do widzenia i wyruszyłam.

Biuro było całkiem okazałe. Był dywan, zasłony w oknach i piękne młode sekretarki. Portrety Lenina i spółki były kolorowe i pięknie oprawione. Za biurkiem wielkości sporego fortepianu siedział puszysty mężczyzna w cywilnym ubraniu, mający około czterdziestki.

— Proszę usiąść, towarzyszko Wurmbrand.

Skinął dłonią w stronę fotela.

— Poprosiliśmy was, abyście tu przyszli, ponieważ jesteście zainteresowani waszą sprawą. Proszę opowiedzieć mi o sobie i swojej rodzinie. Proszę się nie martwić! Nic nie wyjdzie poza te ściany. Macie syna (zerknął na papiery na swoim biurku) Mihaia... Jak idą mu studia...?

Zrozumiałam, o co chodzi. Była to kolejna próba nakłonienia mnie do rozwodu. Tam, gdzie zawiodła presja, stosuje się uprzejmość.

Był układny i pewny siebie, i siedział rozparty wygodnie na swoim krześle.

— Kocham mojego męża i niezależnie od tego, co się wydarzy, pozostanę jego żoną. Jesteśmy połączeni na zawsze.

— No cóż, niech mi będzie wolno złożyć drobną propozycję. Chcecie, żeby wasze dziecko skończyło studia. Chcecie prawa do pracy i do prowadzenia własnego życia. Możecie mieć to wszystko bardzo prosto. Po prostu zostawcie mi swój dowód osobisty. A w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin odeślemy wam go już z waszym panińskim nazwiskiem. Zapomnijmy o tych wielkich słowach jak rozwód. To tylko zwykła formalność, o którą prosi was państwo. Czyż zrobienie tego nie jest mądre?

Przerwał, bawiąc się ołówkiem.

— Oczywiście, jeśli nie pójdziecie na współpracę, to są inne sposoby. Kiedy czegoś chcemy, to dostajemy to...

Spojrzałam temu oficerowi politycznemu prosto w oczy.

— Załóżmy, że to pan znajdzie się kiedyś w więzieniu podobnie jak wielu innych urzędników. Czy chciałby pan, żeby pana żona rozwiodła się z panem?

Wyprostował się gwałtownie i wybuchł:

— Czy nie wiesz, gdzie jesteś i kim ja jestem? Jak śmiesz zadawać mi pytania!

Cisnął ołówek do kominka.

— A teraz wynoś się, wynoś się! I nie zapomnij, co ci powiedziałem! Zrozumiałaś?

Podniosłam małą torebkę i bez słowa skierowałam się w stronę drzwi.

— Zrozumiałaś?

Ale on także rozumiał, bo była to ich ostatnia próba nakłonienia mnie do wzięcia rozwodu z Richardem.

Zamiast tego powiedzieli mi, że on nie żyje.

Wydarzyło się to dwukrotnie.

Najpierw dwóch wymizerowanych młodych mężczyzn przyszło do mojego mieszkania, mówiąc, że są byłymi więźniami. Wierzę, że nimi byli. Ale nie mogli mi spojrzeć prosto w oczy. Kiedy

tylko zaczęli opowiadać o tym, jak spotkali się w więzieniu z Richardem, od razu zorientowałam się, że mam do czynienia z prowokatorami.

— Biedny pastor Wurmbrand — powiedział odważniejszy z nich. — Nie wiemy dokładnie, co się z nim stało. Pod koniec stał się bardzo ponury. Z nikim nie chciał rozmawiać. Przynajmniej tak słyszeliśmy w więzieniu w Gherla.

— Co staracie się mi powiedzieć? Że popełnił samobójstwo?

— Nigdy nie można być do końca pewnym. Ale wiemy, że wynieśli go nogami do przodu. I któż mógłby go obwiniać, jeśli nawet to zrobił?

Próbował być przebiegły, ale nie mógłby wymyślić głupszego kłamstwa.

— Biedny pastor Wurmbrand. Był z niego prawdziwy święty. Wszyscy tak mówili.

— Proszę, idźcie już.

Nie byłam w stanie powiedzieć niczego innego.

— Chcemy powiedzieć, pani Wurmbrand, jak przykro...

— Proszę, odejdźcie.

Widać było po nich, że mają okropne wyrzuty sumienia i jest im wstyd. Prawdopodobnie zrobili to, żeby dostać kartki żywnościowe, albo dlatego, że obiecano im pracę.

Za drugim razem o śmierci Richarda poinformowano oficjalnie. Jednakże wiadomości tej nie przekazano mnie bezpośrednio. Tajniak wstąpił do domu moich przyjaciół. Nie chciał osobiście zanosić tej smutnej nowiny pani Wurmbrand. Może ktoś z przyjaciół mógłby w tym pomóc? Wystarczy tylko powiedzieć, że pastor Wurmbrand zmarł po wielotygodniowej chorobie i został pochowany w więzieniu.

Byłam bardzo zadowolona, że zaoszczędzono mi tej denerwującej rozmowy.

Ale nie poprzestali na tym. W całym kraju ludzie opowiadali o Richardzie ściszonegłosnym głosem. Stawał się legendą. Dzieci nie kładły się spać, nie pomodliwszy się o jego bezpieczeństwo. Aby położyć temu kres, uwolnieni więźniowie zostali rozesłani do domów chrześcijan w kilku większych miastach, żeby przekonać ich, iż odebrał sobie życie w więzieniu. Nikt im nie uwierzył.

Potem Mihai został wyrzucony ze studiów. Kategorycznie odmówił stosowania się do nauk i praktyk komunistów. Dowiedział

się przy tym, że wszystko o nim wiedzieli: o jego rozkładzie dnia, przyjaciółach. Mieli teczkę na każdego chrześcijanina. Trzeba było być wirtuozem pracy podziemnej, a niewielu z nas było takich, żeby ukryć swoją działalność przed służbą bezpieczeństwa. Wiedzieliśmy, że składano na nas donosy. Stanowiło to nieuniknioną część życia. Mihai uważał jednak, że Kościół został za bardzo zinfiltrowany.

— Mamo, przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale masz za miękkie serce. Pozwalasz tym wszystkim ludziom przychodzić do mieszkania. Wystarczy, że powiedzą: „Chwała Panu” i wpuszczasz ich. Musimy być twardzi wobec tych donosicieli.

Chciałam mu na to odpowiedzieć, ale mówił dalej:

— Strasznie się boję, że znowu cię aresztują, mamo. I mnie. Wiedzą, że jestem po uszy zaangażowany w twoją tajną pracę. Ale nie chodzi tylko o ludzi takich jak my, którzy przynajmniej wiedzą, czym ryzykują i mają cel w życiu. Myślę o chłopakach, których znałem w Sibiu, których wzywano na przesłuchanie dwa razy w tygodniu i bito tak długo, aż obiecali, że będą donosić. O tych nastolatkach z Braszowa, które próbowały założyć partię wolności. To była dziecinada. Przechowywali nawet terminarz i protokoły ze swoich spotkań. Ale komuniści również lubią takie zabawy. Wszystkie te dzieciaki są teraz w więzieniu — być może bite na śmierć.

Pomyślałam o Alicji — tej uroczej, miłej kobiecie — rozciągniętej na ławce ze związanymi rękami i nogami i wybitymi zębami. Richard także był strasznie torturowany podczas swojego pierwszego pobytu w więzieniu. Nigdy o tym nie mówił. Przez co teraz przechodzi?

Wiedzieliśmy, że chociaż służba bezpieczeństwa rozbiła ostatnio kilka spotkań Kościoła podziemnego, to jednak inne odbywały się bez przeszkód. Celowo — aby donosiciele mogli spokojnie pracować. Podjęliśmy więc nowe wysiłki, by im się przeciwstawić.

Na nasze spotkania przychodziło coraz więcej ludzi. Bywało na nich nawet do pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób. Jeżeli jednak któryś z członków Kościoła podziemnego zajmował wysokie stanowisko — był profesorem na uniwersytecie lub członkiem partii — musieliśmy zachowywać szczególną ostrożność. Tacy ludzie będą bowiem obserwowani. Ograniczaliśmy wówczas liczbę uczestników do mniej więcej sześciu zaufanych przyjaciół.

Jednym ze sposobów namierzania donosicieli było puszczenie w obieg fałszywych informacji. Osobie podejrzanej szepnęło się

słówko, że spotkanie odbędzie się w mieszkaniu jednego z przyjaciół. Jeżeli w okolicy tego domu kręciło się nadzwyczaj dużo szpicli, to wiedzieliśmy, że ta osoba jest donosicielem.

Zazwyczaj nie zdradzaliśmy jej tego, co wiemy:

— Przykro nam, że dom był pusty — mówiliśmy z uśmiechem.

— W ostatniej chwili musieliśmy zmienić miejsce spotkania. Nie mieliśmy czasu, żeby cię zawiadomić.

Rozpoznany donosiciel był wartościowy. Można było wprowadzać go w błąd. Jeżeli wyrzuciłoby się go z kościoła, to natychmiast zostałby zastąpiony przez kogoś, kogo byśmy nie znali. Mieliśmy więc zasadę: bądźmy przyjacielscy.

Czasami udawało nam się wytropić donosicieli dzięki informacjom uzyskanym od aresztowanych osób. Pytania, których im nie zadawano podczas przesłuchań, były często dla nas ważniejsze od tych, które im zadawano.

Jeden z naszych członków potajemnie drukował Ewangelie w języku rosyjskim. Ale nigdy nie zapytano go o to podczas przesłuchania. Odgadliśmy dlaczego: współpracujący z nim drukarz był donosicielem. Był to chrześcijanin złapany w sieć szantażu i gróźb.

Nadal pracował i modlił się z nami w miłości. Niemniej jednak był równocześnie ich agentem — z powodu strachu.

Tak to było. Z jednej strony z mozołem staraliśmy się unikać wiatru i deszczu, czyli poborców podatkowych i służby bezpieczeństwa, a z drugiej strony toczyliśmy walkę o przetrwanie Kościoła podziemnego. Prowadziliśmy niebezpieczne życie. I nigdy się nie nudziliśmy.

W listopadzie wybrałam się do Klużu. Zorganizowano tam pokazowy proces przywódców Armii Pana, zakazanej organizacji religijnej, której Richard udzielał kiedyś wielorakiej pomocy. Usłyszałam, że nasz bliski przyjaciel, będący nauczycielem, był pośród oskarżonych.

Armia Pana składała się głównie z mieszkańców wsi i setki z nich przyjechało do Klużu w dniu procesu. Stali w zupełnym milczeniu przed bramą sądu wojskowego. Strasznie padało.

Przybyli z całej Rumunii, aby okazać swoją lojalność wobec tych, którzy za swoją wiarę staną przed sądem wojskowym, nie zważając na to, że sami mogą zostać rozpoznani i zadenuncjowani.

Gdy nadjechały karetki więzienne, tłum napał do przodu, żeby choć przez chwilę zobaczyć swoich bliskich. Oskarżeni męż-

czyźni i kobiety w brudnych, zgrzebnych ubraniach więziennych zostali zagnani do gmachu sądu. Żony i krewni wołali do nich, ściskając w rękach tobołki z ciepłymi ubraniami i jedzeniem.

— Cofać się! Cofać się!

Milicjanci zaczęli wymachiwać karabinami. Kilku młodszych funkcjonariuszy przeładowało broń, jakby szykowali się do strzału. Na chwilę zapanowała panika.

Oficer krzyczał do kogoś w budynku:

— Zadzwońcie po posiłki.

Strażnicy, posługując się swoją bronią jak kijami, wypchnęli tłum mężczyzn, kobiet i dzieci z dziedzińca na ulicę i zamknęli bramę. Rozległy się okrzyki:

— Nas też zabierzcie. Jesteśmy ich braćmi. Wierzymy tak samo jak oni!

Na końcu ulicy pojawił się samochód, pełen milicjantów wygrażających bronią. Ludzie rozbiegli się i pochowali w okolicznych bramach. Ale gdy tylko samochód przejechał, znowu się zgromadzili i zaczęli napierać na bramę.

Wreszcie służba bezpieczeństwa, która była zupełnie nieprzygotowana na taką demonstrację, wyraziła zgodę na wpuszczenie jedynie bliskich krewnych. Pozwolono wejść garstce żon i dzieci. Pozostali przez cały dzień stali przed bramą, usiłując przekonać strażników, żeby ich wpuścili. Późno w nocy tłum był jeszcze większy niż wcześniej.

Sąd starał się uniknąć dalszych kłopotów i dlatego podczas jednego posiedzenia rozpatrywał naprędce wszystkie sprawy.

O zmierzchu więźniowie zostali wyprowadzeni z powrotem do swoich cel. Pojawił się też urzędnik, który obwieścił, że wyroki zostaną ogłoszone dopiero następnego dnia. Ci, którzy przyjechali spoza miasta, znaleźli nocleg u współczujących im mieszkańców. Większość z nas płakała. Żadna z żon nie miała okazji, żeby powiedzieć swojemu mężowi ostatnie słowo lub dać mu ten drogi cenny tobolek.

Pewien członek Kościoła podziemnego przyjął mnie do swojego domu wraz z sześcioma żonami aresztowanych mężczyzn. Postanowiliśmy, że poświęcimy tę noc na modlitwę za nich.

— Czy to jutro ogłoszą lub nie — westchnęła jedna z żon — wyrok i tak będzie surowy.

Bynajmniej nie był to pierwszy proces wyznawców Armii Pana. Byli prześladowani od lat — zarówno dwudziestolatki, jak i ci po sześćdziesiątce.

Następnego ranka poszłam do sądu. Na zamkniętej bramie wisiała lista, a wokół niej stała smutna grupa ludzi. Mój przyjaciel dostał osiem lat.

Wróciłam w deszczu na dworzec kolejowy i usiadłam, czekając na pociąg powrotny do Bukaresztu.

Zostałam pilnie wezwana do domu pewnego chrześcijanina z Kościoła podziemnego. Była tam Trudi. Nie ta uśmiechnięta, zaradna Trudi, która witała nas w domu pułkownika Shircanu i podsłuchiwała jego rozmowy telefoniczne, lecz przybita, zboląła dziewczyna. Przez chwilę wydawało mi się, że ją nakryli.

— Co się stało? — spytałam.

Byłyśmy same i mogłyśmy rozmawiać.

Chodziło o jej narzeczonego, młodego chłopaka w tym samym wieku co ona. Nie mieli jeszcze pieniędzy, żeby założyć dom, a poza tym Trudi uważała, że przynajmniej na razie musi pozostać na swoim niebezpiecznym posterunku. Ale chłopak nalegał, aby dała mu dowód swojej miłości:

— Gdybyś mnie naprawdę kochała — mówił na każdym spotkaniu — nie opierałabyś mi się tak.

Straszliwie się bała, że go utraci. Co ma robić?

W życiu Trudi, jak i wielu innych dziewcząt, pojawił się problem czystości. Dotykać czy nie dotykać? Mnie również nurtowało to pytanie trzydzieści lat temu, gdy jako młoda dziewczyna byłam w Paryżu. Od tamtej pory wiele widziałam i miałam dużo czasu na przemyślenia na ten temat, zarówno w więzieniu, jak i w trakcie czekania na Richarda. Teraz znałam odpowiedź.

Zadawanie pytania: Dlaczego czystość? jest równie niewłaściwe jak zadawanie pytania: Dlaczego życie? Jest ona jednym z największych darów natury. Od zarania dziejów ideałem stawianym przed człowiekiem w wielkich religiach na całym świecie, w Chinach i w misteriach greckich, była czystość: marzenie o czystej kobiecie. Ewangelie zaczynają się od historii o dziewicy w odróżnieniu od Mesalin tamtych czasów. Joanna d'Arc musiała być dziewicą, żeby ocalić Francję. Czytając o życiu św. Teresy z Lisieux, kocha się ją za jej cnotę. Czy Spinoza lub Beethoven stworzyliby takie wzniosłe dzieła, gdyby nie byli czysti?

Pytać: Dlaczego mam być czysty? to tak jakby pytać: Dlaczego mam być uczciwy? Zadając takie pytanie, ujawniasz nieco z tego, jaka jest twoja dusza.

W całym świecie literatury mam dwie ulubione postaci: Solweyg z Peera Gynta i Gretchen z Fausta Goethego.

Peer Gynt był łajdakiem i pijakiem, ale spotkał na swojej drodze jedną czystą i oddaną dziewczynę. Peer był przekonany, że będzie ona na niego czekać. Mijały dziesięciolecia, w czasie których Peer stawał się coraz gorszy, ale zawsze pamiętał, że poznał czystą dziewczynę. Jej obraz był nieustannie przed jego oczami. Kiedy wrócił do niej, był już stary; jednak to właśnie ona przyczyniła się do jego zbawienia.

Faust zobaczył Gretchen, jak szła do kościoła i ona także nie podniosłaby oczu, żeby na niego spojrzeć. W chwili szaleństwa, kuszona przez Mefistofelesa, wpadła w grzech z Faustem, ale odpokutowała za to w więzieniu (które nazywała miejscem świętym) i odzyskała swoją czystość. Tęskniła za Faustem, będąc w niebie, a jego z kolei myśl o niej pchnęła na drogę zbawienia.

Dlaczego dziewczyna powinna zachowywać swoją czystość? Bo w ten sposób może zainspirować ludzkość i ją uwznioślić. Wartość czystości widziałam w więzieniu, gdzie te kobiety, które były najczystsze, potrafiły najpełniej pomagać innym.

Żyjemy jakby w piwnicy tego świata, z dala od Boga. Za każdym razem, gdy wystawiamy naszą duszę na Jego światłość i miłość, może ona wzrastać.

Musimy jednak zrozumieć, że zarówno my, jak i inni, jesteśmy tylko ludźmi i upadamy. W Talmudzie jest powiedziane, że Bóg jest wyrozumiały wobec każdego grzechu z wyjątkiem nieczystości. Rabin, który tak myślał, nie znał Boga. Prawdą jest coś zupełnie przeciwnego. Żadnego innego grzechu Jezus nie przebaczał z taką łatwością jak tego. Jezus rozumiał, że popędowi seksualnemu niemalże nie można się oprzeć. Właśnie dlatego nie potępił cudzołożnicy. Nakazuje nam, abyśmy ze wszystkich sił wystrzegali się tego grzechu, ale mimo to przytula nas do swojego kochającego serca, gdy go popełnimy. W przyszłości możemy odnosić sukcesy tam, gdzie dzisiaj upadamy. Wielkoduszność Boga nie zna granic i nie ma takiego grzechu, dla którego Bóg nie oferowałby pełnego przebaczenia.

Młodym ludziom takim jak Trudi mogłabym udzielić jednej praktycznej porady. Jeśli ktoś usiłuje pozbyć się erotycznych my-

śli lub grzesznej zmysłowości, to rezultaty są często przeciwne do oczekiwań. Pożądliwość jest ogromną siłą. Próby wyrwania się jej jedynie zaciskają jej więzy.

Można sobie z nią natomiast poradzić w sposób pośredni. Nie próbuj wyeliminować myśli, którymi się brzydzisz. Nie odejdą. Pojawily się, żeby pozostać. Ale wypełniaj swój umysł pięknymi i czystymi pojęciami. Całym sercem oddaj się pochłaniającej czas i energię pracy na polu religijnym, socjalnym, politycznym, filantropijnym lub edukacyjnym. Podjęcie się służby dla Chrystusa w jakiejś dziedzinie życia z czasem upodobni cię do Niego.

Nowe ideały stanowią wielką oczyszczającą siłę. Ale jeśli upadniesz, pamiętaj, że przebaczenie nie ma granic. Nikt nie zostaje świętym w przeciągu trzech dni. Św. Antoniemu zajęło to trzydzieści lat.

W 1962 roku z Moskwy zaczął wiać cieplejszy wiatr. Ostrożnie wdychaliśmy jego powiewy. Mówiło się o nowej „odwilży”. Dostawaliśmy więcej listów z zagranicy. Rozchodziły się pogłoski, że Rumunia usiłuje wystąpić z kontrolowanej przez sowietów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Chodziły nawet słuchy o amnestii.

Ludzie chętniej opowiadali sobie dowcipy:

Chruszczow: Panie Kennedy, co mam robić. Próbowałem prania mózgu, próbowałem więzienia, ale ci głupi chrześcijanie nadal chodzą do kościoła. Jak mogę ich powstrzymać?

Kennedy: Niech pan spróbuje zastąpić ikony w kościołach swoimi portretami.

21

Ku wolności

W każde święto komunistyczne z wielką uwagą słuchaliśmy radia, mając nadzieję, że usłyszymy jakieś obwieszczenie o uwolnieniu więźniów. Nie mogłam spać w nocy, ponieważ cały czas o tym myślałam.

1-go maja 1962 roku, Święto Pracy. Nic.

23-go sierpnia, Dzień Wyzwolenia. Nic.

7-go listopada, Rocznica Rewolucji Październikowej. Kilkuset przestępców kryminalnych zostało uwolnionych. Żadnej wieści o politycznych.

Niemniej jednak różne drobne znaki zaczęły się mnożyć. Zawarta została ogromna umowa handlowa z Jugosławią. Instytut Rusycystyki stał się częścią składową Instytutu Języków Obcych. Duża państwowa Księgarnia Rosyjska stała się Księgarnią Powszechną.

W sierpniu 1963 roku zaprzestano zakłócać audycje radiowe w języku rumuńskim nadawane z Zachodu.

23-go sierpnia tego samego roku siedzieliśmy bez tchu przy radiu, z utęsknieniem oczekując na jakieś wiadomości. Bez skutku.

Na początku 1964 roku bez wcześniejszego powiadomienia wypuszczono niedużą grupę politycznych. Było wśród nich kilku naszych przyjaciół.

Pytaliśmy ich:

— Co to znaczy?

Nie wiedzieli.

— Wszedł strażnik i odczytał listę nazwisk i to wszystko!

Ile nazwisk? Około osiemdziesięciu.

Osiemdziesiąt! Tak dużo! Byliśmy teraz pewni, że zbliża się amnestia. W 1956 roku wszystko odbywało się podobnie. Czy będzie to 1-go maja?

Ale tego dnia nie było żadnych wiadomości.

Pewnego poranka byłam na swoim poddaszu, kiedy nagle wpadła Marietta, nie mogąc złapać tchu:

— Alicja jest w domu!

Po czterech latach! Porwaliśmy nasze płaszcze, wybiegliśmy na zewnątrz i wskoczyliśmy do tramwaju.

To rzeczywiście ona: chuda, zniszczona i uśmiechnięta. Jakże wiele miała do opowiedzenia! Ale nie miała nic, zupełnie nic. Tylko połatane łachmany, które miała na sobie.

— Jutro przyniesiemy ci trochę rzeczy — obiecałam.

— Ale wiem, że wy sami nic nie macie — powiedziała.

— Och, ależ my opływamy w dostatki — roześmiał się Mihai.

— Powinnaś zobaczyć nasz luksusowy apartament.

— Dywany na ścianach — powiedziała Marietta.

— I na oknach też!

— Bieżąca woda.

— Prosto z sufitu!

Myślałam o tym, jak wielkie szczęście mamy w porównaniu z tak wieloma innymi kobietami. Jesteśmy otoczone miłością. Zewsząd docierała ona do nas, krążąc potajemnie jak soki w wielkim drzewie Kościoła podziemnego.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Rano zebraliśmy kilka rzeczy i zanieśliśmy je Alicji, która nocowała w mieszkaniu kuzynki.

Teraz rzeczywiście mieliśmy powód, aby żywić nadzieję, że nasi bliscy wrócą do domu. Ale mijały tygodnie i miesiące...

Co kilka tygodni nasza przyjaciółka Marcia wbiegała po schodach na poddasze:

— Amnestia! W przyszłym tygodniu! Tym razem, to na pewno prawda.

Wkrótce zaczęto ją nazywać siostra Amnestia. Marcia ciężko pracowała dla kościoła, a jej mąż był urzędnikiem państwowym. Stąd też wieści, które rozsiewała, traktowano nieco bardziej poważnie.

Jednakże prawdziwa amnestia pojawiła się znienacka.

Wstałam wcześniej i poszłam na zakupy. Była to środa, piękny czerwcowy dzień. Nad głowami rozciągało się błękitne niebo. Kiedy wróciłam do domu, zauważyłam, że czeka na mnie codzienna gazeta. Jeden z przyjaciół podrzucił ją w drodze do pracy.

Na pierwszej stronie widniał nieduży napis: AMNESTIA.

Nie obejmowała ona wszystkich więźniów politycznych. W rzeczywistości nie było do końca wiadomo, kogo dotyczyła. Przeczytałam to obwieszczenie raz, potem jeszcze raz. Było obwarowane wieloma wieloznacznymi sformułowaniami. Nie mogli przecież przyznać, że tysiące ludzi, którzy byli latami niesłusznie przetrzymywani w więzieniu, zostanie teraz wypuszczonych na wolność. Wyszliby na głupków. A poza tym Moskwa się przyglądała.

Poszłam szybko do przyjaciółki. Zebrało się tam już trochę osób, żeby omówić te wiadomości.

— Aa, będzie tak jak w zeszłym roku. Tylko kryminaliści! — powiedziała pani Landauer.

Ale siostra Amnestia też tam była.

— Nie, nie! Czyż nie mówiłam wam tego ciągle? Módlmy się i dziękujmy Bogu, a zobaczycie!

Modliliśmy się więc, po czym wróciłam do domu. Nie minęło nawet pięć minut, gdy przybiegła sąsiadka. Zadzwonił jakiś stary przyjaciel, który tego ranka został wypuszczony z Gherli.

— Powiedział, że twój mąż był na liście na dzisiaj! Widział go, jak czekał na dziedzińcu. On wraca!

Kiedy wyszła, próbowałam obierać ziemniaki. Ale serce waliło mi tak szybko, że musiałam usiąść. Mijały godziny.

Kolejne pukanie do drzwi. Pan Ionescu, nasz stary przyjaciel, który mieszkał piętro niżej i miał telefon, stał w drzwiach i uśmiechał się.

Wziął mnie za rękę i powiedział:

— Ktoś dzwoni do ciebie spoza miasta.

Zeszłam więc na dół, podniosłam słuchawkę, a po drugiej stronie był Richard. Kiedy usłyszałam jego głos, zaniemówiłam. Czulałam, że upadam, upadam, w uszach mi zaszumiało jakby wzburzone morze, a potem zalała mnie ciemność.

Otwarłam znowu oczy i zobaczyłam spoglądające na mnie z góry zatroskane twarze.

— Wszystko z nią w porządku.

— Zemdlą! —

Przyprowadzili na dół Mihaia. Śmiał się i rozmawiał przez telefon. Richard był w domu naszych przyjaciół w Klużu.

— Nie wiedziałem, czy mam jeszcze żonę i dzieci — powiedział. — Pomyślałem, że lepiej to sprawdzę!

Miał się dobrze i był wolny. Przyjedzie do domu tak szybko, jak tylko będzie mógł. Gherla znajdowała się na zachodzie kraju

i była oddalona od Bukaresztu o wiele set kilometrów. Złapie pociąg z Klużu, gdzie jest najbliższa stacja kolejowa. Ale nie zdoła wrócić dzisiaj. Na ten wieczór zaplanowano tam już jego pierwsze podziemne spotkanie.

Tego popołudnia wielu innych przyjaciół wróciło do swoich domów z więzień w całym kraju. Dostyc spora grupa żon i przyjaciół zebrała się u nas na poddaszu. Czekaliśmy i rozmawialiśmy — niespokojni i pełni nadziei. Na klatce schodowej zrobiło się zamieszanie. Telegram. Otwarłam go.

— Richard pisze, że przyjedzie nocnym pociągiem. Będzie tu jutro o ósmej trzydzieści rano!

Siostra Amnestia osunęła się z jękiem na podłogę. Tym razem to ona zemdlą! Inni stłoczyli się wokół niej, klepiąc ją po policzkach i kropiąc jej twarz wodą.

Oczywiście nie było mowy o spaniu tej nocy. Co chwila docierały wiadomości o nowych zwolnieniach. Mężczyźni i kobiety, których nie widzieliśmy od dziesięciu, piętnastu lat wchodzili przez drzwi. Jakby powstałi z martwych. Cały dom był pełen ludzi. Witali się, wspominali dawne czasy i układali plany na przyszłość. Mówili jeden przez drugiego. Cały czas przynoszono kwiaty. Duże bukiety letnich róż, które kosztowały majątek. Przesyłali je przyjaciele, którzy sami nie mogli przyjść, ponieważ było to dla nich zbyt niebezpieczne.

Nie mogli pokazać się na stacji kolejowej — więc zamiast tego wzięliśmy ich kwiaty, aby w ten sposób okazać ich miłość. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest ich tak dużo. Siostra Amnestia trzymała całe naręcze gladioli. Marietta niosła róże. Pani Armeanu i Alicja trzymały duże białe michałki. Promienie słońca uroczym migotały w rześkim porannym powietrzu.

Tłumy niespokojnych, pełnych wyczekiwania ludzi wychodziły na spotkanie każdego pociągu, żywiąc nadzieję wbrew nadziei, że ich więźniowie przyjadą. Nie mieli o nich żadnych wieści.

W końcu nadjechał właściwy pociąg. Minęła nas duża bucząca lokomotywa spalinowa i zaczęłam wzrokiem przeszukiwać wagony. Z głośników rozległ się głos spikera zapowiadającego przyjazd pociągu. Na peronie zakłębiło się, ludzie potrącali się i przepychali do przodu.

Zobaczyłam Richarda, zanim on zobaczył mnie. Wychylał się z okna wagonu. Był chudy i blady, i miał ogoloną głowę.

Bóg mi go oddał.

Jego ubranie było bardzo sfatygowane. Miał za duże buty, w których nie było sznurowadeł — bo było to zabronione. Szedł w moją stronę, tak bardzo powoli, wysoki i uśmiechnięty, pływając w swoich butach. Objął mnie i Mihaia. Dworzec zakotłosał się od głośnych okrzyków i powitań. Ktoś z aparatem fotograficznym ustawił całą naszą trójkę do zdjęcia.

Ludzie tłoczyli się wokół nas, wypytując Richarda o swoich przyjaciół i krewnych, tych, którzy nie wrócili tym pociągiem.

Wtedy przypomniałam sobie, jak wielu nie wróciło i nigdy nie wróci, bo zmarli w więzieniu.

— Nic nie mów — powiedział Richard. — Pozwól mi po prostu patrzeć na ciebie.

Dzień i noc na naszym poddaszu było pełno przyjaciół i nieznanomych, którzy przyjeżdżali z całego kraju, żeby ponownie zobaczyć się z Richardem. Na stojąco, na siedząco, przeciskając się przez wiecznie otwarte drzwi — każdy musiał z nim zamienić parę słów. Służba bezpieczeństwa nie próbowała rozbić tych spotkań, bo mogłaby to zrobić tylko przy użyciu karabinu maszynowego. Obserwowali i robili sobie notatki z oddali.

Richard był chudy jak patyk i ważył może czterdzieści pięć kilogramów. Przeżył bicie i pranie mózgu. Natychmiast musiał pójść do szpitala. Ale nawet tam ludzie przychodzili tłumnie, żeby się z nim zobaczyć, dopóki dyrektor szpitala nie powiedział przepaszającym tonem, że Richard musi się przenieść gdzie indziej. Służba bezpieczeństwa uskarżała się. Przenosił się więc ze szpitala do szpitala i w końcu wylądował w sanatorium w Sinaia, jednym z najpiękniejszych górskich miasteczek, w którym mieścił się kiedyś letni pałac królewski. Ale ludzie nadal napływali na motorach, rowerach i autobusem. Służba bezpieczeństwa wysłała kolejne ostrzeżenie. Zdecydował się więc opuścić to miejsce. Nie było innego wyboru.

W Bukareszcie panował chaos. Tego roku uwolniono dziesiątki tysięcy więźniów politycznych. Szukali pracy, żon i dzieci. Usiłowali — czasami z okropnym skutkiem — włączyć się w życie, którego nie znali od piętnastu lub dwudziestu lat. W sercach i w domach, i na ulicach rozgrywały się tragedie.

Milicja nie mogła poradzić sobie z całym tym zamieszaniem. Richard wykorzystał więc okazję, by potajemnie głosić kazania w każdym kościele, do którego został zaproszony przez posługują-

cego w nim pastora. Byliśmy też w stanie pomóc wielu przyjaciółom. Wysłaliśmy panią Armeanu na wakacje do Konstancy nad Morzem Czarnym. Jej mąż nie został zwolniony.

Richardowi udało się nawet uzyskać zezwolenie na wygłoszenie kazań. Ale ograniczało się ono do kościoła w wiosce Orsova, w której mieścił się oficjalnie zarejestrowany zbór, składający się z trzydziestu pięciu członków.

— Jeśli pojawi się choćby jeden więcej — ostrzegła służba bezpieczeństwa — to będą kłopoty. Znamy cię i obserwujemy.

— Nie wydaje mi się, żebym mógł tam przemawiać — powiedział mi Richard. — Gdy się rozniesie, że głoszę tam kazania, pojawi się tam na pewno wielu innych ludzi. Zaszkodzimy tylko mieszkańcom Orsovy.

Postanowiliśmy więc, że na razie tam nie pojedziemy. A poza tym byliśmy tak bardzo zajęci pracą w Kościele podziemnym w Bukareszcie, że jakkolwiek wyjazd nie wchodził w grę. Na potajemnych zgromadzeniach organizowanych to tu, to tam — jako że spotkania w domach były nielegalne — Richard przeprowadzał do Chrystusa setki dusz. Mimo to nadal nie uważał, że robi wystarczająco dużo. Nie wiedzieliśmy też, jak długo uda nam się wpaść w ręce służby bezpieczeństwa. Kiedy zapytałam go, jakie są jego plany na przyszłość, odpowiedział:

— Najchętniej zostałbym samotnikiem, oddalił się w odludne miejsce jak dawni pustelnicy i spędził resztę życia na kontemplacji Boga i rozmyślaniach. Ale ten świat jest daleki od takiego ideału.

Ponownie zobaczył, jak niewiele wolności miał Kościół, jak roilo się w nim od donosicieli — zarówno wśród najwyższych rangą biskupów, jak i najzwyczajszych wiernych. Księża mówili mu, że gdyby nie donosili na swoje trzody, to ich kościoły zostałyby zamknięte. Dzieciom i młodzieży wpajano ateizm jeszcze bardziej zaciekle niż kiedykolwiek wcześniej.

Ale najbardziej zmartwiło Richarda, gdy dowiedział się, jak bardzo nieświadomi, naiwni i łatwowierni są mieszkańcy Zachodu w kwestii komunizmu i jego prób zniszczenia religii.

W tamtym okresie nawiązałam kontakt z pewnymi wysokimi dostojnikami Kościoła w Rosji. Nie mogę jednak wyjawić, jak do tego doszło. Wielu z nich było narzędziami w ręku partii. Wyznawali nam to otwarcie i ze smutkiem. Mówili, że nie mieli wyboru.

Z kolei inni duchowni zza żelaznej kurtyny, którzy wyjeżdżali na międzynarodowe konferencje jako ludzie wybrani przez partię

i grający role przypisane im przez komunistów, w rzeczywistości pracowali dla Kościoła podziemnego.

Kiedy wracali, dzielili się z nami swoimi wrażeniami. Byli przeżarci tym, jakimi naiwniakami byli niektórzy brytyjscy i amerykańscy delegaci na te konferencje.

— Wierzą w absolutnie wszystko, co im się powie — mówili. — Niektórzy mają bardziej entuzjastyczne nastawienie do komunizmu niż niejeden prawdziwy komunista.

Co można by z tym zrobić?

Przywódcy Kościoła podziemnego spotkali się i postanowili, że Richard powinien podjąć próbę wydostania się na Zachód. Jego zadaniem byłoby uświadomienie ludziom, co tak naprawdę dzieje się u nas — i co może zacząć się dziać u nich.

Od 1948 roku Rumunia wyprzedawała Żydów do Izraela. Wiązaliśmy z tym nasze nadzieje na wyjazd. Całe tysiące Żydów nadal usiłowało wyjechać. Wystawali w długich kolejkach w Komendzie Głównej Milicji, żeby dostać formularze. Exodus rozeźlił już kraje arabskie, więc rząd rumuński zachowywał ostrożność. Niemniej jednak oficjalne skrupuły można było przewyciężyć przekazaniem władzy dużej sumy pieniędzy.

W naszym przypadku negocjacje były długie i nużące. I jedynym ich rezultatem była dyskretna informacja udzielona przez wysokiego urzędnika, że na naszych tajnych aktach widnieje pieczęć: CAŁKOWITY ZAKAZ WYJAZDU. Ale nie poddawaliśmy się. Przyjaciele sugerowali, że Mihai powinien pojechać pierwszy. W tamtym okresie wyglądało na to, że to jemu zagraża największe niebezpieczeństwo. Inni mówili, że to ja powinnam wyjechać sama i zebrać na Zachodzie pieniądze, żeby „nas stąd wyłowić”.

Kiedy minęło już początkowe zamieszanie po masowych zwolnieniach, ponownie wprowadzono restrykcje. Richard był obserwowany na każdym kroku. Nie mógł nawet przekroczyć progu kościoła, żeby posługujący tam pastor nie otrzymał ostrzeżenia lub pogrózek.

Nasz dawny budynek kościelny został zamknięty i zamieniony na studio filmów rysunkowych. Ławki i ołtarz zostały wyrzucone, a okna zaciemnione. W pewnym sensie kryło się w tym błogosławieństwo: bardzo trudno było obserwować z bliska nasze poddasze w kamienicy. Technicy, muzycy, sekretarki i wiele innych osób przychodziło i wychodziło przez cały dzień i nie można ich było łatwo odróżnić od naszych braci.

Tajnymi kanałami przekazaliśmy wiadomość naszej przyjaciółce Anutzy, mieszkającej w Norwegii. Od razu wzięła się do pracy, żeby zebrać pieniądze na okup za nas. Nasi krewni mieszkający za granicą również robili, co mogli. Ale to właśnie głównie dzięki Anutzy mogliśmy w końcu wyjechać. Przekonała Norwegów, żeby dali nam wizy. Zebrała siedem tysięcy dolarów od Norweskiej Misji dla Żydów i Aliansu Hebrajskich Chrześcijan (którym chciałabym niniejszym wyrazić swoją wdzięczność). Z innego źródła dotarło trzy tysiące dolarów. Moi krewni również przyczynili się do tego i pomagali nam na wiele różnych sposobów. Byli dla nas tacy uprzejmi.

Naszymi pierwszymi gośćmi z Zachodu byli duchowny Stuart Harris, prezes Misji Brytyjskiej dla Świata Komunistycznego, oraz amerykański pastor John Moseley. Przyjechali potajemnie w nocy, przywożąc pierwsze dary dla potrzebujących rodzin. Mihai zauważył tajniaków kręcących się po ulicy. Ktoś na nas doniósł! Goście zostali z nami aż do pierwszej w nocy. W międzyczasie funkcjonariusze poszli sobie, sądząc, że był to fałszywy alarm. Nazajutrz spotkaliśmy się z tymi dwoma mężczyznami w parku i wzięliśmy od nich trochę Biblii. Nawet tam nas śledzono. Później do naszego mieszkania przyszedł donosiciel i zaczął zadawać pytania pełne podtekstów. Harrisowi i Moseleyowi pozwolono także rozdać Biblię w seminarium baptystycznym. Później usłyszeli ode mnie, że na drugi dzień po ich wyjeździe studentom kazano zwrócić wszystkie otrzymane Biblie.

Nasi kolejni goście pojawili się nie wiadomo skąd. Było to kilku Amerykanów i Szwajcar. Nie znali nawet adresu Richarda. Udali się więc do działającej oficjalnie organizacji kościelnej, żeby się zapytać.

Pastor Wurmbrand? Boże drogi, tak, znali Pastora Wurmbranda. Poślą jednego ze swoich ludzi jako przewodnika. Ależ... to żaden kłopot, z przyjemnością pomogą. Tak więc człowiek ten przyszedł razem z nimi na poddasze. Oczywiście zaraz potem doniesie o wszystkim, o czym rozmawialiśmy.

Spotkanie przybrało komiczny obrót. Przewodnik mówił po francusku, ale nie po angielsku. Tak więc Richard rozmawiał z gośćmi po angielsku, a ja musiałam tłumaczyć dla donosiciela.

— Teraz mój mąż wyjaśnia, jaką wolnością Kościół cieszy się w naszym kraju, a teraz mówi o wspaniałych atrakcjach turystycznych, a teraz o pogodzie...

W międzyczasie Richard mówił jak karabin maszynowy o wszystkim, co nam się przytrafiło i o prawdziwej sytuacji Kościoła. Był pełen życia i błyskotliwy i rozśmieszał ich opisem różnych wydarzeń, które wcale nie były takie zabawne.

Wówczas jeden z Amerykanów powiedział:

— No cóż, jest to bardzo interesujące, proszę pana, ale nasz czas jest ograniczony i zanim wyjdziemy, chcielibyśmy zamienić kilka słów z pastorem Wurmbrandem.

— Ależ to ja jestem pastorem Wurmbrandem!

— Niemożliwe!

— Ale prawdziwe!

— Jeśli tak pan mówi, to musi tak być. Ale po czternastu latach więzienia?! Spodziewaliśmy się spotkać kogoś w ostatnich stadiach depresji. A zamiast tego widzimy szczęśliwego człowieka.

W końcu po ponad rocznych wysiłkach i naciskach ze strony naszych przyjaciół na Zachodzie, powiedziano nam:

— Otrzymacie wizy wyjazdowe, dolary zostały wpłacone.

Służba bezpieczeństwa wezwała Richarda na ostatnią rozmowę.

— Teraz możesz wyjechać — powiedzieli mu. — Głoś tyle kazań za granicą, ile tylko ci się podoba. Ale jeśli zaczniesz mówić przeciwko nam, to cię uciszymy.

Mamy dowody na to, że nie zapomniano o tej groźbie.

Ja także miałam swoje ostatnie spotkanie z biurokracją. Do naszych drzwi zapukał komornik z listą rzeczy do konfiskaty w swoim ręku.

— To jest wasza absolutnie ostatnia szansa, żeby zapłacić!

— Proszę przyjść jutro — powiedziałam — i będzie mógł pan zabrać wszystko.

Bracia i siostry przyjeżdżali z odległych wsi i miast, żeby się pożegnać. Co chwila przychodzili przyjaciele z Bukaresztu, żeby życzyć nam wszystkiego najlepszego.

Następnego dnia rano byliśmy na lotnisku.

Był 6 grudnia, dzień św. Mikołaja, patrona więźniów w rumuńskim kalendarzu prawosławnym. Budynki i szary samolot na pasie startowym jakby rozplywały się w wilgotnej mgle.

Mieliśmy lecieć starym DC 7 i było nas sześćdziesięcioro, wszyscy wykupieni i prawie sami Żydzi. Byliśmy tam od świtu. Panowała między nami ciepła atmosfera. Jednoczyła nas głęboka

wdzięczność za to, że los uśmiechnął się do nas i uciekaliśmy od komunizmu, ale też jeszcze głębszy smutek z powodu tych, których zostawialiśmy w jego szponach. Urzędnicy, celnicy, dziewczęta w mundurach z listami w swoich rękach spoglądali na nas z zazdrością. Będziemy mieszkać na Zachodzie. Na Zachodzie!

Próbowali nie dopuścić do tego, żeby na lotnisku zgromadził się tłum. Ale tłum i tak przyszedł, żeby nas pożegnać. Spoglądając do tyłu i machając do nich przez szyby, wyszliśmy gromadnie na mokry, szary asfalt. Mgła podnosiła się.

Wsiedliśmy na pokład. Mihai miał miejsce obok jedyne go obcokrajowca w całym samolocie — włoskiego biznesmena, który od razu zaczął mówić. Rozweselony zasypywał Mihai'a pytaniami. Nie uważał, że jest aż tak źle, jak mówią. Słyszysz te wszystkie historie o życiu w komunizmie. A on zjadł trochę bardzo dobrych posiłków w Athenee Palace (najbardziej luksusowym hotelu w Bukareszcie jeszcze z czasów przedwojennych).

Mihai milczał.

Na lotnisku w Rzymie razem schodzili po schodach.

— Czy to naprawdę Rzym? — zapytał Mihai. — A nie Berlin Wschodni lub jakieś takie miejsce?

— Oczywiście, oczywiście! — roześmiał się biznesmen. — Widzisz tamten znak: Beve'te Coca-Cola. Jesteś na włoskiej ziemi.

— A więc jednak. Jestem zatem wolnym człowiekiem — powiedział Mihai i rozplakał się.

W końcu dodał:

— A teraz, jeśli pan chce, powiem panu, jak naprawdę jest w Rumunii, ale nie wiem, czy zdołam sprawić, że pan lub ktokolwiek inny to zrozumie.

Po tych słowach skierowaliśmy się w stronę odprawy celnej. Mój brat z żoną czekali na nas na lotnisku. Przynaglani miłością przyjechali specjalnie z Paryża.

Help For Refugees, Inc.,

Michael Wurmbrand, Director.

PO Box 5161, Torrance, Ca. 90510, USA.

Email:hfr@helpforrefugees.com; Internet address:

<https://www.helpforrefugees.com>

We help orphans and elderly Christians (many in their 80s, even 90s) who had been imprisoned for their faith in present or former communist countries.